

Nie musisz  
szukać przygody,  
ona sama  
cię znajdzie.

# HONOR ZŁODZIEJA

ROBERT KARCZ

- 1 -

PRZEMEK CORSO

SON  
Originals



# Spis treści

Strony tytułowe

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ 1, w którym Robert Karcz wraca do pracy

ROZDZIAŁ 2, w którym Karcz dostaje o jeden raz za dużo

POCZTÓWKA Z PRZESZŁOŚCI

ROZDZIAŁ 3, w którym poznajemy pana Devraux

ROZDZIAŁ 4, w którym Karcz traci cierpliwość

ROZDZIAŁ 5, w którym dowiadujemy się więcej

ROZDZIAŁ 6, w którym w końcu poznajemy Michała Karmelitę

ROZDZIAŁ 7, w którym Karcz przyznaje się do błędu

ROZDZIAŁ 8, w którym pada strzał

POCZTÓWKA Z PRZESZŁOŚCI

ROZDZIAŁ 9, w którym coś się kończy, a coś się zaczyna

ROZDZIAŁ OSTATNI, w którym Karcz mówi, że zaczeka na zewnątrz

EPILOG

Strona redakcyjna

# **HONOR ZŁODZIEJA**

# **HONOR ZŁODZIEJA**

ROBERT KARCZ

**- 1 -**

PRZEMEK CORSO

Kraków 2023

*Mojej córce Anaszce.  
Dobre opowieści zasługują na drugą szansę.  
Kocham Cię.*

## PROLOG

Powietrze było zimne i ostre.

Po kilku godzinach nocnego marszu ośnieżonym szlakiem przez góry zamaskowany mężczyzna potrafił skupić się tylko na swoim oddechu. Trasa, którą wybrał, była najbardziej wymagająca ze wszystkich, a dodatkowym utrudnieniem pozostawał fakt, że dysponował tylko jednym źródłem światła – małą latarką przypiętą do piersi. Chciał mieć pewność, że będzie praktycznie niewidoczny i że po drodze nie spotka nikogo. Ani jednego świadka.

Wyczerpanie dawało mu w kość tak bardzo, że mniej więcej od połowy trasy myślał tylko kolorami. Dzięki temu łatwiej było maszerować. Czerwień, niczym sygnał ostrzegawczy, pojawiała się za każdym razem, kiedy jego noga osuwała się na śniegu albo kiedy tracił równowagę. Ból rozbłyskiwał w jego głowie oślepiającą bielą w chwilach, gdy czuł klucie w kolanie albo boku. Strach, że ktoś jednak podąży w ślad za nim i strzeli mu w plecy, rozlewał się po jego umyśle zimnym fioletem. Zieleni pojawiała się w momentach, kiedy jednak się okazywało, że to nieprawda, że wszystko jest w porządku, albo kiedy dopuszczał do siebie świadomość, że mimo wszystko posuwa się do przodu i że już dosłownie za moment będzie na miejscu.

A potem nagle wszystko się skończyło...

Gdy w końcu dotarł do celu i zobaczył drewnianą chatę, poczuł ulgę.

Udało się, pomyślał, a kolory ustąpiły miejsca prawdziwym słowom. Gdyby tylko chciał, mógłby je wypowiedzieć albo zapisać.

Powitał je z ulgą.

UDAŁO SIĘ.

W promieniu kilku kilometrów był tylko las. Do chaty prowadziła droga, ale nie mógł z niej skorzystać, nie po tym, co się wydarzyło na dole.

„Nie musisz szukać kłopotów, one same cię znajdą”. Jego ojciec często używał tego sformułowania, choć zamiast o kłopotach mówił o przygodzie. A może to było jedno i to samo w zależności od przyjętej perspektywy?

Wyłączył latarkę przy piersi, ociężał podszedł do drzwi, otrzepał buty ze śniegu, otworzył drzwi kluczem z breloczkiem, na którym z jakiegoś powodu było napisane: *happy wife, happy life*, wszedł do środka, wziął z szafki kluczyki

od samochodu i szybkim ruchem ściągnął z głowy czarną kominiarkę. Mokre od potu włosy kleiły mu się do twarzy, a na rzęsach lśniły drobinki lodu.

Spojrzał na wiszący na ścianie wielki, tandetny zegar, z rodzaju tych, które kupowało się za grosze w salonach meblowych, przy okazji do właściwych zakupów, ale nigdy ze szczerą intencją.

Ostatnie minuty starego roku, pomyślał. Co to był za czas! Tyle zdarzeń, jakby kilka lat skondensowanych albo zlepionych w jeden rok.

Wyszedł na zewnątrz i pierwszy raz od kilku godzin spojrzał w gwiaździste niebo. Dolina w oddali była zupełnie niewidoczna, przywodziła na myśl unurzaną w atramencie, a jedyne, co migotało w oddali, to rozmyte, niewyraźne światła miasta.

Ktoś mnie tam teraz szuka, uśmiechnął się w myślach. Ale nie znajdzie.

Był wykończony. Ledwo tu doszedł. Miesiące joggingu nie zdołały przygotować go do forsującego, napędzanego adrenaliną marszu w śniegu po kolana i w praktycznie kompletnej ciemności.

Obok drewnianej chałupy, pod wyginającym się od ciężaru śniegu zadaszeniem z blachy, stał jego samochód. Światło księżyca muskało karoserię pojazdu, nadając mu dziwnego, odrobinę drapieżnego wyglądu.

Rozejrzał się ostatni raz.

Podszedł do samochodu, otworzył bagażnik i ostrożnie wsadził do niego plecak z dzisiejszą zdobyczą. Swoim trofeum. Niedbałym ruchem wrzucił tam też czarną kominiarkę, swoją drugą twarz...

...a może pierwszą?

Tylko ja i ty, pomyślał, zamykając bagażnik. Przeszedł wzdłuż samochodu, muskając karoserię przez rękawiczkę. Tylko my i gwiaździste niebo.

Przez moment instynkt podpowiadał mu, żeby po prostu usiąść za kółkiem, odjechać i zostawić to wszystko w cholere; że po kilku godzinach marszu odpuszczą poszukiwania. Ale wiedział, że to zbyt niebezpieczne. Musiał być cierpliwy.

I wtedy na dalekim niebie ponad miastem pojawiły się pierwsze fajerwerki. Rozbłysły i zamieniły się w obietnicę lepszego jutra.

Odejdź, stary roku, rozpocznij się nowy.

Pojawiły się kolejne rozbłyski i obietnice. Wyobrażał sobie te wszystkie życzenia, toasty, uściski i pocałunki. Te wszystkie przyrzeczenia, które nie przetrwają miesiąca.

Przez kilka minut gapił się na ten podniebny taniec, a później odwrócił się w stronę chaty. Po chwili zastanowienia wniósł do środka drewno do kominka. Wtem na szarej wykładzinie zauważył ślady łap. Poczł niepokój.

– Co... – zaczął, ale zaraz zamilkł.

Dostrzegł w kącie skulonego, białego od śniegu psa, który wyraźnie dygotał i wlepił w niego wystraszone oczy. Zwierzę było w kiepskim stanie, ale najwyraźniej zdeterminowane, żeby walczyć, gdyby ktoś chciał je wyrzucić z powrotem na zimną, nieprzyjazną noc.

– Skąd się tu wzięłeś, psie?

Starał się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Położył drewno na podłodze, a następnie ściągnął rękawiczki i ostrożnie położył je na stoliku przy aneksie kuchennym. Kiedy zwierzę nie zareagowało, powoli rozpiął zamek błyskawiczny sportowej kurtki.

Pies mógł mieć wściekliznę, mógł być niebezpieczny, dziki.

Zsunął z ramion kurtkę i złapał ją tak, jakby rozważał wykorzystanie jej do walki ze zwierzęciem, ale po chwili po prostu powiesił ją na wieszaku. Nie spuszczać wzroku z niezapowiedzianego gościa, schylił się i zaczął rozwiązywać buty.

Pies zaczął warczeć, ale warkot szybko przeszedł w urywane skomlenie. Zwierzę wyraźnie próbowało coś powiedzieć.

– Możesz tu zostać na noc – powiedział uspokajająco. – Ale żadnego warczenia, szczekania i agresywnych zachowań, bo wtedy wylatujesz za drzwi, na mróz, rozumiesz?

Zwierzę wyraźnie się uspokoiło.

Nie znał się na psach, ale potrafił ocenić, że ten jest głodny i przemęczony.

Zupełnie jak on sam.

Odstawił buty i złapał za dwa podłużne kawałki drewna, które przypominały pałki, i ostrożnie zrobił kilka kroków w kierunku kominka i psa. Przeszło mu przez myśl, że zwierzę zabłądziło, że może wystraszyło się sztucznych ogniówek, którymi dzieciaki strzelały już od dobrych kilku godzin, nie mogąc się doczekać północy.

– Posłuchaj, psie... – zaczął, nie wiedząc tak naprawdę, co chce powiedzieć, ani tym bardziej po co to mówi.

Przerażone oczy zwierzęcia wpatrywały się w niego w oczekiwaniu na jakąkolwiek oznakę wrogości.

– ...szczęśliwego Nowego Roku – dokończył, a później stuknął jednym kawałkiem drewna o drugi i po prostu wsadził je do kominka.

\*\*\*

ŁUP, ŁUP, ŁUP.

Obudziło go walenie do drzwi. Wciąż było ciemno.



Przetarł oczy. Lekko zdezorientowany wyszedł z sypialni, ubrany tylko w bokserki i białą koszulkę. Pies spał przy dogasającym kominku i nawet nie zwrócił uwagi na hałas. A może wręcz przeciwnie, tylko było mu tak dobrze, że udawał, zaniepokojony tym, że będzie musiał opuścić bezpieczne i ciepłe miejsce.

– Żyjesz czy zdechłeś? – zapytał, posyłając mu przelotne spojrzenie.

Kudłaty, chudy kundel, jakby rozumiejąc jego słowa, zastrzygł uchem, ale nawet nie drgnął.

ŁUP, ŁUP, ŁUP.

Kilka kolejnych uderzeń w drzwi frontowe.

Karcz spojrział w ich kierunku, a potem sprawdził godzinę na ściennym zegarze.

Za piętnaście siódma.

– Zaraz otworzę! – krzyknął. – Spokojnie!

Podszedł do aneksu kuchennego, otworzył kilka pustych szuflad i przeklął pod nosem. Dopiero w szafce nad zlewem znalazł sztucce, stojące na baczność w wysokim, porcelanowym kubku. Po krótkim wahaniu wziął nóż do masła i ukrył go za plecami.

Świetnie, pomyślał. Idealny do samoobrony. Bardzo prawdopodobne, że ktoś umrze ze śmiechu, kiedy będę próbował go nim dźgnąć.

Ponownie potarł zaspane oczy, odczekał kilka sekund i jakby nigdy nic otworzył drzwi. Podmuch zimna wtargnął do wnętrza chaty, sprawiając, że włosy dosłownie zjeżyły mu się na karku. Zimno zadziałało lepiej niż najmocniejsza kawa. Wyostrzyło mu zmysły i sprawiło, że w jednej chwili przestał być śpiący.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – Mężczyzna za drzwiami miał serdeczny, donośny głos.

Miał na sobie zieloną kurtkę od jakiegoś munduru, wielką, wełnianą czapkę i grube rękawiczki, a na jego twarzy pyszniła się gęsta broda, częściowo pokryta lodem. Wizerunku dopełniała przewieszona przez ramię strzelba.

– Nazywam się Henryk Maj. Jestem strażnikiem leśnym.

– Karcz – odpowiedział Karcz. – Robert Karcz. Właśnie spałem. Mogę w czymś pomóc?

– Robię obchód – wyjaśnił Maj i wskazał dłonią zaśnieżony leśny pejzaż za swoimi plecami. – Sprawdzam, czy na szlakach nikt się nie zgubił i nie zamarzył podczas sylwestra... Wie pan, zabawa, popijawa, brawura, a w górach o nieszczęście bardzo łatwo.

– Czyżby?

Strażnik się uśmiechnął.

– Ano. Chciałem sprawdzić, czy jesteście bezpieczni. Mógłbym sobie zrobić u państwa krótką przerwę na herbatę? Jeszcze kilka godzin przede mną...

Karcz przyjrzał mu się uważnie, a później zerknął ponad jego ramieniem – chciał się upewnić, że mężczyzna przyszedł sam.

Żywej duszy, jedynie szary świt.

– Proszę wejść. I tak za chwilę się pakuję i wyjeżdżam – powiedział w końcu i niechętnie wpuścił Maja do środka.

Strażnik zaczął dokładnie otrzepywać buty ze śniegu, a potem rzucił okiem w kierunku aneksu kuchennego i półotwartych drzwi do sypialni.

– Sam pan żeś jest tutaj? – zapytał z niedowierzaniem. – Jak to możliwe? W sylwestra, znaczy w Nowy Rok?

Karcz podszedł do zlewu, delikatnie wsadził do niego nóż, a potem wziął czajnik i nastawił wodę na herbatę.

– Lubię czasami pobyć sam – rzucił jakby od niechcienia, próbując dać nieznanemu do zrozumienia, że to zdecydowanie jego prywatna sprawa i ten raczej nie powinien wkładać nosa w nieswoje sprawy

– Ano. Ja też – odparł Maj. Nie ściągnął butów, przy każdym kroku zostawiał mokry ślad. – Dlatego pracuję, gdzie pracuję, i robię to, co robię. Wie pan, nigdy nie sądziłem, że ktoś będzie wynajmował tę chatę sam. Sam jak palec. Rozumiem, z jakąś babą... no albo... wie pan...

Urwał, zdjął strzelbę z ramienia, zawiesił ją na haku do ubrań, następnie ściągnął kurtkę i zawiesił na tym samym haku. Rękawice wsadził do czapki, którą rzucił na podłogę pod kurtkę. Było to dziwne, ale nie na tyle dziwne, żeby zasługiwało na komentarz.

Karcz dostrzegł kątem oka zawieszoną przy pasku kaburę z pistoletem. Strażnik miał około pięćdziesiątki i emanował pewnością siebie. Sprawiał wrażenie człowieka, który niejedno już w życiu widział i niejedno przeżył. Można by nawet powiedzieć, że czuł się tu jak u siebie. Chrząknął kilka razy, otrzepał śnieg i drobinki lodu z gęstych wąsów i brody, poprawił pasek z kaburą i rozsiadł się w fotelu przy stoliku.

– Naprawdę nie sądziłem, że ktoś to wynajmie – powtórzył Maj, jakby ta myśl nie dawała mu spokoju. – Sama chata piękna, solidna, ale cholernie daleko od miasta, od wszystkiego. Ludzie lubią bliżej, boją się miśków, złodziei, duchów... A tymczasem okazało się, że to żyła złota! Nieźle, nie?

– Nie wiem, nie znam się na tym.

– Gdybym to przewidział, kupiłbym ją dawno temu za bezcen, jak jeszcze była zrujnowana. Droga jest często nieprzejezdna, ale po remoncie to prawdziwy raj dla kawalerów, panienek na wydaniu i innej maści imprezowiczów. Goście z wielkich korporacji przywożą sobie lale. Oj, panie... e... Karcz, dobrze

pamiętam? Żebyś pan widział, jakie tu są imprezy kawalerskie... Chłanie, chłanie i jeszcze raz chłanie... Widzę po flaszkach. Wychlać potrafią, ale pozbierać do kubła już gorzej. Masz pan tu telewizję?

– A nie wiem – odpowiedział Karcz i zdobył się na uśmiech. Stał oparty plecami o lodówkę w taki sposób, żeby mieć dobry widok na swojego gościa. – I jest mi bardzo przykro...

– Tak? – Zdziwił się mężczyzna.

– Tak.

– A czemuż to?

– Nie mam zbyt dużego wyboru, jeżeli chodzi o herbaty... Mogę panu zrobić tylko czarną.

Maj się zaśmiał i wzruszył ramionami.

– Może być. Byle gorąca. Jak byłem młodszy, w domu była taka bieda, że piliśmy gorącą wodę z cytryną. A właśnie... Cytrynkę pan ma?

– Nie mam.

– To niech pan chociaż dobrze posłodzi.

– Cukru też nie mam.

Mężczyzna cmoknął.

– Ajajaj... Trudno. – Machnął ręką. – Musi mi pan wybaczyć, że tak wypytuję o wszystko, ale strażnik jestem i to mój rewir, a poza tym po prostu jestem zdziwiony. Wielce zdziwiony. Spodziewałem się tu kolejnej imprezy, pijanych chłoptasiów, a tymczasem doszły mnie słuchy, żeś pan tu sam jak palec...

Karcz się skrzywił.

– Doszły pana słuchy? Przed momentem był pan zaskoczony faktem, że jestem tu sam.

– Ano! – przyznał Maj, nie spuszczać z rozmówcy oczu i kontynuował jakby nigdy nic. – Doszły mnie słuchy, ale wie pan, jak to jest. Mała wiocha. „Monitoring sąsiedzki”, wie pan... Każdy wszystkiego pilnuje i jak trza, to od razu poinformuje kogo trzeba... Co do tej chaty, to prosta sprawa: zawsze dostajemy informację, kto ją wynajmuje. Jak rodzina z dziećmi, to trza mieć na uwadze, że dzieci... Jak impreza kawalerska, to trza mieć na uwadze, że mogą się zachlać i nogi połamać... Jak przyjeżdża ktoś z kochanką... to trza mieć na uwadze, żeby mu nie przeszkadzać... Wie pan, tak naprawdę chodzi o kwestie bezpieczeństwa, bo ja nie oceniam, czy to dobrze, że ktoś ma kochankę. Ale że ktoś sam chciał tu być...

Karcz znowu się skrzywił.

– Piszę książkę – skłamał.

– O! Dobrą?

– *Hrabia Monte Christo*.

– Tytuł rzeczywiście dobry.

– Tak. Dzięki.

– A to nie jest czyjeś? Ktoś już tego nie napisał?

Karcz wzruszył ramionami.

– Wszystko można poprawić albo napisać na nowo.

Milczeli przez dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem.

– Pozwoli pan, że się ubiorę. – Karcz wskazał na swoje bokserki, a potem drzwi do sypialni.

Maj się uśmiechnął i kiwnął głową.

– Jasne! Za zimno w takich gaciach chodzić, nie? To pański pies? – zapytał.

– Przypałętał się w nocy – odparł Karcz, kiedy był już w połowie drogi do sypialni. – Pozwoliłem mu zostać.

– Pewnie się wystraszył sztucznych ogni... W Nowym Roku znajduję w okolicach sporo zagubionych psów. Rzadko kiedy dożywają poranka. Wie pan, ucieknie, zgubi się i zamarznie. Albo poczuje miśka i zwiewa, a potem już sam nie wie, gdzie jest, i tyle.

– O tym samym pomyślałem – odparł Karcz zza drzwi.

Elektryczny czajnik wydał z siebie kliknięcie.

– Nie chcę się rządzić, ale pozwoli pan, że zaleję herbatę, jak będzie się pan ubierał?

Karcz tylko mruknął.

Kiedy Maj podszedł do aneksu kuchennego, Karcz wciągnął na siebie jeansy i cicho podszedł do okna. Było zablokowane. Można było je uchylić, ale nie otworzyć. Żadnej drogi ucieczki. Cały sprzęt w samochodzie. Warknął pod nosem, złapał leżącą na półce czarną bluzę z kapturem i w jednej z kieszeni wymacał kluczyki do samochodu. Założył bluzę i wrócił do głównej części chaty. Maj siedział w fotelu i popijał gorącą herbatę. Przebudzony pies przyglądał mu się nieufnie ze swojego miejsca.

– Może nie do końca rozsądne było wpuszczanie w nocy tego psa? – Strażnik się zastanawiał, pocierając dłonią gęsty wąs, jakby próbował go ugładzić.

– Nie wpuszczałem go – powiedział Karcz. – Sam wszedł.

– Tak czy inaczej, ja bym uważał, kogo wpuszczam do domu. Nigdy nic nie wiadomo.

– Kogo... czy co? – spytał Karcz.

Próbując zachować pozory, wyminął bosymi stopami mokre ślady na podłodze i podszedł do aneksu, gdzie stał jego kubek z herbatą.

– Kogo – odpowiedział Maj i cmoknął. – Widać, że to pies. Ma jaja.

– Nie zwróciłem uwagi.

– Może dziki? Wściekły?

Karcz westchnął.

– Będę szczery...

– Na to liczę.

– Uznałem, że skoro warczy, to rozsądniej będzie nie wchodzić w konflikt. To rozsądne. A poza tym... Pan, strażnik, by go wywalił na dwór i pozwolił zamarznąć?

Maj się zaśmiał i rozsiadł wygodniej, wystawiając przed siebie podeszwy butów.

– Jest pan staroświecki – stwierdził. – To dobra cecha. Jeżeli ta psina doszła tu w mrozie z samego miasta, to trza przyznać, że zasłużyła na to, by żyć... To, że pan jej pomógł, to się akurat panu chwali, panie Karcz.

Karcz nie skomentował. Spojrzał w stronę kominka, gdzie suszyły się jego skarpetki, a później w kierunku butów stojących niedaleko drzwi.

– Super samochód, ten pański, no wie pan – powiedział Maj. – Imponujący. Ford mustang, o ile się nie mylę. Widziałem tego konika na masce...

– Mach 1 – doprecyzował Karcz. – Niespecjalnie popularny i niespecjalnie drogi...

– Co pan! Piękny wóz – ciągnął strażnik. – A czym się pan zajmuje? Samochodami? Wynajmuje go pan na wesela czy coś?

Karcz się zawahał.

– Jestem nauczycielem historii...

Prawda tak nieprawdopodobna, że wypowiedzianie jej brzmiało jak kłamstwo.

Maj wybuchnął śmiechem i znowu potarł wąs.

– Nauczyciel historii i pisarz. Nieźle! Z takim autem?! To chyba jakaś bardzo dobra szkoła.

– Tak.

Strażnik pokręcił z niedowierzaniem głową, a jego ręka sięgnęła do kabury. Odpiął zabezpieczenie.

– Dobra, przejdźmy do rzeczy – powiedział stanowczo, a w jego głosie czaiła się groźba. Wesołość również zniknęła z twarzy. – Pan siądzie na chwilę, a nie stoi jak na odprawie. Co pan będziesz tak stał, panie Karcz...

– Często pan powtarza moje nazwisko.

– Żeby zapamiętać. Może się przydać – odparł. – A teraz siadaj pan.

Karcz westchnął.

– Wezmę herbatę. – Zerknął na drzwi wyjściowe. Cztery metry. Nie miał na sobie butów i skarpetek. Do samochodu kolejnych sześć metrów w prawo. Po śniegu i lodzie. Start samochodu. Nie wiadomo, w jakim stanie jest droga w dół.

Niech to szlag!

Rok pod psem, pomyślał z ironią.



Podszedł do aneksu kuchennego, wziął kubek z herbatą i niechętnie usiadł w fotelu po drugiej stronie stolika, po czym posłał Majowi podszyty fałszem, nieprzyjemny uśmiech.

– Nie jest pan zbyt rozrywkowy, co? – zagadnął Maj.

– Raczej nie.

– Widział pan coś podejrzanego w nocy? Albo kogoś?

– Po to wynająłem ten domek... żeby nikogo nie spotkać.

Zamilkli, po czym obydwaj spojrzeli na psa.

– To naprawdę przybłąda? – zapytał strażnik.

– Tak – odparł Karcz. – Leży przy kominku od wczoraj. Dałem mu wody i resztę jedzenia z lodówki...

– Nie jest chory?

– Nie wiem, ale będzie pan mógł się nim zająć...

– Co?

– Zająć psem – wyjaśnił Karcz i upił łyk herbaty. – Dostarczyć do miasta czy coś, bo ja na pewno nie wezmę go ze sobą. Nie mogę go też zostawić. To przypadkowa znajomość i nie potrwa długo.

Maj chrząknął, jakby sama perspektywa zajmowania się jakąś przybłądą napawała go odrazą.

– Rozumiem. Jest pan typem kociarza?

– Czego? – zdziwił się strażnik.

– Koty. Pytałem, czy lubi pan koty.

– Taaa... – Zmieszał się lekko i zmienił lekko postawę, najwyraźniej próbując odzyskać kontrolę nad rozmową. – Przejdę do rzeczy. Kojarzy pan ten duży hotel? Potężnego potwora dla opływających w luksusy dziadów?

Karcz się wzdrygnął.

Pierwszy stycznia, pomyślał. Pierwszy dzień reszty twojego życia.

– Nie kojarzy. Być może widziałem go z trasy, ale...

– Ludzie są w sylwestra mało czujni – przerwał mu Maj. – Chleją, pieprzą się... Sodomia, gomoria. A szczególnie ci bogaci... Paniska w wielkich hotelach, co płacą kilka tysięcy za noc... Rozumie pan? Kilka tysięcy! To normalne tyle płacić za zwykłe wyrko? To w ogóle jest moralne?

– Jeśli ich stać... Ktoś wydał, ktoś inny zarobił. Miejsca pracy dla miejscowych...

– Ano. Coś panu powiem: wczoraj, w tym hotelu, byli pewni ludzie... I coś im ukradziono...

– ...

– Taaa... Ktoś im coś ukradł. I zaciekała mnie jedna rzecz w całej tej historyjce. Bo widzisz, chłopie, ktoś komuś chciał coś sprzedać... Po cichu! Ktoś

inny przyjechał to kupić i żeby było po cichu, umówili się w sylwestra, kiedy w hotelu jest balanga. Kumasz?

– Nie bardzo. I nie wiem też, czemu mi pan to opowiada.

– Dziwna wymiana w sylwestra coś panu mówi? Walizeczka jedna, druga, pyk... Ludzie gadają, że jeden z tych jegomości z walizkami jest jakimś Niemcem od dzieł sztuki, rozumiesz pan? No i wyobraź sobie, chłopie, że ten Niemiec z całą swoją świtą przyjeżdża akurat do nas. Tutaj, w góry. I akurat w sylwestra. I bierze najdroższy apartament. Gładka gadka, *ja, ja, ja, schweine...* I ten Niemiec ma ze sobą w sylwestra katalogi sztuki. Mnóstwo katalogów. Rozkłada je po pokoju, ogląda jakieś obrazy, cuda na kiju... Pokojówki sprzątają, wszystko widzą. I nagle przyjeżdża grupa Polaków na spotkanie z tym Niemcem... Biorą apartament naprzeciwno. Nadążasz pan?

– Mniej więcej. Niemiec, pieniądze, hotel, Polacy, dzieła sztuki...

– Wczoraj Polacy spotkali się z jakimś Niemcem. Wymienili się walizeczkami. Tylko nie przewidzieli, że będzie tam ktoś jeszcze... Ktoś, kto o wszystkim wiedział i tylko czekał, żeby przechwycić tę walizkę dostarczoną przez Polaków.

– Przykro mi.

Maj pogładził się po wąsie i spojrzał ostro na Karcza.

– Okradziono Niemca, zrobiło się zamieszanie, ludzie się pobili, Niemiec wpadł w szal... Wszyscy wszystko widzieli, wszyscy wszystko słyszeli, a kradzież nie została zgłoszona na policję. Co mi pan powie na to, panie... Karcz?

Twarz Karcza spowił cień.

– Nie mam pojęcia. Nachodzi mnie pan w czasie świątecznego urlopu, przychodzi tu skoro świt, nadużywa mojej gościnności i opowiada jakieś hotelowe sensacje. – Wypowiadając ostatnie słowo, uderzył otwartą dłonią w blat stolika.

To była próba sił.

Strażnik się zmieszał, a jego twarz momentalnie złagodniała.

– Cóż... Gadać to pan potrafi, nie ma co. – Maj pochylił się w jego stronę i przez chwilę świdrował go wzrokiem. – Ale w tym hotelu pracuje masa moich znajomych, przyjaciół, mój kuzyn... Oczy są wszędzie, chłopie. I tak zem pomyślał, że pan był w tym hotelu wczoraj w nocy. Czy się myłę? Dzisiaj pan odjeżdża, prawda? To też wygodny dla pana zbieg okoliczności...

Karcz zmrużył jedno oko, udając, że się nad czymś zastanawia, i wstał.

– Tak. Za moment – oznajmił, próbując powrócić do niezobowiązującego tonu rozmowy. – Dlatego pozwoli pan, że skupimy się na tym, co jest naprawdę ważne...

– Czyli?

Milczeli przez chwilę.

– Czyli chciałbym wiedzieć, co zrobimy z psem? – zapytał w końcu. – Jest pan strażnikiem leśnym, więc proszę to potraktować jako oficjalne zgłoszenie. Mam tu psa.

Maj spojrzał na zwierzaka, jakby dopiero teraz zorientował się, że nie są w pomieszczeniu sami.

– Niech... niech go pan zamknie w łazience. Szkód raczej nie narobi, a ja przekażę, komu trzeba... No nic to. Ruszam w trasę.

Odstawił kubek na drewniany stolik i przez blat wyciągnął do Karcza potężną dłoń.

Karcz spojrzał na nią i mocniej zacisnął palce na swoim kubku, a następnie odstawił go, uściśnął podaną rękę i gestem wskazał swojemu gościowi drzwi.

Wstali.

Kiedy Maj był mniej więcej w połowie drogi do wyjścia, zwolnił i spojrzał na Karcza.

– Jakiego faceta stać, żeby samotnie wynająć taką chatę w górach? Na całe święta i sylwestra? – zapytał Maj retorycznie. – Faceta który jest... przepraszam za wyrażenie... nauczycielem?

Strażnik zatrzymał się w pół kroku, odwrócił gwałtownie, a jego wąs przesłaniający dolną połowę twarzy zafalował. W dłoni trzymał pistolet wymierzony prosto w Karcza.

– No dalej – warknął zaczepnie. – Spróbuj chlusnąć mi w twarz gorącą herbatą... Zobaczymy, kto jest szybszy. No dalej!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Odstaw kubek, Karcz!

Karcz wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, a następnie powoli odstawił naczynie.

– Jest pan strażnikiem leśnym... Nie powinien pan mieć sympatycznego usposobienia, jak Leśniczy Gałązka? – zażartował, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

– Kto?

– Z bajki dla dzieci – rzucił. – Dobra, niech pan posłucha...

– Przestań mi wciskać kit! – warknął. – Ja żem cię widział wczoraj w tym pieprzonym hotelu, jak wyskakujesz przez okno. Wszędzie poznam twoją kurtkę. Kosztuje kilka tysięcy złotych. Masz mnie za durnia?

– Myślę, że ma pan jakąś obsesję na punkcie pieniędzy...

– Zamknij się. Jesteś sprytny i szybki, ale nie aż tak sprytny i nie aż tak szybki...

– Nazywam się Robert Karcz. Chatę wynajął dla mnie mój znajomy...

– Zamknij gębę! Jesteś zwyczajnym złodziejem! – wycedził Maj przez zęby. – Co zabrałeś z tego hotelu?

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedział Karcz stanowczo.

– Chłopie, widziałem cię wczoraj, jak żeś wyskoczył przez pieprzone okno! Mój kuzyn też cię widział. Miałeś w łapach walizkę. Co w niej było?

– Przecież mnie pan nie zastrzeli – odparł Karcz, próbując trzymać nerwy na wodzy. – Niech pan będzie poważny.

Strażnik uniósł wyżej pistolet.

– Gdzie jest walizka i co w niej jest! – huknął.

– Nie jestem złodziejem...

Maj wykonał gwałtowny ruch i uderzył go kolbą pistoletu w twarz. Karcz zachwiał się, a z łuku brwiowego poleciała mu krew.

– Wyłaż na zewnątrz! Przed dom! Natychmiast! Bo zastrzelę jak zwyczajne bydlę! Żaden z ciebie turysta! Chata pusta, prawie żadnego żarcia, żadnego alkoholu, żadnych butelek...

– Nie mam butów – mruknął Karcz, próbując osłonić się przed kolejnym ciosem.

– Wyłaż boszo. Otwórz drzwi i wyłaż na dwór!

Karcz bardzo powoli wyszedł na zewnątrz. Kiedy stanął bosą stopą na zasypanym śniegiem ganku, poczuł setki lodowych igieł wbijających mu się w skórę. Wykonał kilka kroków i nagle poczuł silne pchnięcie. Zatoczył się i stanął po kolana w śniegowej zaspie.

Szczęśliwego Nowego Roku, pomyślał, co nawet go rozbawiło.

– Mam pieniądze! – krzyknął, odwracając się do napastnika. Krew zalała mu jedno oko. – W samochodzie. Niech mnie pan nie zabija...

Maj pewnym krokiem zszedł z ganku prosto w śnieg.

– Nie zabiję cię, o ile dasz mi walizkę. Co w niej jest?

– Jezu... – sapnął Karcz. – To bezwartościowy szmelc!

– Czyli jednak! – Zadowolenie w głosie strażnika było aż nadto wyraźne.

– Bezwartościowy szmelc! – powtórzył Karcz dobitnie, dopatrując się w tym swojej ostatniej nadziei. Musi zaciągnąć faceta do samochodu i tam spróbować go obezwładnić. To jego jedyna szansa.

Maj splunął na śnieg.

– Po co kraść bezwartościowy szmelc? – zapytał z niedowierzaniem. – Najpierw mówisz, żeś to nie ty wziął, a teraz, że to szmelc... Kogo okłamujesz?

– Jest bezwartościowy dla ciebie – wyjaśnił Karcz. W jego głosie słychać było zaczepkę, choć wiedział, że w obecnej sytuacji może więcej stracić, niż zyskać. Drżącą z zimna ręką otarł krew zastygającą na twarzy.

– Czyli jednak jesteś złodziejem – stwierdził Maj z zadowoleniem i się wyszczerzył. – A ja jestem... złodziejem okradającym złodzieja. Zimno ci w stopy, chłopie? Nie jest to zbyt przyjemne, co? Możemy tu stać, mogę ci też przestrzelić kolano na zachętę...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Karcz niespodziewanie zaczął rechotać. Najpierw cicho, potem głośniejsze, aż ostatecznie wybuchnął niepohamowanym śmiechem, dezorientując tym swojego oprawcę.

– Z czego się śmiejesz?

– Nawet nie wiedziałbyś, gdzie to sprzedać. – Karcz pokręcił głową. Zimno wykręcało jego ciało, na twarzy miał rozmazaną krew. – Mieszasz się w nie swoje sprawy. Nawet nie wiedziałbyś, co z tym zrobić – powtórzył i znowu zaczął się śmiać.

Maj ponownie wyszczerzył zęby.

– Ja już będę wiedział, co z tym zrobić!

– W samochodzie, w bagażniku – wydusił Karcz, przestępując z nogi na nogę. Skóra na stopach zaczęła go parzyć.

– Strzał zabrzmi w górach jak kolejny fajerwerk. Nie prowokuj mnie!

– Naprawdę. Otworzę ci samochód. Mam to w bagażniku – oznajmił Karcz, robiąc krok w stronę zadaszania, pod którym stał ford mustang. – Spokojnie, zrobię to...

Strzał odbił się donośnym echem po okolicy.

– Następny trafi w ciebie! – ryknął Maj i podniósł broń, jakby rzeczywiście szyskował się do kolejnego strzału.

Wtedy jednak wydarzyło się coś, czego ani fałszywy strażnik leśny, ani Karcz w ogóle się nie spodziewali. Najpierw usłyszeli ujadanie psa, a kiedy spojrzeli w kierunku otwartych drzwi do chaty, było już za późno na jakąkolwiek reakcję.

Pies skoczył Majowi do gardła. Mężczyzna zawył, a jego głos odbił się echem od gór.

Padł kolejny strzał.

Karcz zerwał się do biegu, wyciągnął z kieszeni bluzy kluczyki do samochodu i doskoczył do drzwi od strony kierowcy. Klucz nie trafił w zamek i zarysował lakier. Karcz syknął i przy drugiej próbie otworzył drzwi.

Maj darł się wniebogłosy, ale Karcz już go nie widział. Nie chciał widzieć. Wszystko, czego potrzebował, to samochód i jego zawartość.

Ford mustang mach 1 odpalił przy pierwszej próbie.

Karcz błyskawicznie wrzucił bieg, a kiedy chciał zamknąć za sobą drzwi, poczuł silne uderzenie. W pierwszej chwili pomyślał, że to Maj. Ale to był pies. Zwierzę z impetem wskoczyło do środka, przebiegło po kierowcy i strzeliło go w twarz grubym ogonem. Zanim Karcz się zorientował, co się wydarzyło, pies



siedział już na miejscu pasażera i wlepił w niego wystraszone oczy, jakby chciał powiedzieć: JEDŹ, JEDŹ, JEDŹ KRETYNIE! NA CO CZEKASZ!?

– Nie do wiary! – szepnął sam do siebie i zatrzasnął drzwi.

Samochód wystartował, wpadając w lekki poślizg, a następnie, na długiej prostej, nabrał prędkości i rozrzucił na wszystkie strony świeży puch.

Kiedy Henryk Maj podnosił się ze śniegu z ręką przyciśniętą do rany na szyi, Karcz szarpnął za ręczny hamulec, powodując poślizg i z impetem uderzył byłego oprawcę tyłem wozu. Ciało Maja bezwładnie zważyło się na ganek, prosto na balustradę. Rozległ się trzask łamanego drewna.

– KURRRRRW...

A potem nastąpiła cisza.

Karcz i pies spojrzeli na siebie.

– Przeżył? Widziałeś coś? – wysapał Karcz, który dopiero po chwili się zorientował, że zwraca się do siedzącego na miejscu pasażera psa. – Dobra, sam sprawdzę.

Wysiadł i ukrywając się za samochodem, spoglądał na potrąconego mężczyznę. Wszystko wskazywało na to, że jest nieprzytomny.

– Dobra – szepnął Karcz sam do siebie i bosy przebiegł po śniegu prosto do domku.

Wziął buty i kurtkę i ponownie wyszedł na zewnątrz.

Maj poruszył się nieznacznie.

– Szczęśliwego Nowego Roku – rzucił Karcz, wyminął leżącego i wszedł do samochodu.

Wrzucił rzeczy na tylne siedzenie, zapiął pas i spojrzął na swoje sine z zimna stopy. Podkurczył kilka razy palce.

– A ty? – zwrócił się do psa. – Do ciebie mówię! Wsiadasz. Teraz!

Pies warknął groźnie.

– Dobrze – odparł Karcz z rezygnacją, jakby przegrał dyskusję na merytoryczne argumenty i musiał przed samym sobą przyznać, że się mylił. Wrzucił bieg i wystartował z miejsca z rykiem silnika. Teraz liczył się tylko samochód i niebezpieczna, zaśnieżona droga w dół. – Ale radzę ci, kundlu, lepiej się nie przyzwyczajaj.

## ROZDZIAŁ 1

# W KTÓRYM ROBERT KARCZ WRACA DO PRACY

Niektóre samochody mają duszę, tak samo jak ludzie.

Tak twierdził ojciec, który miał w zwyczaju opowiadać wiele rzeczy. Większość była bez pokrycia, ale to akurat mówił z pełnym przekonaniem.

Czerwono-czarny ford mustang model Mach 1 z 1971 roku był niecodziennym widokiem na polskich ulicach, ale nie na tyle ekstrawaganckim, żeby przyciągać uwagę na dłużej. No chyba że ktoś był pasjonatem. Taka osoba zdecydowanie doceniłaby fakt, że samochód wyglądał, jakby wyjechał z taśmy produkcyjnej kilka, a nie kilkadziesiąt lat temu.

Pamiętał, z jaką pieczołowitością jego świętej pamięci ojciec zajmował się machem 1. Przejął od niego tę pasję i pielęgnował ją w sobie do dziś. Nie chodziło o motoryzację i samochody ogólnie, te nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Chodziło o sentyment. O historię. Życie bez wspomnień, których nie można było się kurczowo złapać, nie miało dla niego żadnej wartości.

Wnętrze macha 1 pachniało skórzanymi fotelami i czymś jeszcze. Czymś, czego nie dało się jednoznacznie opisać. Pachniało dzieciństwem i przygodą. Pachniało lepszym życiem.

To była jedyna rzecz, którą odziedziczył po ojcu. (Tak mówił wuj Cieplak, a on, w odróżnieniu od ojca, prawie zawsze mówił prawdę, ponieważ wyznawał zasadę, że zamiast kłamać, lepiej milczeć). To była również jedyna wartościowa rzecz, którą posiadał na własność. Ta bestia z silnikiem V8 i drapieżnym wyglądem była najwygodniejszym modelem mustanga produkowanym w tamtym okresie i bardzo szybko stała się częścią jego tożsamości. Opływowe kształty, dwa szerokie wloty powietrza na masce i okrągłe przednie światła, które wyglądały jak oczy. Coś, co możesz prawdziwie kochać albo szczerze nienawidzić.

– Synu, ten samochód to w pewnym sensie początek i koniec – powtarzał ojciec, woskując karoserię, kiedyś, dawno temu, na początku lat 80. Pamiętał to. Pamiętał ten zapach. – Matka chciała mnie udusić, kiedy dowiedziała się, że sprowadzam go ze Stanów. Tutaj! Do Polski! W tamtych czasach... – Zamyślił się na chwilę. – Tylko nie mów matce, że tak powiedziałem. Poczłaby się urażona. Ona i twoja siostra są pod tym względem podobne.

– Dobrze, tato.

– Kiedyś będzie twój – kontynuował ojciec. – Złapiesz kluczyki i nie będziesz chciał ich puścić. Powinieneś potraktować to jako sygnał, że powinieneś jechać. Po prostu wsiąść i jechać. Poczujesz to. Zew. Przygoda. Tak jak ja wtedy, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem w Teksasie. Posłuchaj mnie, Robert. – Nagle spowaźniał, ale jego oczy nadal lśniły. – Samochód będzie do ciebie mówił i będzie cię ostrzegał, a ty zawsze powinieneś go słuchać. Twoja siostra tego nie rozumie. Nie śmieję się. Wiesz, dlaczego tak mówię? Bo niektóre samochody mają duszę, Robert. Niektóre samochody mają duszę, tak samo jak ludzie...

Karcz senior mówił, a Karcz junior słuchał. Ojciec snuł opowieści, a syn chłonał każde słowo, karmiąc się kolejnymi niestworzonymi opowieściami. Mach 1 to nie był jego jedyny samochód. Senior od lat restaurował stare wozy i jeździł na wystawy.

A później umarł. Umarli oboje. W jednej chwili wszystko się zmieniło. Został tylko Robert, jego siostra... i samochód. Koniec starego życia, które znali, i początek czegoś, czego nawet nie mogli sobie wyobrazić. Reszta majątku poszła pod młotek. Zanim Justyna i Robert cokolwiek otrzymali – oficjalnie i nieoficjalnie – większość przeszła przez ręce różnych osób.

Wielu rzeczy nie udało się odzyskać.

Taki był ojciec. Otaczał go dym i lustra, a kiedy nadszedł czas weryfikacji, lepiej było po prostu milczeć.

Justyna rozsądnie zainwestowała odziedziczoną część w samą siebie. Przeprowadziła się do Warszawy, ukończyła szkołę aktorską i zanim się obejrzieli, została gwiazdą telewizji z kilkoma serialowymi rolami na koncie i kontraktem na prowadzenie programu śniadaniowego. Tymczasem on się miotał i podróżował, gdzie tylko mógł. A potem zniknął na jakiś czas. Kiedy wrócił, przeprosił siostrę, że się nie odzywał i jakby nigdy nic udał się na studia pedagogiczne, niejako idąc w ślady matki. Ledwo je ukończył. Później znowu zniknął. Kiedy wrócił, był już studentem archeologii i to na zagranicznym uniwersytecie.

Justyna w pewnym momencie odpuściła. Przestała nadążać i przestała próbować. Chciała nienawidzić brata za to, że nie może na niego liczyć, ale za bardzo go kochała. Poza tym wiedziała, że mimo upływu lat każde z nich miało inny sposób na radzenie sobie z tym wszystkim, co się stało.

Tłumaczył, że archeologia zawsze była jego pasją, ale Justyna знаła swojego brata jak własną kieszeń. Wiedziała, że to tylko pretekst. Że historia i wszystko, co się z nią wiązało, to próba radzenia sobie z biegnącym czasem, zupełnie jakby chciał osiąść wiedzę na temat jego istoty i w końcu nauczyć się go cofać.

– Śmierć rodziców to nie nasza wina – powiedziała mu kiedyś przy lampce wina w swoim apartamencie na warszawskiej Pradze. – Na rzutniku oglądali stary film o przygodach Zorro. Milczał. Nienawidziła momentów, kiedy się zamykał w sobie, dlatego w takich razach po prostu mówiła dalej, bez względu na to, jak bardzo mogło mu się to nie podobać. – Ojciec to jedno... W jednej chwili jesteś, a w drugiej cię nie ma. Wiem, że nie daje ci to spokoju, ale tak po prostu było. A mama... umarła z żalu. Ze smutku. Nie było cię przy niej, a ja byłam. Widziałam to. Widziałam, jak pęka jej serce.

Nie skomentował tego. Ani wtedy, ani nigdy później.

Najprościej byłoby stwierdzić, że byli różni.

Ona w przemyślany sposób budowała swoją karierę, zarabiała pieniądze i wyznaczała sobie kolejne cele, a on marzył o szwendaniu się z plecakiem, kopaniu w skamielinach i wymierzaniu sprawiedliwości. Tylko czym była owa sprawiedliwość? Tego zdawał się nie wiedzieć nawet on sam.

Wziął głęboki wdech, wyciągnął z kieszeni jeansów zegarek bez paska, spojrzał na niego, a potem pstryknął palcem figurkę diabełka z kołyszącą się wielką głową, przyklejonego do tapicerki macha 1. Był to klasyczny amerykański *bubble head*. Oznaczało to, że postać stała na podstawce i do normalnej wielkości tułowia miała przymocowaną na sprężynie karykaturalnie dużą głowę, którą wprawiał w ruch byle podmuch. Jego diabełek był ręcznie przerobioną podobizną byłego prezydenta USA, Baracka Obamy. Karcz otrzymał go w prezencie kilka miesięcy wcześniej razem z tandetnym i raczej mało praktycznym breloczkiem-latarką. Do dłoni z wysoko uniesionym kciukiem doklejono malutkie widły, a nad szerokim uśmiechem i ufnym spojrzeniem znalazła się para rogów. Wszystko doprawiono czerwienią pod kolor karoserii samochodu.

Jak Obama został Diabełem Obamą, nie było do końca jasne, ale dzieciak, który go przerobił, prawdopodobnie nie miał pod ręką żadnej innej figurki czy zabawki mogącej posłużyć za podstawę tak nietypowego prezentu.

– Trzeba iść do pracy – powiedział, a Diabeł Obama tylko pokiwał głową. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

Znowu wziął głęboki wdech i w końcu wysiadł z samochodu. Miał na sobie starą, gdzieśgdzie poprzecieraną skórzaną kurtkę z ogromną liczbą kieszonek i zamków. Wyglądał w niej jak motocyklista albo udawana gwiazda rocka. Albo jedno i drugie.

Ta kurtka była dla niego równie ważna jak mustang i w niewytłumaczalny sposób stała się dla niego czymś w rodzaju zbroi – oczywiście nie takiej, która mogłaby ochronić go przed ciosem, dźgnięciem czy postrzeleniem, czuł się w niej jednak bezpiecznie. Miał wrażenie, że przynosi mu szczęście, jak talizman uszyty z sentymentu.

Zamknął drzwi i schował kluczyki do kieszeni spodni. Delikatnie dotknął rysy na lakierze, którą zrobił kilka dni wcześniej, i cmoknął z niezadowoleniem.

– Dlaczego pan już nie jeździ samochodem? – usłyszał.

Aż podskoczył ze strachu, choć nie należał do specjalnie bojaźliwych. Głos wyrwał go z głębokiego zamyślenia. Karcz miał wrażenie, że wisiał na granicy snu, a ktoś chlusnął w niego szklanką zimnej wody.

W drzwiach garażu dostrzegł małą postać ubraną w czarną bluzę z kapturem. Stała całkowicie nieruchomo, zupełnie jakby dopiero odpowiedź na zadane pytanie mogła ją wprowadzić w ruch.

– Jezu, Rajmund – jęknął Karcz i dotknął czołem chłodnego dachu auta. – Kiedyś dostanę przez ciebie zawału.

Niski chłopiec z grzywą rudych włosów opadającą na pucołowatą twarz podszedł do Karcz. Oto on, twórca Diabła Obamy we własnej osobie. Zdaniem Karcz najdziwniejszy dzieciak w szkole.

– Dlaczego samochód stoi w garażu, a pan już nie jeździ? – zapytał znowu, absolutnie nic nie robiąc sobie z reakcji Roberta.

Karcz się uśmiechnął, podszedł do Rajmunda, klepnął go w ramię i wyciągnął z bagażnika jakiś przedmiot zawinięty w kawał brudnego płótna. Wsadził go delikatnie do torby z klamrami, którą przerzucił sobie przez ramię.

– Mam nadzieję, że już nie popalasz. Twoja matka nie byłaby zachwycona...

– Dlaczego pan już nie jeździ? – przerwał mu rudzielec.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Jak przyjechałem do Legnicy pół roku temu? – zagadnął go Karcz. Rozmowa z chłopcem nigdy nie była łatwa. – Powiedziałeś mi wtedy, że nauczyciele nie jeżdżą takimi samochodami.

Rudy Rajmund tylko kiwnął głową. Jego twarz była jak zawsze nieruchoma i czujna, jak gdyby wszędzie wietrzył podstęp.

– No więc nie jeżdżę – skwitował Karcz, zamykając bagażnik i gestem zachęcając chłopca do wyjścia z garażu. – Diabeł Obama go pilnuje...

– Kto?

Robert się zmieszał.

– Diabełek, ten, którego dla mnie zrobiłeś.

Rajmund westchnął, wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi, i wyszedł na zewnątrz, witając poranek na swój własny sposób, czyli bez entuzjazmu.

– Ale pan nie jest normalnym nauczycielem – burknął w końcu.

Karcz zamknął drzwi od garażu, zatrzasnął kłódkę i ponownie spojrzał na zegarek.

– Mamy trzydzieści minut, żeby zdążyć na pierwszą lekcję – poinformował chłopca, po czym się zawahał. – Rajmund...

– Tak?



– Włosy ci szybko rosną. Dobrze wyglądasz.

– Niestety – odparł chłopiec, jakby to była najgorsza rzecz na świecie.

Karcz parsknął urwanym śmiechem i rozejrzał się po pustej ulicy.

– Mam do ciebie pytanie i liczę, że odpowiesz na nie szczerze – zaczął po chwili. – Co ty w ogóle tu robisz o wpół do ósmej rano i skąd wiedziałeś, gdzie mam garaż?

– To znaczy? – zdziwił się Rajmund.

– To znaczy to... o co zapytałem. To były proste pytania, Rajmund.

– Pani woźna Krysia ze szkoły mi powiedziała, bo zapytała Zuzy – wyjaśnił rudzielec.

Karcz się zamyślił i poprawił wiszącą na ramieniu torbę. Próbował zrozumieć, co chłopak miał na myśli.

– Dzisiaj jest pierwszy dzień szkoły po przerwie świątecznej, prawda? Mamy styczeń, tak?

Chłopiec przytaknął.

– Kiedy pani Krysia ci to napisała? – Fakt, że szkolna woźna wymieniała SMS-y z uczniami, nie był w tym przypadku niczym dziwnym. Karcz znał woźną Krysię i był świadom, że stać ją na bardziej zaskakujące zachowania.

– W święta – odparł Rajmund. – Razem z życzeniami. Napisałem do pani Krysi, bo nie miałem numeru do Zuzy, a wiem, że to od jej taty wynajmuje pan garaż, więc zapytałem panią Krysię, żeby zapytała Zużę.

– Logiczne, dziękuję – rzekł Karcz. – Poza tym nie powinieneś się krępować. Jestem przekonany, że jak zapytasz Zużę, na pewno da ci swój numer telefonu.

Rajmund machnął ręką. Kwadratowy tornister na plecach chłopca był niemal większy od niego i z profilu Rajmund wyglądał jak rudy żółw, co razem z jego specyficznym, przesadnie analitycznym charakterem bynajmniej nie przysparzało mu kolegów wśród rówieśników. Karcz jednak lubił go właśnie za to, że był sobą.

– Ja już mam numer do Zuzy – wyjaśnił Rajmund.

Superwoźna Krysia, jak nazywali woźną uczniowie legnickiego Gimnazjum numer 30, była dla nich prawdziwą bohaterką – żywym zaprzeczeniem starzenia się. Liczba wiosen w jej przypadku nie szła w parze z rzeczywistym wiekiem. Głośna, wesoła, korzystająca ze smartfona i internetu. Przebojowa starsza pani kochała też plotki, przez co stanowiła doskonałe źródło informacji, dostępne dla wszystkich przez siedem dni w tygodniu i w zasadzie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Będziemy tak stać przed garażem? – zapytał Rajmund, po raz drugi tego ranka wyrrywając go z zamyślenia. W jego głosie dało się wyczuć irytację.

Karcz uniósł wysoko kciuk w geście mówiącym „masz rację” albo „słuszna uwaga, stary”, ale chłopiec spojrzał tylko na jego dłoń, odwrócił się i zaczął iść. Robert bez słowa ruszył za nim. Z każdym krokiem klamry jego skórzanej kurtki wydawały ciche stukanie.

– Gdybym miał tatę, to mógłby pan wynajmować garaż od nas, ale nie mam – powiedział Rajmund po kilku minutach marszu.

Karcz nabrał powietrza. Chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Zamiast tego z jego ust wypłynęły zupełnie inne słowa, takie, których sam się nie spodziewał.

– Naprawdę dobrze cię widzieć. Tęskniłem za tobą, dzieciaku – przyznał.

Choć na pierwszy rzut oka wyznanie to nie miało w sobie nic dziwnego, ot, wpisywało się w przyjazne zachowanie, to w skali Karcza można było porównać je do wybuchu wulkanu w Pompejach. Należało do rzadkości.

– Nie widzieliśmy się dwa tygodnie i... – Szukał odpowiednich słów.

Rajmund odwrócił się do niego i uśmiechnął się rozbrajająco. Przez moment wyglądał jak normalny trzynastolatek.

– ...brakowało mi i ciebie i tych twoich spostrzeżeń – dokończył Karcz. – Poważnie.

– Ja za panem też – odpowiedział chłopiec, a kiedy wydawało się, że już nic więcej nie powie, wypalił: – Ale lepiej byłoby pojechać do szkoły samochodem. Dlaczego zostawia pan samochód w garażu, a my musimy iść? To bez sensu.

Karcz przyjrzał mu się, próbując znaleźć odpowiednie wytłumaczenie.

– Po to mamy nogi.

– No ale wcześniej jeździł pan autem.

– Ale teraz, mój drogi, serdeczny przyjacielu, nie chcę zwracać na siebie uwagi – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. A przynajmniej miał taką nadzieję.

Przez chwilę szli w ciszy.

– Poza tym benzyna jest coraz droższa – dodał, licząc na to, że logiczny argument trafi w gust chłopaka.

Rudzielec milczał.

– Podczas minionego semestru w szkole dużo się wydarzyło. Uważam, że zwracanie na siebie uwagi... przynajmniej teraz... byłoby z mojej strony nierozważne – dokończył Robert. – To i ta cena benzyny... Wiesz, że jest droga, nie?

– Nie rozumiem – odparł chłopiec. – Przecież i tak wszyscy wiedzą, gdzie ma pan garaż. Co za różnica, czy będzie pan nim jeździł, czy...

– Jacy wszyscy? – zdziwił się Karcz i momentalnie zwolnił kroku.

– Pani Krysią ze szkoły – usłyszał w odpowiedzi

– Pani Krysia to rzeczywiście wszyscy. – Westchnął i gdzieś w głębi duszy poczuł niepokój.

– Co się panu stało w oko? – zaciekawił się nagle Rajmund.

Ręka Karcza odruchowo zawędrowała do plastra chirurgicznego na łuku brwiowym, który rzekomo miał być prawie niewidoczny.

– A to... uderzyłem się – wyjaśnił obojętnie.

– Gdzie?

– Gdzie się uderzyłem?

– Tak.

– O, tu, dlatego mam plaster – zażartował i wskazał zaklejoną brew, ale grobowa mina chłopca sprawiła, że wyraz zadowolenia spełził mu z twarzy. Żartowanie przy Rajmundzie nie miało absolutnie żadnego sensu. Równie dobrze mógłby stać w pustym, nieumeblowanym pokoju i próbować znaleźć kanapę.

– Czy spędzał pan całe święta i sylwestra w Legnicy?

Karcz kaszlnął.

– Rajmund, odpuść. Czuję się jak na jakimś przesłuchaniu...

– Pana samochodu nie było w garażu.

– Byłem u siostry – skłamał Robert, gładko ucinając temat.

Chłopak tylko spojrzał na niego podejrzliwie.

– Nie sądzę – powiedział, na co Karcz pogroził mu palcem.

– Jeszcze jedno słowo i zrobię wam kartkówkę z historii. Nie podskakuj mi, bo jeszcze nie macie wystawionych ocen za pierwszy semestr. Do ferii zostały niecałe trzy tygodnie, więc ostrzegam...

– Co ma pan w torbie? – drażył chłopiec, zupełnie niezrażony. – Coś wyciągnął pan z bagażnika...

– Rajmund!

– Tak?

– Pomilczmy przez chwilę. Za dużo mówisz.

– Pani Cicha i moja mama mówią, że za mało mówię i że się nie odzywam – odrzekł. – Każdy uważa co innego.

Karcz uśmiechnął się kwaśno.

– Cieszę się w takim razie, że wyzwałam w tobie najlepsze cechy.

Rajmund nagle zwolnił kroku, aż wreszcie się zatrzymał.

– Co się stało? – zdziwił się Karcz i również stanął w miejscu.

Mierzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy przed pojedynkiem w samo południe. Mały rudy dzieciak, którego poznał kilka miesięcy temu, i on, nauczyciel z przypadku, a tak naprawdę oszust, który dopiero rok temu dzięki znajomościom siostry został wyciągnięty z egipskiego więzienia, w którym, gdyby nie zrzządzenie losu, na pewno w końcu zostałby zabity.

– Moja mama chce z panem porozmawiać – wydusił z siebie Rajmund. Najwyraźniej sprawiło mu to dużą trudność. – Chodzi o to, że pomagam panu rozwiązywać zagadki i że pomagam panu w śledztwach... i ona chyba nie chce, żebym się z panem widywał.

Karcz się zmieszał.

Nagle wspomnienie więzienia i widmo potencjalnej egzekucji nie wydały mu się takie złe.

Oczywiście słowa „pomagam”, „zagadki” i „śledztwa” były nadużyciem, bo wbrew temu, co myślała matka, do tej pory żadnego śledztwa nie było. Nigdy nie podejrzewał, że spędzanie czasu z chłopcem, który najwyraźniej z nikim innym nie chciał tego czasu spędzać, zaowocuje czymś słodko-gorzkiem. Jak widać, nawet najszczerze intencje mogą powodować nieporozumienia i w rezultacie prowadzić do...

Oczami wyobraźni zobaczył matkę Rajmunda, która obrzuca go inwektywami i każe mu natychmiast przestać mieszać w życiu jej syna.

...konfliktu.

Tymczasem Karcz po prostu był. Czasami odwoził chłopca po szkole do domu.

Na początku chodziło tylko o samochód. Pokochał macha 1 od pierwszego spojrzenia i zaczął prześladować Karcza. Wyraźnie nie mógł zrozumieć, że nauczyciel historii (na chwilowym zastępstwie) może jeździć amerykańską bestią, która wygląda jak pojazd z innego wymiaru.

Cholera jasna, jak ten dzieciak nawijał o samochodach! Jakby nic innego go nie interesowało. Tylko że szybko się okazało, że poza uwielbieniem dla macha 1 jest coś jeszcze. Jakaś tęsknota i potrzeba bycia zauważonym.

Karcz zacisnął mocniej palce na pasku od torby. Nie chciał rozmawiać z jego matką, bo wiedział, że przyciśnięty do ściany powie kobiecie prawdę. Że to nie on zabiega o czas jej syna. Że nie prosił o breloczki i diabełka do samochodu. Ani o małego rudego przyjaciela. W ogóle nie prosił o przyjaciela. Tak naprawdę, w głębi duszy, nie chciał mieć z tym dzieciakiem nic wspólnego, bo zaraz miał zniknąć – wyjechać z Legnicy i prawdopodobnie nigdy nie wrócić.

– Z chęcią porozmawiam z twoją mamą – mruknął w końcu, ale bez odrobiny przekonania.

– Powiedziała mi, że to przez pana dziadek musiał wyjechać z kraju – wyznał Rajmund.

– Twój dziadek wyjechał? – zdziwił się Karcz.

– Słyszałem, jak o panu rozmawiali. – Chłopiec się zawahał. – Dlatego dzisiaj do pana przyszedłem. Moja mama zabroni mi pana widywać. Powie, że nie może mnie pan już odwozić po szkole.

Karcz ostentacyjnie wzruszył ramionami, próbując rozładować atmosferę.

– Porozmawiam z twoją mamą i wszystko będzie dobrze – rzekł, choć sam w to nie wierzył. Czuł jednak presję, żeby powiedzieć cokolwiek, co podniesie dzieciaka na duchu, a jemu samemu pozwoli odzyskać choć odrobinę przestrzeni. – Jestem twoim nauczycielem, ale jestem też twoim kumplem, zaufaj mi.

Czy to kłamstwo, skoro mam szczerą intencję? – zastanowił się.

– Mama trochę płakała – wypalił nagle Rajmund, ale bez cienia emocji.

– Boże – szepnął Karcz pod nosem. – Dlaczego ja?

– Słucham?

– Powiedziałem, że wszystko będzie dobrze – powtórzył Karcz.

– Dziadek przez telefon powiedział, że jest pan hieną i że zetrze pana na proch.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział po raz kolejny Robert.

– Naprawdę?

– Tak, choć wiesz, jak jest, nic nie mogę obiecać – dodał, zmieniając lekko ton na bardziej żartobliwy, jakby intuicyjnie próbował obrócić „hienę” i „ścieranie na proch” w żart.

– Podobno jest pan padliną – kontynuował Rajmund poważnie. – Powiedział też, że pan zdechnie.

– Rajmund! Już wolałem, jak pytałeś, co mam w torbie. Hej... zaraz... Twój dziadek naprawdę tak powiedział czy żartujesz?

Ich spojrzenia się przecięły i Karcz nie potrzebował dodatkowego potwierdzenia

– Nie znam go – wyjaśnił Karcz ostrożnie, rozmyślając przez chwilę, jak uroczym człowiekiem był dziadek Rajmunda, i westchnął. – Nie wiem, dlaczego tak o mnie mówi, ale uważam, że nie powinieneś tego... no wiesz... nikomu mówić. W szczególności w szkole...

– Do mamy często przyjeżdża policja i pytają o dziadka – przerwał mu Rajmund. – Wiem, że nie zrobił pan nic złego... Dziadek lubił swój dom i swoje obrazy bardziej niż nas. Mama też to wie. Dlatego nie rozumiem, dlaczego za panem nie przepada...

Karcz tylko się uśmiechnął, ale to nie był wesoły uśmiech. Mimowolnie sięgnął do kieszeni jeansów i wymacał w niej kluczyki.

Dziadek Rajmunda nazywał się Majcher i był prywatnym kolekcjonerem dzieł sztuki, a Karcz, mówiąc oględnie, nie przepadał za prywatnymi kolekcjonerami. Spotkali się raz w życiu i rzeczywiście nie było nadużycia w stwierdzeniu, że Karcz go nie znał. Ot, cała historia ich przelotnej relacji, oczywiście z pominięciem dość niewygodnych szczegółów. Najważniejsze jednak było to, że Rudy Rajmund okazał się jego wnukiem.



– Przykro mi, że tak się to wszystko ułożyło – powiedział Karcz. – Ale jestem z ciebie bardzo dumny.

Rajmund posłał mu jedno ze swoich spojrzeń i ruszył przed siebie.

– Nie jest pan tak groźny jak profesor Cicha – rzucił zniechęcony.

– Nikt nie jest tak groźny jak pani Cicha – mruknął Karcz, przywołując na myśl obraz nauczycielki języka polskiego z Gimnazjum numer 30, tej samej, która od września ubiegłego roku starała się za wszelką cenę uprzykrzyć mu życie, traktując jak przybłędę i oszusta. Ironia losu była taka, że prawdopodobnie jako jedyna domyślała się prawdy. – Czytałeś *Lot nad kukułczym gniazdem*? Tam była taka... A zresztą...

Przez dłuższą chwilę szli w ciszy.

– To idiotyczne, że musimy iść na nogach, a mach 1 stoi w garażu – stwierdził Rajmund, a ponieważ nie doczekał się reakcji, dodał ostrzej: – Samochody są po to, żeby nimi jeździć!

– Lubię chodzić – rzucił Karcz, choć dla niego samego jego własne słowa brzmiały niewiarygodnie.

– Dlaczego, skoro ma pan taki samochód?

– Bo czasami... – Robert się zamyślił – musimy robić rzeczy, których nie lubimy, żeby bardziej docenić to, co mamy.

– Ale powiedział pan, że pan lubi chodzić. Teraz pan mówi, że jednak nie lubi.

– Lubię... To ty nie lubisz. Mówiłem do ciebie i o tobie, a nie o sobie.

– Moje życie jest beznadziejne – wypalił niespodziewanie chłopiec, a jego głos lekko się załamał.

W końcu ściągnął maskę, którą z takim trudem nosił praktycznie każdego dnia.

Karcz chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił. Mimo że w tym przypadku prawdopodobnie wystarczyłoby jedno słowo, nic więcej.

Zatrzymał się z rezygnacją i spojrzał w stalowoszare niebo.

Po cholere to robię? – zapytał się w myślach. Po co w ogóle gadam z tym dzieciakiem? On się do mnie przywiązuje, a ja lada moment zniknę z jego życia i nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie powinienem był dopuścić do powstania tej relacji. Nie powinienem go zachęcać. Tylko że...

– Rajmund, poczekaj chwilę.

\*\*\*

Ryk silnika niósł się echem pomiędzy budynkami.

Z początku nikt nie zwrócił uwagi na nadjeżdżający samochód, ale kiedy czerwono-czarny ford mustang wjechał na parking za szkołą, w oknie pokoju nauczycielskiego pojawiło się kilka twarzy. Karcz znał je, ale w większości

przypadków miałyby problem z przypomnieniem sobie przypisanych do nich imion i nazwisk.

Opony zachrzęściły na żwirze. Karcz zgasił silnik i popatrzył na Rudego Rajmunda, który siedział obok, trzymając tornister między nogami.

– Jesteś zadowolony? – zapytał chłopca, ale ten nawet na niego nie spojrzał. – Rajmund?

– Mówiłem, że to lepsze niż chodzenie – odparł wyraźnie ożywiony rudzielec, zupełnie jakby jego wewnętrzny komputer nagle się uruchomił. Cieszył się. W jego małym, ciasnym świecie tak właśnie wyglądało szczęście. Było jak korytarz, w którym czasami zapalało się światło. – Uwielbiam tę generację aut. Mówiłem już panu, że to właśnie z powodu macha 1 konkurencje firmy stworzyły takie kultowe auta, jak Pontiac Firebird, Dodge Challenger czy Plymouth Barracuda?

– Tak – odpowiedział Karcz lekko zaskoczony normalnością chłopca. – Wspominałeś.

Niespodziewanie Rajmund odpiął pas bezpieczeństwa, wziął tornister, bez słowa pożegnania wyszedł z samochodu i mocno trzasnął za sobą drzwiami.

Karcz patrzył w ślad za oddalającą się sylwetką chłopca. Nagle ogarnęło go dziwne poczucie żalu. Miał wrażenie, że coś uczepliło się jego pleców i dyszało w kark, czekając na okazję, żeby wbić mu zęby w szyję i go sparaliżować.

Żegnaj, Rajmund.

Siedział jeszcze przez chwilę w samochodzie, bijąc się z myślami, a potem zerknął we wsteczne lusterko i delikatnie dotknął plastra chirurgicznego nad okiem.

Bywało gorzej, pomyślał. O wiele gorzej.

Sięgnął na tylne siedzenie po torbę. I wtedy zauważył małą reklamówkę z papierową torbą w środku, z której wypadła gumowa piłka.

Zaklął cicho.

I wtedy przypomniała mu się jedna z wielu złościwości siostry: „Jak zamierzasz kimkolwiek się opiekować, skoro nie potrafisz zaopiekować się sam sobą?”.

Może miała rację? Może wszystkie decyzje, które podejmował, nie były wynikiem planowania, a zwyczajnej zwierzęcej emocji? Impulsu? Instynktu?

Wysiadł, delikatnie zamknął samochód i zarzucił torbę na ramię. W samochodzie zostawił tę część siebie, której nie potrzebował przez najbliższych kilka godzin. Tę, która zazwyczaj mu przeszkadzała.

Spojrzał na budynek Gimnazjum numer 30, który wyglądał, jakby ktoś wyciosał go z kamienia, a później obsypał oknami, jak posypką na preclu.

– Nie do wiary – mruknął pod nosem,

Nie do wiary, że tu jestem i to robię, dokończył w myślach. Nauczyciel na zastępstwie. Śmiechu warte.

– Nie miej oczekiwań – mruknął pod nosem. – Uśmiechaj się. Wystarczy wejść do środka, przywitać się ze wszystkimi i zacząć wystawiać oceny. Niecałe trzy tygodnie do ferii. Bułka z masłem. Za kilka miesięcy już cię tu nie będzie.

Zanim się zorientował, nogi same zniosły go do głównego wejścia, gdzie mimo późnej godziny nadal stały tłumy dzieciaków.

– Za pięć minut rozpocznie się pierwsza lekcja – powiedział do nich na tyle głośno, żeby go usłyszeli, a potem zaczął zdawkowo, ale z sympatią odpowiadać na wszystkie życzenia noworoczne.

Dopiero kiedy wszedł do pokoju nauczycielskiego, zorientował się, że kurczowo ściska w dłoni kluczyki od samochodu. Spojrzał na swoją rękę z niedowierzaniem. Próbował ją otworzyć, ale nie potrafił.

Od razu pomyślał o ojcu.

„Posłuchaj mnie, Robert. Samochód będzie do ciebie mówił i będzie cię ostrzegał, a ty zawsze powinienes go słuchać”.

– Robert, wszystko w porządku? – rozległ się głos nauczyciela geografii, który przez ostatnie kilka miesięcy próbował umówić się z Karczem na boks, błędnie biorąc jego częste obrażenia twarzy za konsekwencję ciągłych treningów w jakiejś piwnicznej siłowni. – Hej, Robbie! Robbie? – Pstryknął kilka razy palcami, aż Karcz się wzdrygnął.

– Zgoliłeś wąsy – zauważył Robert, próbując zachować resztki kurtuazji.

Nauczyciel od geografii tylko zachichotał.

– No wiesz... sylwestrowe szaleństwo. Działo się, oj, działo. – Mrugnął porozumiewawczo. – Impreza w domu. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, co się odważyło...

– Co takiego? – zdziwił się Karcz, lekko rozbawiony. – Spojrzał na pozostałych nauczycieli, którzy krzatali się po pokoju nauczycielskim. Kubki z kawą i innymi ciepłymi napojami, dzienniki, rozbiegane spojrzenia i westchnięcia. Nie pamiętał ich imion, zupełnie jakby jego umysł całkowicie wypierał fakt, że jest jednym z nich, że należy do plemienia i czy tego chce, czy nie, będzie tu pracował jeszcze kilka miesięcy. – O czym ty gadasz?

– No... – Geograf się zmieszał i ściszył głos. Jego twarz wydała się jeszcze bardziej borsucza niż zwykle. – Stwierdziliśmy ze szwagrem, że przyszedł czas na zmiany, więc się ogoliliśmy. Pierwszy raz od dwudziestu lat. Jestem *sauté*. Nie mam wąsa! Nowy rok, nowy ja!

Karcz spojrział na okrągłą, pucułowatą twarz kolegi i klepnął go w ramię na znak, że jest nieźle, a następnie podszedł do swojej półki, gdzie znajdowały się

klucz od sali i karty ocen. Dziennik wyciągnął ze specjalnej przegrody w szafce obok.

– Hej, Robert! – Usłyszał głos drugiego kolegi bez imienia tuż za plecami. – Znowu boksowałeś coś ostatnio?

Karcz zorientował się, że chodzi o jego plaster, i zerknął przez ramię. Nauczyciel od WF-u wykonał dwa ciosy w powietrzu, zaśmiał się, a następnie dopił kawę i wyszedł z pokoju wraz z geografem.

I wtedy rozległ się dźwięk dzwonka.

Reszta nauczycieli wstała i ruszyła do drzwi. Niektórzy, przechodząc obok Roberta, klepali go po plecach, rzucali szybkie powitanie albo zdawkowo pytali, jak minęły mu święta. Na ten konkretny rodzaj pytań wystarczyło odpowiadać: dobrze. Nikt nie oczekiwał niczego więcej, więc poszło szybko.

Kiedy fala ciał wypłynęła z pokoju i zostali już tylko Karcz i nauczycielka biologii, zapadła martwa cisza. Nauczycielka była mniej więcej w jego wieku, czyli po trzydziestce. Spojrzał na nią i znowu spróbował rozprostować palce zaciśnięte na kluczykach od samochodu.

– Robert, martwię się o ciebie, naprawdę, aż głupio mi to przyznać... – powiedziała w końcu i podeszła do niego.

Uczniowie nazywali ją „Delfin”, a to dlatego, że na jednym oddechu wypowiadała bardzo dużo słów, przy czym te ostatnie brzmiały jak wyśpiewane falsetem. Klasa sportowa wymyśliła, że nauczycielka zaczyna wtedy przechodzić na ultradźwięki i potrafi komunikować się z delfinami. Teoria ta rozeszła się po innych klasach, a ostatecznie po całej szkole.

– Wiem, że to zabrzmie niepoważnie, ale mam wrażenie, że jesteś smutny i że brakuje ci bratniej duszy, kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać, szczególnie teraz...

Robert popatrzył na nią w absolutnym osłupieniu.

– Dlaczego teraz?

– Bo Kasia zwolniła się z pracy, a były plotki, że jesteście blisko...

Bardzo blisko, pomyślał. Tak blisko, że omal przez nią nie zginąłem pod gruzami budynku.

– Kasia bibliotekarka? Ta Kasia? – Chciał się upewnić.

– Tak. Nie wiem, czy wiesz, ale przeprowadziła się do rodziców i mamy teraz nowego bibliotekarza na jej miejsce. Bardzo młody i sympatyczny człowiek.

– O!

– Tak, tak, tylko podobno uczniowie nazywają go „Szczur”, ja tego nie rozumiem, uczniowie potrafią być okropni z wymyślaniem tych przezwisk...

– Potrafią, to prawda – przyznał.

– ...ale dobrze, że nam się udało i nie mamy żadnych przezwisk, prawda? – dokończyła falsetem.

– Tak to bardzo miłe – odparł, myśląc o wszystkich nauczycielskich ksywkach i o tym, w jak dużym błędzie była panna Delfin. Geografię prowadził Borsuk, historii uczył Wąs, zwany również przez bardziej życzliwych Super Mario, młoda nauczycielka angielskiego to Jagodziana, fizyk to Łoker, brat Łokera to Wieśniak, a oprócz nich byli jeszcze Smerf, Śmieć, Torba, Gucio, Króliczek, Dżepetto, Gejzer i Zajezdnia z katechezy i wielu innych, w tym jak się okazało całkiem nowy nabytek, czyli bibliotekarz Szczur. Teresa Cicha była nazywana Królową Zimy albo bardziej dosadnie... Śmiercią. Dosłownie każdy miał ksywkę. Nie wspominając, że jego samego nazywano Kapitanem Łomotem, a czasami nawet Kapitanem Wpie...

– Upiekło się nam. Najwyraźniej uczniowie nas lubią – zapiszczała, wyrывая go z zamyślenia. – Zresztą co takiego mogliby na nas wymyślić, prawda? Przecież to niedorzeczne.

– Lekcje się zaczęły – wszedł jej w słowo. – Musimy iść.

– W każdym razie gdybyś miał ochotę na jakąś kawę... – Urwała, lekko zmieszana, i musnęła rękaw jego kurtki.

– Będę pamiętał, ale sama rozumiesz...

– Uważaj na siebie. – Wskazała palcem jego brew. – Chciałabym kiedyś zobaczyć cię w akcji.

Cisza.

– Ubieraj się ciepłej, bo w prognozach pogody mówili, że będzie na minusie, więc skórzana kurtka nie wystarczy. Może jakaś czapka, szalik? – dodała zakłopotana i szybko ruszyła do wyjścia. – A tak w ogóle to ładna torba, pasuje do ciebie. Święty Mikołaj przyniósł? – rzuciła przez ramię, stojąc już jedną nogą na korytarzu.

Karcz się uśmiechnął.

– Ukradłem ją – rzucił beztrósco, a po krótkiej chwili dodał: – Już tak mam.

Delfin się zaczerwieniła i zaczęła się śmiać, jakby usłyszała najbardziej zabawną rzecz na świecie.

Kiedy wyszła, zamykając za sobą drzwi, Karcz odetchnął ciężko i dotknął czołem drzwiczek od swojej szafki.

Spojrzał na dłoń z kluczykami od samochodu. Klucze leżały na otwartej dłoni. Znowu wszystko było w porządku. Poruszył palcami, woląc się w tym upewnić, następnie wsunął kluczyki do kieszeni jeansów.

Wziął dziennik i wykorzystując ostatnie minuty samotności, sięgnął po telefon komórkowy. Błyskawicznie wystukał krótkiego SMS-a, a potem udał się na zajęcia.

\*\*\*

Uczniów wyraźnie intrygował plaster na twarzy nauczyciela, ale byli tak przejęci wystawianiem ocen, że żaden nie odważył się zapytać. Pierwsza lekcja Karcza odbyła się w klasie Rudego Rajmunda. Chłopiec jak zwykle siedział w pierwszej ławce w towarzystwie ubranej w równie żałobne kolory dziewczyny, która w odróżnieniu od niego miała doskonałe oceny.

I ewidentnie pomaga mu w nauce, dodał w myślach. Obydwoje są jednak wyrzutkami na tle kolorowej, głośnej i trochę bezczelnej grupy trzynastolatków.

Kiedy zadzwonił dzwonek, a dzieciaki przestały udawać, że nie bawią się telefonami, Karcz uderzył ręką w biurko na tyle głośno, żeby zwrócić ich uwagę.

– Poczekajcie chwilę! Ci wszyscy, którym nie wystawiłem dzisiaj oceny albo mają niejasną sytuację, powinni się przygotować do odpowiedzi – poinformował, spoglądając to w dziennik, to we wpatrzone w niego dwadzieścia siedem par oczu. – Tematy znacie, wiecie też, kto z was powinien bardziej się przyłożyć... Do ferii będziemy mieli jeszcze trzy zajęcia. Ostatnie traktuję jako termin ostatniej szansy, inaczej posypią się jedynki. A teraz możecie iść.

Gdy wychodzili, kilkoro uczniów zapytało go, jak spędził sylwestra, ale nie odpowiedział. Koleżanka Rajmunda spakowała szybko podręczniki i zniknęła jak cień, a rudzielec w swoim własnym tempie zsunął się z krzesła i ociężałym krokiem zaczął iść w stronę drzwi.

Po sześciu miesiącach znajomości Karcza przestało to dziwić. Nie zastanawiał się, dlaczego chłopiec czasami zabiegał o jego uwagę, a czasami traktował go jak powietrze. To był Rajmund. Nie naciskał na niego. Dodatkowo opinie w gronie pedagogicznym były dość zbliżone – chłopiec jest chorobliwie zamknięty w sobie, jest w spektrum, ale nadąża za programem nauczania, więc nie ma żadnego problemu.

Średnia ocen to mocne 3,0. Więcej niż mogłoby oczekiwać wielu dzieciaków z klas sportowych.

Mocne 3,0 wystarczyło, żeby Rajmund mógł trzymać wszystkich na dystans. Poza Karczem, ale tylko w wybranych momentach i wtedy, kiedy sam chciał towarzystwa.

Chłopiec wyszedł bez słowa, a Robert poczuł nagłą potrzebę napicia się kawy. Szybko przeanalizował odległość od klasy do szkolnego sklepiku oraz do pokoju nauczycielskiego. Wybrał sklepik, po pierwsze dlatego, że nie miał ochoty wdawać się w żadne towarzyskie rozmowy z ludźmi, których imion nie mógł zapamiętać, a po drugie dlatego, że nie miał własnej kawy, a prośenie o cokolwiek również nie było po jego myśli. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej kilka monet, które przeleżały tam całe święta, chwycił torbę,

z którą nie rozstawał się od rana nawet na minutę, i już miał wyjść na korytarz, kiedy usłyszał głos:

– Dzień dobry, kochaniutki!

Odwrócił się i zobaczył zmierzającą w jego kierunku Superwoźną Krysię, która ostrożnie niosła kubek gorących ziółek. Miała na sobie zwyczajowe, podniszczone ogrodniczki; obrazu dopełniały zatknięte za pasek dwa śrubokręty i młotek, którego prawdopodobnie jeszcze nigdy nie użyła. Był raczej częścią jej wypracowanego wizerunku, który wszyscy tak uwielbiali. Tradycja i nowoczesność. W jednej ręce młotek, w drugiej komórka. Z jednej strony sędziwy wiek, doświadczenie i mądrość, z drugiej – istne królestwo plotek i ploteczek i przybijanie wysokich piątek, a ona była w nim królową. W skrócie – Superwoźna. Kobieta, która miała umrzeć młodo bez względu na wiek.

– Tak mi pan śmignął, panie Robercie, że nawet nie zdążyłam zapytać, jak panu święta minęły. Ale uczniowie mi napisali, że pan znowu poturbowany, więc od razu postanowiłam zrobić panu ziółka. – Zadowolona z siebie postawiła na biurku kubek z rysunkiem śmiesznego psa, a następnie spojrzała na Roberta i uśmiechnęła się rozbrajająco.

– To tylko jeden plaster – wyjaśnił Robert i mimowolnie dotknął palcami skroni. Nadal nie mógł przyzwyczaić się do tego, że woźna pisywała z uczniami SMS-y, ale z drugiej strony on w pewnym sensie kumpłował się z rudym trzynastolatkiem. – Uderzyłem się... w skrzynkę na listy.

Krysią podeszła do niego i uściskała go mocno. Było w tym coś szczerego i bezpretensjonalnego.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – zawołała.

Karcz, który nie potrafił zrozumieć, skąd u żeńskiej części pracowników szkoły tak nagle zainteresowanie jego osobą, aż stęknął, czując żelazny uścisk starszej pani.

– Panie Robercie, jak ja się cieszę, że pana widzę – kontynuowała Superwoźna Krysią, wypuszczając go z objęć. – W kubku ma pan specjalną mieszankę ziółek, które podniosą panu odporność i witalność...

– Czy jest coś, na co pani ziółka nie są dobre? – zażartował Karcz.

– Ziółka są dobre na wszystko, tylko muszę wiedzieć, czego komu potrzeba. Następnym razem zrobię panu yerbę. Mój syn mi przysłał, bo mieszka w Paragwaju.

– Yerbę?

– Yerba mate – wytłumaczyła. – Ten bosy to pije. Ja lubię tego wariata. On jak coś powie, to już powie i nie ma przebaczyć. Ogląda pan jego odcinki?

– Nie znam i nie oglądam – przyznał zgodnie z prawdą i zerknął na kubek, a potem na monety. Po chwili zastanowienia zsunął je z blatu jednym ruchem

i wrzucił z powrotem do szuflady.

– Przyniosę kiedyś panu płytę...

Karcz chciał powiedzieć, że i tak nie miałby jej na czym odtworzyć, ale ostatecznie się nie odezwał.

– Aaa, jeszcze coś, panie Robercie. Słyszał pan ostatnie wieści? O włamywaczu w Akademii Rycerskiej?

Zastrzygł uszami.

– O włamywaczu? – zdziwił się.

– Stróż nocny go widział. Proszę sobie wyobrazić, co za ludzie! Ktoś tam buszował i grzebał po piwnicach, jakby czegoś szukał. A przecież tam i Centrum Kultury, i Zespół Szkół Muzycznych, i Urząd Stanu Cywilnego... No wie pan co!

– Kto się włamał? Kiedy?

– A jakoś zaraz przed świętami. Zanim pan wyjechał. Stróż nie widział, kto, bo ubrany był w kominiarkę i kaptur, jakoś tak cały na czarno... Nawet rękawiczki czarne miał. A co zabawne, nic nie ukradł, tylko zrobił zdjęcia ścian, bo go stróż nocny przyuważył. I nawet kredą coś na ścianie narysował w tej nieużywanej części. Ja nie wiem, jakby czegoś szukał. A nic nie ukradziono, chociaż cholera to wie...

Karcz zamurowało, ale próbował zachować pokerową twarz. Akademia Rycerska znajdowała się w ścisłym centrum Legnicy. Powstała w 1708 roku i była elitarną uczelnią kształcąca szlachecką młodzież. Monumentalny gmach wielokrotnie przebudowywano. W latach 1945–1978 był zajęty i użytkowany przez Północną Grupę Wojsk Armii Radzieckiej.

– Krążą plotki, że od trzech miesięcy coraz więcej takich włamań. Niby nikt nic nie kradnie, ale ktoś czegoś szuka. Mówię panu, jest taka młodzież w mieście, która nazywa samą siebie Szabrownikami. Oni łążą po tych starych budynkach i wrzucają do internetu zdjęcia i filmy. Ale oni tylko po opuszczonych budowlach, gdzie tam do Akademii Rycerskiej...

– Faktycznie, to bardzo ciekawe.

– Jak tak dalej będzie, to Legnicę zaczną nazywać Miastem Złodziei. Wspomni pan moje słowa.

– Powiedziała pani, że nikt nic nie ukradł.

– Może i nie ukradł, ale ktoś czegoś szuka. A skoro robi to nielegalnie i z ukrycia, to pan się zastanowi... Jak już to znajdzie, to będzie też musiał to nielegalnie zabrać, nie?

Karcz pociągnął nosem, wziął kubek z rysunkiem śmiesznego psa i upił łyk.

– Pan się trochę blady zrobił – zauważyła woźna.

– Ja?



– No albo takie światło od tych jarzeniówek... Jak się czuje pana siostra kochana? Proszę ją ode mnie pozdrowić! Jak pan ją tu zaprosił i ona prowadziła to spotkanie z uczniami, to była taka miła. Prawdziwa gwiazda z telewizji, ale taka normalna. Dobre geny macie, panie Robercie. Siostra wspaniała kobieta i pan wspaniały. – Westchnęła ciężko i spojrzała w nieokreślonym kierunku, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. Jakby nagle złapała jakiś melancholijny nastrój, który sprawił, że uszło z niej powietrze. – Wie pan co, panie Robercie?

Karcz kaszlnął i wolną ręką otarł mokre od naparu usta.

– Tak? – zapytał z trudem, krzywiąc się z powodu wyjątkowo przykrego smaku ziółek.

– Ale to, że jej postać zabili w serialu... to ja do tej pory nie mogę się pogodzić. Moja ulubiona postać, a tak skończyła

\*\*\*

Ziółka pani Krysi dziwnie go pobudziły, ale nie zaspokoily głodu na kofeinę. Po wszystkich swoich lekcjach odwiedził więc sklepik szkolny, w którym kupił bułkę z serem, szynką i majonezem oraz kawę w plastikowym kubku, a potem postanowił wymknąć się tylnym wyjściem, tym obok sali gimnastycznej, które woźna otwierała po godzinie czternastej. Zmierzając w jego kierunku, starał się nie patrzeć nikomu w oczy. Kiedy w końcu dopadł drzwi niczym zaszczuty pies, ktoś klepnął go w ramię. Zamiast jednak od razu się odwrócić, Karcz spiął się i westchnął, oczekując najgorszego. Nie chciał więcej spotkań. Miał dość udawania. Miał dość słuchania Borsuków, Delfinów i innych postaci rodem z filmu animowanego dla dorosłych.

– Kompletnie się pan nie nadaje do tej roboty – usłyszał za plecami. – Wygląda pan jak wystraszone dziecko, a nie nauczyciel.

Karcz odwrócił się niechętnie, rozpoznając niski głos.

– Pan Kubek – syknął.

– Pan Karcz – powiedział mężczyzna w drogim, szytym na miarę garniturze. Tomasz Kubek był po czterdziestce, jego kruczoczarne włosy zaczynały siwieć na skroniach. Wyglądał trochę jak polityk, ale wcale nim nie był. Z szerokim uśmiechem wyciągnął do Karcza gładką i silną dłoń. – Bardzo miło pana widzieć. Jak pański urlop świąteczny?

Karcz skrzywił się na to określenie i odwzajemnił uścisk ręki.

– Oficjalnie czy nieoficjalnie? – zapytał.

Kubek rozejrzał się po pustym korytarzu.

– Trudno było mi sobie pana wyobrazić w szkole pośród trzynastolatków. Jako nauczyciela, znaczy. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to nic osobistego. To chyba pana największy numer do tej pory, prawda?

– Numer?

– To całe uczenie historii... No wie pan... – Zamyślił się. – Wygląda pan jak jakiś starszy brat albo młody ojciec, który przyjechał tu podrobić podpis w dzienniku albo pogrozić pięścią wuefiście, a nie jak ktoś, kto może kogokolwiek czegokolwiek nauczyć.

– Pan wie, że robię to dla siostry...

– Ależ wiem... Wspaniała kobieta. Aż dziw bierze, że wierzy, że się pan zresocjalizował.

Karcz uniósł w górę wskazujący palec.

– Jeszcze jeden semestr – szepnął. – I zjeżdżam stąd.

– No, no! – W ustach Kubka zabrzmiało to jak kpina.

Sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął z niej białą kopertę.

– Co to niby jest? – zdziwił się Karcz i poprawił wiszącą na ramieniu torbę.

– Mam powiedzieć wprost?

– Musi mi pan wybaczyć, ale nie rozumiem urzędniczego, a moje poczucie humoru najwyraźniej zostało w górach.

– Pańskie wynagrodzenie – wycedził Kubek.

Karcz pokręcił głową z dezaprobatą, rzucił okiem na pusty korytarz, a następnie pchnął plecami drzwi przeciwpożarowe i wyszedł na parking. Kubek ruszył za nim.

– Hej, tu nie można wychodzić! – powiedział zbliżający się do emerytury pan Edward, który był szkolną złotą rączką.

Dopała właśnie cuchnącego, skręcanego papierosa. Jego twarz była poorana głębokimi zmarszczkami, ale postawa silna i energiczna. Gdy dostrzegł Karcza, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A to pan, panie profesorze... Widziałem, że dzisiaj przyjechał pan wozem. No cacko!

– Dzień dobry, panie Edwardzie. Przepraszam, ale się śpieszę.

– Ej, ale tędy nie można... A on z panem? – Spojrzał podejrzliwie na Kubka.

– Tak, mój komornik. Prześladuje mnie – rzucił Karcz i minął Edwarda, klepiąc go serdecznie w ramię, a następnie szybkim krokiem ruszył w kierunku służbowego parkingu i macha 1.

– Panie... do mnie to komornicy wpadali na herbatę – mruknął Edward i na samą myśl splunął obficie przez zęby. – A ja pytałem tylko z cytrynką czy bez. U mnie zawsze było bez.

– Może pan zwolnić, panie Karcz – poprosił Kubek, z trudem omijając pana Edwarda i przyśpieszając kroku. – Hej! Karcz!

Robert podszedł do macha 1 od strony kierowcy i otworzył drzwi.

– Co ty wyczyniasz, do diabła? – syknął Tomasz lekko zdyszany.

Karcz zmrużył oczy i uśmiechnął się ironicznie.

– Panie Kubek, zdaje pan sobie sprawę, że o mały włos dwumetrowy facet z brodą nie zastrzelił mnie w górach? – Z każdym słowem z jego ust dobywała się para. – Jakiś niby-leśniczy?

Tomasz podrapał się kciukiem po policzku i szybkim ruchem rozpiął guzik marynarki.

– Ten, którego wbił pan w dom samochodem? Wiem. Powiedział mi pan przez telefon – przypomniał. – Wspominałem, że ten wóz za bardzo rzuca się w oczy? – Zmienił temat. – Szczególnie jak się wie dzie pański styl bycia?

– Właśnie przez to, że rzuca się w oczy, nikt nie myśli, że wiem, jak pan to ujął, „mój styl bycia” – odparł kąśliwie. – Ale za to pan... Wow... Po prostu wow... Ile kosztował ten garnitur? Piętnaście tysięcy?

Kubek się zaśmiał, ale bez wesołości.

– Że niby mój ubiór zwraca uwagę ludzi, a pański nie? – zakpił.

– Nie chcę nic sugerować, ale życzę powodzenia w wyborach na wójta gminy...

– Czy ma pan to w torbie? Zdobył pan to? – przerwał mu. „To” zabrzmiało w jego ustach nieprzyjemnie.

– Co?

– Pan wie, o co pytam. To, za co przed chwilą chciałem panu zapłacić.

– Tak, na korytarzu w szkole. Brawo – rzucił ironicznie. – Poza tym chciałbym zauważyć, że kwota, na którą się umawialiśmy, nie zmieściłaby się w kopercie.

Kubek spojrzał na kopertę, którą cały czas trzymał w dłoni.

– Koszta operacyjne – odparł. – Jak potwierdzę autentyczność, dam panu resztę.

Karcz wystukał rytm na pokrytym pojedynczymi płatkami śniegu dachu macha 1.

– To może na początek jakieś „dziękuję”? – zaproponował.

– A czy ja usłyszałem „dziękuję” za to wszystko, co dla pana zrobiłem, panie Karcz?

Robert powędrował spojrzeniem po oknach szkoły. Ani żywej duszy. W oddali tylko dzieciaki kręcące się po zamarzniętym boisku.

– Ale tak poważnie... Dostał pan od nas cynk. Plan był pana. Udało się. Nie ma tematu – powiedział Kubek.

Karcz zsunął torbę z ramienia i przerzucił ją nad samochodem. Kubek pobiegł w jej stronę i złapał ją w locie, wpadając w lekki poślizg.

– Jezu! – sapnął, przyciskając torbę do piersi. – To naprawdę to?

– Tak.

– Rzuciłeś tym? – warknął Kubek.

– Po prostu to zabierz, okłam mnie, że dacie to do muzeum, ja uwierzę, zapłacisz mi i dalej będziemy robić swoje.

– Jest pan czarującą osobą – stwierdził Tomasz, płynnie wracając do formy grzecznościowej.

– Z pewnością. A teraz niech pan z łaski swojej otworzy drzwi od strony pasażera i rzuci kopertę na fotel. Śmiało, zainstalowałem w wozie zamek centralny.

Kubek niechętnie wykonał polecenie.

– Dlaczego przylazł pan za mną do szkoły? – zapytał Karcz z nieukrywaną pretensją w głosie. – Nie mogliście odebrać tego gdzie indziej? Ja do pana dzwonię, a pan mi mówi: „będziemy w kontakcie”. Co to w ogóle znaczy: będziemy w kontakcie? Nie mogliście przyjść po to wcześniej? Albo później? Ja tu pracuję, jestem cholernym nauczycielem historii.

Kubek zmieszał się lekko, założył torbę na ramię i odruchowo potarł policzek.

– Skoro jest pan nauczycielem, to po co nosi pan ze sobą tę torbę do pracy?

– Bo ci nie ufam. Wam nie ufam. Bo gdybym zostawił ją w mieszkaniu, po moim powrocie mogłoby jej nie być.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem.

– Wiem, że traktuje mnie pan jak wroga, bo zabieram torbę, panie Karcz. – Tomasz postąpił kilka kroków i stanął za samochodem. – Ale pan właśnie po raz kolejny uratował kawałek historii. Gdyby trafił w ręce kogoś innego...

– Złodzieje, kolekcjonerzy, a nawet rząd RP. – Karcz znowu zastukał w dach samochodu, jakby szukał właściwego rytmu. – Zaczynam się zastanawiać, co to w ogóle za różnica. Wszystkie te przedmioty i tak znikają. Rozpływają się w powietrzu. Dym i lustro... Moja matka mówiła tak o moim ojcu. Dym i lustro.

Kubek się zamyślił.

– Gdyby nie było różnicy, nie rozmawialibyśmy ze sobą. Jesteśmy po tej dobrej stronie. Zrobił pan coś dobrego.

Karcz spojrział na niego z niedowierzaniem i lekką pogardą.

– Niech się pan odsunie – powiedział tylko. – Nie chcę pana przejechać.

– Karcz, posłuchaj mnie... Nic nie jesteś winien temu dzieciakowi.

– Coś ty powiedział? – Robert mimowolnie zacisnął pięści i ruszył w jego kierunku.

– Powiedziałem, że nie jesteś nic winien temu dzieciakowi. Temu rudemu. Nie musisz tu być, nie musisz mu niczego wynagradzać. Ciągłe mi powtarzasz przez telefon, że będziesz tu jeszcze jeden semestr i że robisz to dla siostry. Kogo ty próbujesz okłamać? Jego dziadek był kryminalistą. Przez ciebie trafił do więzienia, był nielegalnym kolekcjonerem... on...

Karcz podszedł do rozmówcy bardzo blisko, tak blisko, że ich nosy prawie się dotknęły.

– Jeszcze raz powiedz to głośno. – Jego oczy prawie zapłonęły.

Kubek jednak uśmiechnął się wyzywająco.

– To co mi zrobisz? Pobijesz mnie? Przyjechałeś do Legnicy, trafiłeś na trop gościa, a teraz ten gość siedzi w więzieniu. To nie twoja wina. Nie znasz tych ludzi. To, że ten rudy to twój uczeń, to przypadek.

Karcz cofnął się o krok, zapiał kurtkę po samą szyję i wsadził zmarznięte ręce do kieszeni, gdzie od razu wymacał kluczyki od samochodu. Po raz pierwszy od powrotu do miasta poczuł chłodny wiatr, zwiastujący – jak podejrzewał – opóźnioną zimę. Jakby na potwierdzenie jego przypuszczeń znowu zaczął padać śnieg.

Legnica, najcieplejsze miasto w Polsce, pomyślał z ironią.

– Nie wiedziałem, że to jego dziadek. To jeden wielki zbieg okoliczności – mruknął. – I to nie ma nic do rzeczy. Po prostu go lubię. Choć jego matka z pewnością myśli inaczej, szczególnie po tym, czego się nasłuchiwała o mnie od swojego ojca... a widziałem go raz w życiu.

Tomasz udawał, że analizuje jego słowa. Przez kilka chwil stali w milczeniu na prawie pustym szkolnym parkingu.

– Ten facet był kryminalistą, Karcz.

Robert prychnął.

– Kubek... a powiedz mi tak szczerze, ze szczerego serca, o ile je w ogóle masz... A kim niby wy jesteście?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Tak właśnie myślałem.

Wsiadł do mustanga i zapuścił silnik. Zawahał się, czy nie poczekać na Rudego Rajmunda, ale raz, że dzieciak zachowywał się dzisiaj zmiennie, a dwa – Karcz chciał być sam.

Mam wystarczająco dużo własnych problemów, pomyślał, a Diabeł Obama stojący na tapicerce pokiwał głową ze zrozumieniem. Tak. Oczywiście, że masz.

Spojrzał w tylne i boczne lusterka, ale mężczyzna w garniturze już zniknął.

Kilka sekund później samochód wyjechał z parkingu.

\*\*\*

Teresa Cicha była polonistką z czterdziestoletnim stażem i nienawidziła odstępstw od normy. Jej świat był sterylnie czysty i uporządkowany, nie było w nim miejsca na niedokończone zdania ani błędy. Po śmierci męża nie płakała na pogrzebie, bo uważała, że coś takiego publicznie nie przystoi. Była zdania, że wszystko ma swój właściwy czas i miejsce.

I wtedy pojawił się on. Człowiek, który nie miał pojęcia o kulturze ani o odpowiednim zachowaniu. Nauczyciel na zastępstwie. Przybłąda w skórzanej kurtce, nieszanujący ani instytucji, w której miała przywilej pracować, ani zawodu, który miała zaszczyt wykonywać. I jeszcze spoufalał się z uczniami. Na własne oczy widziała, jak spędza czas z rudym – jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyślenia.

Wiedziała, dlaczego wybrali akurat jego. Chodziło o jego siostrę.

Tak wielu nauczycieli potrzebowało pracy, a on otrzymał ją od ręki dzięki swojej bogatej i znanej siostrze z plugawej telewizji. Widziała, jak dyrektor placówki staje na rzęsach, żeby się jej przypodobać, jak próbuje uszczknąć trochę telewizyjnego splendoru. Zakompleksiony, gruby prostak. Równie dobrze mógłby stać nago przed telewizorem, próbując się opalić w tym sztucznym, nieludzkim świetle.

Żałosne.

Robert Karcz nigdy nie powinien był otrzymać tej pracy! W uczciwym świecie takie rzeczy nie miałyby miejsca. W uczciwym świecie najważniejsza byłaby sumienność i doświadczenie, a nie obrzydliwe znajomości. Od początku była przeciwna temu pomysłowi, ale nikt jej nie słuchał.

I jeszcze ten samochód. Nie znosiła go. Głośny i obrzydliwy. Podeszła raz do niego i zajrzała do środka. Na tapicerce stała figurka diabła.

A teraz, po tylu miesiącach, wreszcie wiedziała już, że ma go w garści, wiedziała, że inni będą musieli w końcu jej posłuchać.

Robert Karcz przyjął łapówkę. Spotkał się z mężczyzną w garniturze. Widziała to na własne oczy. Widziała białą kopertę, której Karcz na początku nie chciał wziąć, ale ostatecznie to zrobił.

Wziął kopertę od rodzica za wystawienie oceny.

W doskonałym humorze wróciła do pokoju nauczycielskiego i nucąc pod nosem, nastawiła wodę na herbatę. Kilku obecnych w pomieszczeniu nauczycieli, którzy mieli przed sobą zajęcia dodatkowe, nawet ci, którzy żyli z nią w dobrych relacjach, popatrzyli po sobie zaniepokojeni. Oto Teresa Cicha, Teresa Zimna, Teresa Powściągliwa, Teresa Niebezpieczna, Teresa Śmierć miała świetny humor.

W swoim mniemaniu stała się uosobieniem sprawiedliwości, nierychliwej, ale cierplivej.

W jej sterylnie czystym i uporządkowanym świecie znowu zapanuje spokój.

A Karcza już nie będzie.

– Pan dyrektor jest jeszcze w pracy? – zapytała niespodziewanie.

Żaden z belfrów nie odpowiedział, ale wszyscy z zainteresowaniem spojrzeli w jej kierunku. Każdy, kto znał Teresę, wiedział, że nigdy nie marnowała oddechu na głupie pytania i że we wszystkich jej zachowaniach kryło się drugie dno.

– Muszę z nim porozmawiać. Nie uwierzycie, co właśnie widziałam...

## ROZDZIAŁ 2

# W KTÓRYM KAR CZ DOSTAJE O JEDEN RAZ ZA DUŻO

Miasto, w którym średniowiecze miesza się z renesansem, barokiem, neoklasycyzmem, neobarokiem i... żelbetonem. Miasto, w którym stare, wiekowe kamienice kontrastują z PRL-owskimi blokami mieszkalnymi. Miasto, które tuż po II wojnie światowej zostało przejęte przez Rosjan na kolejne pięćdziesiąt lat. I które po zmroku zapada w niespokojny sen...

Właśnie w takim mieście znalazł się Robert Karcz. Nie to go jednak zaintrygowało w pierwszej chwili, nie ta złożoność Legnicy i kolosalne różnice w architekturze względem poszczególnych dzielnic, jakby w każdym z tych miejsc miasto stawało się czymś zupełnie innym. Jego uwagę przykuły tajemnice kryjące się pod warstwami kurzu. Zapomniane i czekające, aż ktoś w końcu wyciągnie po nie rękę.

W nogach zabytkowych stołów ludzie znajdowali berła, obrazy wyjęte z ram, listy i pamiątki rodzinne. Wszystko, czego Rosjanie nie zdążyli ukraść albo zniszczyć, było tutaj nadal, ukryte przed ludzkim wzrokiem.

Mieszkańcy, zbyt skupieni na telefonach komórkowych, nie zauważali tego, co otaczało ich ze wszystkich stron. Karcz zauważał. W każdym miejscu była jakaś historia, a on był głodny jak wilk i chciał pożreć je wszystkie. Po sześciu miesiącach mieszkania tutaj i pracy jako nauczyciel poznał miasto na tyle, żeby wiedzieć, że jest tu coś więcej. Coś więcej, niż odkrył do tej pory. Coś więcej niż znaleziona w drzewie złota sztabka i kawałek zalanego bunkra prowadzącego donikąd.

Wykorzystywał każdy moment, żeby węszyć, ale czuł też ograniczenia. Brakowało mu informacji, które mogłyby stać się kolejnym elementem układanki i poprowadzić go w jakimś nowym kierunku.

Miał tylko stary rosyjski dziennik, który znalazł pod ziemią i który stał się czymś w rodzaju hobby. Jego tłumaczenie znał już prawie na pamięć, ale ze wszystkich sił próbował patrzeć „przez” strony, czytać między wierszami. Bezskutecznie. Notatki wskazywały na ukryty „plan emerytalny” kilku rosyjskich dowódców. Nie wszystkie wojenne skarby zostały wywiezione na wschód. Część z nich została pod ziemią i miała być rozdzielona pomiędzy „swoich” zaraz po upadku komuny. Tylko że Rosjanie nie wrócili, bo nie mieli do czego.



Kiedy Karcz podjechał pod garaż, od razu zauważył stojącą na chodniku, ciepło ubraną dziewczynę. Znad przesłoniętej wełnianym szalikiem twarzy widać było szaroniebieskie oczy i włosy w kolorze jasnej słomy, spięte w ciasny kucyk. Przesępowała z nogi na nogę, jakby roznosiła ją energia, jakby była gotowa rzucić się do biegu.

Tak. Od razu ją poznał.

– Szybciej, Karcz! – krzyknęła. – Nogi mi zaraz zamarzną!

Wyjął kluczyki ze stacyjki, wysiadł i spojrzał na Zuzę Nir, dwudziestolatkę, którą mógł uznać za swoją jedyną prawdziwą znajomą w Legnicy, nie licząc oczywiście Rudego Rajmunda.

– Zuza! – zawołał. – Co ty tu robisz? Myślałem... myślałem, że jesteś w Poznaniu...

– Ale ty jesteś głupi, Karcz! – powiedziała po swoim, podeszła do macha 1 i jak gdyby nigdy nic wsiadła od strony pasażera. – Przecież wysłałeś mi SMS-a!

Karcz też wsiadł do samochodu i zamknął za sobą drzwi. Ponownie spojrzał na Zuzę i nie wiedząc, jak się z nią przywitać, zakłopotany, po prostu wyciągnął do niej rękę.

Zuza, zamiast ucisnąć jego dłoń, włożyła mu w nią czapkę z pomponem i szalik.

– Napisałeś do mnie SMS-a, Karcz. Mówiłam ci, żebyś założył fejsa albo chociaż WhatsAppa...

Karcz skrzywił się na samo brzmienie tych nazw.

– Wisisz mi stowę za czapkę i szalik – dodała.

Spojrzał na pomarańczową czapkę z czerwonym pomponem i szalik, oczywiście pod kolor.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Jezu, jaki żal – jęknęła i zmarszczyła brwi. – Wysłałeś do mnie rano SMS-a o treści... – Urwała i wyciągnęła z kieszeni komórkę. – O, już mam. Napisałeś: „czapka i szalik”, no to pomyślałam, że znowu wpadłeś w jakąś dziurę i zamarzasz, no i jeszcze ten śnieg... Chciałam to olać, ale wiesz, jakoś tak głupio by wyszło, gdybyś zamarzył na śmierć.

– Naprawdę wysłałem do ciebie SMS-a? Chciałem sobie zapisać w telefonie, żeby o tym pamiętać. Dzisiaj rano rozmawiałem z jedną nauczycielką, która...

Zuza potarła kilka razy ramiona, próbując się rozgrzać, a potem się pochyliła i podsunęła twarz pod kratki w tapicerce.

– Masz wyłączone ogrzewanie? Nie czuję, żeby grzało. Zepsuło się?

– Jest ustawione tak, jak lubię.

– Taaa... czyli wyłączone – odparła i niespodziewanie poklepała go po ramieniu. – Miło cię widzieć, Karcz. Cieszę się, że żyjesz. Podoba ci się czapka?

Nie, pomyślał.

– Tak – skłamał. – Pewnie. Dzięki.

– Chciałam znaleźć coś, co będzie pasowało do koloru samochodu, ale miałam mało czasu.

– To jest pomarańczowe, a samochód nie jest pomarańczowy.

– Ha! – wykrzyknęła Zuza i podniosła palec w rękawiczce, jakby chciała wygłosić coś błyskotliwego, ale zamiast tego szturchnęła stojącego na tapicerce diabełka, który nerwowo pokiwał głową.

Karcz chciał jej powiedzieć, że nie jest aż tak zimno, ale postanowił się nie odzywać.

– Wiedziałam, że tak powiesz, ale... – Urwała.

– Ale co?

– Ale, mój drogi, czapka ma czerwony pompon, a szalik ma czerwone elementy. Samochód też. Czyli jest analogia, widzisz?

Karcz popatrzył na czerwony pompon i uśmiechnął się.

– Dziękuję...

– Nie dziękuj, tylko daj mi stówę za czapkę i szalik, bo nie mam kasy. Ale żebyś nie płakał, to mam też prezent dla ciebie na święta.

Karcz słuchał jej, zaskoczony. Dziewczyna, której nie widział od kilku tygodni, od razu poprawiła mu humor. Przeszukał kieszenie, ale nie znalazł tam żadnych pieniędzy, sięgnął więc do koperty, którą dostał od Tomasza Kubka.

– Okradłeś bank? – zapytała, nie licząc na żadną odpowiedź, po czym wręczyła mu breloczek w kształcie miniaturowego sombrero z ręcznie namalowanym słowem MEXICO oraz małe, okrągłe zawiniątko.

Karcz oderwał wzrok od pieniędzy w kopercie i zerknął na podarunki.

– Co to jest?

– Breloczek i chałwa z Meksyku. Wszystkiego najlepszego.

Zmieszał się, przyjął prezenty i położył je na kolanach obok czapki i szalika.

– Zuza, nie mam stowy... I nie mam prezentu dla ciebie, więc... – Zamilkł i wyciągnął do niej rękę, w której trzymał pięćsetzłotowy banknot. – Wszystkiego najlepszego – dodał po trwającej wieczność chwili.

Zuza przyglądała mu się w niedowierzaniem.

– Karcz, dajesz najgorsze prezenty na świecie... Co ja jestem? Twoja lolita? Weź to schowaj i się nie kompromituj! Faceci to stuprocentowe głąby. Myślałam, że jesteś inny, ale widzę, że to choroba genetyczna.

– Bycie facetem? – zapytał i lekko zawstydzony, schował pieniądze do koperty.

– Nie. Bycie głąbem. – Westchnęła, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Wyobraź sobie, że wracam teraz do domu i mówię: „Mamo, tato,

Robert Karcz, ten koleś, co wynajmuje od was garaż, wziął mnie na przejażdżkę, a potem dał mi w prezencie kilka stów. Jest taki miły! Co z tego, że stary!?” – zapiszczała infantylnie.

Karcz chrząknął, a potem sięgnął na tylne siedzenie do siatki z zakupami i wyciągnął z niej gumową piłkę.

– Masz, to prezent – powiedział. – Piłka. Jak naciśniesz, będzie piszczeć.

– Super! – zawołała z entuzjazmem. – I to jest właśnie prezent! Od serca! Nieważne za ile, ważne, że od ciebie... Hej, czy to piłka dla psa?

Wzruszył ramionami.

– No powiedz mi! – naciskała.

– Wiem, że lubisz trenować i że tańczysz, więc postanowiłem kupić ci piłkę, którą... – Zawahał się. Nie mógł uwierzyć w to, jakie głupoty wygaduje.

– Tak?

– ...którą będę mógł ci rzucić na naszych spotkaniach – dokończył z trudem, sam nie wiedząc, w co brnie. – Porozmawiamy sobie, a ty... ty będziesz aportować...

Zuza wykonała gest, chcąc go nastraszyć za gadanie głupot, ale źle wymierzyła odległość i Karcz z całej siły dostał w twarz. Aż zamrugnął ze zdziwienia; poczuł kroplę krwi wypływającą spod chirurgicznego plastra. Pojedyncza kropla przesunęła się po brwi i spłynęła wzdłuż skroni.

– Przepraszam! – zawołała szczerze wystraszona. – Przepraszam, nie chciałam cię uderzyć, ale masz coś takiego w twarzy, że aż chce się ją... Przepraszam, nie chciałam... – powtórzyła szybko. – Słuchaj, tak samo jest w Poznaniu. Pojechałam do Akademii Tańca wziąć udział w tym... no wiesz, programie przygotowawczym. I cały czas są treningi, tańce ludowe...

– Super – odparł, patrząc w lusterko i delikatnie ścierając kropelkę krwi.

– Mamy nawet ludowe stroje. I słuchaj teraz: jest tam jeden taki chłopak...

– Fajny – dokończył za nią. – Masz chusteczkę higieniczną?

– Tak, bardzo fajny, i tak, mam. – Wyciągnęła z kieszeni paczkę chusteczek i wręczyła mu jedną. – I myślę sobie: czemu nie? Dam się zaprosić na randkę. A później okazało się, że jest tak głupi, jakby w dzieciństwie kopnął go osioł albo jakby wpadł do studni na głowę.

– I co dalej?

– No i też go uderzyłam. Przez przypadek.

Zaśmiał się

– Mało pocieszające – zauważył.

Zuza westchnęła ciężko i uniosła gumową piłkę na wysokość oczu, a potem nacisnęła ją kilka razy.

PISK, PISK, PISK.

– Niby tak, ale to w sumie nie było uderzenie. Po prostu na jednym z treningów robiłam gwiazdę. Wiesz, taką na jednej ręce. A ten głąb podszedł za blisko, bo chciał o coś zapytać i wybiłam mu nogą dwie jedyńki.

– O kurde – powiedział Karcz. – Poważna sprawa.

Zuza znowu westchnęła.

– Taaa... A teraz mam wyrzuty sumienia, więc się z nim spotykam, żeby mu to wynagrodzić. Teraz nie dość, że jest głupi, to jeszcze bez zębów i sepleni.

Karcz wybuchnął śmiechem.

– Nokaut – przyznał, chowając zakrwawioną chusteczkę do kieszeni kurtki.

– Nooo taaa... Na początku był przynajmniej przystojny... – Zmarszczyła nos. – A jak tobie minęły ostatnie tygodnie?

Zamyślił się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Chcąc mieć więcej czasu na zastanowienie, rozpakował chałwę i podsunął ją Zuzie.

– Nie, ziom, już mi chałwa uszami wyłazi. Zjedz sobie. To prezent.

Wzruszył ramionami, a była to jedna z rzeczy, które opanował do perfekcji, i wpakował cały słodki blok do ust.

– U mnie świetnie – powiedział z pełnymi ustami.

– Łżesz! – zawołała.

– Nie, naprawdę jest dobrze.

– Znowu ktoś cię pokiereszował – mruknęła podejrzliwie i wskazała palcem w rękawiczce jego plaster.

– Zawsze w okresie świątecznym biję się z własnymi myślami... I czasami przegrywam – wyjaśnił i się uśmiechnął.

– No dobra, Karcz, widzę, że jesteś gadatliwy, że niech cię sczyści – powiedziała, zapinając pas. – Jedziemy!

– Dokąd... dokąd jedziemy?

Zuza wybałuszyła oczy.

– No, do ciebie. Do twojego nowego mieszkania. Miauczałeś mi przez telefon ponad miesiąc temu, że się przeprowadziłeś, więc chcę zobaczyć twoją chatę.

Pokręcił z niedowierzaniem głową i też zapiał pas.

Mach 1 ryknął i wystartował, łapiąc przednią szybą grube płatki śniegu.

\*\*\*

Karcz przeprowadził się z centrum miasta na jego obrzeża. Od czasu, kiedy wynajął mieszkanie na parterze w niskim szeregowcu, zaczął żałować, że nie zrobił tego wcześniej. Lokum przy malowniczej, wybrukowanej kocimi łbami ulicy Władysława Grabskiego znajdowało tuż obok Lasku Złotoryjskiego. Docenił ciszę i spokój.

Trzy pokoje, kuchnia, łazienka i balkon z wyjściem na ogródek z wybrukowanym miejscem na grilla. Ogródek był współdzielony z pozostałymi mieszkańcami, czyli rodzinami spod 1, 2 i 4. Karcz nie miał zamiaru mieszkać tam na tyle długo, żeby doczekać wiosny i integrować się z sąsiadami przy piwie i kiełbaskach, więc zupełnie mu to nie przeszkadzało. Co więcej, dopóki było zimno, nikt nie wchodził do ogródka i nie zaglądał mu przez balkon.

Kiedy zaparkował przed domem, zaczęło się już ściemniać, a płatki śniegu tańczyły w świetle ulicznych latarni. Zuza, która sprawiała wrażenie przemarzniętej do szpiku kości, wysiadła z samochodu i rzuciła okiem na jasny ekran swojego telefonu.

– Dopiero piąta, a czuję się, jakby była noc. I jeszcze ten śnieg... – Urwała i spojrzała wzdłuż alei. – Karcz, zobacz, jak jest ładnie!

– Jak byłem w twoim wieku, zima zaczynała się w Polsce w listopadzie, a nie w styczniu – odrzekł.

Schowała telefon do kieszeni i tylko machnęła ręką. Weszła na chodnik.

– Oj tam, oj tam... To tu mieszkasz?

Karcz wskazał dwupiętrowy szeregowiec otoczony białym, drewnianym ogrodzeniem.

– Nie no, klasa. Lasek Złotoryjski masz po drugiej stronie ulicy... Ale czad! Mogłabym tu mieszkać.

– Miło mi, że ci się podoba.

– Ej, ciemno w tym lasku jak w...

– Gdzie?

– No, bardzo ciemno – poprawiła się szybko. Postąpiła kilka kroków w jego kierunku i szturchnęła go w ramię. – Ile kosztuje wynajęcie mieszkania tutaj? Masz całe dla siebie?

– Nie, mieszkam z grupą studentów.

– Serio? – prawie krzyknęła, zaskoczona.

– Oczywiście, że nie – odburknął.

– Ale jesteś zabawny... – zakpiła. – No to ile jest za wynajem?

Karcz, trzymając w ręce szalik i czapkę, ruszył do wejścia, wrzucając po drodze papierek po chałwie i zakrwawioną chusteczkę do dwóch odpowiednich kubłów na śmieci. Trochę czasu zajęło mu nauczenie się segregacji, ale później weszło mu to w nawyk.

– Zapłaciłem za kilka miesięcy z góry. Nie wiem, ile wychodzi za miesiąc – odparł. Naprawdę nie wiedział.

Zuza wyprzedziła go w drodze do drzwi.

– Ściemniasz – fuknęła i weszła na klatkę schodową. Drzwi były uchylone, ponieważ blokował je mały drewniany kołek. – Gdzie mam iść?

– Mieszkanie numer trzy. Na pólpiętro, drzwi po prawej – wyjaśnił, ostatni raz spoglądając na swój samochód.

Nagle powróciła do niego myśl związana z porankiem, z chwilą, w której nie mógł wypuścić kluczyków z dłoni, zupełnie jakby dostał skurczu. Własna ręka odmówiła mu posłuszeństwa, jakby chciała coś zasygnalizować. A może to po prostu zbyt duża dawka stresu, związana z powrotem do szkoły? Poczł dreszcz, bo nagle z niezrozumiałych przyczyn przeszło mu przez myśl, że widzi macha 1 po raz ostatni.

Nie bądź paranoikiem, skarcił się w duchu.

– Karcz, no chodź! – usłyszał głos Zuzy.

Poszedł.

\*\*\*

Rodzice i znajomi często wypytywali ją o Roberta Karcza, a ona, jego pierwsza i jedyna znajoma z Legnicy – a przynajmniej najbardziej zaufana – zawsze udzielała szybkich, rzeczowych i suchych odpowiedzi. Wspominała o tym, że Karcz jest z wykształcenia archeologiem, że zanim trafił do Legnicy, sporo jeździł po świecie i że raczej nie zostanie w mieście zbyt długo. Jeżeli ktoś dalej naciskał, mówiła, że jest niegroźnym, sympatycznym i nieco zagubionym facetem. Pierdołą o inteligentnym spojrzeniu.

To lubiła w nim najbardziej. To spojrzenie i fakt, że czasami zachowywał się, jakby był nieobecny i trochę nieporadny. Było to bardzo w jej guście, choć nie potrafiła wyjaśnić dlaczego.

Raz czy dwa zdarzyło się, że stojąc bardzo blisko i patrząc mu w oczy, czuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić. Jakby dostrzegała coś w jego ciemnych oczach, coś, czego pozornie tam nie było. Nigdy tego nikomu nie powiedziała, nawet najlepszej przyjaciółce, ponieważ Karcz po prostu nie był w jej typie, a jedna czy dwie krępujące sytuacje nie miały na to żadnego wpływu.

Poznali się zaraz po jego przeprowadzce do miasta. Karcz mieszkał wtedy niedaleko kurii biskupiej, w centrum, i biegał każdego ranka przed pracą. Niektórzy uprawiali jogging dla zdrowia, ale dla niego był to rodzaj poznawania przestrzeni. Biegał i zwiedzał. Biegał i uczył się topografii miasta. Wieści o tym, że szuka garażu, żeby mieć gdzie przechowywać starego mustanga, rozeszły się dość szybko, a Zuza postanowiła skorzystać z okazji i poznać brata tej celebrytki z telewizji, o którym wszyscy tyle mówili. Bo tym właśnie był. Bratem „tej z telewizji”. A teraz, po kilku miesiącach, był również jej kumplem Karczkiem. Kolesiem, który ani razu nie spojrział na nią jak na dziewczynę, w dodatku atrakcyjną. Zupełnie jakby nie miało to dla niego znaczenia.

Od razu go polubiła, mimo że był dziwny, a może właśnie dlatego, więc po szybkiej konsultacji ze swoim ojcem zaproponowała mu garaż – ot, i cała historia, nie wliczając ciągłego tłumaczenia, że nie są w związku i nic ich nie łączy.

Później się okazało, że Karcz ma talent do pakowania się w kłopoty i smykałkę do zagadek, co było dla niej niezwykle atrakcyjnym połączeniem. Czasami wręcz czuła się zawstydzona, bo za każdym razem, kiedy opowiadał jej o jakiejś ciekawostce, docierało do niej, że zna swoje własne miasto o wiele gorzej od niego. Opowiadał o loży masońskiej w budynku biblioteki czy o cennych witrażach skradzionych z Akademii Rycerskiej, które trafiły do muzeum w zupełnie innym mieście, a ona słuchała tego jak bajek. W głębi duszy liczyła, że Karcz w końcu trafi na jakąś większą sprawę – na coś, co nie będzie tylko przypuszczeniem ani bujną z rodzaju tych, że jeden z pomników w mieście może być wykonany ze złota. Chciała czegoś namacalnego – przygody życia.

Im bliżej znała Roberta Karcza, tym bardziej marzyła o mapie prowadzącej do skarbu i o jakimś wielkim odkryciu. To do niego pasowało. W odróżnieniu od innych jej znajomych, miał nosa i wiedział, gdzie i czego szukać. Był jak świnia na polu trufli i jej zdaniem było to bardzo fajne, nieważne jak infantylnie by to brzmiało.

Z tego, co wiedziała, nie znalazł dotąd nic interesującego, ot, jakieś bezwartościowe malowidło, kilka monet, jakiś dziennik i wielką dziurę w lesie, w którą kiedyś wpadł. Mimo wszystko jednak wolała pozostać czujna, jakby obawiała się, że coś może ją ominąć. Miała poczucie, że te wszystkie drobne elementy złożą się kiedyś w większą całość. Dzwoniła do niego czasami, chodzili razem biegać, a po kilku miesiącach, kiedy przeprowadziła się do Poznania, zaczęła pisać maile. Proponowała mu założenie konta na Facebooku, ale nie był zainteresowany.

A kiedy miała wrażenie, że wie już na temat Karcza całkiem dużo... zobaczyła jego nowe mieszkanie.

– Ziooom – sapnęła, stając w długim przedpokoju. Chciała powiedzieć coś miłego, że mieszkanie jest bardzo ładne, przestronne i tak dalej, ale kiedy zajrzała do kuchni, a później do salonu i sypialni, nie mogła. – Gdzie masz wszystkie meble? To wygląda tak, jakby tu nikt nie mieszkał.

Odwróciła się i rozłożyła ręce. Szybkim ruchem ściągnęła czapkę z pomponem, a blond pasemka opadły jej na twarz, a przynajmniej na tę część twarzy, która wystawała znad szalika.

– Gdzie są meble?! – krzyknęła. – W salonie nic nie ma. Masz tylko starą, białą kanapę...

Karcz zamknął za sobą drzwi, odłożył czapkę i szalik, które dostał w prezencie, i rozpiął kurtkę.

– Nie wiem, o co ci chodzi. W kuchni są meble – odparł bez cienia emocji. – W łazience też są meble.

– Ale ty jesteś głupi, Karcz – powiedziała. Zamaszystym ruchem ściągnęła z siebie szalik. – Mnie chodzi o twoje rzeczy osobiste. Cokolwiek. No wiesz, stolik, szafka... Masz meble w kuchni, ale kuchnia jest pusta. Tam nic nie ma... A łazienka?

Zajrzała do pomieszczenia, a następnie spojrzała na Karcza z niedowierzaniem.

– W łazience jest tylko wanna! Co z tobą?

Karcz podrapał się po głowie, postąpił kilka kroków, zajrzał najpierw do kuchni, a później do łazienki i zrobił minę, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

– Zuza, mieszkanie, jak mieszkanie.

– No tak, mieszkanie jest ładne. Super-duper. Ale nawet nie ma na czym usiąść.

– W salonie jest kanapa. Sama powiedziałaś.

Zuza świdrowała go przez chwilę spojrzeniem, jakby próbowała się upewnić, że nie robi sobie jej.

– Karcz... ty, kurde, nie masz mebli.

Robert odburknął coś pod nosem i zaczął zsuwać buty z nóg.

Zuza wykorzystała ten moment, żeby zajrzeć głębiej do pustej sypialni, jakby nie mogła uwierzyć, że można tak egzystować. W środku była tylko suszarka na pranie. Chociaż... na panelach podłogowych dostrzegła coś jeszcze. Rozłożony czarny ubiór, kominiarkę, sportową, czarną kurtkę i coś, co przypominało pałkę teleskopową...

– Zuza – usłyszała jego głos tuż za sobą i poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. – Tam nic nie ma. – Zamknął jej drzwi sypialni tuż przed nosem. – Nie chcę, żebyś gapiała się na moje pranie.

Spojrzała mu wyzywająco w oczy. Przez kilka chwil stali bardzo blisko siebie, prowadząc coś na kształt niemego pojedynku.

– Ty... uważasz... że... to jest normalne?

– Dopiero się wprowadziłem...

– I śpisz na tej kanapie? – zapytała, jakby rzeczywiście brała pod uwagę możliwość, że Karcz może spać na podłodze.

– A gdzie mam spać?

Milczała, mrugając powiekami, jakby próbowała przeanalizować kontekst całej rozmowy, a później się cofnęła. Również zsunęła buty z nóg i cisnęła je w kąt.



– No co? – zapytała zaczepnie. – Co za różnica, gdzie rzucę buty? Ta chata jest pusta.

Uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– A gdzie przyjmujesz gości? – kontynuowała.

– Jakich gości, Zuza?

Zapadła cisza.

– No na przykład mnie – powiedziała w końcu. – Ja jestem twoim gościem...  
Gdzie przyjmujesz gości?

– Błagam cię – mruknął. Ściągnął z pleców ciężką skórzaną kurtkę, a potem wszedł do kuchni i rzucił ją na szafkę. – Chcesz herbaty?

– A masz filiżanki?

– A jak myślisz?

Zuza puściła to mimo uszu i kiedy Karcz krzątał się w kuchni, skorzystała z okazji i jeszcze raz zrobiła rekonesans. Salon miał wyjście na okratowany balkon i ogródek. Dopiero kiedy stanęła przed kanapą i się odwróciła, zobaczyła na ścianie wielką mapę. Składała się z zadrukowanych kartek A3 połączonych przezroczystą taśmą klejącą. W niektórych jej miejscach przyczepiono notatki, a pewne punkty zaznaczono czerwonym markerem.

Dłuższą chwilę zajęło jej zorientowanie się, na co w ogóle patrzy.

– Hej, to na ścianie to mapa Legnicy? – zapytała na tyle głośno, żeby ją usłyszał.

– Aaa... tak. Jest tam – odezwał się z kuchni.

Przełknęła ślinę.

– Czemu taka dziwna?

Karcz milczał, jakby zwlekał z odpowiedzią.

– To przedwojenna mapa.

– Ty wiesz, że mój ojciec może ci to zrobić w wielkim formacie? On ma drukarnię. Nie musiałbyś jej drukować na kartkach i składać...

Na szkolnej drukarce, dodała w myślach.

– Poradziłem sobie, dzięki.

– Co jest pozaznaczane na tej mapie? – drążyła. – Masz tu kółka i skreślone kółka, a niektóre kółka połączyłeś kreskami... Co to za miejsca? – Podeszła na tyle blisko mapy, że mogła dotknąć jej nosem. – To wygląda jak legnicki rynek – stwierdziła z zadowoleniem. – Tu jest teatr, śledziówki... O! Akademia Rycerska! Ha! Nie jestem taka głupia...

– Opowiesz mi, jak jest w Poznaniu? – Dobiegł ją z kuchni głos Karcza.

– Dlaczego Akademia Rycerska jest w skreślonym kółku? – Dotknęła wspomnianego miejsca na mapie.

– Bo nie ma tam nic interesującego – usłyszała w odpowiedzi.

Zuza wyszła z salonu i zajrzała do kuchni. Karcz opierał się o jedną z szafek, a w garnku stojącym na kuchence gazowej gotowała się woda.

– Nie masz czajnika? – zdziwiła się.

– Chyba nie.

– Wiesz, słyszałam, że ktoś się ostatnio włamał do Akademii Rycerskiej... Jakiś miesiąc temu. I podobno czegoś szukał.

Karcz nawet nie drgnął, zupełnie jakby ta sprawa go nie interesowała.

– Słyszałem dzisiaj od pani Krysi – rzekł.

– Od Krysi? – zapytała nieufnie i zmrużyła oczy, próbując wyteńczyć wzrok w celu dostrzeżenia czegoś więcej na jego obliczu. Niestety, bezskutecznie.

Robert zrobił zdziwioną minę. Wyraźnie chciał dać jej do zrozumienia, że nie wie, dlaczego ona się na niego gapi.

Westchnęła.

– Mamy ładne stroje – powiedziała po chwili, zmieniając temat. Wiedziała, że Karcz nie ma sensu naciskać. W rozmowie z nim należało dostrzec subtelną różnicę pomiędzy popchnięciem na zachętę a naciskaniem. Popychanie było czasochłonne, ale kończyło się sukcesem. Naciskanie nigdy.

– Jakie stroje? – zdziwił się, jakby przeoczył kilka minut rozmowy.

Zuza podeszła do niego i również oparła się o szafkę, lekko szturchając go biodrem.

– Pytałeś o Poznań. Więc odpowiadam. Stroje mamy ładne. Ludowe. Jak nowe. Ale to już wiesz. Z ciekawszych rzeczy, ostatnio miałam zaliczenia z *barre au sol* i o mało nie wyplułam serca...

– Z czego?

– Ćwiczenia baletowe, tylko że nie przy drążku, a na ziemi. Gimnastyka. Ale najważniejsze, że dostałam zaliczenie. Później poszłam na imprezę ze znajomymi i dosłownie musiałam odespać życie. Spałam chyba tydzień.

– Przez to całe *barre au sol*?

– Nie, przez imprezę, Karcz. Nie wiem jak wy, staruchy, się bawicie, ale dzisiejsze pokolenie prawie dwudziestolatków to lot koszący w dół – dodała z naciskiem na „prawie dwudziestolatków” i „lot koszący w dół”.

– Lot koszący? – zdziwił się Karcz i zaśmiał się cicho.

Zuza знаła to jego śmianie się pod nosem i zdążyła się już do niego przyzwyczaić.

– Oj, wiesz... – Kontynuowała, pomagając sobie gestykulacją. – Chodzi o imprezowanie w stylu „jakby jutra miało nie być”. I w gruncie rzeczy... po takiej imprezie chyba nie ma jutra. Jutro od razu staje się wczoraj, a ty dochodzisz do siebie pojutrze... Też tak masz?

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Tak myślałam.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, nawet przez ułamek sekundy miała ochotę powrócić do tematu mapy, ale zrezygnowała z tego pomysłu. W milczeniu przyglądała się Karczowi, który skupił wzrok na garnku, jak gdyby chciał doprowadzić wodę w nim do wrzenia samym spojrzeniem.

– Hej, słuchaj... – zaczęła, ale natychmiast urwała, kiedy usłyszała skomlenie.

Otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy.

– Czy to jest... to, co myślę, że jest?

Karcz wzruszył ramionami.

Zuza bez słowa ruszyła w kierunku źródła dźwięku i w drodze do drzwi wejściowych zauważyła jeszcze jedne drzwi. Zamknięte.

– Ile to mieszkanie ma metrów?! – krzyknęła. – Sto pięćdziesiąt?!

– Jaką chcesz herbatę?

– Co jest za tymi drzwiami? – Wskazała pokój, choć nikt nie mógł jej w tamtej chwili zobaczyć.

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, były gazety rozłożone na podłodze. Pokój był tak samo pusty jak wszystkie pozostałe, z jedną zasadniczą różnicą.

– Masz psa! – zawołała.

\*\*\*

Siedzieli na kanapie w pustym, pomalowanym na biało pokoju, który w normalnych okolicznościach służyłby za duży rodzinny salon, ale dla Roberta Karcza był tylko miejscem, w którym spał i z którym nie wiązał żadnych dłuższych planów.

Pies spacerował dookoła i obwąchiwał ściany. Najwięcej czasu poświęcił drzwiom balkonowym, ale one również nie pozostały długo w sferze jego zainteresowań. Był wychudzony, ale gruba czarna sierść sprawiała, że wyglądał masywnie.

Zuza przyglądała mu się w niemym zachwycie. Nie potrafiła określić, co to za rasa, ale z pewnością był to jakiś owczarek.

– Zaskoczyłeś mnie – przyznała i zrobiła psu zdjęcie telefonem. – To wspaniałe! Dlaczego nazywasz go Hassan? To coś oznacza? Znałeś jakiegoś Hassana?

Karcz od razu pomyślał o gorącym, egipskim słońcu, ale nadal bez słowa popijał herbatę z kubka, który znalazł w szafce. Było na nim napisane: NAJLEPSZA MAMA POD SŁOŃCEM, a pod tymi słowami znajdował się prosty rysunek przedstawiający kobietę na szczycie wielkiej góry.

– Nie będę mógł go zatrzymać – odezwał się w końcu. – Pies będzie musiał zniknąć.

Oczy Zuzy zamieniły się w dwa wielkie spodki.

– Co to znaczy? – zdziwiła się. – Jeżeli przygarnąłeś psa, nie możesz go już oddać.

– Zuza, to nie jest... Chciałbym, żebyś pomogła mi znaleźć dla niego dom. Inaczej trafi do schroniska.

– Nie można oddawać psów do schroniska! – prawie krzyknęła.

– To przybłęda. Przypałętał się – próbował wyjaśnić. – Nie mogę go zatrzymać. Jest tu na przeczekanie, póki nie wymyślę, co z nim zrobić... Póki ty nie wymyślisz – poprawił się. – Jesteś najbardziej odpowiednią osobą. Kochasz zwierzęta. Dlatego chciałem z tobą o tym pogadać.

Spojrzała najpierw na psa, potem na niego, a później znowu na psa.

– Karcz, ja go nie mogę wziąć. Mieszkam w akademiku w Poznaniu. A ojcu nie powiem: „Hej, tato, kojarzysz Roberta? Tego, co parkuje w twoim garażu? Tego, o którym powiedziałeś, że jak mnie dotknie, to go zabijesz? Chciałby jeszcze przechować u nas psa. Wabi się Hassan”... Piesku! Hej, piesku! – zwróciła się do zwierzaka, który obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. – Spójrz na niego. Jesteś piękny, piesku! Najpiękniejszy!

– On cię nie rozumie. To pies.

– Ale ty jesteś głupi, Karcz. Oczywiście, że mnie rozumie. – Dziewczyna wypowiedziała to w taki sposób, jakby nie mogła uwierzyć, że można być aż takim idiotą.– To już sędziwa psina. Wygląda na to, że dużo przeszedł – dodała. – Pasujecie do siebie.

– Zuza – zaczął po chwili. Za każdym razem, kiedy próbował być dosadny albo bardzo konkretny, zaczynał zdanie od jej imienia. – Ten pies tu nie zostanie. Ja sam nie wiem, jak długo zostanę w Legnicy. Pies potrzebuje domu, własnego podwórka... kogoś, kto będzie potrafił się nim zaopiekować.

– Ale ty się nim dobrze zajmujesz. – Zuza nie dawała za wygraną. – Nawet ma swój własny pokój... Co prawda nie kumam, czemu zamykasz go w pokoju, ale... stary!

Spojrzała na psa, który kręcił się właśnie pod mapą i notatkami wiszącymi na ścianie, i jak na sygnał podniósł tylną łapę i zaczął sikać. Patrzył na nich, karykaturalnie odchylając łeb, i bez skrępowania oddawał mocz na białą ścianę. Jego spojrzenie zdawało się pytać: „No i co mi zrobicie?”.

Karcz, przyglądając się temu z obojętnością, upił kolejny łyk herbaty.

– Właścicielce mieszkania się to nie spodoba – zauważył tylko.

– Że niby ja mam posprzątać? – zapytała zaskoczona, że ośmielił się to zasugerować.

- Wypuściłaś go z pokoju – odparł.
- Zuza popatrzyła na psa, następnie na Karcza, a później znowu na psa.
- Mam trzy warunki – oznajmiła.
- Tak?
- Dasz mi te pięć stów i nie będę musiała oddawać reszty...
- Dobrze – powiedziała, choć brzmiało to jak pytanie.
- Rozważysz zachowanie psa.
- Nie ma szans.
- I powiesz mi, co oznaczają przekreślone kółka na twojej mapie. Dlaczego tam jest Akademia Rycerska i inne miejsca, okej?
- Karcz się zamyślił.
- Przekreślone kółka oznaczają... – zawahał się na moment – że nic tam nie ma.
- Że nic tam nie znalazłem, uściślił w myślach.
- A co miałyby tam być?
- Cokolwiek, pomyślał. Cokolwiek, co byłoby na tyle interesujące, żebym jednak został. Żebym po prostu nie wsiadł w samochód i nie odjechał. Żebym nie uciekł. Szukałem powodu, dla którego dalej miałbym tkwić w tym mieście. Powodu, dla którego miałbym dalej męczyć się w szkole, udając kogoś, kim nie jestem. Jakiejś zagadki do rozwiązania. Tropu, który mógłby doprowadzić mnie do jakiegoś większego celu. Włamuję się do tych miejsc od miesięcy, bo szukam sensu.
- Pieniądze i wieczna chwała – odpowiedział znad kubka, postawił go na krawędzi kanapy, wstał i skierował się do łazienki. – Muszę posprzątać po psie.
- Myślałam, że ja mam to zrobić.
- To był żart. Mój pies, mój problem – stwierdził krótko.
- Na razie, dodał w myślach.

\*\*\*

Pierwszy śnieg wprawił uczniów w kapitalny humor i podniósł morale. Zachowywali się, jakby ktoś oddał im świąteczną aurę. Zaczęły się dyskusje na temat wyjazdów na narty i tego, komu rodzice kupili lepszą deskę snowboardową. Karcz słuchał tych wszystkich opowieści z zainteresowaniem, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć, czy on i jego siostra Justyna też byli kiedyś tacy pełni entuzjazmu.

Spoglądał na uczniów znad dziennika i notatek, które spisywał na pojedynczych kartkach. Obok leżał plan ramowy z lekcjami. Postawił sobie za punkt honoru nie wykraczać poza tematy lekcji narzucone przez program, dzięki

czemu i on, i jego uczniowie wiedzieli, na czym stoją i czego się mogą spodziewać.

Czasami brak jakichkolwiek ambicji sprawia, że można spać spokojnie. Tak przynajmniej próbował sobie to tłumaczyć.

Poświęteczny tydzień w pracy minął Karczowi błyskawicznie, a biorąc pod uwagę fakt, że do ferii zimowych zostało niecałe półtora tygodnia, szkoła zaczęła się powoli wyludniać. Inni nauczyciele wytłumaczyli mu, że to normalne. Że powinien się cieszyć z faktu, że uczniowie, którzy nie otrzymali jeszcze oceny semestralnej, nagle naprawdę zaczęli się starać. Ci zawsze byli aktywni, potulni jak baranki i za wszelką cenę próbowali pokazać, że im zależy.

Było to odstępstwo od normy.

Korzystał więc. Wysłuchiwał, odpytywał, popijał herbaty przynieszone przez woźną Krysę i na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. W głębi duszy czuł jednak, że coś jest nie tak. Bardziej niż zwykle. Co prawda nikt z grona pedagogicznego nie patrzył na niego z większą niż zazwyczaj rezerwą, ale ewidentnie coś wisiało w powietrzu. Nauczyciel geografii tylko się głupkowato uśmiechał, a panna Delfin, która jeszcze kilka dni wcześniej piszczała mu falsetem do ucha, ewidentnie go unikała – czerwieniła się jak burak i uciekała. Przeczuwał zmianę, ale nie potrafił określić kierunku, z którego mogłoby nadejść zagrożenie.

Przynajmniej do dnia, w którym profesor Teresa Cicha się do niego odezwała.

Nieraz natykał się na nią na korytarzu, ale nie było nawet mowy o bezpośrednim kontakcie. Już jesienią zeszłego roku przestała go zauważać. Był dla niej niewidzialny.

Dopiero w piątek, pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna, usłyszał jej głos. Wydał mu się obcy, a może nawet odrobinę egzotyczny.

– Wystawił pan już wszystkie oceny? – zapytała lodowatym tonem. Na tyle głośnym, że usłyszeli ją wszyscy na korytarzu.

Idący z dziennikiem pod pachą Karcz zatrzymał się i zamrugał z niedowierzaniem, spoglądając w jej kierunku.

Naprawdę się do niego odezwała!

Uczniowie się rozstąpili, jakby robili miejsce do walki wręcz. W szkole dużo plotkowano na temat Roberta Karcza i Teresy Cichej. Przez pewien czas mówiono, że Cicha ma ochotę na nowego nauczyciela historii, ale szybko zmieniono wersję – w tej nowej Cicha była złą czarownicą, a Karcz, cóż, on był po prostu Kapitanem Wpierd... Robert miał ogromne poparcie wśród młodzieży i to nie dlatego, że był wygadany, ale ponieważ w skórzanej kurtce i w ogromnym samochodzie jako jedyny nie wydawał się nudziarzem.

– Pytałam, czy wystawił pan już wszystkie oceny z historii?

Karcz kątem oka dostrzegł, że jeden z uczniów z klasy sportowej wyciąga z kieszeni telefon i zaczyna kręcić filmik.

Wpatrywał się w Cichą jak zaklęty. Chciał zapytać, czy mówiła do niego, ale się powstrzymał.

– Nie rozumie pan pytania? – zapytała z nieukrywaną satysfakcją, a na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Zupełnie jakby pełny, szczery uśmiech mógł sprawić, że jej twarz pęknie i rozsypie się po korytarzu, trafiając prosto pod nogi nieokrzęsanych dzieciaków. – Widział się pan ostatnio z jakimiś rodzicami w sprawie ocen z historii? Hmm?

Karcz chrząknął i rozejrzał się dookoła, jak gdyby dopiero teraz się zorientował, że są otoczeni przez uczniów, a potem najzwyczajniej w świecie powiedział „przepraszam”, ominął Teresę Cichą bez słowa i poszedł dalej.

Część uczniów wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Nikt za bardzo nie wiedział, co się wydarzyło, ale jedno było pewne: gość od histy ostentacyjnie olał Cichą. Olał ją po całości i to na ciepło. W obrębie szkoły filmik szybko stał się virałem.

Karcz jednak tak o tym nie myślał. Wiedział, że coś na niego znalazła. Że zamierzała uprzykrzyć mu życie. Dostrzegł to w jej twarzy. Dlatego uciekł, unikając konfrontacji przy świadkach.

Ale co to mogło być?

Szedł przed siebie w absolutnym rozkojarzeniu. Nagle się zorientował, że nogi zabrały go do szkolnej biblioteki. W drzwiach zderzył się z nowym bibliotekarzem. Facet miał około trzydziestki, co czyniło go prawie rówieśnikiem Karczka, ale w odróżnieniu od niego był przeraźliwie chudy i wyglądał jak dzieciak, co pewnie miał zakamuflować rzadki zarost i okulary w dużych oprawkach.

– Robert Karcz – wydusił chudzielec, wpatrując się w nauczyciela.

– O! – wydusił Karcz.

– Nazywam się Piotr Szczurzyński – przedstawił się bibliotekarz drżącym głosem i wyciągnął do Roberta rękę. Karcz uściskał ją, uśmiechając się w duchu.

Przynajmniej już wiem, dlaczego nazywają go Szczur, pomyślał.

– Robert, miło mi.

– Słyszałem o panu.

– Tak?

– Tak. Rajmund mi opowiadał. Jest właśnie u mnie – dodał szybko, odchylając się i pokazując Karczowi wnętrze biblioteki, której jedną połowę zajmowały regały z książkami, a drugą stoliki z krzeselkami. Przy jednym ze stolików siedział Rudy Rajmund.

Dostrzegłszy go, Karcz uśmiechnął się cierpko.

Rajmund dużo opowiadał, pomyślał z ironią. Jak to możliwe, że chłopak, który potrafi całymi dniami się nie odzywać, okazywał się czasami aż taką gadułą?

– Chciałbym panu coś pokazać – powiedział Szczur. – Właśnie szedłem do sklepiku po saszetki z kawą, ale to może poczekać. Najpierw prezentacja.

Karcz, nie mając nic lepszego do roboty i traktując bibliotekę jak idealną kryjówkę przed nauczycielką od polskiego, wszedł do środka. Szczur stanął za biurkiem, przy którym podbijał karty biblioteczne.

– Cześć, Rajmund – rzucił Karcz do chłopca. – Wszystko okej, dzieciaku?

– Pan Piotr też się interesuje historią, tak jak pan – poinformował go Rudy Rajmund, a Karcz zauważył na jego twarzy oznaki zadowolenia. Na stole przed chłopakiem leżały przedmioty, które ten ułożył od najmniejszego do największego. Robił to mimowolnie za każdym razem. – I lubi zagadki historyczne, tak jak pan.

– To naprawdę super – odparł Karcz, wyraźnie zażenowany całą sytuacją.

Szczur podszedł do Roberta z otwartą książką i kilkoma wydrukami.

– Kiedy Rajmund pojawił się w bibliotece i powiedział mi, że interesuje się pan historią, a później wspomniał, że pan też lubi... eee... historię miasta... to znaczy wiem, że jest pan archeologiem, ale historia miasta to coś dla prawdziwych pasjonatów... więc pokazałem mu to, a on zapewnił mnie, że będzie pan chciał rzucić na to okiem...

Karcz w absolutnej ciszy przełożył dziennik klasowy z jednej ręki do drugiej, zupełnie jakby zaczął mu ciążyć.

– I powiedział mi też, że pan jest kimś w rodzaju detektywa amatora – kontynuował Szczur, wyraźnie zmieszany brakiem entuzjazmu swojego gościa. – To tak jak ja. Cóż... ekhem... Chodzi mi o to, że jest kilka legend, czy też mitów związanych z Dolnym Śląskiem, które pozostają niewyjaśnione i są co najmniej zastanawiające. Bo każdy słyszał o Bursztynowej Komnacie, prawda? Ale historii tego typu jest znacznie więcej, choć być może nie wszystkie są nośne... komercyjnie... Tak że ten... Uwaga, uwaga. Czy mówi panu coś nazwisko Kloś?

– Sł... słucham? – wydukał Karcz, wyrwany z zamyślenia. Znowu krążył gdzieś pomiędzy Rajmundem zamkniętym w sobie a Rajmundem towarzyskim, skorym do gadulstwa i plotek. Nie wiedział, na którego chłopca właśnie patrzył.

I jeszcze to dziwne pytanie Teresy Cichej.

– Kloś – powtórzył dobitnie Szczur. – Słyszał pan?

– Chyba nie.

– A słyszał pan o złotym konwoju? Ha! Na pewno tak! Mam tu kilka rzeczy, które powinny pana zainteresować... O ile to, co Rajmund mówi, jest prawdą. Panie Robercie?



– Tak?

– Chciałby pan zerknąć? – Bibliotekarz z wyraźną czułością położył książkę i swoje notatki na jednym ze stolików. – Niech pan podejdzie. Analizuję to od bardzo dawna. Wiem, że jest wielu historyków amatorów, ale może pan...

– Panie Szczur – zwrócił się do bibliotekarza Karcz, próbując uprzejmie zakończyć temat.

– Szczurzyński – poprawił go Szczur.

– Bardzo mi miło...

– Słyszał pan o złotym konwoju, prawda?

– Panie Piotrze...

– Znalazłem coś, co pana zainteresuje...

Jezu, ten facet mnie zagada na śmierć, pomyślał Karcz i zrobił pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy, żeby go uciszyć. Położył bibliotekarzowi rękę na ramieniu, co skutecznie wprowadziło Szczura w stan osłupienia. Rajmund, przyglądał się wszystkiemu z taką miną, jakby od tego, co teraz robi nauczyciel, miało zależeć, czy chłopiec weźmie następny oddech.

Robert jednak nie wiedział, co powiedzieć. Zabrakło mu słów. Jedyne, czego chciał, to chwili ciszy. Czasu, żeby pozbierać myśli. Żeby skleić się do kupy. Powoli puścił ramię Szczura, rzucił krótkie „przepraszam” i odwrócił się do drzwi.

Drugi raz w ciągu pięciu minut robię z siebie idiotę, skarcił się w myślach.

Chciał jeszcze powiedzieć, że nie będzie mógł odwieźć Rajmunda do domu, ale przecież od czterech dni nie jeździł samochodem. Również od czterech dni chłopiec go unikał, a spotkanie w bibliotece można było uznać za drugie oficjalne w tym roku, zaraz po *tête-à-tête* pod garażem, kiedy to dał się dzieciakowi sprowokować.

– Nie mam dzisiaj do tego głowy – wydukał.

– Ale chodziło mi o Herberta Kloze – spróbował wyjaśnić bibliotekarz.

– Rajmund, Piotr – Karcz pokazał im wysoko uniesiony kciuk, a później po prostu wyszedł.

Szczur przez moment przyglądał się książce i notatkom leżącym na stole.

– Niech mnie dunder świśnie. To było mocne! Po twoich opowieściach naprawdę pomyślałem, że... Właściwie nie wiem. Liczyłem, że go to zaciekawi – szepnął do Rajmunda. – Cholera. Poczułem się jak na randce z dziewczyną. Jak schodzę na temat historii, to też od razu uciekają. Jak myślisz? – zapytał, ale po chwili się zreflektował. – Może nie powinienem tak żartować, jesteś za młody...

Rajmund westchnął ciężko. Jego zdaniem problemem Szczura nie były jego poczucie humoru czy brak wycucia, a raczej fakt, że mówi „niech to dunder świśnie”.

– Spójrz na mnie. Jestem rudy.

Szczur przyjrzał się jego włosom, jakby oceniał stopień ich rudości – cztery marchewki w skali od jeden do pięć – albo po prostu chciał się upewnić, czy chłopiec mówi poważnie. Znał go dopiero kilka dni i nie zauważył, aby Rajmund chociaż raz robił sobie z czegoś żarty czy nawet się uśmiechnął, więc głośna deklaracja o kolorze włosów całkiem go zaskoczyła. Zaskoczyła i rozbawiła. Była podszyta zarówno poczuciem humoru, jak i dużą dawką dystansu.

– Z rudości się chyba nie wyrasta – stwierdził Szczur, próbując poprawić chłopcu humor, a później wskazał na swoje oblicze. – Z takiej twarzy też nie...

Rajmund nie zareagował jednak w oczekiwany sposób i przygnębiony, wbił wzrok w podłogę.

Szczur, nerwowo śmiejąc się pod nosem, zgarnął swoje rzeczy, a odkładając je na biurko, zapytał:

– Ten cały Robert Karcz... On zawsze zachowuje się tak dziwnie?

– Nie. Tylko jak jest zły.

– Zły? Na co?

– A bo ja wiem? Na wszystko.

\*\*\*

Głos siostry, który usłyszał w telefonie, rozlał się ciepłem po jego ciele. Nigdy się jej do tego nie przyznał, ale mimo tysięcy różnic pomiędzy nimi i jej często męczącego matczynego tonu, Justyna była dla niego najważniejszą osobą na świecie...

– Gdzie, do diabła, byłeś w święta? – warknęła.

...i właśnie dlatego mówił jej prawie o wszystkim.

– Pyśka – zwrócił się do niej. Zawsze używał tego przezwiska, kiedy brakowało mu argumentów. Nazywał tak siostrę od dziecka, doprowadzając ją tym do szewskiej pasji. Bardzo często była to jego jedyna linia obrony, ale kiedy obydwoje przekroczyli trzydziestkę, najwyraźniej przestało to na nią działać.

Padał śnieg. Karcz szedł lekkim krokiem przez Rynek, co chwila rzucając okiem na wyłączone, ale mimo to imponujące świąteczne iluminacje. Na placu nadal stała ogromna choinka, a za teatrem, mieszczącym się w budynku, w którym kiedyś był ratusz, postawiono wielkiego pawia. Ptaszysko, będące drucianą konstrukcją z multum lampek, przykuwało uwagę wszystkich. Odpalało się, jak wszystkie inne iluminacje, około godziny siedemnastej i jako jedyny obiekt wzbudzało skrajne reakcje. Gimnazjaliści często żartowali, że Legnica to jedyne miasto, w którym można puścić pawia i nikt go nie posprząta; inni

twierdzili, że ptak będzie stał na rynku aż do Wielkanocy, aby znieść świąteczne jaja. Paw jednak nic sobie z tego nie robił i był najczęściej fotografowaną ozdobą w całym mieście.

– Jaja sobie ze mnie robisz, Robert? – zapytała akurat w momencie, w którym Karcz przypomniał sobie słowa ucznia dotyczące pawia i Wielkanocy. Uśmiechnął się mimowolnie. – Kiedy po setnym razie nie odebrałeś telefonu, miałam ochotę przyjechać do Legnicy. Ale pomyślałam: hej, mój brat ma mnie gdzieś.

– Pyśka, wiesz, że to nieprawda – bąknął lekko zmieszany.

– Tak? To dlaczego nie oddzwoniłeś? Czy to jest tak trudne? Robert, to naprawdę nie jest śmieszne. To bardzo przykre. Liczę na szczerą odpowiedź.

Karcz chuchnął w dłoń, w której nie trzymał telefonu. Na dworze było coraz zimniej, z nieba padało coraz więcej białych płatków, a on zaczął żałować, że nie wziął ze sobą czapki i szalika od Zuzy. Obiecał sobie, że nigdy tego śmiesznego pomarańczowo-czerwonego zestawu nie założy, ale warunki pogodowe szybko zmieniły jego nastawienie.

– Szczerą odpowiedź na co? – zapytał po dłuższej chwili.

– Na moje pytanie – wyjaśniła Justyna.

– Dobrze.

– Czy ty znowu wpakowałeś się w jakieś kłopoty? – Jej głos był stanowczy.

– Nie – odparł. – To nie są kłopoty. Po prostu mam dość pracy w szkole i wyjechałem na święta w góry. Pyśka, naprawdę. Chciałem pobyć sam. Musisz mi uwierzyć...

– Wiem, że nie jest ci łatwo się dostosować, ale tak wygląda normalne życie – oznajmiła. – Życie milionów ludzi. Chodzą do pracy, której nie lubią, cieszą się drobnostkami i oddzwaniają do członków rodziny... I spędzają z nimi święta, rozumiesz?

Karcz potrząsnął telefonem, jakby chciał się pozbyć z jego środka czegoś bardzo irytującego albo jakby próbował udusić siostrę, a potem znowu przyłożył go do ucha.

– Rozumiem – odparł rzeczowym tonem.

– Coś jeszcze?

– I przepraszam.

– Nie wierzę ci – oznajmiła lodowatym głosem.

Chciał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

– Robert, jesteś tam?

– Tak, tak, oczywiście. Właśnie spaceruję po mieście.

– Pada u was śnieg?

– Tak. Jest nieźle.

– Chciałbym, żebyś w końcu mnie zrozumiał – płynnie wróciła do tego, co leżało jej na wątrobie. Od kilku lat, jak tylko znikasz na dłuższy czas, to albo muszę odbierać cię ze szpitala, albo wykorzystywać znajomości, których nie chcę i nie powinnam wykorzystywać, żeby cię ściągać z zagranicy i żeby załatwić ci pracę. Chyba nie muszę ci przypominać, dlaczego trafiłeś do Legnicy?

Bo miałaś zdjęcia we Wrocławiu i chciałaś mnie mieć pod ręką, pomyślał. Poza tym Legnica jest blisko rodzinnego domu.

– Naprawdę jestem ci wdzięczny. Ale nie możesz mi tego za każdym razem wypominać.

– Chciałam, żebyś popracował w gimnazjum. Na cholernym zastępstwie. Dwa semestry. Żebyś odpoczął... Chciałam, żebyś się pozbierał.

Parsknął. Chciał jej powiedzieć, że po wystawieniu ostatnich ocen za pierwszy semestr planuje wyjechać, że nauczycielka od polskiego planuje uprzykrzyć mu życie, że od początku był to fatalny pomysł, że on nie potrafi nikogo niczego nauczyć, że się dusi, że zrobił to wyłącznie dla niej, nie dla siebie, że kiedy jej dziękował, to kłamał, że nigdy tego nie chciał, a co gorsze, że pieniądze są śmieszne, że za jeden wyjazd w góry zgarnął więcej, niż mógłby zarobić przez rok pracy w szkole, o ile oczywiście w końcu zapłacą mu całość... Ale znowu, jak zwykle, ugryzł się w język, zamiast powiedzieć prawdę.

– Odpoczywam cały czas – powiedział zamiast tego. – Nudzę się. Jeżeli to miasto miało mi coś do zaoferowania, to prawdopodobnie już tego nie znajdę.

– Powiedz mi, jak współpraca z tym całym Kubkiem? Czy dlatego zniknąłeś na święta?

– Może – odrzekł, zatrzymując się przed wejściem do piekarni. W witrynie wisiały świąteczne dekoracje, włącznie z uśmiechniętą podobizną świętego Mikołaja.

– Czy ten facet naprawdę ma coś wspólnego z Muzeum Narodowym?

– Może – powtórzył.

– Czy ty potrafisz ze mną normalnie rozmawiać? – zdenerwowała się.

– Pyśka, nie wiem, co ci mam powiedzieć... No ma. Powiedział ci, że ma, to ma.

– Potrafiłeś mi opowiadać o tym, że twój rudy uczeń zaczął się zachowywać jeszcze dziwniej niż wcześniej i że unikał cię przez tydzień, a teraz znalazł nowego kolegę. To potrafiłeś mi powiedzieć, ale jak pytam cię o konkrety, to zawsze rzniesz głupa. Nie wiem, co robiłeś w święta. Cholera, do tej pory nie opowiedziałeś mi, jak było w Egipcie. Wiem tylko tyle, że siedziałeś w więzieniu. W więzieniu, rozumiesz? O czym też nie dowiedziałam się od ciebie! Wiesz, jak się z tym czuję? Jestem twoją rodziną, a ty masz to gdzieś.

– Nic nie rozumiesz...

– Rozumiem. Jasne. Schlebilo ci, że wyalienowany chłopak nawiązał z tobą kontakt i zaczął się otwierać. Że wybrał ciebie.

– To nie tak... Nie schlebia mi to.

– A może się dogadujecie, bo jesteście tacy sami? Zastanawiałeś się nad tym?

Karcz wlepił jeszcze przez chwilę wzrok w szyld piekarni. Mało wiedziała, ale gdyby wiedziała, na pewno by tego nie zrozumiała. Dzieciak nie miał ojca, a teraz jeszcze stracił dziadka, dlatego że Karcz postanowił pewnego dnia okraść starego kolekcjonera zabytków, a później utrzcć mu nosa. Nie było słów, które mogłyby to wszystko wyjaśnić.

– Masz kontakt z Olą? – zapytała nagle. – Ona cię kochała, Robert. Może...

– Nie, nie mam.

I jeszcze Ola, pomyślał ze smutkiem i zacisnął pięść tak mocno, że zbielały mu kłykcie.

– Przepraszam. Wiesz, że nie miałam nic złego na myśli – dodała po dłuższym milczeniu. – Wiesz, że mówię to dla twojego dobra. Chciałabym, żebyś się przede mną otwierał i mówił mi o tym, co czujesz.

– Dzieciak jest kosmitą, a kiedy wydaje mi się, że zaczynam go rozumieć, on wykonuje dziwne ruchy.

– On wykonuje ruchy w twoją stronę, Robert. To nie są dziwne ruchy. Ja też je wykonuję. Cały czas. Próbuję.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem.

Milczeli przez chwilę.

– Kto by pomyślał, że będę kiedyś bardziej popularny od ciebie, co? – zażartował.

Justyna po raz pierwszy od początku rozmowy się roześmiała.

– Bardzo za tobą tęsknię – wyznała nagle. – Zależało mi, żebyśmy spędzili trochę czasu razem...

– Odbijemy to sobie – zapewnił ją.

– Kiedy?

– Kiedy tylko będziesz chciała.

– To dobrze – mruknęła z zadowoleniem. – Bo planuję przyjechać do ciebie za tydzień.

– Że co?

Za tydzień planował być już w trasie.

– Przed tobą ostatnie dni pracy, a potem masz dwa tygodnie ferii zimowych. Pojedziemy gdzieś razem. Cieszysz się?

– Tak. Pewnie – bąknął bez przekonania. – Czemu nie... Ale nie byłoby lepiej, gdybym to ja...

– Doskonale! Ale muszę cię też na coś przygotować.

– Na co?

– Nie będę sama...

Karcz się uśmiechnął.

– Też masz psa? – rzucił żartem, ale po drugiej stronie zapadła martwa cisza. Trwała tak długo, że spojrzał na ekran telefonu, żeby się upewnić, czy połączenie nie zostało przerwane.

– Justyna?

– Mam chłopaka – wydusiła z siebie w końcu.

– O.

– I myślę, że tym razem to coś poważnego.

Karcz się zamyślił. Ostatniemu chłopakowi Justyny, którego pamiętał, przedziurawił opony w samochodzie, a jeszcze wcześniej spuścił łomot i wylał na niego wiadro pomyj. Tylko że wtedy byli dziećmi. Nastolatkami. Facetami, którzy pojawiali się w jej życiu później, już tak bardzo się nie przejmował. Pogodził się z tym, że Justyna jest dorosła, a co gorsza, że stała się osobą publiczną. Śliczną buzią z telewizji. Im bardziej on chciał pozostawać w cieniu, tym bardziej ona była znana. Nie dało się spacerować z nią po ulicy, bo zaraz ktoś podchodził, żeby zrobić sobie z nią zdjęcie. Dostać podpis. Dostać cokolwiek. Zabrać kawałek Justyny Karcz ze sobą do domu. Zahartowało ją to i sprawiło, że stała się jeszcze bardziej asertywna, a im więcej granic stawiała i im bardziej dbała o prywatność, tym on był spokojniejszy.

Nigdy nie usłyszał od niej, że związała się z kimś na poważnie. To się jeszcze nie zdarzyło, dlatego nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Co to za facet? – zapytał ostro, przyśpieszając kroku.

– Masz psa? – zdziwiła się.

– Nie zmieniaj tematu. Co to za facet? – powtórzył łagodniej.

Justyna westchnęła.

– Nazywa się Michał, jest zabawny i na pewno się polubicie – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

– Czym się zajmuje?

– Nieruchomościami. Ma firmę deweloperską.

– To miło – rzucił sucho.

– Ale macie wiele wspólnego... On na przykład też lubi samochody.

Karcz się skrzywił.

Bogaty dupek, pomyślał. Chociaż, biorąc pod uwagę środowisko, w jakim się obracała, dziwne by było, gdyby celowała niżej. Mało kto był w jej lidzie.

– Ja lubię tylko jeden samochód – poprawił ją. – Nie będę z nim rozmawiał o motoryzacji. Mogę go ewentualnie poznać z Rudym.

– Robert, ten człowiek jest dla mnie bardzo ważny – upomniała go poważnym tonem.

– Dobrze. Nie ma problemu.

– A o co chodzi z tym psem? – zagadnęła. – Mówiłeś poważnie?

– Niby tak – mruknął. – Przybłąkał się. Szukam mu nowego właściciela. Jest u mnie tylko na jakiś czas.

– Chodzisz z nim na spacer i rzucasz mu piłkę?

– W sumie... – Urwał, uświadamiając sobie, że „w sumie” jest beznadziejnym opiekunem.

– Kocham cię, braciszku – powiedziała nagle, sprawiając, że cała reszta straciła na znaczeniu.

– Ja ciebie też – odpowiedział po chwili.

Bardzo, dodał w myślach.

I obydwójce wiedzieli, że to prawda.

\*\*\*

Lasek Złotoryjski był jednym z najspokojniejszych miejsc w Legnicy. Panowała w nim prawie absolutna cisza. Od czasu do czasu można było natknąć się na ludzi uprawiających jogging albo spacerowiczów z psami, ale poza tym miejsce to sprawiało wrażenie oderwanego od rzeczywistości.

Karcz maszerował z latarką w dłoni, drugą rękę wcisnął głęboko w kieszeń skórzanej kurtki. Śnieg skrzypiał mu pod butami, a zapadający mrok otulał go z każdej strony, zapewniając poczucie komfortu i bezpieczeństwa. Na głowę wcisnął pomarańczową czapkę, twarz owinał szalikiem. Wielki pompon podskakiwał wesoło przy każdym jego ruchu. Na szczęście nikt tego nie widział.

– Hassan! – krzyknął do psa, który biegał pomiędzy drzewami i co chwila łapał do pyska pojedyncze płatki śniegu.

Czy jakkolwiek masz na imię, dodał w myślach.

Spacer sprawiał Karczowi dużo przyjemności. Miał czas na głębsze przemyślenia, bliskość natury sama w sobie nadawała odpowiednią perspektywę.

Co się ze mną dzieje? – zastanawiał się. Skąd ten ciągły niepokój?

Z jednej strony początek roku nie był dla niego najlepszy, w końcu o mały włos nie został zabity gdzieś w górach, ale z drugiej – Kubek dał mu wystarczająco dużo gotówki, żeby mógł się czuć spokojnie. Wystarczająco dużo, ale ogólnie za mało, biorąc pod uwagę początkowe ustalenia.

Zostałem chłopcem na posyłki, pomyślał. Najbardziej w życiu ceniłem niezależność, a wpakowałem się w największe bagno na świecie. Pracę dla polskiego rządu.

– Hassan! – krzyknął znowu.

I jeszcze ten pies.

Nagle przypomniały mu się słowa jego siostry, te o poważnym związku, i przyszło mu do głowy, że posiadanie psa może nie jest takie złe. Zawsze będzie można nim poszczuć narzeczonego z przypadku.

– Co ty na to, piesku? Masz ochotę zagryźć kogoś dla mnie?

Pies podbiegł do niego i obdarzył go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Kiedy weszli głębiej w las, zapadł już zmrok. Karcz świecił sobie pod nogi małą latarką, z którą się od pewnego czasu nie rozstawał ani na moment. Nauczony doświadczeniem oczywiście.

Kilometr od miejsca, w którym się właśnie znajdował, stał gigantyczny i całkowicie opuszczony kompleks szpitalny wybudowany w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Po drugiej wojnie światowej własność Trzeciej Rzeszy została przejęta przez Rosjan i była wykorzystywana aż do 1993 roku. Później szpital popadł w zapomnienie. Otoczono go betonowym murem, zapewniono całodobową ochronę, na jego teren wpuszczono psy, a liczący siedem hektarów obszar zaczął niszczyć, czekając na lepsze czasy i nowego właściciela.

Karcz zwiedzał wnętrza dawnego szpitala wielokrotnie. Dogadywał się z ochroniarzami, wchodził na obiekt i spacerował. Nie on jeden. Szpital był jednym z najbardziej popularnych miejsc wśród tak zwanych poszukiwaczy mocnych wrażeń. Głównie dzieciaków, ale trafiali się również i tacy, którzy mieli ambicje znaleźć coś wartościowego. Jakiś relikw.

Na zamkniętym terenie oprócz części szpitalnej znajdowały się kiedyś basen i sklep spożywczy. Obiekt był imponujący, ale jednocześnie potwornie przygnębiający. Sprawiał wrażenie, jakby został opuszczony z dnia na dzień. W pośpiechu. W każdym z pomieszczeń zachowały się na ścianach instrukcje dotyczące obiektu pisane cyrylicą, a podłogi dosłownie zasłane były starymi dokumentami.

Miejsce miało potencjał, ale dla Karcza bardzo szybko stało się po prostu kolejnym przekreślonym kółkiem na mapie, miejscem, w którego okolice może się co najwyżej wybrać na spacer z psem. I nic nie wskazywało na to, że wydarzy się cokolwiek, co miałyby to zmienić.

Karcza jednak nie interesowały stare monety, papiery czy zdjęcia.

Nie ta liga.

Poświecił latarką na drzewo, w którego korę wrósł drut kolczasty. W otoczeniu szpitala dużo było takich drzew. Zdążył się nauczyć ich położenia na pamięć.

Wziął głęboki wdech.

– Hassan, wrac... – Urwał. Gdzieś w ciemności usłyszał hałas. Ktoś biegł w jego kierunku, dysząc ciężko.



Błyskawicznie wyłączył latarkę i przylgnął do drzewa. Nasłuchiwał.

Wydawało mu się, że słyszy więcej niż jedną osobę.

Ktoś uciekał? A jeśli tak – to przed kim?

Próbował dostrzec Hassana, ale pies zniknął.

Wstrzymał oddech.

Następnym razem musisz być bardziej czujny, upomniał się w myślach. Za stary jesteś na to, żeby pozwalać się zaskakiwać, prawda?

W tym samym momencie runął na ziemię. Ktoś uderzył go w głowę.

Usłyszał jęk. Kroki. Ktoś za kimś biegł. Odgłos uderzenia...

Nie zdążył zareagować. Miał wrażenie, że wpadł do lodowatej wody. Złapał ostatni haust powietrza i zanurzył się w nieprzeniknionej toń.

Na dnie nie było widać gwiazd...

Co się wydarzyło?

Gratuluję, panie Karcz, usłyszał głos gdzieś w głowie. Najgłupszy sposób, żeby zginąć, to wyjść z psem na spacer i dać się napaść niedaleko swojego domu.

## POCZTÓWKA Z PRZESZŁOŚCI

– *Yalla! Yalla!*

Jeszcze żyję, pomyślał, czując lufę dociskaną do potylicy. Dwóch arabskich żołnierzy wyciągnęło go siłą z namiotu i rzuciło na rozgrzany do czerwoności piasek. Piekielne egipskie słońce – bezlitosne za dnia, a nocą zabierające ze sobą każdą odrobinę ciepła. Arabowie krzyczeli coś między sobą, a jedynym człowiekiem oprócz nich, którego Karcz zdążył zauważyć, wypluwając piach, był jego przyjaciel Jan – egiptolog po sześćdziesiątce – machający papierami i krzyczący coś o polskiej ambasadzie w Kairze; mimo sytuacji kryzysowej był niezmiennie sympatyczny i wydawał się jeszcze bardziej nieporadny niż zazwyczaj. Jak dziecko.

– Złodziej! Złodziej! – krzyczał Arab.

Akurat to słowo było czytelne dla Karcza, zajętego jedzeniem piachu.

Zbulwersowany Jan stał gdzieś nad jego głową, gestykulował i zaprzeczał, jakoby ktokolwiek z polskiej ekspedycji archeologicznej był złodziejem. Tak wyglądał początek nieporozumień, który lawinowo miał pociągnąć za sobą cały szereg konsekwencji.

– Niech przestanie do mnie celować – powiedział Karcz. – Powiedz mu, żeby odłożył karabin. Jan! Słyszysz mnie?!

Przyjaciel nie słyszał. Był zajęty dyskusją i pokazywaniem kolejnych dokumentów. Tymczasem z namiotów wychodzili kolejni Polacy i w przerażeniu obserwowali całe zajście.

– Zachowajcie spokój! To zwykłe nieporozumienie! – wołał ktoś.

– Czemu celują do Roberta? Co się dzieje?

Karcz spróbował się podnieść, ale lufa z impetem uderzyła go w potylicę. Syknął z bólu.

– Chodzi o harpun... – Jan próbował na bieżąco tłumaczyć słowa rozjuszonych Arabów. – O bliźniaczy harpun tego znalezionego w Sakkarze przez Polaków...

– Janek – powiedział Karcz, wchodząc mu w słowo. – To są kryminaliści. Złodzieje... Janek! – wrzasnął, żeby przyjaciel w końcu zwrócił na niego uwagę. – To nie są żołnierze, Janek. Spójrz na nich. To przybłędy. Szukają łatwego zarobku. Oni chcą nas okraść. Nie wiedzą, że zabytki są

zabezpieczone... Janek, uciekajcie. Odwróć ich uwagę i po prostu spadajcie stąd. Wezwijcie pomoc...

Próbował nie krzyczeć, ale mówił na tyle stanowczo, że na twarzy Jana i innych uczestników ekspedycji pojawił się cień zrozumienia.

Arab, który do tej pory gorączkowo mówił, spojrzał najpierw na leżącego Karcza, a potem na Jana. Być może chodziło o ton, jakiego użył Robert, a być może o wyraz twarzy kierownika ekspedycji, w każdym razie w oczach Araba pojawił się zimny błysk zrozumienia. Wyciągnął zza pasa rewolwer i strzelił. Jan zwał się na piach jak wór ziemniaków, zupełnie jakby ktoś odciął od niego prąd.

Ludzie zaczęli wrzeszczeć, kilkoro rzuciło się do ucieczki, a Karcz po prostu leżał i czekał na śmierć...

Ale ta nie przyszła.

Arab, który jeszcze przed chwilą mierzył do Roberta z karabinu, upadł tuż obok niego. Miał nieruchome oczy i nie oddychał.

Co się dzieje?

Karcz podniósł się powoli i zachwiał.

A potem padł strzał, który wzniecił chmurę piachu tuż obok jego lewej stopy, i wszyscy już mieli pewność.

\*\*\*

– Mamy tutaj wystarczająco dużo problemów – zwrócił się do niego po angielsku. Słysząc było, że często miał do czynienia z tym językiem, może nawet studiował za granicą.

Karcz siedział skuty przy stole i uśmiechał się cierpko. Tylko tyle mógł zrobić.

Ciemnoskóry policjant poprawił mankiety białej koszuli i nie czekając na reakcję aresztowanego, po prostu kontynuował tym samym gładkim i niewymuszonym angielskim.

– Mamy dużo problemów – powtórzył. – Sytuacja polityczna w naszym kraju nie jest dobra. Z kolei polscy archeolodzy zrobili dla Egiptu wiele dobrego. To prawda. Jak to się mówi po angielsku? „Niezaprzeczalnie”. Tak, tego słowa szukałem. Niezaprzeczalnie polscy archeolodzy zrobili dużo dla Egiptu.

Robert kiwnął głową na znak, że rozumie, ale jedyne, o czym potrafił myśleć, to dźwięk wystrzału i upadający na ziemię Jan.

– Wasz obóz został zaatakowany – powiedział policjant. – To nie jest nasza wina. Nie potrzebujemy kolejnego skandalu.

Karcz znacząco uniósł ręce w kajdankach na wysokość twarzy, pokazując, że do skandalu już doszło i że jako polski obywatel został niesłusznie zamknięty w egipskim areszcie.

Policjant parsknął śmiechem i otarł spocone czoło wierzchem dłoni.

– Ludzie protestują przeciwko prezydentowi Mursiemu. Zaczęły się ataki o podłożu religijnym. Niektórzy postanowili wykorzystać... jakby to powiedzieć?... zamieszanie i zaatakować obóz archeologiczny. Zabytki są dużo warte na czarnym rynku.

– Co to ma ze mną wspólnego? – zapytał po angielsku Karcz.

– Dwóch przestępców miało informacje dotyczące harpuna z Sakkary. Nikt nie wie skąd, ale przyszli po niego... Przyszli po pana. Konkretnie po pana. Wszyscy zeznają to samo. – Wskazał Roberta palcem. – Dlaczego? Co ma pan z tym wspólnego?

– Jestem obywatelem Polski i chcę...

– W Egipcie zachodzą zmiany polityczne. Ludzie zaczynają walczyć z władzą, a także między sobą w imię swoich bogów. Egipt nie jest bezpieczny. Nikt stąd nie wylatuje ani tu nie przylatuje. Nie teraz. Ambasada jest zajęta polskimi turystami, a pan jest ze mną... – urwał i zatoczył dłonią krąg w powietrzu – tutaj. Zostanie pan wypuszczony, kiedy na zewnątrz stanie się bezpieczniej albo kiedy powie mi pan, gdzie jest harpun. Bo wbrew oficjalnej wersji i dokumentacji, którą dostaliśmy od członków ekspedycji, harpun nie został zabezpieczony. Zniknął. Ktoś go ukradł, zanim zainteresowało się nim dwóch... amatorów z karabinami...

Karcz westchnął.

– Nie mam z tym nic wspólnego – wydukał, unikając czujnego spojrzenia policjanta.

– Ludzie zeznali, że kiedy dwóch durniów wpadło do waszego obozu, skierowało się od razu do pana namiotu, wyciągnęło pana ze środka i nazwało złodziejem.

– Pomylili się – odparł kwaśno Robert. – Ja nie...

– Mam inne zdanie na ten temat – przerwał mu policjant. – Podejrzewam, że pan z nimi współpracował, chcąc okraść swoich własnych ludzi, a później zwyczajnie ich oszukał i zabrał harpun dla siebie. Oszukał pan wszystkich.

Karcz znowu próbował zaprotestować, ale rozmówca uciszył go gestem.

– Nie osądzam pana. Mamy czasy postępu... Trzeba myśleć, jak tu się wzbogacić...

– Bzdura – mruknął Robert, czując, jak jego twarz przybiera lodowaty wyraz.

– Nie osądzam pana – powtórzył policjant, pochylił się nad blatem i ściszył głos. – Rozumiem, rozumiem, rozumiem. Możemy się dogadać... – zawiesił głos.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że powie mi pan, gdzie go pan schował, a wyjdzie pan wolno. To będzie nasza tajemnica.

– Nawet nie wiem, o czym rozmawiamy.

Policjant wybuchnął śmiechem. Podniósł się z ociąganiem, ominął stół i złapał Karcza boleśnie za włosy z tyłu głowy.

– To nie są negocjacje – syknął i pochylił się w jego stronę. – Chcesz być zastrzelony przez islamskiego terrorystę? Lubicie to, prawda? To bardzo modne, bardzo. Wierz mi, że nikt nie będzie tęsknił za głupim Polaczkiem. Nie takich jak ty tu mieliśmy...

– To boli.

– Harpun! Gdzie? *Yalla!*

– Boli!

Uderzenie było niespodziewane i na tyle silne, że Karcz boleśnie ugryzł się w język.

– Nie wywieziesz go z kraju – warknął policjant. – Oddasz go mnie albo już nigdy nie zobaczysz światła słonecznego. Już nigdy nie będziesz oddychał świeżym powietrzem. Trafisz do więzienia.

– Nazywam się Robert Karcz, jestem obywatelem Polski. Proszę skontaktować mnie z ambasadą...

Policjant puścił jego włosy i westchnął ciężko.

– Mamy czas – powiedział, a w jego spojrzeniu kryła się groźba. – Mamy tyle czasu, ile będzie pan potrzebował.

Policjant dał komuś znak ręką i nagle dwóch silnych mężczyzn złapało Karcza pod ramiona i zrzuciło z krzesła. Próbował wierzgać, ale dociskali go do podłogi z całej siły. Po chwili poczuł na twarzy mokrą szmatę.

Wiedział, co chcą zrobić. Wiedział, że nie może pozwolić, by zawładnął nim strach.

Gdyby chcieli mnie zabić, zrobiliby to, prawda? – myślał. – Dopóki wiem coś, co chcą wiedzieć, jestem bezpieczny.

A potem zaczęły zalewać go litry wody.

Za pierwszym razem podtapiali go przez kilka minut. Kiedy skończyli, zrozumiał, że był w błędzie. Nie był bezpieczny. Za drugim i kolejnym razem było już tylko gorzej.

Przez kilka kolejnych miesięcy, które spędził w egipskim więzieniu, próbowali jeszcze innych rzeczy. Byli zawzięci. Wiedział, że robią to dlatego, że nigdy już go nie wypuszczą.

Często myślał o swojej siostrze i o tym, jak zawsze prosiła go, żeby nie robił głupot, o zaprzyjaźnionym archeologu Janku, który zaryzykował swoją karierę, żeby dać mu szansę i zabrać go na ekspedycję, za co zapłacił najwyższą cenę,

o swojej narzeczonej Oli, którą porzucił bez słowa wyjaśnienia, i wszystkich innych, których skrzywdził, porzucił albo oszukał na przełomie lat.

    Nie poddał się, ale w końcu uwierzył, że na to zasłużył.

### ROZDZIAŁ 3

## W KTÓRYM POZNAJEMY PANA DEVRAUX

Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny.

Równie dobrze mogło to trwać kilka godzin, jak i kilka sekund.

Leżał pod drzewem, a po twarzy spływała mu krew. Leniwymi strużkami wypływała z za ucha i podążała w okolice lewego oka oraz kącika ust i brody. Pomarańczowa czapka na głowie zmieniała kolor na brunatną czerwień. Nie mógł tego wszystkiego widzieć, ale czuł metaliczny smak w ustach, jakby nałykał się za dużo żelaza.

Po kilku próbach udało mu się wykonać niepewny ruch rękami. Połową twarzy cały czas dotykał zmrożonej ziemi. Pachniała zimą. Pachniała chłodem. Otworzył oko i zobaczył swoją latarkę. Była wyłączona. Sięgnął po nią i nacisnął przycisk. Samotny snop światła zatańczył gdzieś w zaroślach.

Widzę swój oddech, zauważył bezsensownie.

Jak wiele pecha może mieć jeden człowiek? – zastanowił się po chwili.

Cholernie zimno, stwierdził jeszcze później.

Gdzie jest ten cholerny pies? – zadał sobie w myślach pytanie.

Bez względu na to, jak długo tu leżał, musiał wstać i wrócić do domu, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że w nocy może zamarznąć.

A może noc już minęła?

Leżę w lesie i krwawię – dwa kilometry od swojego mieszkania.

Najgłupszy sposób, żeby zginąć. Wyjść na spacer z psem i dać się napaść niedaleko swojego domu.

Z trudem podsunął rękę pod klatkę piersiową i spróbował się podnieść.

Stęknął głośno.

– Twardy z pana sukinsyn – usłyszał niski męski głos. – Ostro pana walnęli.

Karcz tylko się uśmiechnął. Uśmiechnięty, z zakrwawioną twarzą przyciśniętą do ziemi wyglądał groteskowo.

Nieznajomy miał ubrudzone pyłem wojskowe buty, tyle zdążył zarejestrować. Co to za pył? Wyglądał jak budowlany.

– Może się pan ruszyć? Chce pan, żeby zadzwonić po karetkę? A może po policję? – pytał mężczyzna spokojnie.

Karcz wstrzymał na moment oddech i mimo pulsującego bólu głowy podciągnął pod klatkę piersiową drugą rękę. Potem przyszła kolej na nogi.

– Może niech się pan nie podnosi... Mówię poważnie.

Karcz jednak nie posłuchał. Spróbował wstać, ale szybko stracił równowagę i znowu wylądował na ziemi. Przysunął się do drzewa i bardzo ostrożnie oparł głowę o pień.

Tamten miał w ręku dużą latarkę LED, nazywaną potocznie „szperaczem” – potrafiła rozświetlić najciemniejszą noc.

– Jak się pan czuje? – zapytał mężczyzna.

Karcz wykonał gest mający oznaczać „bywało lepiej”.

– Zadzwoń po karetkę?

– Nie, nie, czuję się... rewelacyjnie – wyduśił z siebie Robert, choć w głębi duszy wiedział, że jego siostra wściekłaby się na niego za ten tekst.

Dlaczego w takiej chwili myślę o siostrze? – zastanowił się.

– Która... która godzina? – zapytał.

Mężczyzna się uśmiechnął. Mógł mieć około pięćdziesiątki. Był wielki i sprawiał wrażenie wysportowanego i silnego jak tur, ale dla Karcza w tamtym momencie każdy wyglądałby na silnego.

– Ta sama, o której dostał pan po głowie. Dotarłem do pana zaraz po tym, jak pan upadł. Dzieciaki, niestety, uciekły...

Karcz delikatnie dotknął twarzy, a potem spojrzał na czerwone od krwi opuszki palców.

– Jakie dzieciaki?

Mężczyzna skierował szperacza w prawo, wskazując kierunek.

– Te, które panu przydzwończyły. I które pobiegły tam. – Wskazał kierunek snopem latarki.

– Wyglądały, jakby uciekały...

Mężczyzna zarechotał i sięgnął do kieszeni ciemnego płaszcza po papierosy.

– Poczęstuje się pan? – Wysunął paczkę w kierunku Karcza. – Mentolowe. Trzeba palić, zanim Unia Europejska zabroni i każe palić tylko mocne albo te główniane podgrzewacze.

– Nie, dziękuję. Nie palę.

Mężczyzna wsadził papierosa do ust, zapalił go benzynową zapalniczką Zippo, po czym zamknął ją szybkim ruchem dłoni.

– Nie chcę być niegrzeczny – zaciągnął się i podszedł do dwóch kawałków gałęzi, które najwyraźniej jeszcze jakiś czas temu stanowiły całość, ale rozpadły się w kontakcie z głową Karcza – ale dostał pan po głowie i chociaż piekielnie imponuje mi fakt, że w takiej sytuacji zachował pan poczucie humoru, to jednak wolałbym dostarczyć pana do szpitala. Teraz. Powinien się pan cieszyć, że



drewno było stare i spróchniałe. – Na potwierdzenie swoich słów kopnął jeden z kawałków gałęzi. – Jak się pan czuje? – zapytał ponownie.

– Tak jak wspominałem – wymamrotał Karcz, a każde jego słowo zamieniało się w obłoczek pary. – Czuję się świetnie. Brakuje tylko... dobrej whisky.

Mężczyzna się zaśmiał.

– Z chęcią się kiedyś z panem napiję. – Wymierzył snop światła w Roberta. – Co pan tu robi?

– Słucham?

– Co pan tu robi o tak późnej porze?

– Wyszedłem na spacer z psem.

– A gdzie jest pański pies? – Mężczyzna zaczął oświetlać ziemię dookoła.

– Nie mam pojęcia... – odparł Robert. – Mam go od niedawna.

– Pies z hodowli czy ze schroniska?

– Adoptowany – wyjaśnił Karcz, któremu pytanie wydało się dziwnie niestosowne. – O co... o co panu chodzi?

Mężczyzna rzucił na ziemię niedopałek i przydeptał go grubą podeszwą.

– Nie lubię dupków, którzy kupują psy. Jest za dużo niechcianych psów w schroniskach... Jak się pan nazywa?

– Ja?

Mężczyzna przestał się rozglądać i znowu pochylił się nad Robertem.

– Tak, pan. Jak się pan nazywa?

Karcz oblizał usta i skrzywił się, czując smak krwi. Przypomniał sobie, że otrzymał od Rudego Rajmunda płytę. Nosiła tytuł *Mucha nie siada*. Ta myśl posłużyła mu za odpowiedź.

– Jarek – skłamał. – Jarek Kochanek.

– Ma pan na nazwisko Kochanek?

– Tak. Recepcjonistki w hotelach to uwielbiają – zażartował.

– I jest pan z Legnicy?

– Tak. Jarek Kochanek z Legnicy – mruknął Karcz.

– Brzmi jak żart.

– Często mi to mówią.

– Ma pan ciekawą kurtkę. To ramoneska. Jeździ pan na motorze?

– Nie. Wolę samochody.

– To po cholere panu taka kurtka. Słucha pan rocka?

– Noszę ją, bo uwielbiam, jak ludzie mnie o nią pytają.

Mężczyzna przez chwilę wsłuchiwał się w leśne dźwięki nocy.

– Panie Kochanek, przepraszam, że wypytuję, ale to dosyć niebezpieczna okolica. Poza tym chciałem też pana zająć rozmową i sprawdzić, czy pan kontaktuje. Lepiej się pan czuje? Będzie pan mógł iść?

– Mógł mnie pan po prostu... zapytać o pogodę.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Pogoda jest do dupy – stwierdził. – A pan dostał po łbie i chciałem sprawdzić, czy pamięta pan swoje imię i nazwisko. Będzie pan zdrowy. Twardziel z pana – powtórzył, próbując dodać mu otuchy.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Wyciągnął go, spojrział na ekran i zaklął siarczyście.

– Devraux – rzucił do słuchawki. – Posłuchaj, bachory uciekły... Dzieciaki zwiedzające ruiny... Tak, też działają mi na nerwy. Posłuchaj, jestem w środku lasu. Jeden z tych szukających wrażeń cwaniaczków uderzył w głowę faceta, który wyszedł na spacer z psem. Wszystko z nim w porządku... Zajmę się tym... Dobrze. – Zakończył rozmowę i schował telefon.

– Nazywa się pan Devraux? – zapytał Karcz.

Mężczyzna znowu parsknął śmiechem.

– Pewnie, jasne... Może pan do mnie mówić „panie Devraux”. Bardzo mi miło, panie Kochanek. A może woli pan per Jarek albo Jarecki? Pan wybaczy, ale jest pan młodszy ode mnie, więc pozwalam sobie na żarty.

– Wystarczy, jak będzie pan do mnie mówił „kochanie” – powiedział Karcz i skrzywił usta w uśmiechu. Krew na twarzy zaschła i zamieniła się w pękającą skorupę. Ile razy można dostać po głowie w ciągu kilku tygodni?

– Sukinsyn. – Pokręcił głową Devraux, nie przestając się śmiać. – Jest pan dobry. Ma pan kretyńską czapkę, ale jest już raczej nie do uratowania, więc...

– Całe szczęście. Chodziłem w niej, licząc, że dostanę po łbie i będę mógł ją w końcu wyrzucić. I tak nie pasowała do kurtki.

– Prezent od żony?

– Od byłej teściowej.

Devraux wyszczerzył zęby.

– Czyli można powiedzieć, że nosił pan na głowie tarczę, do której ktoś w końcu strzelił.

– Ostatnio często mi się to zdarza...

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Strzelają do pana?

– Nie. Po prostu bywam w niewłaściwych miejscach o niewłaściwym czasie.

Devraux złapał go pod ramię.

– Spokojnie – stwierdził. – Ważne, że ja byłem we właściwym miejscu i czasie – dodał cicho, a potem jakby nigdy nic postawił Roberta na nogi.

Silny jest, bardzo silny, pomyślał kompletnie zaskoczony Karcz, a potem zaczął iść.

\*\*\*

Kiedy wyszli z lasu na szeroką asfaltową drogę prowadzącą w kierunku Złotoryi, Karcz poruszał się już o własnych siłach. Zakrwawioną czapkę trzymał w ręce, a minę miał skrzywioną, każdy krok sprawiał mu ból i dyskomfort.

– Dopiero teraz zauważyłem plaster chirurgiczny na pana łuku brwiowym – powiedział Devraux, stając po jego prawej stronie z kolejnym papierosem w ustach. Był masywniejszy od Karcza i wyższy o jakieś dziesięć centymetrów.

– O plaster też mnie ostatnio wszyscy pytają...

– Teraz, jak pana pięknie zszyją, będą mieli kolejny powód do pytań. – Devraux się uśmiechnął.

Z uśmiechem było mu do twarzy i nie wiedzieć czemu, skojarzył się Karczowi z wysokiej rangi żołnierzem. Robert przypuszczał, że kobiety muszą topić się na jego widok.

– Tak. – Karcz delikatnie dotknął twarzy. – Chyba po prostu nie mam szczęścia.

– Z takim nazwiskiem chyba nie można nie mieć szczęścia...

– Nazwiskiem?

– Kochanek – wyjaśnił.

Karcz w odpowiedzi skrzywił się jeszcze bardziej.

– Zadzwońię po taksówkę – oznajmił Devraux, wyciągając komórkę. Urządzenie było małe i wciśnięte w grubą wodoszczelną obudowę. Karcz widział już takie telefony. Używali ich albo ludzie przesadnie praktyczni, albo wojskowi. Devraux ze swoją niezachwianą pewnością siebie mógł być nawet generałem. – Pojedziemy do szpitala.

– Nie – zaprotestował Karcz. – Mieszkam niedaleko. Kilka minut spacerem. Dam radę...

Devraux przyglądał mu się przez chwilę.

– Gdzie pan mieszka?

Karcz się zastanowił. Skłamał w kwestii nazwiska, więc tym razem postanowił powiedzieć półprawdę.

– Na Grabskiego. To niedaleko.

– Grabskiego, Kochanek... – Mężczyzna smakował poszczególne słowa. – To tutaj obok, prawda? A może odprowadzić pana do domu?

– Dziękuję, dam radę.

– Nie chcę mieć pana na sumieniu.

– Nie będzie mnie pan miał na sumieniu – zapewnił go Karcz, ale fakt, że wyglądał, jakby stoczył poważną bójkę, wcale nie czynił go przekonującym.

– Dobra. – Devraux ustąpił. – Pana wybór. Proszę na siebie uważać.

– Kim pan jest, panie Devraux? – Robert postanowił wykorzystać ostatnią szansę, żeby wyciągnąć od nieznajomego jakiegokolwiek informację.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– To znaczy?

– Co pan robił w tym lesie?

Devraux się zawahał.

– Pilnuję starego szpitala... Jest pan z Legnicy, więc pewnie pan o nim słyszał.

Karcz, mimo piekielnego bólu głowy, próbował się skupić i wyciągnąć z tej rozmowy jak najwięcej.

– Nie wygląda pan na stróża – stwierdził. – Zresztą nigdy wcześniej pana tutaj nie widziałem.

– Czyżby?

– To małe miasto...

– Tak – przyznał Devraux. – I bardzo przyjemna okolica, nieprawdaż? Człowiek wychodzi z psem i dostaje po łbie. Osoby, która pana zaatakowała, też pan pewnie nigdy wcześniej tutaj nie widział? – zapytał drwiąco.

Karcz nie skomentował jego słów. Był osłabiony i czuł się fatalnie, ale widok przejeżdżających samochodów sprawił, że nabrał pewności siebie.

– Moja firma opiekuje się starym szpitalem – powiedział w końcu tamten. – Ogłoszono przetarg na zakup terenu. Znalazł się kupiec, a ja robię porządek dla nowego właściciela. Jak pozbiera się pan do kupy, zapraszam na herbatę – zaproponował, nie licząc na jakąkolwiek deklarację. – Wystarczy podejść na miejsce i zapytać któregoś z moich ludzi.

– Chętnie skorzystam – odparł Karcz. – Choć nadal sędzę, że nie wygląda pan na stróża...

Devraux się skrzywił.

– Bo nim nie jestem – powiedział. – Jestem stróżem stróżów.

– Ładne.

– Słucham?

– Ładnie powiedziane.

– Za tydzień albo dwa przeczyta pan o wszystkim w mediach. Cierpliwości. Jeśli pan chce, żebym złożył zeznanie na policji, proszę dać mi znać. – Po tych słowach zawrócił w kierunku lasu.

– Wraca pan przez las? – zdziwił się Karcz. – Nie lepiej... Kawałek drogi stąd jest zjazd. – Wskazał kierunek na Złotoryję.

Devraux nawet się nie odwrócił.

– Wiem – rzucił przez ramię. – Idę lasem. Mam latarkę, może znajdę jakieś ślady. Albo pańskiego psa.

– Dziękuję – odpowiedział Robert, ale tamtego już nie było. Zniknął w mroku. – Jest pan Francuzem?! – krzyknął jeszcze za Devrauxem.

– To długa historia – usłyszał przytłumiony głos. – Do zobaczenia, panie Kochanek. O ile naprawdę się pan tak nazywa...

Karcz, słysząc jego ostatnie słowa, wzdrygnął się i lekko kuśtykając, ruszył w kierunku swojego mieszkania.

Głowa nadal piekielnie go bolała, a dodatkowo roiło się w niej od pytań. Kto go uderzył? Kim był pan Devraux? I dlaczego w ogóle powiedział, że nazywa się Kochanek?

Kochanek? Też coś. Najbardziej niedorzeczne nazwisko ze wszystkich możliwych. Prawie tak samo niedorzeczne jak Devraux.

Robert, pilnuj się, upomniał się w myślach. Stajesz się coraz mniej czujny. Najpierw Henryk Maj, a teraz to. Chyba naprawdę czas na wakacje.

Idąc wzdłuż kiepsko oświetlonej asfaltowej drogi, marzył tylko o tym, żeby się położyć. Chociaż na chwilę. Światła przejeżdżających samochodów boleśnie kłuły go w oczy. Mimo że poruszał się z trudem, nikt się nie zatrzymał. Nikt nawet nie zwolnił.

Kilka minut człapania zmęczyło go tak bardzo, że zapragnął usiąść, ale ostatkiem sił powstrzymał się od tego zamiaru. Żałował, że nie skorzystał z oferty pana Devraux. Oczami wyobraźni zobaczył, jak upada w śnieg i znowu traci przytomność.

Jeszcze tylko kilka kroków...

Kiedy mijał pojemniki na śmieci, wrzucił do jednego z nich zakrwawioną czapkę. Przy wejściu do domu, w którym mieszkał, zauważył psa. Hassan siedział przy zamkniętych drzwiach i cały drżał. Na widok Karczka zaczął nieśmiało merdać ogonem, zamiatając świeży, biały puch.

– Najgorszy pies na świecie – westchnął Robert, podchodząc do niego.

Zwierzę wlepiło w niego wystraszone oczy, dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy się poznali.

– Ja ciebie też – powiedział Karcz niechętnie, otworzył drzwi i wpuścił psa.

Wszedł na pierwsze piętro, otworzył drzwi do mieszkania. Hassan wbiegł do środka, a on, trzymając się klamki i próbując nie stracić przytomności, oparł się plecami o ścianę korytarza.

Jestem na miejscu, pomyślał i osunął się na podłogę.

Tylko na moment tu usiądę, pomyślał. Tylko na kilka minut.

Nagle znowu pomyślał o panu Devraux. O jego butach. O pyle. O jego wojskowym telefonie. O ich rozmowie. O szpitalu. O tym, że tak bardzo, bardzo boli go głowa.

Pomyślał o tych wszystkich rzeczach, nie tworząc żadnego łańcuszka skojarzeń i nie czując w tym wszystkim głębszego sensu, a później najzwyczajniej w świecie zamknął oczy.

\*\*\*

Kiedy wysoki mężczyzna wrócił przez las na teren starego szpitala, strażnik pełniący wartę przy bramie aż podskoczył ze strachu.

– Jezu, to pan – wykrztusił. – Co to za chore miejsce... Druty kolczaste na drzewach... Znalazł pan kogoś? To znaczy, znaleźliście? Tam?

Mężczyzna wyłączył latarkę, westchnął i podrapał się po czole. Wydychał duże obłoki pary. Przez chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się nad czymś głęboko, po czym podszedł do stróża i zdzielił go latarką w twarz. Strażnik zawył i gruchnął na ziemię. Mężczyzna złapał go za fraki i bez trudu postawił z powrotem na nogach, a potem pchnął z impetem na bramę wjazdową opuszczonego szpitala.

Stróż kaszlnął kilka razy, z trudem łapał oddech.

Wysoki mężczyzna jakby nigdy nic wsadził do ust mentolowego papierosa i zapalił, po czym zaciągnął się głęboko.

– Jesteśmy tu pierwszy dzień – powiedział. – Potrzebujemy tylko dziesięciu kolejnych dni. Tylko tyle. A ty beztrąsko wpuszczasz na teren jakieś cholerne bachory.

– Ja nie... – wydusił z trudem stróż.

– Zastanów się, po co tu jesteś – przerwał mu mężczyzna. – Zastanów się bardzo poważnie i rano mi powiedz. Jak się do tego nie nadajesz, to pakuj się i zjeżdżaj. Mam dziesięciu na twoje miejsce.

– Do... dobrze...

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni płaszcza telefon.

– Otwórzcie mi bramę – polecił do słuchawki. – I przekazcie kierowcom, że muszą przywieźć sprzęt szybciej... Tak, cały sprzęt...

Skończywszy rozmowę, znowu głęboko się zaciągnął i po chwili wybrał kolejny numer.

– To ja, Devraux – powiedział. – Myślałem, że to miejsce jest na uboczu, a tu się roi od ludzi! Równie dobrze moglibyśmy być w centrum miasta! Tak... Rozumiem, ale musimy zmienić plan. Nie, nie zgadzam się... Porozmawiamy jutro.

Schował telefon i spojrzał na stróża.

– Za dwie godziny zadzwoń na SOR w Legnicy i sprawdź, czy przyjęli tam mężczyznę – mruknął. – Twierdzi, że nazywa się Jarosław Kochanek.

\*\*\*

Obudził go pies. Popiskując cicho, lizał go po twarzy. Karcz z trudem otworzył oczy. Siedział w rozkroku na korytarzu przed otwartymi drzwiami do mieszkania, z psem między nogami. Hassan, przytulając się, najwyraźniej próbował okazać mu jakąś formę troski. Przynajmniej tak można było to zinterpretować. A może po prostu lubił smak zaschniętej krwi?

Gdyby miał opisać, jak minął mu weekend, musiałby używać tej samej retoryki, co przy opisywaniu ostatniego sylwestra i wielu innych sytuacji, przez które kończył poturbowany. Miałem lekki wypadek. To nic takiego. To przypadek. Kolejna skrzynka na listy. Kolejny pechowy zbieg okoliczności.

Musiał w końcu popracować nad jakąś dobrą wymówką. Unikanie rozmów z ludźmi sprawiało, że wokół niego rodziło się zbyt wiele pytań. Ale z drugiej strony – jak mógł to wszystko wyjaśnić? Jak wiele złego może przytrafić się jednej osobie?

Sycząc z bólu jak wąż, Karcz delikatnie dotknął swojej głowy, a następnie spróbował się poruszyć.

– Teraz boli mnie i łeb, i tyłek – powiedział do psa. – Przesuń się. Muszę wstać...

Pies natychmiast się odsunął, a Robert, przytrzymując się ściany, podniósł się i spojrzał w okno na korytarzu. Na dworze świtało i padał gęsty śnieg.

Piątek, dzień jak co dzień, pomyślał. Dostałem po głowie, spałem na dworze, a później tutaj. A teraz, skoro jest sobota, na śniadanie zjem potłuczone szkło i gruz. Tak. To byłoby coś. Wszystko popiję trzema filiżankami smoły.

Był pewien, że gdyby zobaczył go któryś z uczniów, od razu przypięto by mu łątkę człowieka, który nie stroni od alkoholu. No bo coś musiało być na rzeczy, prawda?

Naprawdę musiał popracować nad solidnym wytłumaczeniem.

Przed nim jeszcze wystawianie ostatnich ocen.

Nie mógł się doczekać.

Wszedł do mieszkania, poczekał, aż pies wejdzie za nim, a potem zamknął za sobą drzwi.

\*\*\*

Zuza Nir wysłuchiwała historyjki Karcza z pełną uwagą, a kiedy dotarli do szpitala, usiadła w kącie sali zabiegowej i obserwowała w milczeniu, jak lekarz zszywa mu głowę.

Nie pierwszy już raz.

Wystarczyło, że odebrała telefon i usłyszała: „Cześć, Zuza, nie uwierzysz”, a znowu poczuła dziwne ścisnięcie w gardle. Jak tylko skończył mówić, zamówiła taksówkę i pojechała do niego, żeby zabrać go do szpitala.

Oto najbardziej porąbany nauczyciel z gimnazjum, jakiego nosiła ta ziemia, pomyślała, kiedy go zobaczyła.

Mało powiedzieć, że jej ojciec, wiedząc o tym, byłby niezadowolony.

Byłby wściekły.

– Powinien się pan oszczędzać – powiedział lekarz. – Wyniki rezonansu wykazały blizny... Wie pan, łbem pan muru nie przebije. Choć najwyraźniej sukcesywnie pan próbuje.

Karcz nie skomentował tej uwagi. Wyglądał jak siedem nieszczęść, czuł się niewiele lepiej i nie miał siły na kąśliwe komentarze.

Lekarz dalej się z niego nabijał i generalnie zachowywał tak, jakby nie takie rzeczy już widział w swoim życiu, z czego czerpał wyraźną satysfakcję. Irytował tym Zuzę, która z trudem się powstrzymywała, żeby czegoś nie powiedzieć.

– Wymieniłem panu plaster chirurgiczny na łuku brwiowym. Na głowie ma pan cztery szwy i piękny wygolony placek. Nie jest najgorzej, ale ten rezonans... To są jakieś stare urazy. Pan jest bokserem czy jak? Może pana blond koleżanka mi powie, he?

– Czy ma pan problem z moim kolorem włosów?

– Nie, dziecko. – Lekarz się uśmiechnął. – Mam problem z tym, że obecny tu pan Robert najwyraźniej lekkomyślnie traktuje swój stan zdrowia. A skoro jesteś z nim tutaj, powinnaś o tym wiedzieć... bo jesteście tu razem drugi raz? Trzeci?

– Bardzo panu dziękuję – rzucił Karcz kwaśno.

– Pan pójdzie albo pana koleżanka zaprowadzi pana do rodzinnego, a on panu wypisze zwolnienie z pracy. Powinien pan poleżeć.

Pielęgniarka, która weszła do sali zabiegowej, poświeciła Karczowi latarką po oczach, a następnie boleśnie wyciągnęła mu wenflon z ręki.

– Niech pan trzyma wacik – przykazała i nucąc coś pod nosem, zaczęła zakładać mu opatrunek na pozszywaną głowę.

– No to co? Do widzenia – powiedział lekarz, kiedypielęgniarka zostawiła ich samych. – A może nawet do zobaczenia – dodał i zaśmiał się z własnego żartu.

Karcz uniósł kciuk.

Zuza tylko prychnęła.

– Nie podoba mi się to – warknęła, kiedy znaleźli się na korytarzu.

– Czym ten lekarz cię tak wkurza?

– Bardziej mnie wkurza, że znam cię raptem pół roku i znowu muszę być z tobą w szpitalu... I jeszcze to, co mówił... I te wyniki... Nie podoba mi się to, Robert.



Karcz się uśmiechnął.

– Znam cię pół roku i po raz pierwszy powiedziałaś do mnie „Robert” – zauważył.

Zuza przewróciła oczami.

– O co chodzi z tym całym Devraux? – zapytała.

– Nie wiem.

– Bez kitu?

– Ale się dowiem.

Plasnęła się ręką w czoło.

– Czemu wiedziałam, że to powiesz?

\*\*\*

Zadzwoił po Zuzę z jednego prostego powodu. Nie czuł się najlepiej, co więcej, wizyty w szpitalach nigdy nie należały do jego ulubionej formy spędzania wolnego czasu.

Część badań wykonał profilaktycznie. Za wszystkie zapłacił gotówką. Bardzo dużo. Spędzili w szpitalu kilka godzin, ale przynajmniej czuł, że spełnił swój obowiązek. Zresztą to i tak było lepsze niż czekanie trzy miesiące ze skierowaniem i udawanie, że wszystko jest w porządku.

Wrócili taksówką. Zuza rzuciła tylko swoje: „Ale ty jesteś głupi, Karcz!” i rozstali się pod jego domem. Dziewczyna była autentycznie przejęta, ale Robert odniósł wrażenie, że bardziej irytuje ją fakt, że mało wie o całej sytuacji, aniżeli martwi kolejna blizna na jego głowie. Dlatego oszczędził jej informacji na temat pana Devraux, w ogóle też nie wspomniał o starym szpitalu.

Znał ją. Byłaby gotowa tam pójść, by dowiedzieć się więcej.

Nie tym razem.

W mieszkaniu powitał go pies. Zachowywał się jak najszcześniejsza istota na świecie i najwyraźniej w ogóle nie przeszkadzały mu bandaże na głowie tymczasowego właściciela.

Wróciłeś! Kocham cię! – mówiło jego spojrzenie. – Kocham cię, człowieku! Jesteś piękny, a ja jestem szczęśliwy.

Karcz bez przesadnego entuzjazmu poklepał Hassana po głowie, z trudem zdjął kurtkę i buty, a następnie wszedł do salonu, położył się na kanapie i zasnął. Od razu. Zupełnie jakby ktoś w jego głowie zgasił światło.

Obudził się w niedzielę, po osiemnastu godzinach kamiennego snu. Pies leżał na nim, utrudniając mu oddychanie.

Wystraszone oczy zwierzęcia mówiły: Nie obudziłeś się, więc załatwiłem się w mieszkaniu. Jesteś piękny, człowieku! Kocham cię.

– Chyba żartujesz?! – Karcz sapnął ochryple, widząc puchatą mordę oddaloną o kilka centymetrów od swojej twarzy. – Zejdź! – wychrypiał.

Pies posłusznie zeskoczył na podłogę. Karcz z trudem się podniósł. Opatrunek prawie całkowicie zsunął mu się z głowy, co w połączeniu z rozczochranymi włosami sprawiało, że spokojnie mógłby zagrać rolę w jakimś horrorze.

Przeciągnął się, wstał i dopiero wtedy to zauważył. Kanapa, na której spał, była całkowicie zdewastowana. Białe obicie zostało zdarte ze wszystkich stron, a kawałki materiału i gąbki porozrzucane były po całej podłodze. Gdyby na kanapie nie spał człowiek, pewnie poduszki również dostałyby za swoje.

Hassan siedział w kącie pokoju z opuszczonymi uszami, jakby się zorientował, że postąpił źle. Jakby dopiero teraz dotarło do niego, że ta demolka może się dla niego źle skończyć.

Znowu te wystraszone oczy.

Próbowałem cię obudzić – zdawał się mówić. – Nie chciałeś się obudzić! A ja chciałem, żebyś się obudził. Bo cię kocham.

Karcz przesłonił na chwilę oczy dłonią. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi, a zarazem chciał pozbierać myśli. Naraz jednym ruchem ściągnął z głowy lekko zakrwawiony opatrunek i znowu rozejrzał się po salonie.

– Już wiem, co robiłeś w górach – powiedział do psa. – Ktoś cię tam wywiózł i uciekł.

Ponownie spojrzał na zniszczony mebel i strzępy różnych materiałów, które wały się dosłownie wszędzie.

Czuję się i wyglądam jak ta kanapa, dodał w myślach.

\*\*\*

W poniedziałek rano zjadł na śniadanie cztery jajka i trzy aspiryny i pojechał do pracy. Miał silny ból głowy, ale nie nosił już opatrunku. Nie chciał zwracać na siebie zbędnej uwagi.

W drodze do szkoły ułożył sobie w myślach plan działania, który zakładał ponowne spotkanie z panem Devraux, i to jeszcze tego samego dnia. Najpierw jednak musiał poudawać nauczyciela i wystawić resztę ocen.

Pięć dni do ferii, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Ściskając w dłoni kluczyki od macha 1, wyminął grupy uczniów oblegające wejście do budynku, przywitał się z panią Krysią i zaszedł do sklepiku szkolnego po kawę. Kiedy dotarł do pokoju nauczycielskiego, był już w połowie kubka i właśnie sięgał do kieszeni po opakowanie z aspiryną...

– Panie Robercie Karcz – usłyszał głos za plecami i aż przeszedł go dreszcz. – Chciałabym, żeby udał się pan ze mną do gabinetu dyrekcji.

Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Teresy Cichej.

– Słucham?

– Zapraszam pana do gabinetu dyrekcji na spotkanie – powtórzyła.

Była z siebie bardzo zadowolona. Uśmiechała się, a uśmiech ten sprawiał, że wyglądała nienaturalnie, znać było, że mięśnie jej twarzy nie są nauczone tej konkretnej miny. Przez chwilę myślał, że może to ona zaczęła się na niego w lesie i przywaliła mu w łeb. To byłoby nawet prawdopodobne.

– Za dwie minuty zaczynam lekcję – oznajmił i wskazał kubkiem z kawą drzwi do sali.

– Uczniowie na pana poczekają. Zapraszam – powiedziała po raz kolejny i nie czekając na Karcza, ruszyła w stronę dyrektorskiego gabinetu. Zupełnie jakby nie chciała iść z Robertem ramię w ramię. Jakby się bała, że ktokolwiek mógłby zacząć ich ze sobą kojarzyć. – Proszę za mną – dodała przez ramię.

Karcz się zawahał, po czym zaklął cicho, połknął tabletkę aspiryny, popił ją kawą i szybkim krokiem poszedł za polonistką.

Czego może chcieć? – zastanawiał się i doszedł do wniosku, że ten poniedziałkowy poranek nie mógł zacząć się gorzej.

Na schodach prowadzących na pierwsze piętro wpadł na bibliotekarza.

– Jezu – sapnął, łapiąc drobnego mężczyznę w ramiona. – Spokojnie... – Chciał zwrócić się do niego per „panie Szczur”, ale na szczęście w samą porę się powstrzymał.

Bibliotekarz zbladł jak ściana.

– Pa... panie Robercie – wydukał.

Karcz się uśmiechnął, posłał mu niewidzące spojrzenie i poklepał go po ramieniu.

– Nie mam czasu – powiedział. – Idę do dyrektora.

– Pa...nie Robercie.

– Przyjdę do pana później – dodał uprzejmym tonem. Ominął bibliotekarza i zaczął iść na piętro, przeskakując po dwa stopnie.

– Panie Robercie! – Szczur nie dawał za wygraną.

Karcz, lekko zniecierpliwiony, odwrócił się i dopiero wtedy to zauważył. Tamten był wyraźnie wystraszony.

Mów, człowieku, ponaglił go w myślach.

– Panie Robercie... To ja pana uderzyłem...

Karcz zamrugał. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Co takiego?

Szczur nerwowo zakrył usta dłonią.

– To ja... byłem wtedy w lesie – wyznał cicho.

## ROZDZIAŁ 4

# W KTÓRYM KAR CZ TRACI CIERPLIWOŚĆ

Gabinet dyrektora udekorowany był pucharami i trofeami sportowymi uczniów, a sam dyrektor, korpulentny, wbity w przyciasny garnitur, sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Zupełnie jakby osobiście wywalczył każde z tych trofeów, zdobywając każdy punkt i strzelając każdego gola. Co ciekawe, nie miało znaczenia, że sam nie wyglądał jak sportowiec.

Karcz uświadomił sobie, że mimo kilku miesięcy spędzonych w szkole nie pamięta jego nazwiska.

– Witam państwa serdecznie – powiedział dyrektor Jak-mu-tam, zajmując miejsce za biurkiem i poprawiając guziki zapiętej marynarki. – Miło mi, że państwo zjawili się tak szybko... Jak święta, panie Robercie? Jak się czuje pana piękna i utalentowana siostra? Cały czas oglądam jej programy. Dzwoniłem do niej ostatnio, ale nie odbiera...

Karcz tylko się uśmiechnął. Dyrektor miał wyraźną słabość do celebrytów. Lubił ich. Czasami można było odnieść wrażenie, że w jego mniemaniu szkoła stała się bardziej prestiżowa z powodu znanej siostry Karczka.

Teresa Cicha z pewnością tak nie uważała. Przerwała dyrektorowi przydługi wstęp, ostentacyjnie chrząkając.

– Panie dyrektorze – powiedziała poważnym, rzeczowym tonem, który zarazem zabrzmiał tak, jakby po „panie dyrektorze” dodała w domyśle „skończony idioto”. – Zebraliśmy się tutaj, żeby poruszyć pewien ważny temat. Mówię tu o korozji wyzerającej cały system szkolnictwa od środka.

Karcz przewrócił oczami. Pomyślał, że musiał w tym momencie wyglądać dokładnie jak Zuza Nir.

– Tak, tak, oczywiście – przyznał dyrektor, nerwowo pocierając dłonie. – Panie Robercie, miło mi, że pan dołączył... Pani Teresa... przepraszam, pani profesor Cicha wyraziła pewne obawy, dotyczące... eee...

– Dotyczące? – ponaglił go Karcz i zerknął w kierunku profesor Cichej, która siedziała po jego prawej stronie.

Kobieta ewidentnie nie chciała patrzeć na nauczyciela historii. Zamiast tego piorunowała spojrzaniem siedzącego za biurkiem dyrektora.

Niech to się już skończy, pomyślał Karcz. Mam lepsze rzeczy do roboty. Na przykład pogadanie ze Szczurem, który mocno go przed chwilą zaskoczył.

– No tak, tak, tak... To na pewno pomyłka, i to dość zabawna, ale doszły mnie słuchy... To znaczy, słyszałem o pewnej kwestii... a jak pan wie, nasze gimnazjum cieszy się samymi pozytywnymi opiniami i niezachwianą pozycją w mieście... – plątał się dyrektor.

Dopóki jeszcze istnieją gimnazja, dodał w myślach Karcz i nerwowo poruszył się na swoim miejscu.

– Co się stało panu w oko? – Dyrektor rozpaczliwie próbował zmienić temat. – Chciałem pana zapytać już po sylwestrze, ale mijaliśmy się na korytarzu... Wszystko dobrze?

– Panie dyrektorze! – zaprotestowała profesor Cicha i wypięła pierś.

Zupełnie jak w skeczu Monty Pythona, pomyślał zażenowany Karcz. To nie wróży nic dobrego.

– Szanowni państwo – odezwał się w końcu, zerkając to na dyrektora, to na profesor Cichą. – Mógłbym wiedzieć, w jakim celu się spotkaliśmy?

– No cóż... chodzi tylko o wyjaśnienie pewnej plotki – odpowiedział dyrektor niechętnie. Temat najwyraźniej był dla niego trudny i już sama myśl o nim powodowała dyskomfort. Dla człowieka, który świetnie się czuje we własnej skórze, musiało to być podwójnie uciążliwe. – Przejdźmy od razu do rzeczy i będą mogli państwo wrócić na zajęcia. Otóż...

– Czy pan bierze łąpówki, panie Karcz? – wypaliła nagle Cicha, a jej pytanie sprawiło, że obydwaj mężczyźni przestali oddychać.

Mina dyrektora mówiła: no, to stało się. Gównno trafiło w wentylator.

Mina Karczka wskazywała na coś wręcz zupełnie innego.

– Tak... no cóż... – mruknął dyrektor. – Jestem pewien, że to nieporozumienie...

Chciał coś dodać, ale Teresa Cicha spojrzała na niego w taki sposób, że od razu zamknął usta.

Karcz milczał. Po raz pierwszy, odkąd wszedł do gabinetu dyrektora, skierowane były na niego dwie pary oczu. Czekali na jego reakcję. Tej jednak nie było. Karcz po prostu siedział nieruchomo, jakby zatrzymał się czas.

– Pytacie mnie, czy biorę łąpówki? – zapytał w końcu.

– Tak – mruknął dyrektor.

– Tak – dodała Cicha bardziej stanowczo. Skoro miała już Karczka w garści, zamierzała go wycisnąć jak cytrynę. – Tak, właśnie o to pytamy.

Robert po bardzo długiej chwili nabrał powietrza w płuca i westchnął.

– Nie, nie biorę łąpówek – odpowiedział, a potem uśmiechnął się nieprzyjemnie i spojrzał Teresie Cichej prosto w oczy. Przez kilka sekund

mierzyl się spojrzeniem. O dziwo to kobieta pierwsza spuściła wzrok. – Czy to wystarczy?

– Tak, tak – odpowiedział szybko dyrektor, próbując rozładować sytuację. – Po prostu musieliśmy to wyjaśnić. Taka moja rola...

– Nie – syknęła profesor Cicha. – To nie wystarczy. W zeszłym tygodniu widziałam, jak pan Robert Karcz przy tylnym wyjściu ze szkoły przyjmował kopertę z pieniędzmi od mężczyzny w garniturze. Odbyli krótką rozmowę, a później wyszli na zewnątrz. Tamten mężczyzna był najpewniej rodzicem, a pieniądze miały załatwić jednemu z uczniów wyższą ocenę z historii. Chciałam tylko zauważyć, że kiedy historii uczyła pani Ania, takie sytuacje nie miały miejsca.

Karcz ukrył twarz w jednej dłoni, a drugą sięgnął do kieszeni po kolejną aspirynę. Wsadził tabletkę do ust i rozgryzł. Była nieprzyjemnie kwaśna.

Kubek, ty durniu, pomyślał.

– To nie była łapówka – oznajmił, próbując ukryć rozbawienie. – To był mój znajomy.

– Czyżby? – zapytała Cicha. – Nie wyglądał na pana znajomego. Z całym szacunkiem nie pasujecie panowie do siebie...

Karcz przyjrzał się kobiecie i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– O co pani chodzi? O moją kurtkę? Samochód? Czy może o fakt, że moja siostra pracuje w niewłaściwej telewizji?

– Miejsce, gdzie pracuje pana siostra, z trudem można nazwać telewizją.

Dyrektor Jak-mu-tam wyraźnie się zapowietrzył. Karcz w pierwszym odruchu chciał podejść do niego i poklepać go po plecach, ale ostatecznie stwierdził, że jest mu obojętne, czy ten napęcznieje jak balon i odleci.

– Pani Tereso – upomniał polonistkę dyrektor. – My tu rozmawiamy o poważnych sprawach, a nie o pani preferencjach telewizyjnych.

Cicha najwyraźniej nie spodziewała się strofowania ze strony przełożonego. Jej usta zamieniły się w niewidoczną kreskę. Spojrzała na dyrektora z wyraźnym niesmakiem.

– Szanowni państwo. – Karcz nadal próbował ukryć uśmiech. – Spotkałem się wówczas ze znajomym, Tomaszem Kubkiem. Gwarantuję, że nie ma dzieci, a nawet gdyby miał, to żadne nie chodziłoby do tej szkoły, bo to warszawiak. Czy macie jakiegokolwiek podstawy, żeby przypuszczać, że wziąłem pieniądze za wystawienie oceny? Jakiś dowód?

– Nie, nie, nie – zaprotestował Jak-mu-tam. – Oczywiście, że nie. Pani Cicha przyszła do mnie z tematem, a ja jako dyrektor musiałem tę sprawę wyjaśnić...

– Czy macie jakiegokolwiek podstawy, żeby uznać, że mój znajomy to rodzic któregoś z uczniów? Czy możecie to udowodnić?

– Nie będę się zniżać to tego poziomu – wycedziła polonistka z nieprzyjemnym uśmiechem. – To pan powinien się tłumaczyć. Ile pan wziął?

– Słucham?

– Ile pan wziął?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Cicha najwyraźniej naprawdę liczyła na to, że podciągnie fakty do swojej teorii, że zapędzi go w kozi róg i sprawi, że puści farbę.

– Proszę powiedzieć prawdę – naciskała.

– Dobrze – odparł Karcz. – To mój adoptowany syn.

– Pan sobie żartuje. A to poważna sprawa.

Robert milczał.

– Chcę zobaczyć jakiegokolwiek dowody na to, że mówi pani prawdę – powiedział w końcu. – Coś więcej niż pani przypuszczenia. Inaczej marnujemy czas.

– Panie Robercie Karcz! – podniosła głos. – Może w swoich wyobrazeniach jest pan nieskazitelny i być może czuje się pan jak ofiara, ale prawda jest taka, że to wszystko pana wina! Ta cała sytuacja jest spowodowana pańskim zachowaniem i przez pański sposób bycia. Proszę na siebie spojrzeć! Wygląda pan jak menel...

Dyrektor Jak-mu-tam nerwowo poruszył się w swoim fotelu.

– Pani Tereso, niech pani trzyma nerwy na wodzy – upomniał ją po raz kolejny.

Karcz nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. Odszukał w kieszeni kluczyki do samochodu i zacisnął na nich palce tak mocno, że aż poczuł ból.

– Zdaje sobie pani sprawę – zaczął powoli – że cała ta pani niechęć i te oskarżenia w moim kierunku... że one są karalne?

Cicha, oburzona, spojrzała na dyrektora, szukając u niego wsparcia. Rozczarowała się. Mężczyzna wyglądał tak, jakby właśnie usłyszał, że spłonął mu dom. Sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

– To jedna z najbardziej nieprzyjemnych sytuacji, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła – powiedział Karcz i się podniósł. – I do państwa informacji, jeżeli naprawdę musicie wiedzieć: kiedy potrzebuję gotówki, dzwonię do siostry.

– Panie Robercie! – Dyrektor również wstał. – Bardzo pana przepraszam, ale takie sytuacje należy wyjaśniać w zamkniętym gronie. O nic nie został pan oskarżony... To po prostu pomyłka. My... Ja nie chciałem pana zdenerwować!

Karcz przyglądał im się przez moment.

– Pani Cicha uważa, że nie nadaję się na nauczyciela i nie pasuję do wystroju szkoły. Daje mi to do zrozumienia od kilku miesięcy. Przykro mi, że musieliśmy osiągnąć takie dno.

– Panie Robercie, niech pan usiądzie...

– Przykro mi – powtórzył Karcz – ale chyba mam dość. Pani Tereso – zwrócił się w końcu bezpośrednio do polonistki – wygrała pani. Mam nadzieję, że kolejny nauczyciel będzie godzien tego, żeby oddychać tym samym powietrzem, co pani – dodał i wyszedł z gabinetu.

Słyszał głos dyrektora, słyszał, że za nim wołał.

Nie robiło mu to już żadnej różnicy.

Żegnaj, szkoło!

Oczami wyobraźni widział podły uśmiech Teresy Cichej i przez chwilę miał ochotę zawrócić i dalej mówić, ale jednak opanował się.

Zanim się zorientował, był przed szkołą. W końcu miał pretekst. W pewnym sensie nawet był im wdzięczny.

– Żegnam, pani Krysiu – powiedział do Superwoźnej, posyłając jej szczery uśmiech, a potem wsiadł do mustanga i odjechał.

\*\*\*

Uczniowie, którzy właśnie mieli mieć lekcję historii z panem Karczem, wisieli w oknie klasy i obserwowali parking dla nauczycieli.

– Ty, on chyba już nie wróci – stwierdził jeden z najwyższych uczniów w grupie lekko przestraszonym głosem. Pozostali spojrzeli na niego ze zdziwieniem. – No serio. Patrzcie, odjechał... Chyba był wściekły!

– Człowieku, on mi oceny nie wystawił! – jęknął chłopak ogolony na języka. Był wyraźnie zmartwiony. – Starzy mnie zabiją. Co im powiem? Że nauczyciel zwiął? Dzisiaj była ostatnia szansa...

– Nie, no, chyba wróci. Tak nie można...

– Koleś uciekł!

– I tak długo wytrzymał!

\*\*\*

Diabełek Obama stojący na tapicerce kołysał głową z zadowoleniem, a Karcz po prostu wrzucał kolejne biegi i powstrzymywał się, żeby nie docisnąć gazu do dechy. Wziął kilka głębszych oddechów, ale Obama wyraźnie zachęcał go do łamania przepisów drogowych. Szeptał, żeby przyśpieszył. Żeby dał się ponieść.

Szukałeś tylko pretekstu, żeby rzucić pracę, prawda? I tak byś to zrobił, ale teraz dali ci rozwiązanie na tacy.

Nie potrzebujesz jej. Znowu jesteś w formie i znowu zaczęłeś zarabiać. Nie potrzebujesz tego. Męczysz się tam. Udajesz kogoś, kim nie jesteś, i spędzasz czas z ludźmi, których nie lubisz.



– Co za baba – westchnął, myśląc o Teresie Cichej, i uderzył otwartą dłonią w kierownicę. – No, nie do wiary.

Wyświadczyli ci przysługę. Dali ci pretekst.

Ale...

...to jednak nie jest takie proste, prawda? Nie możesz tak po prostu wyjść i już nigdy tam nie wrócić. To nie jest takie proste. Zacząłeś pracę w szkole, bo musiałeś przeczekać. Bo musiałeś z czegoś żyć. Potrzebowałeś pomocy. Pół roku temu nie podejrzewałeś, że tak szybko wrócisz do gry.

Pomyśl o swojej siostrze. Pożyczyła ci pieniądze, załatwiła mieszkanie i pracę, a ty nie potrafisz wytrzymać niespełna roku. A przecież obiecałeś jej, że wytrzymasz na zastępstwie dwa semestry.

Jeden się kończy. Drugi potrwa jeszcze chwilę. I będziesz wolny.

Nagle przypomniał sobie o Szczurze. O wyrazie twarzy bibliotekarza, kiedy powiedział, że to on zaatakował go w lesie niedaleko starego radzieckiego szpitala.

Karcz zjechał na pobocze i szarpnął za ręczny, wprowadzając samochód w lekki poślizg. Mach 1 mruczał wyczekująco, a Robert próbował pozbierać myśli.

– Najważniejsze to nie dać się sprowokować – powiedział sam do siebie. – Nie dać się sprowokować...

Posądzenie o wzięcie łapówki to jedno, ale musiał porozmawiać ze Szczurem. Musiał wrócić do szkoły.

Niech to szlag!

\*\*\*

Kiedy Karcz wjechał na szkolny parking, pierwsza lekcja była już w połowie. Wbiegł do szkoły, rozpinając kurtkę. Po drodze rzucił do Superwoźnej szybko:

– Dzień dobry, pani Krysiu.

– Mój Boże – sapnęła kobieta. – Panie Robercie, co się dzieje?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo już pędził schodami na pierwsze piętro. Minął sekretariat i wpadł do gabinetu dyrektora.

Teresa Cicha była tam jeszcze i kiedy go zobaczyła, omal nie zemdląła.

– Zmieniłem zdanie – powiedział Karcz, lekko dysząc. – Zostaję.

Dyrektor Jak-mu-tam klasnął w dłonie i uśmiechnął się szeroko.

– Panie Robercie...

– Panie dyrektorze – Karcz nie dał mu dokończyć – sytuacja wygląda następująco. – Zarówno dyrektor, jak i Teresa Cicha wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani. – Pani profesor mnie nie znosi – wyjaśnił Karcz, a kobieta aż

prychnęła z pogardą. Uniósł wskazujący palec, nie pozwalając sobie przerwać. – Próbowałem przejść nad tym do porządku dziennego, ale nie potrafię.

– Pan chyba śni! – oburzyła się Cicha.

– Pani profesor, cała szkoła szumi od plotek na pani temat. Pan dyrektor też na pewno coś słyszał.

Dyrektor kaszlnął.

– No ja... w pewnym sensie... no tak, coś słyszałem...

Twarz Teresy Cichej wydłużyła się tak karykaturalnie, jakby żuchwa wypadła jej z zawiasów.

– Ta sytuacja, choć żenująca, musi zostać wyjaśniona – ciągnął Karcz.

Polonistka znowu prychnęła, ale dyrektor był wyraźnie oczarowany wejściem i przemową Karcza. Oto objawił mu się nowy człowiek.

– Proszę, aby zaczęli państwo szukać nauczyciela na moje miejsce. Jestem już tym wszystkim zmęczony i nie życzę sobie wiercenia mi dziury w brzuchu. Gdybym do państwa nie wrócił, pani profesor Cicha twierdziłaby, że miała rację, a nie dam jej tej satysfakcji. To nie koniec. Jeżeli będę miał teraz podły humor, pani Cicha stwierdzi, że mam wyrzuty sumienia, a jeżeli zignoruję zaistniałą sytuację, powie, że jestem pyszny, dumny i bezkarny. Sami państwo widzą, że to bardzo kłopotliwa sytuacja.

– I co teraz? – zapytał dyrektor.

– Powiedziałem już: szukajcie nowego nauczyciela historii – powtórzył z niezachwianą pewnością siebie. – Moja siostra przyjeżdża w tym tygodniu do Legnicy i na pewno z chęcią usłyszy o całej sytuacji i wyspanych z palca oskarżeniach.

– Justyna Karcz będzie w Legnicy? To cudownie! – zawołał dyrektor. – Jestem prawie pewien, że spotkanie powinno mieć charakter towarzyski. Wyczerpaliśmy ten niedorzeczny temat i nie widzę sensu, żeby do niego wracać. Myślę, że pani profesor Cicha zgodzi się ze mną...

Polonistka bez słowa przyglądała swoją nienaganną fryzurę i spojrzała na nich, jakby rozważała podwójne seryjne morderstwo, a następnie, chwiejąc się lekko, podniosła się z krzesła.

– To nie koniec – zapowiedziała Karczowi i wyszła z gabinetu.

Karcz przyglądał się dyrektorowi, kiedy odprowadzał wzrokiem panią profesor. Po chwili ich spojrzenia się spotkały.

– Panie Robercie, przepraszam, ale wolałem to wyjaśnić... – zaczął zakłopotany.

Nagle Karcz poczuł silne znużenie. Miał wrażenie, że wszystkie słowa, które niedawno wypowiedział, były absolutnym maksimum jego możliwości. Westchnął.

– Chciałbym pójść na lekcję. Mam oceny do wystawienia – zakomunikował. Dyrektor Jak-mu-tam podszedł do niego i lekko objął go ramieniem.

– Przepraszam za całą sytuację. Niech pan pozdrowi panią Justynę i mam nadzieję, że widzimy się w tygodniu na jakiejś pysznej kawce...

– Pewnie.

– Nie jest pan zły?

– Nie.

– Ja wiedziałem, że to bzdury, ale wie pan, jaka jest profesor Cicha... – Dyrektor ściszył głos. – Nie zdawałem sobie sprawy, że sytuacja między wami jest taka napięta, ale musimy z tym żyć. Nie ma wyjścia. Musimy być twardzi!

\*\*\*

Dyrektor w zadumie długo wpatrywał się w zamknięte drzwi gabinetu. W końcu poprawił mankiety koszuli i nacisnął przycisk stojącego na biurku interkomu. Urządzenie było bardzo stare, kojarzyło mu się ze starymi filmami z Seanem Connerym. Za każdym razem, kiedy naciskał przycisk, miał ochotę powiedzieć: „Zapraszam na słówko, panno Money Penny”.

Kiedy sekretarka zajrzała do gabinetu, gestem zaprosił ją do środka.

– Pani Asiu – zwrócił się do niej konspiracyjnym szeptem – czy pani wiedziała, że profesor Cicha jest taka kochliwa?

\*\*\*

Karcz czuł uderzenia gorąca. Bał się, że aspiryna zamieni w końcu jego krew w wodę, ale ból głowy nie ustępował, więc połknął kolejne dwie tabletki. Zajrzał do pokoju nauczycielskiego, wziął dziennik, zostawił skórzaną kurtkę i poszedł do klasy. Zostało kilka minut do dzwonka.

Nic mnie już dzisiaj nie zaskoczy, pomyślał i wszedł do sali, w której miał mieć lekcje. Zobaczył sporą grupę uczennic i uczniów, którzy najpierw wpatrywali się w niego, jakby zobaczyli ducha, a po chwili zaczęli krzyczeć, gwizdać i wiwatować.

– Wrócił pan! – krzyknął ktoś.

Kilku chłopaków z ostatnich ławek zerwało się z miejsc i ustawiło w rzędzie pod tablicą.

Karcz przyglądał się temu wszystkiemu w osłupieniu.

– Co się dzieje? – próbował przekrzyczeć rozwrzeszczany tłum. – Zwariowaliście?

– Nie – powiedział stojący najbliżej niego chłopak. – Baliśmy się, że pan wsiadł w samochód i zostawił nas bez wystawionych ocen...

– Co?

– Widzieliśmy, jak pan odjeżdża, i żeśmy się wystraszyli, że skończymy z pałami na semestr. Rodzice by nas zamordowali. Nikt by nie uwierzył...

– Ale... – Karcz urwał, rozglądając się po klasie.

– Sam pan mówił, że dzisiaj jest ostatnia szansa. Zesraliśmy się ze strachu!

– Hej! – Robert pogroził mu placem. – Bez takich tekstów na moich lekcjach.

– Przepraszam, panie psorze...

Karcz się uśmiechnął, ominął chłopaków, próbując gestem wolnej ręki uspokoić rozradowaną klasę, po czym usiadł za biurkiem.

– Proszę pana... – Usłyszał głos uczennicy zajmującej miejsce w pierwszej ławce.

– Tak?

– A co się panu znowu stało? Znowu się pan gdzieś uderzył? Ma pan ranę z tyłu głowy...

Reszta uczniów natychmiast zaczęła szeptać między sobą na temat nowych szwów na głowie nauczyciela.

– Cóż... Czekałem, aż zadacie mi to pytanie...

Robert Karcz, nauczyciel, pomyślał i przez bardzo krótką chwilę wydało mu się to całkiem przyjemne.

\*\*\*

Piotr Szczurzyński miał pecha. Ze wszystkich osób, którym mógł przywalić, trafił akurat na nauczyciela ze szkoły, w której dopiero co sam zaczął pracę. Dwójka najbliższych i jedynych przyjaciół przekonywała go, żeby się nie przyznawał, ale po prostu nie mógł tego tak zostawić. Przez cały weekend myślał o Robercie Karczu i o tym, czy aby nie zrobił mu krzywdy.

Spanikował. Nic więcej.

Piotr w zasadzie brzydził się przemocą. To była samoobrona.

Uciekali przez las, zobaczył w mroku przyczajoną sylwetkę i po prostu uderzył z całej siły gałęzią znaną po drodze.

Kiedy się zorientował, że to przypadkowa osoba, było już za późno. Boże, ta idiotyczna pomarańczowa czapka... Mógł się domyślić, że ktoś w takiej czapce nie może stanowić zagrożenia. A gdy się okazało, że właśnie znokautował nauczyciela historii, замуrowało go.

Pamiętał, że przyjaciele musieli po niego wrócić i zmusić go, żeby biegł dalej.

– Ten facet... on... – dukał wtedy, z trudem łapiąc oddech. – To facet z mojej szkoły...

Nie chcieli tego słuchać. Twierdzili, że zrobił to, co musiał zrobić.

Ochrona starego, opuszczonego szpitala była uzbrojona po zęby, a to, co tam robili, nie miało nic wspólnego z doglądaniem budynków grożących zawaleniem. Kto wie, co mogłoby się stać, gdyby ich dopadli?

A później, w poniedziałek rano, zobaczył Karcza. W skórzanej kurtce, sprawiającego wrażenie nieobecnego, z wyuczonym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Tydzień pracy w szkole wystarczył, by się zorientować, że dzieciaki uwielbiają go za ten uśmiech. No i jeszcze ten samochód...

W pierwszej chwili pomyślał, że może jednak to nie był on. Że w Lasku Złotoryjskim trafił na kogoś innego. Ale potem minęli się na schodach i zobaczył szwy na jego głowie.

Musiał mu powiedzieć. Nie mógł udawać, że nic się nie stało. Sumienie nie pozwoliłoby mu normalnie funkcjonować.

Do tego ten chłopak, Rajmund. Opowiadał o Karczu, jakby był najcudowniejszą istotą stąpającą po ziemi.

Tylko że teraz Szczurzyński bał się konsekwencji. Bał się policji.

Siedział w bibliotece jak na szpilkach. Skręcało go w żołądku i miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. A kiedy pod koniec dnia pojawił się Karcz we własnej osobie, Piotr wiedział, że będzie już tylko gorzej.

Karcz przysiadł na jednym z bibliotecznym stołów, które służyły do odrabiania lekcji.

– To prawdopodobnie mój najgorszy dzień od bardzo, bardzo dawna – oznajmił bez wyraźnego powodu.

Piotr kiwnął kilka razy głową. Doskonale rozumiał, co to znaczy mieć najgorszy dzień.

– Znasz może profesor Teresę Cichą? – zapytał Karcz.

– Przykro mi – odparł Szczurzyński. – Wiem, która to, ale nie znam jej osobiście.

Robert się zamyślił.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka – stwierdził i rozsiadł się na stole. Delikatnie dotknął szwów na głowie. Sprawiał wrażenie, jakby nie rozmawiał z bibliotekarzem, a z własnymi myślami. Z jakimś wewnętrznym głosem, który nie dawał mu spokoju. – Mów – rzekł w końcu. Brzmiał łagodnie, ale w jego głosie czaiła się groźba. – Powiedz mi wszystko, co masz do powiedzenia...

Szczurzyński chrząknął nerwowo, a potem zaczął mówić.

\*\*\*

Robert Karcz zaproponował bibliotekarzowi, że odwiezie go do domu. W drodze zatrzymali się na stacji benzynowej. Karcz zatankował do pełna i kupił dwa

batoniki białkowe. Gdy wrócił do samochodu, rzucił jednym z batonów w Szczurę.

– Dzięki. – Bibliotekarz się uśmiechnął.

Karcz ściągnął papierek i połowa batonika od razu znalazła się w jego ustach. Był głodny, a nic nie wskazywało na to, że w ciągu najbliższych kilku godzin zje normalny posiłek.

Nie miał na to czasu.

– Dziękuję, że nie zadzwonił pan na policję – powiedział Szczur, kiedy znowu ruszyli.

– Okej – rzekł Karcz z pełnymi ustami, wrzucając trzeci bieg i zmieniając pas, przez co wcisnął pasażera w fotel. – Liczę na coś więcej, bo jak dotąd nic mi nie powiedziałeś...

– Jak to? – zdziwił się Szczurzyński i ścisnął baton, jakby chciał go udusić.

Karcz przełknął.

– No, powiedziałeś tylko tyle, że ze znajomymi łazicie po opuszczonych budynkach...

– Uprawiamy urbex – wyjaśnił Szczur. – *Urban exploration*.

Karcz zerknął na niego.

– Bardzo fajnie – mruknął. – Robicie zdjęcia, kręcicie filmy, opisujecie swoje przygody, tak?

Bibliotekarz kiwnął głową.

– Niech pan nas znajdzie na Facebooku. Będzie pan dokładnie wiedział, jak to wygląda.

– Muszę?

– Nie, ale... byłoby miło. W końcu jest pan archeologiem. Rajmund dużo mi o panu opowiadał...

– Mów mi Robert – zaproponował Karcz.

– Piotr. – Szczur ponownie się uśmiechnął. – Jest nas szóstka – zaczął opowiadać. – Działamy dwa lata. Wszystko mamy w miarę poukładane. Jak człowiek się tym interesuje... Wow! Ten klimat i to uczucie, kiedy zwiedza się opuszczone budynki. Zapomniane przez ludzi i Boga. To coś niesamowitego. Niektóre z tych miejsc wyglądają, jakby zatrzymał się tam czas. A w Legnicy... Ludzie chodzą ulicami i nie zdają sobie sprawy, że otacza ich prawdziwa historia.

– Będiesz to jadł? – zapytał Karcz i wskazał na batona w dłoni Piotra.

– Eee... co? Nie.

– Otwórz mi go i podaj mi butelkę wody.

Karcz wziął batonika i ugryzł go.

– Chodziło mi o to – kontynuował Szczur – że wszędzie można znaleźć niesamowite miejsca i setki fantów. Nie wiem, czy kojarzysz, Robert, pewnie

nie... Niedaleko dworca znajdowała się stara mleczarnia...

Karcz się uśmiechnął.

– Słyszałem.

– Tak. No i ją wyburzono. Kilka miesięcy temu. I gruz dalej tam leży. Słuchaj, poczułem się, jakby kogoś zamordowano. Ten budynek... Bezsensowne wyburzanie... Ja tego nie rozumiem.

– Woda – powiedział Karcz.

– Co?

– Prosiłem, żebyś mi podał wodę. Powinna leżeć pomiędzy twoimi nogami.

Szczur się schylił i sięgnął po wodę w szklanej butelce.

– Słyszałem o gościach, którzy znaleźli tam na ścianach malowidła – mówił dalej bibliotekarz. – Podobno jacyś pasjonaci historii. I wtedy zaczęliśmy się starać jeszcze bardziej. My. Szabrownicy. Taką mamy nazwę. Postanowiliśmy kręcić filmy z wypraw. Zarchiwizować wszystko, co się da, zanim będzie za późno.

– No dobrze, człowieku z misją – zażartował Karcz. – A jak od archiwizowania przechodzi się do atakowania pałką kolegów z pracy?

– Mówiłem panu... to znaczy, mówiłem ci...

– Gdzie mieszkasz dokładnie? – przerwał mu Robert.

– Traugutta, obok parku. Te stare niemieckie kamienice.

Karcz znowu się uśmiechnął.

– Słuchaj... – westchnął Szczur. – Ten stary radziecki szpital to prawdziwa klasyka, jeżeli chodzi o *urban exploration*. Przez lata był całkowicie zapomniany, a od jakiegoś czasu, kiedy pojawiły się artykuły w internecie, interesuje się nim coraz więcej osób.

– No dobrze. I co dalej?

– No i byliśmy tam z pięć razy. Wybraliśmy się tam też w piątek wieczorem...

– Czemu wieczorem? – zdziwił się Karcz. – Takie rzeczy powinno się robić rano albo w dzień. Co chcieliście tam zobaczyć wieczorem albo w nocy?

– Chodziło o film. Chcieliśmy nakręcić film w piwnicach szpitala i chcieliśmy, żeby...

– Żeby?

– Żeby był klimat – odpowiedział lekko zakłopotany Szczurzyński, chociaż wyraźnie chciał sprawiać wrażenie, że to, co mówi, to najbardziej oczywista kwestia na świecie.

– I co dalej? – zapytał Karcz.

– Weszliśmy na teren obiektu, byliśmy w trójkę: ja, mój kolega i koleżanka. Mieliśmy ze sobą sprzęt do nagrywania... Ale okazało się, że nie jesteśmy tam sami. To znaczy, zawsze i tak jest tam stróż, ale tym razem byli też inni... –

Urwał i wskazał miejsce do zaparkowania. – Tutaj będzie dobrze – powiedział. – Tutaj mieszkam.

Karcz zobaczył piękną, chociaż obdrapaną kamienicę, oszpeconą najeżonymi wszędzie antenami satelitarnymi i kablami. Zaparkował i upił łyk wody. Zaszło mu w ustach, jakby to on ciągle gadał, a nie bibliotekarz.

Tymczasem Szczur wziął głęboki wdech i wrócił do przerwanej opowieści.

– Chodziło mi o to, że byli tam ludzie. Wyglądali jak... Nie wiem, jak to opisać... Były tam dwie przyczepy, rozłożyli wielki wojskowy namiot, rozstawili lampy gazowe i jakiś sprzęt elektroniczny...

– Ilu ich było? – drążył Karcz.

– Łącznie ze strażnikiem przy bramie... nie wiem, nie tak wielu. Kilka osób. Może siedem. Wystraszyliśmy się. Nie tak to miało wyglądać... Usłyszeliśmy ich rozmowę o tym, że do dwóch tygodni powinno być po sprawie, więc zaczęliśmy nasłuchiwać, o czym mówią. Ciężko to wytłumaczyć...

– I co dalej?

– I wtedy nas zauważyli, a jeden z tych koleś wyciągnął broń. Wszyscy byli ubrani identycznie, wojskowe buty, wojskowe spodnie, czarne czapki... Wiem, o czym mówię, bo mój brat uwielbia ASG...

– ASG? – przerwał bibliotekarzowi Karcz.

– No... Air Soft Gun, czyli repliki broni palnej... A ci goście wyglądali, jakby brali udział w jakimś spotkaniu miłośników ASG. No wiesz, jakby udawali wojskowych i bawili się w „zdobądź bazę”. Był tam też taki jeden, starszy, w płaszczu. Najprawdopodobniej ich szef. Jezu, jak ten człowiek spojrzał mi w oczy, to prawie narobiłem w spodnie...

Devraux, pomyślał Karcz.

– Facet wyciągnął broń – powtórzył Szczur. – Więc zaczęliśmy uciekać w popłochu. Przeszliśmy przez pęknięcie w betonowym murze, który otacza cały szpital. Ale on już tam był. Ten stary facet, znaczy. Gdybyś go zobaczył... W ułamku sekundy dopadł szczeliny i niemal się przez nią przebił...

– Miał broń?

– Tak. Ten sukinsyn miał pistolet...

– Ale nie strzelił.

– Nie – przyznał Szczurzyński. – Wyglądało to tak, jakby oceniał, z kim ma do czynienia. Uciekliśmy do lasu, okrążyliśmy szpital. Byłem przerażony. Złapałem gałąź, żeby się w razie czego bronić. Myślałem, że wypluję płuca. Że umrę. Ten sukinsyn biegł za mną jak jakiś dzik. Bez zatrzymania. I wtedy zobaczyłem sylwetkę czającą się za drzewem, no to niewiele myśląc, uderzyłem. I wtedy zobaczyłem ciebie... w tej czapce z pomponem...



– Ha! – rzucił Karcz z lekkim rozbawieniem. – A szkoda. Uwielbiałem tę czapkę...

– No tak... Ciężko opisać, jak się poczułem, kiedy cię rozpoznałem. Jakbym znokautował Świętego Mikołaja. I wtedy zacząłem biec dalej...

– Włamaliście się na teren prywatny – zauważył Karcz. – Nic wam nie zrobili, ale w rezultacie ty zrobiłeś coś mnie. Kiepsko wygląda to wasze szabrowanie.

Szczur się zjeżył.

– Nie nasze, tylko moje! – podniósł głos. – Wszystko, co wydarzyło się w piątek, to był mój pomysł. Poza tym z tym wchodzeniem na cudzy teren to też niezupełnie jest tak. Te wszystkie zapomniane budynki... Ludzie przypominają sobie o nich tylko wtedy, kiedy im to pasuje. Gdyby nie tacy szaleńcy jak ja...

– Szaleńcy? – zakpił Karcz.

– Tak. Tacy jak ja i moi znajomi, prawdopodobnie o większości z tych miejsc nikt by nigdy nie usłyszał. Wszyscy mają wszystko gdzieś, a później na prawo i lewo rzuca się tekstami w stylu „teren prywatny” – podsumował wzburzony.

– Posłuchaj...

– Jest jeszcze coś – przerwał Karczowi Szczur. – Opowiem panu... to znaczy ci! Opowiem ci... Może wejdiesz na chwilę?

Karcz spojrział na ekran telefonu. SMS od siostry.

– Nie mam czasu – odrzekł. – Powiedz mi teraz.

– Pamiętasz, jak się spotkaliśmy w bibliotece po raz pierwszy? Był tam Rajmund...

– Tak.

– Bo widzisz, moi znajomi podchodzą do tego sceptycznie, ale ja wiem, że na wyciągnięcie ręki są naprawdę duże rzeczy. I myślę, że taka rzecz jest w tym radzieckim szpitalu. Rzecz, której na pierwszy rzut oka nie widać.

Na twarzy Karcza pojawił się cień.

– To znaczy?

Szczur się zamyślił.

– Rajmund mi o panu opowiadał – powiedział w końcu. – Rozumie pan... to znaczy rozumiesz? Że tak naprawdę nie jesteś nauczycielem, tylko archeologiem, że on ci trochę pomaga i tak dalej... I w zasadzie sam do mnie przyszedł. Dowiedział się z internetu, że łązę po budynkach. I powiedział, że chciałby znaleźć dla ciebie zagadkę do rozwiązania, żebyś został.

– Że co? – Karcz zmarszczył brwi. Rudy Rajmund, nie licząc noworocznego spotkania przy garażu, unikał go jak ognia. Stwierdzenie, że szukał dla niego zagadki, było niemałym zaskoczeniem. Co to w ogóle miało znaczyć? – Żebym... został?

– Nie wiem, nie wnika, ten dzieciak mało mówi. Chodziło mu o jakiś temat, zagadkę historyczną... Więc zacząłem mu opowiadać o złocie Wrocławia. Szacuje się, że chodzi o trzysta ton złota. W roku 1944 Prezydium Policji w Breslau wydało odezwę skierowaną do ludności cywilnej. Zobowiązano wszystkich do deponowania kosztowności oraz zasobów pieniężnych we wrocławskich bankach. W 1945 roku, na przełomie kwietnia i maja, Niemcy zaczęli wywozić wszystko na Zachód. Część odnaleźli komuniści, część Amerykanie, a większość zaginęła... Niemcy wywozili pieniądze z banków, z depozytów... Chcieli je ratować. Wszystko miało zostać zwrócone, a po prostu zniknęło. Zacząłem ci o tym opowiadać przy pierwszym spotkaniu, pamiętasz? Tylko nie miałeś czasu...

– Tak. Pamiętam.

– No więc nie wiadomo dokładnie, jak wywieziono to złoto z Wrocławia. Mówi się o Złotym Pociągu...

– Biorąc pod uwagę niemiecką sieć kolei, to prawdopodobne – przyznał Karcz i zamyślił się.

– Tak, ale ja uważam, że transport był rozdzielony na kilka partii. Tylko skończeni idioci przewoziliby wszystko jednym transportem. Uważam, że były tam też ciężarówki. Zapomina się o oczywistych rzeczach.

– Właśnie opowiadasz mi legendę – zauważył Karcz.

– Nie – zaprotestował Szczur. – Zagadkę. Ciężarówki miały o wiele większe możliwości manewru i wymagały zaangażowania mniejszej liczby ludzi. Transport podobno dotarł na Przedgórze Sudeckie, a tam został skierowany do specjalnych tuneli. Do sztolni. Naziści mieli fioła na punkcie bezpieczeństwa. W sztolniach skrzynie zostały rozładowane, a wejścia zasypane bądź wysadzone. Ba! Mogli zostawić w nich całe ciężarówki. Minimum osób, minimum świadków. Rozumiesz?

– Do czego zmierzasz?

– Chodzi mi o to – tłumaczył Szczurzyński, a na jego policzkach pojawiły się rumieńce – że wszyscy mówią o tym samym. Ciągle. O okolicach Książa, o Karkonoszach, o nazistowskim kompleksie Riese...

– System bunkrów i tuneli, tak? – dopytał Karcz.

– Tak. I zrozumi, wszyscy powtarzają te same informacje. Mówi się o przesłuchaniach Herberta Kloze. Tego gościa, co podobno uczestniczył w całej akcji. Tylko że wszyscy powiązani ze sprawą albo zostali zabici, albo umarli.

– Wiem.

– Więc wszyscy mówią to samo, ale ja myślę, że Niemcy doskonale wiedzieli, że Książ wcześniej czy później padnie łupem komunistów. Niemcy byli mistrzami dezinformacji. Więc zastanawiam się, dlaczego Złoty Konwój miał nie

zatrzymać się w Legnicy? Kierunek się zgadza. Liegnitz było bardzo ważnym miastem w czasie wojny, a nawet dużo później, kiedy przejęli je Rosjanie.

Karcz spojrział na diabła Obamę. Ten tylko pokiwał głową, jakby chciał uświadomić mu, że to wszystko prawda i że jak będzie wystarczająco cierpliwy, to się okaże, że w Legnicy są również Święty Graal i Arka Przymierza.

Mruknął z niezadowoleniem.

– Rozumiem twoją fascynację historią. Też złapałem bakcyła, jak się pojawiłem w Legnicy, chociaż temat drugiej wojny światowej nigdy nie był moim konikiem. Bliżej mi do starożytnego Egiptu, ale rozumiem. Rosyjska okupacja, wcześniej Niemcy... To wszystko rodzi setki pytań. Można znaleźć interesujące rzeczy, dokumenty. Dosłownie leżą na ziemi, ale...

– Nie! – zaprotestował Szczur. – Nie mów tak! Wszyscy mówią, że to bzdura. Zaraz zapytasz, czy mam jakiś dowód.

Karcz podniósł kciuk, dając mu do zrozumienia, że trafił w dziesiątkę.

Bibliotekarz westchnął

– Sam powiedziałaś, że to legenda. Historia przeszła przez tysiące ust. Były o tym filmy, książki, a nawet idiotyczny serial... Tylko dlaczego to nie miałyby być prawda? Legnica jest idealnym punktem. Lokalizacja się zgadza...

– Ale o czym teraz właściwie rozmawiamy? – zapytał Robert.

– O tym, że... że tą lokalizacją może być stary szpital. To wszystko się łączy w całość. Mam takie przeczucie...

Karcz szukał w odmętach pamięci imienia bibliotekarza i kiedy je w końcu znalazł, rzucił krótkie i mocne:

– Piotr!

Ale niestety nie udało się przerwać jego słowotoku.

– Moi znajomi też mi nie dowierzają... Ale zastanów się!

– Piotr! – powtórzył.

– Ci ludzie, ta wzmocniona ochrona... Jest jeszcze coś.

– Co?

– Numer na ścianie budynku. Ukryty. Wygląda jak...

– Jak co?

– Jak numer rejestracyjny – wyszeptał w końcu. – Zrobiłem mu zdjęcie. Numer znajduje się od wewnątrz, pomiędzy dwiema częściami budynku. To wygląda dziwnie. Posłuchaj. Wiem, że to zabrzmiało niedorzecznie, ale... pod Legnicą są podobno stare tunele. Kolega mojego dziadka je pamięta, a teraz wszyscy udają, że tunele nie istnieją, że nie ma żadnych schronów pod miastem.

Karcz postukał nerwowo palcami w kierownicę.

– Piotr, porozmawiamy jutro w szkole, dobra? Doskonale rozumiem, że chcesz... coś znaleźć. Coś więcej. Znam to uczucie, naprawdę. Ale nie szukaj

złoty gór tam, gdzie ich nie ma.

– Pokażę ci jutro wszystkie informacje, które zebrałem. Jesteś archeologiem... Rajmund mówił, że na pewno się tym zainteresujesz. Dlaczego olewasz coś tak oczywistego? Możemy coś znaleźć. Myślałem, że... że razem... No wiesz, kiedy Rajmund do mnie przyszedł, pomyślałem, że może poznam w końcu kogoś takiego jak ja. Że zrobię coś więcej niż tylko kilka zdjęć w miejscach, gdzie nawet bezdomni nie chcą spać. Ja...

Karcz spojrział na niego znacząco.

Piotr Szczurzyński zwany Szczurem chrząknął, odpiął pas i wysiadł z samochodu.

– Nie interesuje cię, kim są ci faceci? – zapytał jeszcze, kładąc rękę na dachu samochodu i zaglądając przez drzwi. W jego głosie była wyraźna pretensja. Jakby zorientował się, że za bardzo się uzewnętrzniał. Naraził na śmieszność. Że nic nie poszło po jego myśli. Jego zdeterminowana mina jednak świadczyła o tym, że jest gotów walczyć o swoje racje. Tylko po co? W imię czego? – Chodzi mi o tych na terenie szpitala. Nie chcesz wiedzieć, co tam robią? Dlaczego teraz, a nie na wiosnę?

– Nie interesuje mnie to – skłamał Karcz. – Poza tym...

Sam nie wiedział, co chciał mu powiedzieć. Że powinien ochłonąć? Że od jego trajkotania jeszcze bardziej rozboleła go głowa, choć nie sądził, że będzie to w ogóle możliwe?

– Czyli jesteś po prostu sztywniakiem lansującym się na samochód, tak? – zapytał Szczur, nadal podpierając się o dach.

– Tak – przyznał Karcz z miną, jakby drugi raz dostał w głowę. – Jestem sztywniakiem w mustangu, a ty jesteś bibliotekarzem, który myśli, że jest Indianą Jonesem. Gdybyś nie pamiętał, to kosztowało mnie to kilka szwów, więc módl się, żebym nie zgłosił cię na policję.

Szczur zbladł.

– Z tego, co wiem – kontynuował Karcz, próbując zachować opanowany ton – ogłoszono przetarg na stary szpital. Został sprzedany. Goście, których spotkaliście, włamując się na ten teren, to podwykonawcy nowego właściciela. Dziwisz się, że przegonili was, gdzie pieprz rośnie? Gdzie tu masz zagadkę? Każdy bezdomny może tam wejść. Każdy dzieciak z aparatem. Sam powiedziałaś, że byliście tam kilka razy...

Sam tam byłem kilka razy, dodał w myślach.

Szczurzyński nerwowo potarł czoło.

– Ogłoszono przetarg – przyznał. – Na prawie sześć milionów. To prawda. Wiem o tym. Wszyscy wiedzą. Ale szpital nie został sprzedany.

Karcz zastrzygł uszami.

– Co?

– Nie został sprzedany. Nie ma nowego właściciela. A wiem to, bo mój ojciec pracuje w urzędzie miasta. Dlaczego w takim razie nagle, na początku stycznia, zrobiło się tam tak tłoczno? Dlaczego zaczęli go pilnować jak obiektu wojskowego?

– Bo to prywatny teren? – zapytał retorycznie Robert. – I mogą na nim robić, co chcą? A co twój tata sądzi na ten temat?

– Rozmawiałem z ojcem, kazał mi się nie wtrącać. To podobno prywatny obiekt, a ja histeryzuję.

Karcz znowu uniósł kciuk.

– Pozdrów tatę.

– Nie chciałem być niemiły – powiedział nagle bibliotekarz. – Naprawdę. Przepraszam cię za wszystko... Przyjdiesz jutro do biblioteki? Błagam.

Legnica i ich biblioteki.

– Piotr – zwrócił się do niego. – Nie ma żadnej zagadki.

– Czy porozmawiamy jutro? – zapytał Szczurzyński.

– Idę dzisiaj z psem na spacer – oświadczył tylko Karcz i postukał się palcem po głowie. – Wolałbym cię nie spotkać. – Odpalił silnik. – Weź łapę – poleciał i przygazował, a mach 1 zaryczał.

Szczur, lekko wystraszony, wycofał się na chodnik. Wsadził ręce głęboko do kieszeni i zaklął.

Spieprzyłem to, pomyślał. Wyszedłem na czubka.

\*\*\*

Zaczęło się ściemniać, a z nieba leniwie prószył śnieg. Karcz zatrzymał się przed wejściem do domu, szukając w kieszeniach kluczy.

– Witam serdecznie sąsiada. – Mężczyzna mieszkający obok uśmiechnął się szeroko na widok Karczka i głęboko zaciągnął papierosem. Miał na sobie krótkie spodnie i zmechacone kapcie, zupełnie niepasujące do warunków pogodowych. Najwyraźniej było mu zimno, bo ponownie się zaciągnął, tak łąpczywie, jakby próbował się ogrzać od żarzącej się końcówki papierosa. – Ile pali takie auto?

– Do osiemnastu litrów...

Twarz mężczyzny się wydłużyła.

– Jezu!

– Wiem, czasami też tak myślę... Nie za ciepło panu? – zapytał Robert, zmieniając temat.

– Ach – westchnął sąsiad. – Chodzi panu o spodenki? Wiem, wiem, wiem. Próbuję rzucić palenie i za wszelką cenę staram się zniechęcić, ale to trudniejsze, niż pan myśli...

– Nie zniechęca się pan mimo mrozu?

– Nie bardzo – odparł sąsiad. Zaciągnął się ostatni raz i wrzucił niedopałek do wiaderka z wodą. – Nazywam się Cezary.

– Robert.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Miło mi pana powitać w naszych skromnych progach. Wynajmuje pan mieszkanie od pani Ani czy je pan kupił?

– Wynajmuję – odparł Karcz i od razu pomyślał o „monitoringu sąsiedzkim”. Wszyscy wszystko wiedzą. – Pozwoli pan...

– Ależ tak, wejdźmy do środka, bo sam zaraz zamarznię. Jak pan mnie kiedyś znajdzie sinego, leżącego w śniegu z papierosem przymarzniętym do ust, to niech mnie pan wepchnie na korytarz. – Zaśmiał się.

– Tak zrobię.

– Mogę zapytać, czym się pan zajmuje? Patrząc po samochodzie, jest pan... zawodowym kierowcą? – zażartował, ale żart ten był podszyty sugestią, że być może właśnie trafił w dziesiątkę.

– Niestety, nie. Jestem nauczycielem historii.

Pan Cezary zachichotał.

– A niech mnie! – zawołał, po czym zamyślił się głęboko, zupełnie jakby zapomniał, że stoi na klatce schodowej w kapciach i krótkich spodenkach. – Grzebanie w przeszłości nigdy nie było moją dobrą stroną – rzekł w końcu. – Ale widzę, że pan raczej nie narzeka na nudę – dodał i wskazał plaster na skroni Karcza. – Z tyłu głowy też widzę, że pana szyli...

– Trenuję boks – powiedział Robert. A zaraz potem pomyślał, że mężczyzna musiał widzieć go, kiedy z rozbitą głową spał na korytarzu w piątkową noc. Że próbuje wy badać, czy lokator nie będzie sprawiał kłopotów. – Do zobaczenia.

– Ma pan psa? – zapytał tamten niespodziewanie. – Inni sąsiedzi mówili, że ma pan psa...

Karcz się odwrócił i znowu pomyślał o „monitoringu sąsiedzkim”. O tych wszystkich informacjach, które przekazywane są z ust do ust przez wścibskich mieszkańców. O Hassanie zlizującym mu zaschniętą krew z twarzy...

– Ostatnio wszyscy mnie o to pytają.

– W ogóle nie szczeka – stwierdził pan Cezary.

Karcz przyglądał mu się przez moment, zastanawiając się, o co tak naprawdę mu chodzi, ale sąsiad tylko się uśmiechnął i powiedział:

– Pies to podobno najlepszy przyjaciel człowieka.

– Jestem tu nowy. – Karcz zmienił temat, podejmując decyzję, żeby zasięgnąć języka. – W Lasku Złotoryjskim jest stary opuszczony szpital...

– Tak, to prawda.

– Podobno został sprzedany. Słyszał pan coś o tym?

– Znając nasze szczęście, wybudują supermarket – zauważył ponuro pan Cezary.

– Ale słyszał pan coś o tym?

Mężczyzna się zamyślił.

– Jestem pewien, że ma tych samych właścicieli – odparł po chwili. – Poważnie. Cholera jasna wie, co oni tam planowali, ale interes nie wyszedł. Nie dziwię się, że wystawili na sprzedaż. Tam jest bodajże z szesnastu właścicieli.

Karcz skinął głową i ruszył po schodach do swojego mieszkania, zostawiając pana Cezarego sam na sam z jego uśmiechem i parą znoszonych kapci.

– Panie Robercie! – usłyszał głos sąsiada, kiedy przekręcał klucz w zamku.

– Tak?! – odrzyknął.

– Byli tu jacyś dziwni ludzie...

– Tak?

– Szukali jakiegoś Jarosława Kochanka...

Karcz zamarł. Cofnął się kilka kroków i spojrzał w dół schodów. Pan Cezary dalej tam stał.

– Szukali Jarka Kochanka – powtórzył sąsiad. – Nie wyglądali na zbyt sympatycznych, wie pan... Było ich dwóch.

– Tak?

– No tak, tak – mruknął Cezary. – A co zabawne, ten cały Kochanek podobno ma psa...

– Mam nadzieję, że go znajdą – powiedział Karcz i zerknął przez okno na zaparkowanego macha 1. Pomyślał, że chyba najwyższa pora zaprowadzić samochód do garażu.

– No tak, tak. Ma psa i szwy na głowie...

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– No ale – pan Cezary się uśmiechnął – ja nikogo pasującego do tego opisu tutaj nie znam.

Karcz nie spuszczał z niego wzroku, zastanawiając się, ile ten przejaw sąsiedzkiej sympatii będzie go kosztował.

– Ja też nie znam – skłamał.

Cezary wzruszył ramionami. – Tak że tego... Mamy to wyjaśnione. Niech się sąsiad nie martwi, jak znowu ktoś zapyta, będę się trzymał tej wersji.

Karcz parsknął śmiechem i uniósł w górę kciuk.

– Dzięki.

\*\*\*

Hassan siedział na fotelu pasażera i wpatrywał się w Karcza, jakby próbował zrozumieć, co człowiek planuje. Kiedy zjechali z ulicy w leśną drogę, samochód wpadł w lekki poślizg, pies nie wyglądał jednak na zaniepokojonego.

Po niecałych dwóch minutach Karcz zatrzymał się niedaleko bramy wjazdowej do starego opuszczonego szpitala. Wsiadł z samochodu, odetchnął głęboko, a potem okrążył go i otworzył drzwi od strony pasażera. Hassan wyskoczył prosto w biały puch.

– Nie zawieź mnie – szepnął do niego Karcz. – Chociaż raz bądź psem.

Zamknął drzwi i znowu okrążył samochód. Tym razem otworzył bagażnik.

Kilka szybkich spojrzeń na bramę i mur dało mu do zrozumienia, że zaszły pewne zmiany. Po obu stronach bramy pojawiły się małe kamery umieszczone na prętach. Drogi sprzęt – działał zarówno w dzień, jak i w nocy. Karcz znał go aż za dobrze.

– Co pan tu robi? – usłyszał głos zza ogrodzenia. – To teren prywatny.

Zerknął znad otwartego bagażnika na stróża i pomachał mu.

Ponownie pochylił głowę. W bagażniku leżała duża torba, a w niej klasyczny podstawowy zestaw. Od lat w zasadzie niezmienny. Czarna kominiarka, biała pałka teleskopowa, paralizator, gaz pieprzowy, linka, uprząż do wspinaczki i kilka innych gadżetów.

Wyłącznie legalny sprzęt.

Sięgnął po paralizator i schował go do kieszeni skórzanej kurtki. Do ręki wziął dużą kauczukową piłkę. Zamknął bagażnik i pomachał nią do stróża.

– Przywiozłem psa – wyjaśnił Karcz, robiąc kilka kroków w kierunku bramy. – Krótki spacer po lesie i polanie. Zostawię tu samochód. Nigdy wcześniej nie było z tym problemu – skłamał gładko.

Stróż przyjrzał mu się i po chwili uśmiechnął lekko.

– Dobra. Nie ma problemu.

– Dzięki – odparł Karcz. Odwrócił się, szukając wzrokiem Hassana. Pies, warcząc jak wściekły, zrywał wielkimi płacami korę z pobliskiego drzewa.

Niech to szlag, pomyślał Robert.

– Uroczy piesek – mruknął stróż. – Skąd go pan wytrzasnął? Z zoo?

– Hassan! – krzyknął Karcz. – Chodź tu!

Ale pies udawał, że nie słyszy.

– Mam pytanie – zagadnął niby od niechcienia Karcz. – Czy na obiekcie jest może pan Devraux?

Stróż zamrugnął, jakby był zaskoczony brzmieniem tego nazwiska w ustach kogoś całkowicie obcego.



– Nie wiem, o kim pan mówi – odparł, wyraźnie spięty. – Nie znam go.

– Naprawdę? – Karcz podrzucił kilka razy piłkę. – Wielki, elegancki facet po pięćdziesiątce. Pali mentolowe papierosy. Podobno jest tu szefem.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem.

– Kim pan jest? – zapytał stróż.

– Ja? – udał zdziwienie Robert. – Jarek Kochanek. Poznaliśmy się z panem Devraux w piątek wieczorem.

Mężczyzna zmierzył Karcza wzrokiem, a następnie sięgnął po przypięte do paska walkie-talkie.

Robert, pogwizdując cicho, rozejrzał się dookoła. Pies zniknął.

Zaklął w myślach, a potem zerknął na swój telefon. Wiadomość od siostry. Zapomniał o niej. Ale zanim zdążył przeczytać, co napisała, brama drgnęła i zaczęła się otwierać.

– Pan Jarek Kochanek – usłyszał znajomy, dudniący głos.

Devraux nieśpiesznie szedł w jego kierunku i palił papierosa. Był jeszcze potężniejszy, niż Karcz zapamiętał. Miał na sobie elegancki płaszcz, a jego szyję otulał gruby szalik. Stróż stał z boku, wyprostowany jak struna. Kiedy brama otworzyła się na oścież, Devraux zbliżył się i na powitanie wyciągnął do Roberta wielką dłoń. Robert podał mu rękę, a ten ścisnął ją tak, że Karcz aż syknął z bólu.

– Pan Jarek Kochanek. – Devraux zaciągnął się głęboko, cały czas trzymając dłoń przybysza w żelaznym, bolesnym uścisku. Karcz zauważył, że mężczyzna ma niebieskie, wyblakłe oczy, idealnie pasujące do mroźnego pejzażu. – Bardzo miło pana widzieć. Myślałem ostatnio o panu. Poważnie. Jak głowa?

– Miło mi – mruknął Karcz, udając, że trwający w nieskończoność miażdżący ucisk w ogóle mu nie przeszkadza. – W porządku. Kilka godzin badań, kilka szwów...

Niespodziewanie Devraux puścił jego rękę.

– Może wejdzie pan na chwilę? – zapytał, zapraszając go gestem. Było w tym wszystkim coś niepokojącego.

Karcz wsunął do kieszeni kurtki obolałą dłoń i wymacał paralizator.

– Bardzo chętnie – odparł. – Szczerze mówiąc... Na to liczyłem.

## ROZDZIAŁ 5

# W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ WIĘCEJ

Obiekt wyglądał jak miasto w mieście.

Największe wrażenie robił główny budynek szpitala – istny potwór z trzema kondygnacjami, długi na dwieście pięćdziesiąt metrów. Liczący siedem hektarów zamknięty obszar był pocięty alejkami, teraz pustymi i przygnębiającymi. Wszędzie rosły drzewa przypominające o tym, że kiedyś miejsce to tętniło życiem. W czasach swojej świetności było jednym z najlepiej wyposażonych kompleksów medycznych. Na jego terenie znajdowały się oddziały zakaźne, oddział chirurgiczny, a nawet oddział psychiatrii. Budynki miały labirynty korytarzy oraz piwnice, w których nietrudno było zabłądzić.

Przez prawie dziewięćdziesiąt lat spacerowały tymi alejkami i korytarzami tysiące osób. Towarzyszył im gwar rozmów, odgłosy samochodów dostawczych i ambulansów.

Towarzyszyło im życie, a jedyne, co pozostało teraz, to martwa cisza i poczucie pustki.

Przekroczenie bramy można było porównać do przekroczenia granicy, oddzielającej dwa kompletnie różne miejsca. Człowiek o odpowiedniej wrażliwości mógł to wyczuć. W ułamku sekundy trafiało się do zupełnie nowego świata.

– Był pan tu kiedyś? – zagadnął Devraux pogodnym tonem.

Robert Karcz szedł powoli obok niego. Spoglądał na stalowoszare niebo widoczne przez korony ogołoconych, pokrytych śniegiem drzew, a gdy w końcu opuścił wzrok, próbował nadążyć za psem, który przecinał alejki z prędkością światła. Hassan czekał od czasu do czasu i Karcz był pewien, że doganiał dźwięk, który sam wydawał, a później go połykał. Nie było innej opcji.

– Tak. Byłem – przyznał, zaciskając obolałą dłoń na ukrytym w kieszeni paralizatorze. – Pięknie tu.

– To zadziwiające, że ludzie porzucają takie miejsca. – Devraux wziął głęboki wdech. – Czuje pan to?

– Co?

– Samotność. Przerażające, prawda? – zapytał zaczepnie. – Jest jak na cmentarzu.

Karcz nie bał się samotności. Uwielbiał ją. Tylko kiedy był sam, czuł, że może jasno myśleć. Czuł się tu jak w domu. Jak dzikie zwierzę wypuszczone na wolność. W końcu mógł zrzucić maskę i odetchnąć pełną piersią.

– Nawet bardzo przerażające. – Uśmiechnął się lekko. – Hassan! Psie! Do nogi!

Od kiedy weszli na teren kompleksu, zauważył trzy kolejne kamery: przy wejściu do głównego budynku i na drzewach w miejscu, w którym alejki się rozgałęziały. Musiało ich być więcej.

– Wybaczy mi pan silny uścisk dłoni – powiedział niespodziewanie i z lekkim rozbawieniem Devraux, wybijając Karcz z zamyślenia. – Jest pan prawdziwym twardzielem. Nawet nie nosi pan opatrunku na głowie.

– Nie noszę – potwierdził Robert. – Nie chciałem nikogo straszyć. Wychodząc ze szpitala, wyglądałem jak mumia.

Devraux wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze pana widzieć. Myślałem o panu... – powtórzył.

– Ja o panu również. W pewnym sensie przyjechałem podziękować za pomoc. Uratował mi pan skórę.

Devraux trawił te słowa.

– Ja pana tylko znalazłem – odparł w końcu, wzruszył ramionami i wsadził do ust kolejnego mentolowego papierosa. – Zachowałem się nieodpowiedzialnie. Nie powinienem był pana zostawiać na skraju drogi. Obiecuję, że następnym razem odwiozę pana od razu na oddział ratunkowy...

– Mam nadzieję, że nie będzie następnego razu.

Devraux wypuścił dym nosem, przez co skojarzył się Karczowi ze smokiem z bajek.

– Ja też mam taką nadzieję. Ma pan fantastyczny samochód... To model mach 1, prawda?

– Zna się pan na motoryzacji?

– Nie, po prostu podpytałem pana sąsiadów.

Zapadła martwa cisza.

– Choć mustangi nie są w moim guście – dodał po chwili i głęboko się zaciągnął.

– Rozumiem. Jak postępują wasze prace? – zaciekawiał się Karcz

– Dobrze. – Devraux wskazał dłonią z papierosem na średniej wielkości budynek niedaleko głównej części szpitala. Nieopodal stał czarny samochód. Karcz nie widział nigdzie ani polowego namiotu, ani innych rzeczy, o których wspomniał Szczur. – Tamten budynek jest już prawie gotów.

– W jakim sensie gotów? – zdziwił się Robert.

Devraux spojrział na niego drwiąco. Sprawiał wrażenie, jakby niczego nie traktował zbyt poważnie. Jakby wszystko go bawiło i każde pytanie było świetnym powodem do żartu.

– Gotów do odbioru. W każdym możliwym sensie.

– Czyżby?

– Tak – odparł Devraux. – Kwestie bezpieczeństwa są najważniejsze.

– Nie macie już problemu z dziećmi? – chciał wiedzieć Karcz. Równocześnie dotknął w kieszeni kurtki paralizatora. – Żadnych wieczornych gości?

– Od czasu do czasu trafiają się spacerowicze z psami, ale nie są to ludzie, którzy chcieliby wtykać nos w nie swoje sprawy. A dzieciaki? Cóż, rozpanoszyły się. Trudno nazwać to inaczej. Internet zachęca młodych do robienia kompletnych głupot.

Karcz się rozejrzył.

– Ciężko raczej tu cokolwiek ukraść, prawda? – zapytał retorycznie.

Devraux zwolnił kroku.

– I to jest właśnie problem dzisiejszych czasów. Ludzie nie mają poczucia własności. Cały ten obiekt, po którym spacerujemy, nie jest ani mój, ani pana, ani tych gówniarzy szukających mocnych wrażeń. Ja wykonuję tu swoją pracę. Pan jest moim gościem. A cała reszta, która uważa, że to jej plac zabaw czy miejsce do wywoływania duchów, jest w błędzie.

– Brzmi pan bardzo poważnie.

– Bo traktuję swoją pracę poważnie. – Devraux zaciągnął się głęboko po raz ostatni. Jego wyblakłe niebieskie oczy zeskanowały twarz Karcza, jakby szukał na niej oznak zawahania. – W granicach rozsądku, oczywiście.

– Ale jest pan tutaj cały czas, prawda? – zapytał Karcz.

– Na obiekcie?

– Tak.

Devraux się skrzywił.

– Na ten moment tak. Dzięki temu moja firma jest bardziej wydajna. Pracujemy, kiedy inni odpoczywają. Odpoczywamy, kiedy inni wciąż pracują.

Karcz się zatrzymał i tym samym zmusił do tego Devraux.

– Nie chcę być wścibski, ale co w ogóle tu robicie? Tak naprawdę?

– A pan? Co pan tu robi? – odpowiedział Devraux pytaniem na pytanie. W jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Spaceruję z psem, a przy okazji składam podziękowania nieznanemu, który mi pomógł – odrzekł Robert z rozbrajającym uśmiechem. – Po tym, jak jakiś gówniarz rozwalił mi na głowie wysuszony konar.

– Wygodne – stwierdził Devraux.

– Co jest wygodne?  
– Takie zbiegi okoliczności.  
– Wygodne dla kogo? – Karcz poczuł niepokój. Nie bardzo wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa, dlatego wskazał swoją głowę. – Bo nie dla mnie.  
– Dla mnie również – usłyszał w odpowiedzi. – Tym bardziej... biorąc pod uwagę to, czym się zajmuję.  
– Chyba nie wiem, o czym pan mówi.  
– Och, panie Kochanek. – Devraux szeroko się uśmiechnął. – Mówię o zbiegach okoliczności, które sprawiają, że ludzie na siebie trafiają. O sytuacjach, które prowadzą czasami do zaskakujących konkluzji.  
– Sama radość – zażartował Karcz.  
– Tak, w rzeczy samej. Czym się pan dokładnie zajmuje i jak pan trafił do Legnicy? Nie jest pan stąd. Dodatkowo sprawia pan wrażenie osoby, która szuka sobie zajęcia.  
– Jak pan zgadł?  
– Jak zgadłem, że jest pan ciekawski? – Rzucił niedopałek na ziemię i zdeptał go grubą podeszwą wojskowego buta. – Bo pan naciska. Niby przypadkiem, ale cały czas. Ostrzegam, że nie wszyscy to lubią.  
– Już taki jestem. Przepraszam.  
Devraux potarł policzek.  
– Samochód ma warszawskie tablice rejestracyjne. Jestem pewien, że należy do pana. Może to pamiątka rodzinna. Jeżdżenie nim jest dla pana czymś naturalnym, choć mało praktycznym, jak na polskie warunki. Ma pan go od lat. To widać nawet po sposobie parkowania. Raczej nie jest pan osobą, która się popisuje. Proszę mnie sprostować, jeżeli się mylę.  
Karcz uśmiechnął się krzywo.  
– Jest pan Sherlockiem Holmesem?  
– Nie, panie Kochanek. Nie jestem. Po prostu czytam sygnały i je interpretuję.  
Karcz uciekł wzrokiem gdzieś ponad jego ramieniem, niby szukając psa, ale tak naprawdę po prostu nie chciał patrzeć mu w oczy.  
– Hassan! – krzyknął. – Do nogi!  
– A skoro o tym mowa, panie Kochanek, to mam wrażenie, że kiedy wspomniałem o zbiegach okoliczności, pan doskonale wiedział, co mam na myśli.  
– Nie. Nie wiedziałem.  
Devraux przez chwilę piorunował go wzrokiem, a potem wskazał ręką widniejącą w oddali bramę.  
– Wracajmy – powiedział lekko i z uśmiechem, jakby dotychczasowa rozmowa nie miała miejsca. – Nie mogę wpuścić pana do budynków, to

niebezpieczne.

– Potrafię sobie to wyobrazić.

– Dobrze.

Karcz milczał przez kilka sekund.

– Myśli pan, że będziemy mogli się jeszcze spotkać? Naprawdę chciałbym się panu odwdzięczyć za pomoc.

– Może w Warszawie? – zaproponował Devraux.

– Może – mruknął Robert – A mam jeszcze pytanie w kwestii nocy, kiedy zostałem uderzony. Macie może jakieś nagranie z kamery?

– To atropy, przykro mi – odrzekł szybko Devraux. – Mają odstraszać poszukiwaczy wrażeń. Wstawiliśmy je po piątkowym incydencie.

– Rozumiem.

Przy bramie czekał już na nich stróż.

– Dziękuję za odwiedziny – powiedział Devraux, ale zamiast wyciągnąć rękę, podszedł do Karczka i go objął. Zrobił to tak szybko, że Robert nawet nie zdążył zareagować. Jedyne dłonią ukrytą w kieszeni wyłączył blokadę paralizatora, gotów użyć go w każdym momencie.

– Niech mnie pan posłucha. – Oddech Devraux śmierdzał dymem papierosowym. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale mam nadzieję, że następnym razem naprawdę spotkamy się w innych okolicznościach. Nie tutaj – podkreślił stanowczo. – Rozumie pan, panie... Kochanek? – Fałszywe nazwisko zabrzmiało w jego ustach jak obelga. – Jest pan miłym facetem. Niech pan wyświadczy sobie przysługę i wróci do domu. I niech pan założy opatrunek na głowę, żeby nie wdało się zakażenie. Proszę nie zgrywać bohatera.

– Chętnie – odparł Karcz i cofnął się o kilka kroków. – Dziękuję raz jeszcze. – Pomachał przed twarzą, jakby odganiał dym papierosowy.

– Powie mi pan, kim pan jest naprawdę? – zapytał Devraux, kiedy Robert wyszedł za bramę.

Nagle pojawił się Hassan. O mały włos nie ściał stróża z nóg i dogonił Karczka.

– Ja?

– Tak.

Karcz zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wyczytał pan tego z moich sygnałów? – W jego głosie zabrzmiała ironia. Devraux się skrzywił, wyraźnie poirytowany.

– Nie pytam, czym się pan zajmuje, ale kim pan jest.

Karcz podszedł do samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera. Hassan od razu wskoczył na fotel.

– Jako dziecko wymyśliłem kostkę Rubika. Dlatego obecnie... – zawiesił głos i usiadł za kierownicą – ...niczym się nie zajmuję. – Posłał stróżowi i Devraux

szeroki uśmiech. – Przewalam szmal i szukam wrażeń.

– Myślałem, że to Rubik wymyślił kostkę – szepnął podwładny do Devraux ze szczerym zdziwieniem. – Czyli to jednak nie był on, tylko ten gość?

Tamten spojrzał na niego z obrzydzeniem.

– Rubik wymyślił kostkę Rubika, kretynie.

Karcz już ich nie słyszał. Pomachał im, wycofał samochód i odjechał. Miał wszystkie informacje, których potrzebował.

\*\*\*

Devraux z niezadowoleniem wrócił do budynku nieopodal głównej części szpitala. Wsadził do ust kolejnego papierosa i go zapalił. Zerwał z szyi szalik.

W jednym z pomieszczeń czekało na niego dwóch mężczyzn w strojach roboczych. Wszystko było ubrudzone pyłem. Na ziemi zalegał gruz.

– Prawie przebiliśmy się przez drugą warstwę podłogi – oznajmił wyższy z nich. – Czy tunel na pewno jest pod nami?

– Bierzcie się z powrotem do roboty – rzucił Devraux, przestępując duże wiertło budowlane leżące na ziemi. Przeszedł przez chmurę papierosowego dymu. – Znajdziemy go. Powiedzcie chłopakom w drugim budynku, żeby też zabrali się do roboty.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a potem jeden z nich podniósł kilof, a drugi młot budowlany.

– Pieprzona robota. Mam wrażenie, że szukamy na oślep – mruknął niższy i otarł pot z czoła.

Devraux wszedł w jeden z ciemnych korytarzy, a potem wbiegł po schodach na pierwsze piętro. W jednym z pomieszczeń były rozłożone łóżka polowe, kuchenki, grzejniki i rzeczy osobiste ekipy. W drugim siedział na podeście mężczyzna z laptopem. Przed nim stało dziesięć małych czarno-białych ekranów w szczelnych obudowach. Każdy ekran podpięty był do kilku zdalnych kamer.

– Sprawdziłeś? – zapytał Devraux, opierając się o zniszczoną ścianę i rzucając szalik na jedną z dużych czarnych skrzyń.

Mężczyzna z laptopem poprawił czapkę opadającą na oczy.

– Mówiłem ci, że mam problem z cholernym zasięgiem – mruknął. – Poczekaj... Tak jak ci mówiłem, samochód ma warszawskie tablice. A właścicielem jest gość o imieniu Robert Henryk Karcz. Tak się nazywa...

– Karcz – mruknął Devraux. – Coś mi to mówi.

Zastanawiał się przez kilka sekund, a potem zaklął siarczyście, cisnął nieodpalonego papierosa w kąt pomieszczenia i ukrył twarz w dłoniach.

– Znasz go? – zapytał facet przy laptopie, spoglądając na rozmówcę z lekkim niepokojem. – Co się stało?

Devraux zignorował go, wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał jakiś numer.

– Gównu mnie obchodzi, że jesteś zajęty – warknął do telefonu chwilę po tym, jak usłyszał głos w słuchawce. – Tak! Będę się do ciebie zwracał, jak będzie mi się podobać. Czy mówi ci coś nazwisko Robert Karcz? Tak? – Kiedy usłyszał odpowiedź, wybuchnął śmiechem. – Zgadnij, dlaczego pytam? I nie, nie żartuję... Nie interesuje mnie to i nie wierzę w przypadki. Daj mi dzisiaj znać, czy się tym zajmiesz. Bo inaczej... sam to zrobię.

\*\*\*

Kiedy Karcz i Hassan wrócili do domu, pies od razu dopadł miski z wodą.

Robert ściągnął buty i przeciągając się, wszedł do salonu, gdzie wisiała mapa miasta i notatki. Popatrzył na nią, a potem wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i zobaczył, że jest pusta. Wyciągnął spod zlewu plastikowy kosz na śmieci, wrócił do salonu i zaczął zrywać ze ściany wszystkie stare zdjęcia i notatki. Wylądowały w koszu, podobnie jak mapa z poskreślanymi kółkami. Po tych porządkach Karcz przypiął pinezką do ściany białą kartkę w formacie A3. Długopisem narysował na niej w rzucie pionowym teren szpitala. Znał go dość dobrze. Dwoma kreskami naszkicował bramę, a później postawił znaki „X” tam, gdzie były kamery: dwa przy bramie, trzy kolejne wzdłuż alejek. Po paru sekundach zastanowienia dorysował prostokąt i kilka kwadratów oznaczających budynki.

Rysunek był bardzo prosty, ale mimo to Karcz odsunął się od ściany i przyjrzał mu się z perspektywy. Kamery były rozmieszczone wzdłuż dolnej i bocznej krawędzi, a to oznaczało...

– ...że pozostałe prawdopodobnie są tu – mruknął i dorysował dwa kolejne ikсы.

Rzucił długopis na zdewastowaną kanapę, a następnie cofnął się o dwa kroki, żeby objąć wzrokiem całą mapę.

No dobrze, panie Szczur, pomyślał. Jednak mnie pan zainteresował.

Chociaż nigdy się panu do tego nie przyznam.

\*\*\*

– Nie irytuj mnie – usłyszał w telefonie. – Po prostu podaj adres.

Justyna Karcz, kiedy chciała, potrafiła być bardzo uparta albo po prostu Robert był wobec niej zbyt uległy. Przypominało to walkę na ciągłe uniki. Ona próbowała wyprowadzić cios, a on go unikał.



– Przyjeżdżacie pod koniec tygodnia, tak? – upewnił się. – Więc po co ci adres? Jak będziecie dojeżdżać do Legnicy, zadzwoń do mnie.

– Czy ty coś ukrywasz? – zapytała podejrzliwie.

Wsadził do ust kawałek pizzy.

– Nie, po prostu nie rozumiem, po co ci adres – stwierdził z pełnymi ustami. – I tak musisz do mnie zadzwonić, bo może mnie nie być w mieszkaniu. Mówię ci, jak będziesz dojeżdżać, zadzwoń.

Justyna się roześmiała.

– Ukrywasz coś!

Tak, puste ściany i psa, który pożarł kanapę, pomyślał.

– Pyśka, błagam cię...

– Powiedz, że nie śpisz w samochodzie, jak kilka lat temu.

– A kiedy ja spałem w samochodzie? – oburzył się. – Co ty wygadujesz?

– Powiedz!

– Nie śpię w samochodzie! – podniósł głos. – Wynajmuję mieszkanie.

– To podaj adres. Widziałam twoją poprzednią norę, nic mnie już nie zaskoczy.

Karcz uśmiechnął się kwaśno.

– Poprzednią norę sama mi załatwiłaś. I wcale jej nie widziałaś. – W jego ustach zniknął kolejny kawałek pizzy. Westchnął, a później podał jej adres.

– Dziękuję, panie supertajemniczy, co nie spędza świąt z siostrą...

– Przepraszam cię – przypomniał.

– Gdzie teraz jesteś?

– Siedzę w garażu i jem pizzę – powiedział zgodnie z prawdą. Wielkie kartonowe pudełko rozłożył na masce samochodu, a sam siedział na trzech oponach, które prawdopodobnie należały do ojca Zuzy Nir. Nogi opierał o przedni zderzak macha 1.

Hassan siedział zamknięty w samochodzie i lizał przednią szybę od strony pasażera, zupełnie jakby chciał dostać się do pizzy. Po chwili szczerką niespokojnie i obrócił się kilka razy wokół własnej osi, dając wyraz swojemu niezadowoleniu, że nie może dostać choćby kawałka.

– Czy to ten twój pies? – zapytała Justyna. – To on szczeka?

– Tak – odparł niechętnie. – Zabrałem go ze sobą.

– To miłe, że go ze sobą zabierasz. W końcu masz prawdziwego przyjaciela. Zabieram, żeby nie zdewastował reszty mieszkania, pomyślał z rozżaleniem.

– Tak, miłe – przyznał. – Mam już nawet pomysł, co z nim zrobić...

– Z kim?

– Z psem. Co zrobić z psem. Może uda mi się go pozbyć do waszego przyjazdu.

Justyna milczała przez kilka sekund.

– Jak wolisz... Mam nadzieję, że nowy właściciel będzie dla niego dobry.  
Karcz spojrział na psa i na wielką smugę na szybie, przesłaniającą cały jego pysk.

- Bardzo dobry – zapewnił ją.
  - Dlaczego jesz pizzę w garażu?
  - Kupiłem po drodze. Byłem głodny.
  - Oj, Robert...
  - Co?
  - Stęskniłam się za tobą – wyznała niespodziewanie.
- Sięgnął do pudełka po kolejny kawałek.
- Ja za tobą też... Ostatnio mam dużo na głowie i...

Rudego Rajmunda, demonicznego psa, wystawianie ocen, Teresę Cichą, narwanego bibliotekarza, pana Devraux, kolejną opuszczoną ruinę, wymienił w myślach.

– Będę z Michałem – przypomniała, a w jej głosie wyczuł niepewność. – Mówiłam ci o tym, pamiętasz? Naprawdę chciałabym, żebyś się postarał.

– Jaki on jest?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

- To dobry facet – powiedziała w końcu. – Taki jak ty...
- Wiesz, że jak cię skrzywdzi, będę go musiał... zabić?
- Jak mnie skrzywi, sama go zabiję.

Zaczęli się śmiać.

– Widzimy się pod koniec tygodnia – dodała Justyna. – Zadzwoń i uprzedzę cię, żebyś wiedział odpowiednio wcześniej.

– Dobrze.

– Tylko nie zapadnij się pod ziemię, jak ostatnio.

– Nie przypominaj mi... – jęknął.

\*\*\*

W ciągu jednej nocy śnieg, który zasypał Legnicę, stopniał prawie całkowicie, a wraz z nim stopniała również liczba uczniów w szkole. Zdecydowana część z nich – ta z wystawionymi ocenami – zrobiła sobie wolne jeszcze przed połową tygodnia i Karcz, podczas porannego spaceru po szkole z kubkiem kawy i bułką, nie wpadał co chwila na rozkrzyczane dzieciaki.

– Przywykniesz, Robbie – pocieszył go nauczyciel geografii, nazywany przez uczniów Borsukiem. – Końcówki semestrów to szaleństwo.

– Tak, widzę... Słuchaj, mam pytanie...

– Pewnie, Robbie, pewnie! – Mężczyzna wyraźnie ucieszył się na samą myśl, że może być przydatny.

– Czy Teresa Cicha z kimś mieszka?

Nauczyciel geografii zachichotał i dotknął miejsca, w którym jeszcze do niedawna miał krzaczastego węża.

– Kobieta się na ciebie uwzięła, nie? Wszyscy to wiedzą. Cały czas szuka na ciebie haka, Robbie. Ale nie martw się, nikt już jej nie słucha. Słowo honoru. – Przesłonił usta dłonią. – Jest szurnięta – dodał szeptem.

Karcz się uśmiechnął.

– Po ostatniej sytuacji jakoś nie mogę przestać o niej myśleć...

– Dopadła cię. – Geograf się zaśmiał. – Z tego, co wiem, jest chyba starą panną, albo wdową. Ma mieszkanie na Koperniku. To osiedle. Kawałeczek stąd.

Karcz ugryzł bułkę.

– Tak – przyznał przeżuając. – Piętnaście minut spacerem.

– Eee, chyba jak biegniesz. – Prychnął Borsuk. – Coś ty. Nie dałbyś rady w piętnaście minut. Zeszłoby dłużej...

Karcz wzruszył ramionami na znak, że jest mu wszystko jedno.

– Znasz dokładny adres? – zapytał nagle.

Nauczyciel geografii zmrużył oczy.

– Robbie, czy nasza rozmowa... Czy to tajne? – wyszeptał.

Karcz nie wiedział, czy tamten żartuje, więc też zmrużył oczy i po chwili odszepnął konspiracyjnie:

– Tak.

Twarz geografa się rozpromieniła.

– Dowiem się – odparł i chrząknął. – Dam ci znać na kolejnej przerwie, okej?

Karcz uniósł kubek z kawą, jakby wznosił toast, a potem udał się na pierwszą lekcję, na którą przyszło zaledwie siedmioro uczniów. Była to klasa Rudego Rajmunda. Chłopiec siedział sam w pierwszej ławce i świdrował nauczyciela spojrzeniem.

– Świetna pogoda, prawda? – zagadnął Karcz, siadając za biurkiem.

Uczniowie odburknęli mu coś bez entuzjazmu.

Rudy Rajmund spuścił wzrok i wrócił do rysowania małych krzyżyków w zeszyte w kratkę.

– No dobra – powiedział Karcz i otworzył dziennik. – Ktoś ma dzisiaj coś zdawać czy przyszliście towarzysko?

\*\*\*

Rajmund został w klasie po dzwonku. Wyraźnie coś go gryzło. Kręcił się nerwowo w miejscu i przygryzał dolną wargę. Biorąc pod uwagę zachowanie chłopca z ostatnich kilku dni, kiedy przemykał korytarzami jak cień, unikając Karcza, ten uznał to za postęp w komunikacji. Pochylił się w stronę rudzielca, próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę – powiedział w końcu.

Czuł, że musi coś powiedzieć, zwłaszcza jeżeli to, co Szczur mówił na temat chłopca – że szukał dla Karcza zagadki historycznej – było prawdą. Rudy Rajmund na swój własny sposób się starał. Co to mogło oznaczać w praktyce?

Rajmund podniósł wzrok. W jego oczach Karcz dostrzegł coś, czego nie widział wcześniej.

– Mówią, że pan naprawdę odchodzi ze szkoły... – wydusił z siebie chłopak.

Robert, zamiast odpowiedzieć, podrapał się po nosie. Rozejrzał się po biurku w absurdalnym poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy, ale zobaczył jedynie dziennik i kubek z zimną, niedopitą kawą.

– Rajmund, posłuchaj – zaczął ostrożnie. – Jestem nauczycielem na zastępstwie. To było oczywiste, że wcześniej czy później odejdę.

Oczy chłopca się zaszklily.

– Ale dlaczego teraz? Dlaczego szybciej, a nie później?

Karcz milczał.

– Nie wiadomo jeszcze kiedy. Sam nie wiem dokładnie.

Rajmund zrobił minę, jakby go ktoś uderzył w brzuch, a potem wstał i wsadził podręcznik i zeszyt do tornistra. Ten trzynastolatek, który potrafił zagiąć bystrością umysłu wielu dorosłych, czasami zachowywał się jak małe, potrzebujące uwagi dziecko.

Karcz poczuł lekki niepokój.

– Rajmund, wszystko w porządku?

Przez ostatnie miesiące mógł zaobserwować różne zachowania chłopca. Zawsze je akceptował i szanował jego prywatność – poza momentami, kiedy nakrywał go z papierosem – ale tym razem działo się coś, czego Robert dotąd nie był świadkiem.

Ciałem chłopca wstrząsnął szloch.

Karcz wstał zza biurka i podszedł do niego.

– Hej, Rajmund – odezwał się łagodnie. – Przecież wiedziałeś, że będę tu pracował tylko przez dwa semestry...

– To miały być dwa semestry, a nie jeden – powiedział chłopiec, połykając łzy. – Mówił pan, że będą dwa, a wszyscy mówią, że to nieprawda.

Karcz zadziałał instynktownie, podszedł do Rajmunda i po prostu go przytulił.

Pierwszy raz.

Chłopak w pierwszym momencie napiął się jak struna, ale po chwili się rozluźnił i odwzajemnił uścisk. Mocno.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał go Karcz. – O nic się nie martw. Jestem tutaj...

I był.

Dla niego.

\*\*\*

Karcz nie mógł przestać myśleć o Rudym Rajmundzie i o tym wszystkim, co tamten mu powiedział. Ścisnęło mu się serce i czuł się źle sam ze sobą, ale nie potrafił znaleźć rozwiązania, przynajmniej jeszcze nie teraz. Najbardziej zamknięty w sobie chłopiec w całej szkole po prostu eksplodował. Nie utrzymał w sobie ogromu emocji i w końcu pozwolił im się wydostać i zalać wszystko wokół. To przytulenie było jak tratwa, na której dryfowali pomiędzy ławkami, albo kaftan bezpieczeństwa utrzymujący go na powierzchni.

Dziwny i często niezrozumiany Rajmund okazał się takim samym dzieckiem jak każde inne.

Zanim się uspokoił, minęło parę minut.

Karcz był świadom, że ktoś może wejść do klasy i zobaczyć, jak obejmuje chłopca, ale nie obchodziło go to. Nie miał zamiaru pozwolić mu utonąć.

– Myślałem, że pan porozmawia z moją mamą – wykrztusił Rajmund. – Obiecał pan, że z nią porozmawia...

Karcz się zmieszał, bo przypomniał sobie, że złożył taką obietnicę, ale jej wykonanie przesunął na później, a tak naprawdę wcale nie planował dotrzymać słowa, licząc, że problem sam się rozwiąże.

– Przepraszam.

– Próbowałem to naprawić – przyznał Rajmund, kiedy już całkowicie się uspokoił. – Ale się nie udało...

– Co próbowałeś naprawić?

– Chodziło mi o to, żeby było jak na początku... Nie tak jak teraz...

Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego nie chce pan znaleźć złota Wrocławia? – wypalił chłopiec nagle. – Pan Piotr powiedział, że nie chce pan z nim rozmawiać... Czy to moja wina?

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Karcz i odsunął chłopca na długość ramion, żeby móc na niego spojrzeć. Próbował nadążyć za jego tokiem rozumowania. – Słuchaj, tego złota nie można ot tak znaleźć, Rajmund. Gdyby to było proste, każdy mógłby to zrobić.

– A dlaczego nie chce pan zrobić tego ze mną? – W głosie rudzielca dało się wyczuć pretensję. – Jest pan archeologiem...

Karcz milczał. Zabrakło mu argumentów. Chciał być delikatny, ale bał się, że jak tylko otworzy usta, skrzywdzi chłopca, zada mu krytyczny cios w momencie, w którym ten był najbardziej odsłonięty.

Matka Rajmunda miała prawo nie życzyć sobie, żeby odwoził jej syna po szkole do domu. Tak samo miała prawo nie życzyć sobie, żeby spotykali się poza szkołą. Ale z drugiej strony ich relacja i tak się przecież ochłodziła. Karcz uznał, że takie obustronne nabranie dystansu to naturalna kolej rzeczy, to coś absolutnie normalnego, wręcz do przewidzenia.

Mylił się. Coś przeoczył.

– Rajmund – zaczął – lubię pana Piotra...

– Pomyślałem, że jak znajdę dla pana zagadkę, to będziemy mogli ją razem rozwiązać – przerwał mu chłopiec. – I moja mama pomyśli, że to było pożyteczne. I wszystko będzie dobrze.

Obiecał, że porozmawia z jego matką. Że zadzwoni do niej.

Nie złam mu serca – mówił mu jego wewnętrzny głos. – Uważaj na każde słowo. Chłopak każde zdanie odbiera dosłownie. Nie skrzywdź go bardziej.

Próbowałem to naprawić. Próbowałem. Tak powiedział.

Cholera.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił chłopca po raz kolejny. Przytulił go jeszcze przez chwilę, a potem stanął za biurkiem. – Obiecuję.

Jak tylko załatwię wszystkie pozostałe sprawy, dodał w myślach.

\*\*\*

Teresa Cicha kończyła lekcje o wpół do drugiej, więc miał wystarczająco dużo czasu, żeby zrobić to, co planował.

Spojrzał ostatni raz na zegarek, a następnie na znużonych uczniów.

– Zaraz wracam – poinformował ich, wstając. – Macie wystawione oceny, więc... poczytajcie sobie coś.

Teraz albo nigdy, pomyślał.

Do końca tygodnia załatwi sprawy z Rajmundem i panem Devraux, a później będzie udawał zainteresowanie nowym chłopakiem siostry i być może w trakcie ferii zimowych nawet zmusi się do tego, by gdzieś razem z nimi pojechać. Najpierw jednak postanowił zająć się Teresą Cichą.

– Witam serdecznie, pani Krysiu – powitał Superwoźną, zjawiając się w drzwiach do jej kanciapy.

– Panie Robercie, pan to ostatnio cały czas biega jak wariat... – stwierdziła zatroskanym głosem. – Czym mogę służyć najprzystojniejszemu nauczycielowi?

– Gdzie trzyma pani znalezione rzeczy? Ubrania i tak dalej?

Zawahała się.

– W kartonie... Pokażę panu. – Zabrała go do ciasnego pomieszczenia, gdzie znajdowały się detergenty, akcesoria do sprzątania i kilka kartonowych pudeł. – W tym tutaj – wskazała jedno z nich, stojące na podłodze.

Zajrzał do środka, przerzucił kilka pojedynczych rękawiczek, jeden but, ileś szalików, a kiedy stracił nadzieję, że znajdzie cokolwiek, co mogłoby się nadać, natrafił na czapkę z daszkiem. Była trochę brudna, ale nadawała się wyśmienicie.

– Ma tu pani jakąś bluzę w moim rozmiarze?

Superwoźna Krysia otaksowała go przenikliwym spojrzeniem.

– Co pan...?

– Muszę to na chwilę pożyczyć do projektu szkolnego – wyjaśnił.

Kiedy nie wyczytała w jego spojrzeniu nic więcej, bez cienia podejrzliwości podeszła do stojącej w rogu szafki i wyciągnęła starą, powycieraną bluzę w szkocką kratę.

– To naszej złotej rączki – mruknęła. – Może mieć dziury od papierochów, ale...

Musiała mu wystarczyć.

– Mogę ją pożyczyć? – zapytał, zerkając na woźną.

Pani Krysia tylko wzruszyła ramionami.

– Będę potrzebował też tego – dodał, wskazując zawieszoną na gwoździu żółtą kamizelkę odblaskową. – Oddam pani za...

Borsuk mówił o dwudziestu minutach spacerem w jedną stronę.

– ...pół godziny. Maks.

– Pewnie, złociutki, nie ma problemu.

\*\*\*

Dobiegł na osiedle w niecałe dziesięć minut, próbując unikać większych kałuż i błota. Miesiące biegania, którego szczerze nienawidził, sprawiły, że po tak intensywnym wysiłku czuł się całkiem nieźle. Otarł pot z czoła, wyciągnął z kieszeni bluzy kartkę z adresem i próbując kontrolować oddech, rozejrzał się uważnie. Osiedle miało swój urok. Były na nim place zabaw i dużo zieleni. Budynki miały od czterech do pięciu pięter i sprawiały wrażenie zadbanych i odświeżonych. W tle widoczny był długi, kilkunastopiętrowy blok, który zdawał się nie mieć końca, jakby przecinał Legnicę na pół, oddzielając jej starą część od nowej. Ot, spokojne osiedle dla rodzin z dziećmi.

Założył żółtą kamizelkę odblaskową i czapkę, starając się nasunąć daszek jak najniżej na oczy. Kiedy znalazł odpowiedni blok i klatkę schodową, podszedł do domofonu, a następnie cofnął się kilka kroków i ocenił wysokość budynku. Z adresu wynikało, że Teresa Cicha mieszka na samej górze, czyli jej balkon musiał znajdować się po drugiej stronie budynku. Znowu podszedł do domofonu, chrząknął kilka razy i nacisnął przycisk z numerem mieszkania Cichej. Kiedy nikt nie odpowiedział, zadzwonił jeszcze raz, a potem ponownie, dla pewności.

W mieszkaniu nikogo nie było. Całe szczęście.

Zadzwonił pod jedynekę, a kiedy nikt się nie odezwał – pod dwójkę.

– Tak? – zapytał zaspany głos.

– Przyszedłem sprawdzić liczniki na klatce schodowej.

Po kilku sekundach domofon zabrzączał i Karcz wślizgnął się na klatkę.

Biegając pod dwa stopnie, liczył, że nie spotka żadnego lokatora, a kiedy na ostatnim piętrze stanął przed drzwiami z numerem 8, poprawił czapkę i przyjrzał się zamkowi. Był antywłamaniowy, co nie dawało zbyt dużego pola manewru.

Zapukał do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Głucho.

Podszedł do drabinki zastawionej ze wszystkich stron butami, podciągnął się na niej, a następnie zaczął się siłować z zasuwą blokującą wyjście na dach. Gdy wreszcie ustąpiła, Karcz podniósł klapę i wszedł na dach. Poczował silny powiew wiatru, który o mały włos nie zdmuchnął mu z głowy czapki, i uśmiechnął się. Z tej perspektywy osiedle wyglądało zupełnie inaczej, jakby stąpał nad łysymi koronami drzew. Minął kilka anten telewizyjnych, przeskoczył drut piorunochronu, a potem położył się na brzuchu i ostrożnie podciągnął do samego brzegu dachu. Kiedy zobaczył oddalony o kilkanaście metrów chodnik, wstrzymał oddech i łapiąc z całych sił za krawędź, przechylił się, żeby zobaczyć balkon Teresy Cichej.

Krew zaczęła napływać mu do twarzy i momentalnie poczuł ucisk w skroniach.

Cały balkon zastawiony był doniczkami z kwiatami, coś na kształt małego ogrodu. Liczył na uchylone okno, ale drzwi balkonowe i okna były zamknięte. Nie chciał zostawiać śladów, więc nie mógł wybić szyby. To miał być tylko rekonesans, nic więcej.

Podciągnął się z powrotem na dach, odsunął od krawędzi, położył na plecach i przez chwilę spoglądał na stalowoszare niebo nad Legnicą.

– Niech to szlag – mruknął, odchylając daszek czapki. – Czyli jednak muszę ukraść jej klucze...

\*\*\*



Jakby nigdy nic wrócił do szkoły, oddał Superwoźnej czapkę, kamizelkę i bluzę, a potem, mimowolnie zaciskając pięści, ruszył do klasy. Był zasapany, ale na szczęście w momencie, w którym objął swoich uczniów wzrokiem, rozległ się dzwonek na przerwę.

– Udanych ferii – rzucił z ulgą. – Do zobaczenia!

Być może.

Spojrzał na leżącą na biurku kartkę z numerem telefonu do mamy Rudego Rajmunda, co wprowadziło go w chwilową zadumę, następnie schował ją głęboko do kieszeni jeansów. Jednym haustem dopił resztę zimnej kawy i się skrzywił. Spojrzał na swoje dłonie. Były brudne.

\*\*\*

Powrót do domu spacerem zajął mu ponad godzinę. Nie śpieszył się. Z rękami wsadzonymi głęboko w kieszenie kurtki minął znajdującą się na rynku katedrę Piotra i Pawła. Próbował zdecydować, którą z nurtujących go spraw powinien zająć się jako pierwszą. Chciał zadzwonić do matki Rajmunda, ale na ten moment nie wiedział nawet, co mógłby jej powiedzieć. Że powinni się spotkać? A jeżeli zapyta go w jakiej sprawie, to co wtedy?

Później jego myśli znowu zawędrowały do Teresy Cichej. Wszystko miało zaplanowane co do minuty. Mogło się nie udać, ale po tym, co mu zaserwowała w pracy, był gotów ponieść ryzyko.

Jak już wyjaśni te dwie kwestie, skupi całą swoją uwagę na tajemniczym panu Devraux i starym szpitalu. Nie wierzył, że miejsce to samo w sobie okaże się strzałem w dziesiątkę z punktu widzenia potencjalnego łupu i zarobku, ale jedno było pewne – obiekt skrywał jakiś sekret, a on miał zamiar go odkryć. Pojutrze, przed wschodem słońca, jak już wszystkie pozostałe sprawy zostaną rozwiązane, wkroczy do akcji.

Po drodze wstąpił jeszcze do sklepu, gdzie kupił zielone pesto, makaron, ser, sos tabasco i dwie butelki piwa.

Kiedy dotarł do domu, mężczyzna w garniturze już na niego czekał. Wyglądał na potwornie zmęczonego, jakby nie spał całą noc.

– Panie Kubek – zwrócił się do niego Karcz, zwalniając kroku. W głowie momentalnie zaczęła migać mu ostrzegawcza lampka. – Co pan tu robi? Skąd pan wie, gdzie mieszkam?

Tomasz Kubek chrząknął i podrapał się po nosie.

– Byłem u pana w pracy. Woźna powiedziała mi, gdzie pan mieszka.

– Czyżby? – zdziwił się Karcz. Nadal stojąc w bezpiecznej odległości, przełożył torbę z zakupami do drugiej ręki. – A skąd ona niby to wie?

Grał na czas.

Kubek milczał.

– Wygląda pan jak śmierć – stwierdził Robert po chwili i rozejrzał się uważnie wzdłuż ulicy i porośniętej lipami alei. Bez trudu rozpoznał zaparkowany nieopodal rządowy samochód.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

– Przyjechałem do pana – odpowiedział Kubek, trąc oczy i podchodząc do Karcza. – A w zasadzie... jestem tu przejazdem.

– Przejazdem?

– Z Warszawy do Berlina – uściślił niechętnie i rozpiął guzik marynarki, co zapewne miało w jego mniemaniu dodać mu luzu. – Skomplikowana sprawa...

– Nie jest panu zimno w tym garniturze?

– A panu w tej skórze? – odbił piłeczkę Tomasz i uśmiechnął się blado. – Za każdym razem musimy rozmawiać o tym, jak się który z nas ubiera, panie Karcz?

Robert zerknął na okna budynku, próbując się zorientować, czy ktoś ich obserwuje. Wystarczyłaby mu choć jedna para oczu.

Kubek prychnął.

– Widzę, że nie cieszy pana moja wizyta. Szuka pan czegoś? – zakpił.

– Wie pan... – Karcz urwał. – Jakby pan przeszedł tyle co ja...

– Może przeszedłem?

Robert zmierzył go od stóp do głów.

– Wątpię – mruknął z udawanym rozbawieniem. – Raczej nie przywiózł mi pan pieniędzy, więc... wszystko w porządku?

Kubek machnął ręką.

– Tak, tak. Jestem cały czas w pracy. To może dać porządnie w kość.

– Zawsze na posterunku – skwitował Karcz.

– *Dum mundus durat*, czyli aż do końca świata – zażartował Tomasz, a potem wyciągnął ręce z kieszeni i wskazał na rządowy samochód. – Niech pan wsiada. Musimy poważnie porozmawiać. Potrzebuję... pomocy.

– Czemu pan nie zadzwonił?

Kubek parsknął śmiechem i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Znamy się rok i nadal zachowuje się pan, jakby mi nie ufał. Proszę nie zapominać, że kiedy się poznaliśmy, wyciągnąłem pana z więzienia w Egipcie. Nie był pan szczególnie popularny wśród Arabów...

– Tak. Pamiętam – przyznał Karcz. – Wakacje mojego życia.

Kubek się skrzywił.

– Nie dzwoniłem, bo i tak byłem w trasie, a pan odbiera co dziesiąte połączenie i nigdy pan nie oddzwania – wyjaśnił lekko zniecierpliwiony

Tomasz. – Na pewno ucieszy pana fakt, że potwierdzono autentyczność pana ostatniej zdobyczy. Mam dla pana resztę pieniędzy.

– Czyżby?

– Oczywiście... – odparł. – Ale jest jeszcze coś... – Odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu.

Po chwili Karcz poszedł za nim.

\*\*\*

Devraux zapalił kolejnego papierosa. Tak naprawdę nie chciało mu się palić, ale dym skutecznie zabijał zapach tego zatechłego miejsca.

Obecna sytuacja zaczynała go drażnić. Wszystko miało być zrealizowane po cichu i bez problemów. Miało pójść gładko, tak jak wielokrotnie wcześniej, ale tym razem czuł niepokój.

Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym. Przypominał teraz smoka z bajki, palącego całe królestwa i wioski.

– Cholerna kostka Rubika – mruknął pod nosem i się uśmiechnął. – Drań.

Wyjrzał przez okno i wtedy do pomieszczenia wbiegł jeden z jego ludzi, cały pokryty białym pyłem.

– Znaleźliśmy! – zawołał, wyraźnie zadowolony. – W południowej części budynku przebiliśmy się przez podłogę....

Po dotarciu na miejsce zastali pozostałych, którzy śmiali się i klepali po plecach. Całe pomieszczenie oświetlone było lampami halogenowymi. Dookoła wałały się gruz i narzędzia.

Devraux spojrział na dziurę w podłodze. Jego ludzie zdążyli wsunąć do niej długą aluminiową drabinę.

– Byliście na dole? – zapytał, przyglądając się ich umorusanym twarzom.

Mężczyzna, który po niego przyszedł, wytarł spocone, brudne czoło równie brudną dłonią.

– Taaa. – Nie przestając się uśmiechać, wskazał ścianę. – To zasypany wjazd. Zaczynał się po wewnętrznej stronie budynku. Zamurowali go i zasypali na linii fundamentów.

Devruax pochylił się, złapał jedną z lamp halogenowych na kablu i poświecił w głąb dziury.

– Bardzo wysoko – ocenił.

– Prawie pięć metrów. Złączyliśmy dwie drabiny. Zjazd prowadzi pod budynek...

Devraux, wciąż trzymając lampę w jednej ręce, drugą chwycił komórkę i wybrał znany sobie numer.

– Znalezliśmy – oznajmił do słuchawki, ponownie pochylając się nad dziurą. – Tak... Jak to wygląda? Cóż... – Wsunął rękę z lampą do dziury. Snop światła zatrzymał się na potężnej żelaznej swastyce. – Mamy bramę prowadzącą w głąb – powiedział i wyszczerzył zęby. – Dobrze słyszysz. To nie są drzwi od schronu. To brama wjazdowa pod ziemią. Zamurowali ją, a później zasypali z zewnątrz do poziomu gruntu.

Głos w słuchawce mówił coś przez dłuższą chwilę. Devraux odstawił lampę.

– Potrzebujemy czterdziestu ośmiu godzin spokoju – stwierdził stanowczo. – Żadnych nieproszonych gości... Rozumiesz, co mówię?

Mężczyźni siedzący naokoło dziury spojrzeli po sobie. Żaden się nie odezwał. Odnalezienie ukrytego wjazdu zajęło im kilka dni. Czterdzieści osiem godzin na wyciągnięcie z podziemi czegokolwiek, co mogło się tam znajdować, to zdecydowanie za mało.

Devraux zaciągnął się prawie wypalonym papierosem, nadal nie odrywając telefonu od ucha.

– Zajmij się tym swoim Robertem Karczem – przykazał. – Czterdzieści osiem godzin i zjeżdżamy z tej nory! Tak. Nie obchodzi mnie to. Nie interesują mnie twoje osobiste relacje z tym gościem. Obiecuję ci, że jeżeli ten facet pojawi się tu znowu i będzie węszył, to skręcę mu kark i zakopię go głęboko pod ziemią.

Wrzucił niedopałek do dziury w podłodze.

ROZDZIAŁ 6  
**W KTÓRYM W KOŃCU POZNAJEMY MICHAŁA  
KARMELITĘ**

Tomasz Kubek wszedł do mieszkania przy ulicy Grabskiego z niemałym zainteresowaniem. Rozpiął koszulę pod szyją i zaczął błędzić wzrokiem po pustych ścianach. Można było odnieść wrażenie, że szuka czegokolwiek, co sprawiłoby, że chociaż przez chwilę mógłby porozmawiać z Karczem jak z dobrym znajomym.

Niestety, nic takiego nie znalazł.

Westchnął.

– Zaczynam odnosić wrażenie, że pan troszczy się jedynie o swój samochód – rzekł. – Pan wybaczy, ale jestem zaskoczony wystrojem. Jest tu dość...

– Pusto? – podpowiedział Robert, ściągając buty bez użycia rąk.

– Ascetycznie – dokończył Kubek.

Karcz się uśmiechnął.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o którą się obecnie troszczę...

– Jaka?

Podszedł do zamkniętych drzwi jednego z pokoi i zastukał w nie. Po drugiej stronie szczeknął pies. Kubek się wzdrygnął.

– Pies. Zapomniałbym... Mieszka z panem?

Karcz, zamiast odpowiedzieć, udał się do kuchni, a kiedy Kubek do niego dołączył, gospodarz wskazał na wyrwane drzwiczki szafki pod zlewem. Ich krawędzie były obgryzione, a na podłodze wałały się wióry.

– Trzymam go w pokoju, bo wszystko niszczy. Meble kuchenne to jego nowa zdobycz.

– Jest agresywny? – zaniepokoił się Tomasz.

Tym razem Karcz wskazał zmywarę, z której Hassan zerwał okleinę, i która wyglądała przez to jak kawał złomu wetknięty pomiędzy meble kuchenne.

– Jest bardzo łagodny – odparł. Nagle stanął mu przed oczami obraz wrzeszczącego wniebogłosy Henryka Maja, rzekomego leśniczego, któremu pies rzucił się do gardła, ratując Karczowi życie. – Ale tylko wtedy, kiedy mu to pasuje – dokończył.

– Ale gryzie rzeczy?

– Tak – przyznał Robert i odłożył siatkę z zakupami na blat. Wyciągnął z niej dwie butelki korzennego piwa i podał jedną Kubkowi, który odmówił machnięciem ręki. – Kiedy zostawiam go samego, dostaje szału. Albo kiedy idę spać...

– To ciekawe.

– Na pewno pan nie chce? Jest bezalkoholowe.

– Nie. Dziękuję.

Karcz zdjął z butelki kapsel i upił łyk.

– Czasami, kiedy jesteśmy na spacerze, atakuje drzewa i zdziera z nich korę – kontynuował.

– Niech go pan zabierze do trenera – poradził Kubek.

Robert zmrużył jedno oko, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Myślę, że to nie będzie konieczne. Planuję się go pozbyć.

– Schronisko? Nowy właściciel?

– Rozważam różne opcje.

Tomasz westchnął i rozejrzył się po kuchni.

– Mogę rzucić okiem na pokoje? Ładne to mieszkanie.

Karcz wzruszył ramionami – było mu to obojętne. Kubek uznał gest za przyzwolenie i zajrzał przez otwarte drzwi do sypialni, w której nie było absolutnie nic poza suszarką na pranie, a potem wszedł do salonu i po kilku krokach stanął jak wryty.

– To pies tak załatwił tę kanapę? – Wskazał podarty mebel i strzępy tapicerki walające się po podłodze.

Karcz nie skomentował. Tomasz zauważył stojący na podłodze kubeł na śmieci pełen niedbale pogniecionych dokumentów, a następnie zatrzymał wzrok na ścianie, na której wisiał narysowany przez Roberta szkic przedstawiający teren starego szpitala.

– Co to jest? – zapytał wyraźnie zaskoczony.

Karcz podszedł do ściany.

– To? – Dotknął rysunku palcem.

– Tak.

– To rysunek przedstawiający naszą przyjaźń – wyjaśnił pogodnie Robert. – To jestem ja, to pan... o, tutaj. I na tym rysunku jest pan w trakcie mówienia mi, po co przyjechał pan do Legnicy. Szczerze.

Kubek przyjrzał mu się i skrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu. Po chwili sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej kopertę.

– Dodatkowe dwadzieścia tysięcy – oznajmił. – Tak jak wspominałem, potwierdziliśmy autentyczność.

Karcz z rozgoryczeniem spojrział na kopertę, zabrał ją i wsunął do kieszeni kurtki, a potem znowu upił łyk z butelki.

– Mam problem – usłyszał nagle. – Chciałbym, żeby pan pojechał ze mną do Berlina...

Robert o mało nie zakrztusił się piwem.

– Kiedy?

– Teraz. Zaraz. Na dwa, trzy dni. Wiem, że to dziwna i niespodziewana prośba...

Karcz cofnął się o krok, co robił bardzo często, kiedy wietrzył podstęp albo kiedy – dosłownie i w przenośni – chciał spojrzeć na sprawy z odpowiednim dystansem. To był odruch, coś czego nie kontrolował.

– Po pierwsze, mam pracę w szkole – zaczął spokojnie, starając się, żeby jego głos brzmiał naturalnie. – A po drugie, po mało udanej przerwie świątecznej i jeszcze mniej udanym sylwestrze, nie wyobrażam sobie, że miałbym z panem wsiąść w samochód i ot tak, pojechać do Berlina.

– Panie Robercie, podejrzewałem, że zareaguje pan w ten sposób... ale zapłacimy panu... Ja panu zapłacę... – plątał się Kubek.

– O co dokładnie chodzi? – przerwał mu Robert.

– Kilka lat temu z muzeum w Harare skradziono maski hełmowe *mapiko* i podpórki pod głowę *mutsago*, słyszał pan?

Karcz pstryknął.

– Muzeum w Zimbabwie? Co to ma wspólnego z panem i ministerstwem?

Tomasz potarł zmęczone oczy i wsadził ręce do kieszeni spodni, jakby próbował poczuć się bardziej komfortowo. Karcz widział się z nim kilka razy w życiu, ale dopiero dziś zaobserwował u niego ten odruch. W przypadku dbającego o zasady i etykietę Kubka wyglądało to jak oznaka desperacji.

– Niemcy namierzyli te skradzione rzeczy na aukcji w internecie. Maski z grupy etnicznej Shona, podpórki z grupy etnicznej Makonde. Wstępnie potwierdzono ich autentyczność...

– Do rzeczy.

– I oczywiście okazało się, że za wszystkim stoją Polacy. Jednego aresztowano w Marriotcie w Warszawie, a na drugiego zaczajono się właśnie w Berlinie. Aresztują go, może już to zrobili... W sprawę włączyło się CBŚ, nie wspominając o zagranicznych służbach. I niestety, o tym pan nie poczyta w mediach. Pewni ludzie szukają powiązań. Różnych powiązań.

Karcz wybuchnął śmiechem, odłożył butelkę piwa na podłogę i splótł ręce na piersi.

– A pan? Jest pan z tym powiązany?

Kubek zbladł.

– Niesamowite jest to, że takie rzeczy dzieją się każdego dnia. Dosłownie każdego – zauważył Karcz z rosnącym rozbawieniem. – Jak w filmach szpiegowskich, prawda? Mijasz kogoś w hotelowym lobby, a on ma w tubie drobiazg wart dla jednych kilka milionów, a dla innych zupełnie nic. Często o tym myślę...

Kubek westchnął.

– To nie film. I nie jestem z tym powiązany, przynajmniej nie w takim sensie, jaki pan sugeruje. Jestem urzędnikiem. I szczerze mówiąc, miałbym to gdzieś, ale...

– Tak?

– Chciałbym, żeby pojechał pan tam ze mną i ocenił sytuację na swój sposób. – Tomasz spojrział na niego znacząco. – Potrzebuję kogoś, o kim nikt oficjalnie nie wie, ale kto... zna środowisko. I być może będzie przydatny.

Karcz znowu się uśmiechnął.

– Przypomnę panu, że od pół roku pracuję jako nauczyciel w gimnazjum. Codziennie mam problemy z innymi nauczycielami, a o uczniach nawet nie będę wspominał. Nawet nie potrafię sobie poradzić z psem. Zresztą sam mnie pan wyciągał z więzienia, więc nie wyobraża pan sobie chyba, jak ktoś taki jak ja miałby...

– Niech pan sobie nie kpi! – przerwał mu podniesionym głosem Kubek.

– Ale z czego? – Robert udał zdziwienie.

– Nie zmyli mnie pan swoim wiecznym zakłopotaniem i uśmiechem. Pana urok osobisty być może usypia czujność innych ludzi, ale nie moją. Wiem, z jakiej gliny jest pan ulepiony, i potrzebuję pana pomocy. W to zamieszani są Polacy. Pan musi pomóc mi dojść do tego, jak tego dokonali. Po prostu. Wynagrodzę pana. Od ręki. A za dwa, trzy dni odwiozę pana z powrotem do Legnicy.

Przez bardzo długą chwilę wpatrywali się w siebie.

– Nie – powiedział w końcu Karcz.

– Wyciągnąłem pana, a pan obiecał, że będzie pomocny...

– Nie, nie i nie – powtórzył łagodnie Robert. – Umowa była inna.

– Potrzebuję konsultanta. Kogoś, komu mogę zaufać. Ale jeżeli pan nie chce, to wsiadam w samochód i jadę sam...

Karcz nie pamiętał, kiedy ostatni raz rozmawiał z kimś do tego stopnia otwarcie na temat tego, czym się zajmuje. Cała ta sytuacja wydawała mu się wręcz absurdalna, być może dlatego, że większość czasu spędzał sam albo w towarzystwie nastolatków gimnazjalistów.

– Przykro mi, mam plany – odparł i pomyślał o Teresie Cichej.



– Dobrze – mruknął Kubek. – W takim razie w drodze powrotnej z Berlina wpadnę na kawę...

– Niech pan najpierw zadzwoni.

– Niech pan odbiera. – Tomasz był ewidentnie niezadowolony z przebiegu rozmowy. Ominął Karcza i ruszył do drzwi wyjściowych.

– Devraux – powiedział Karcz nagle.

Kubek się zatrzymał i obrócił głowę przez ramię.

– Słucham? – Był zaskoczony.

– Devraux – powtórzył wyraźniej Karcz. – Wielki facet około pięćdziesiątki. Szpakowaty. Zna go pan?

Twarcz Tomasza Kubka nawet nie drgnęła.

– Nie znam. To jakiś pana nowy znajomy?

Karcz wzruszył ramionami.

– Ciężko powiedzieć. Sam się zastanawiam... Myślałem, że może się znacie.

Kubek spojrział na zegarek, a potem na niego.

– Wie pan, co zawsze w panu lubiłem, panie Karcz?

– Tak?

– Niezależność. To całe robienie tego, co się chce i kiedy się chce... Ja tak nie mogę.

– Powodzenia w Berlinie.

– Przywiozę panu wursta albo proszek do prania.

– Ależ nie, proszę się nie fatygować.

Kubek milczał przez chwilę, po czym powiedział tylko:

– Cóż... warto było spróbować.

\*\*\*

Rajmund siedział w swoim pokoju i wgapiał się w ekran komputera. Na biurku stały małe modele fordów mustangów i kilku innych amerykańskich *muscle carów*. Uwielbiał ustawiać je w odpowiedniej kolejności. Wszystko wokół niego musiało mieć odpowiednią kolejność i musiało stanowić część schematu.

Lubił logiczne rzeczy, dlatego lubił samochody.

Myślenie o tym, jak działa samochód i jak jest skonstruowany, uspokajało go.

Podejrzewał, że jego mama liczy, iż mimo trudności z nauką i dostosowaniem się do rówieśników ta jego pasja przerodzi się w coś więcej. Że być może, jak dorośnie, zostanie mechanikiem albo konstruktorem, albo zawodowym kierowcą. Trzymała się tych myśli, które utwierdzały ją w przeświadczeniu, że postąpiła dobrze, nie wysyłając syna do szkoły specjalnej.

Tak przynajmniej mu się wydawało. Rajmund nie był głupi. Był inny, taki się urodził. Czasami po prostu nie rozumiał ludzi i nie rozumiał ich żartów albo gierki słownych. Często zamiast słów słyszał zwyczajny bełkot. To zapewne dlatego był samotny. Ale nie, nie był głupi.

To ludzie nie byli logiczni. Pozornie działali jak dobrze skonstruowane maszyny, tymczasem w głowach prawie zawsze mieli bałagan. Ale w głowie Rajmunda był porządek. Lubił postrzegać swój umysł jako maszynę. Jeżeli istniały skarby, można było je znaleźć. Jeżeli ktoś coś obiecywał i nie dotrzymał słowa, musiał mieć powód, coś musiało mu przeszkodzić. Nic nie pozostawało w niedopowiedzeniu. Bo czym było niedopowiedzenie?

Poruszył myszką od komputera kilka razy, a potem uderzył pięścią w blat.

Pan Robert nie zadzwonił.

Obiecał, a później obiecał drugi raz, ale nie zadzwonił.

Dlaczego?

Dlaczego nie dotrzymał słowa?

Bo mnie przestał lubić. Ludzie, którzy się lubią, dotrzymują słowa.

Dziadek nigdy nie dotrzymywał słowa i kłamał.

Tylko mama mówiła prawdę...

– Rajmund, kochanie, co się stało? – Do pokoju zajrzała zaniepokojona mama. Piękne rude włosy miała jeszcze wilgotne po kąpieli, a na jej jasnej twarzy malowało się zaniepokojenie.

Chłopiec, naburmuszony jak zwykle, nawet na nią nie spojrzał.

– Odezwij się do mnie – poprosiła łagodnie.

– Dlaczego nie lubisz pana Karcza? – wypalił.

– Bo... – zaczęła ostrożnie – nawet go dobrze nie znam.

– To go poznaj.

– Ale kochanie... – Weszła do pokoju. Miała na sobie gruby szlafrok. – Cieszę się, że go polubiłeś, ale jesteś jeszcze dzieckiem, a on jest dorosły. I jest nauczycielem, a to sprawia, że...

– Jest archeologiem – przerwał jej Rajmund.

– Skarbie – westchnęła mama. – Twój dziadek powiedział mi kilka złych rzeczy na temat pana Karcza. Ja go nie znam, ale znam twojego dziadka i wydaje mi się, że miał swój powód, żeby...

Zniknąć? – zastanowiła się.

– ...powiedzieć te wszystkie rzeczy o panu Karczu – dokończyła.

– Nie lubię dziadka – burknął chłopiec pod nosem.

Skrzywiła się, ale postanowiła go nie karcić, bo od kilku tygodni sytuacja między nią a synem była wyjątkowo napięta. Mógł źle odczytać upomnienie i zamknąć się w sobie.

– Kochanie, mówiłam ci to już. Jeżeli pan Karcz chce cię odwozić po szkole i chce spędzać z tobą czas, to powinien najpierw porozmawiać ze mną. Mnie się to po prostu nie podoba. Proponował ci coś ostatnio? Chciał cię... – Zawahała się i poczuła, jak serce skacze jej do gardła. Dziadek chłopca, a jej ojciec, powiedział o Karczu bardzo dużo złych rzeczy. Nie wiedziała, co zaszło między nimi ani skąd się znali, rzucało to jednak cień na postać nauczyciela. Jej ojciec być może nie jest doskonały, ale rodzina to rodzina. To właśnie jej wpojono. – Chciał cię gdzieś zabrać? Pojechać z tobą gdzieś? Prosił, żebyś mu pomógł... w czymś?

– Nie – powiedział chłopiec, a ona poczuła ulgę. – Pan Karcz już mnie nie lubi.

Kobieta zamarła.

Sukinsyn, pomyślała. Cholerny dupek!

Czy to dlatego jej syn przez ostatnie tygodnie i całe święta Bożego Narodzenia zachowywał się jak dzikus? Była prawie pewna, że to z powodu świąt bez dziadka, ale wszystko wskazywało na to, że...

– Powiedział ci to? – Zerknęła na monitor, na którym chłopiec oglądał coś, co wyglądało na duży opuszczony budynek, bardzo przygnębiający. Nie miała jednak czasu dłużej się nad tym zastanowić. – Skarbie, czy pan Robert powiedział, że cię już nie lubi?

Rajmund milczał.

Podeszła do niego i przytuliła go ostrożnie. Chłopiec nie przepadał za kontaktem fizycznym, ale w ramionach swojej mamy zawsze czuł się dobrze.

Kilkanaście minut później kobieta zaczęła robić kolację, przeklinając Roberta Karcza i fakt, że w ogóle pojawił się w życiu jej syna. Tymczasem chłopiec dalej wpatrywał się w ekran komputera i wielkie słowo nad zdjęciem opuszczonego budynku: SZPITAL.

\*\*\*

Następnego dnia w szkole Teresa Cicha natknęła się na Roberta Karcza w pokoju nauczycielskim jeszcze przed pierwszą lekcją, kiedy pewnym krokiem zmierzała do klasy polonistycznej. Wpadła na niego, prawie wytrącając mu z ręki kubek kawy.

– Na miłość boską, niech pan uważa, jak łązi! – syknęła i spojrzała z niesmakiem na ciemną kałużę na podłodze. – Jest za trzy ósma. Nie powinien pan przypadkiem już być na swoich zajęciach?

Karcz burknął coś niezadowolony i strząsnął z dłoni kilka kropel kawy.

– Przepraszam, zaraz to powycieram – powiedział.

Rozjuszona Cicha ominęła go i ruszyła do swojej klasy. Spojrzała na uczniów stojących przed drzwiami i gestem nakazała im zejść jej z drogi.

Wolałaby więcej nie widzieć Roberta Karcza i cieszyła się, że to przedostatni dzień szkoły przed przerwą. Już poczyniła stosowne kroki, żeby znaleźć zastępstwo za historyka na kolejny semestr, więc jak wszystko pójdzie po jej myśli, już nigdy nie będzie musiała patrzeć na ten uśmiezek i wiecznie pokaleczoną gębę, która nieodparcie kojarzyła się jej z czymś złym, niestosownym i po prostu grzesznym.

Uśmiechnęła się do siebie i czekając, aż uczniowie w milczeniu zajmą swoje miejsca, odłożyła na biurko dziennik klasowy, podręcznik i ostatnią lekturę, z której mieli przygotować się tak zwani uczniowie ostatniej szansy. Westchnęła na myśl o poziomie inteligencji dzisiejszej młodzieży, a potem sięgnęła do kieszeni po klucze, żeby, jak zawsze, też położyć je na biurku przed sobą. W małym pęku były klucze do pokoju nauczycielskiego, do jej szafki, do toalety, a także klucze do jej mieszkania. Trzymanie wszystkich razem było jej zdaniem bardzo praktyczne.

Zdziwiła się, nie znajdując ich tam, gdzie powinny być. Lekko zaniepokojona sięgnęła do drugiej kieszeni, ale i tam ich nie znalazła. Kiedy dotarło do niej, że na pewno nie ma ich przy sobie, nerwowo podrapała się po głowie, odrobinę burząc nienaganną fryzurę.

Musiałam je zostawić w pokoju nauczycielskim, pomyślała.

Przez chwilę rozważała, czy aby nie pójść ich poszukać, ale ostatecznie uznała, że za nic w świecie nie może pozwolić, aby dzieciaki panoszyły się w klasie podczas jej nieobecności.

Spojrzała na puste miejsce na biurku, gdzie powinny leżeć klucze, i westchnęła z irytacją. Mimo dyskomfortu, tego drobnego zakłócenia w jej idealnie poukładanym świecie, zmusiła się do tego, żeby rozpocząć lekcję.

Kluczami mogła zająć się później.

\*\*\*

Kiedy Karcz wbiegł do szkoły, był cały zlany potem.

Właśnie pobiłem swój rekord, pomyślał, z trudem łapiąc oddech.

Wszedł do pokoju nauczycielskiego, który przez kolejne kilka minut miał świecić pustkami, podszedł do szafek nauczycieli, otworzył drzwiczki tej należącej do Teresy Cichej i wrzucił do niej pęk kluczy. W momencie, w którym zamknął szafkę, poczuł, że właśnie zamknął jeden z nurtujących go od jakiegoś czasu tematów. A nawet dwa.

Ściągnął z dłoni lateksowe rękawiczki w kolorze skóry i schował je do tylnej kieszeni spodni.

Jutro ostatni dzień szkoły, uświadomił sobie, wycierając spocone czoło papierowym ręcznikiem. Podeszedł do dystrybutora z wodą i napełnił po brzegi biały plastikowy kubek.

– Gdzie pan był przez całą lekcję? – zapytał jeden z uczniów, kiedy chwilę przed dzwonkiem Karcz wrócił do swojej klasy. – Miałem dzisiaj odpowiadać... Przeczytałem ten rozdział, który pan kazał, cztery razy!

– Brawo! – Uśmiechnął się Robert. – Zdałeś.

Podeszedł do biurka.

– Niech to będzie dla was najlepszy dowód na to... – zaczął, przeczesując mokre włosy palcami – że czytanie to pięćdziesiąt procent sukcesu.

\*\*\*

Mach 1 stał zaparkowany w garażu. Karcz podeszedł do samochodu i wyciągnął z bagażnika dużą czarną torbę.

Podskórnice czuł, że spotkanie z Tomaszem Kubkiem było zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Cały czas miał przed oczami jego przemęczoną twarz, a w głowie słowa, które usłyszał od Devraux. Te o zbiegach okoliczności.

Zamknął bagażnik, zarzucił torbę na ramię i dotknął chłodnej maski samochodu, jakby chciał się pożegnać.

Już niedługo ruszymy w trasę, pomyślał.

Zamknął dokładnie garaż i ruszył na długi spacer w kierunku swojego mieszkania.

Niespodziewane odwiedziny Tomasza Kubka nie dawały mu spokoju. Myślał o nich cały czas i usiłował przeanalizować każdą możliwość. Nawet kiedy włamywał się do Teresy Cichej, lampka alarmowa w jego głowie nieustannie świeciła.

Pierwsza rzecz, jaka mu się nasunęła na myśl, to przypuszczenie, że propozycja Kubka była próbą odwrócenia uwagi.

On by tak zrobił.

Mężczyzna chciał go wywieźć z miasta. Karcz nie miał na to co prawda żadnych dowodów ani nie dostrzegął motywacji Kubka, jednak czuł to.

Coś było nie tak. Komuś przeszkadzał. Tylko komu? Panu Devraux? Czyżby trafił na coś poważnego? Poważniejszego niż na początku podejrzewał?

Czy to w ogóle możliwe, żeby Kubek o czymś wiedział i żeby między nim a Devraux istniało jakieś połączenie?

Czy zbieg okoliczności mógł być aż tak duży?

Nie chciał popadać w paranoję, ale zbyt wiele razy spotkały go w życiu nieprzyjemne sytuacje i zbyt wiele razy skończył z nożem w plecach. Dosłownie i w przenośni.

Kiedy wszedł na teren parku miejskiego, swojego ulubionego miejsca w całej Legnicy, i minął Stadion Orła Białego, spotkał starszego mężczyznę, który pogwizdując cicho, spacerował dziarskim krokiem.

– Była zima i jest wiosna, panie! – zawołał wesoło do Karcza. – Widzi pan, jak pięknie?

I rzeczywiście.

Pogoda była idealna.

Idealna, żeby ponownie zwiedzić stary szpital.

Był gotowy. Nie ma na co czekać.

Zrobi to jeszcze tego wieczora.

Nic go nie powstrzyma.

\*\*\*

Samochód na warszawskich tablicach rejestracyjnych był wart co najmniej pół miliona.

A to mogło oznaczać tylko jedno. Przez chwilę patrzył na porsche z niedowierzaniem, a potem rozejrzał się uważnie w poszukiwaniu...

– Jak go zobaczyłem, pomyślałem, że pan tego mustanga sprzedał i se kupił porszaka – zagadnął pan Cezary. Miał na sobie zwyczajowe krótkie spodenki i kapcie, a w ustach papierosa. – Wiosna przyszła, szanowny sąsiedzie. Teraz znowu będę musiał czekać rok na zimę, żeby zacząć rzucać...

Karcz podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

– Czyj to samochód? – zapytał, domyślając się odpowiedzi.

Pan Cezary zachichotał i kaszlnął.

– Pan niech mi powie. Czekają na pana w środku...

– Kto? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Sąsiad wzruszył ramionami.

– Od początku wiedziałem, że ja pana skądś kojarzę...

Karcz uśmiechnął się kwaśno. Klepnął pana Cezarego po ramieniu i wszedł do budynku.

W ułamku sekundy rozpoznał jej śmiech. Jak tylko wszedł na pierwsze piętro, zobaczył ich siedzących na schodach prowadzących wyżej – swoją chichoczącą siostrę i mówiącego coś żartem przystojnego, opalonego blondyna. Mężczyzna był podobnej postury co Karcz, ale wyglądał znacznie lepiej. Skojarzył się Robertowi z typem surfera, na którego widok kobietom miękną kolana. Gdyby

nie drogie mokasyny i rozpięta pod szyją biała koszula, od razu założyłyby mu naszyjnik z muszli, wcisnął do rąk deskę i krzyknął: „Płyn!”

Wyobraził sobie Justynę z gromadką blond dzieci o śnieżnobiałych uśmiechach i błękitnych oczach i od razu poczuł obrzydzenie, nie wiedział tylko do kogo. Do tego faceta czy do siebie?

Justyna Karcz, ubrana w drogą kurtkę ze sztucznej skóry, z włosami spiętymi w ciasny kucyk i lustrzanymi okularami zasłaniającymi pół twarzy, opierała się na muskularnym ramieniu mężczyzny i jadła owocowe żelki. Jeden za drugim.

Wyglądali jak żywa reklama najdroższych żelków na świecie.

– Cześć – mruknął Karcz. – Nie mieliście przyjechać w piątek?

Justyna na widok brata uśmiechnęła się promiennie, rzuciła paczkę żelków na parapet i wstała z miejsca. Wyglądała świetnie.

– Cześć, Łośku! – krzyknęła wesoło, płynnym ruchem ściągnęła z twarzy okulary i rzuciła mu się w ramiona.

– Stresujecie mi sąsiadów – sapnął Karcz, próbując uwolnić się z żelaznego uścisku siostry.

W końcu go puściła i zaczęła mu się przyglądać

– Co, u diabła, znowu stało ci się w twarz? – Ton jej głosu uległ całkowitej zmianie.

– Pyśka... – rzucił zakłopotany i spojrzał na blond surfera.

– Hej, czekaliśmy na ciebie ze dwie godziny – powiedział mężczyzna, wstał i serdecznie potrząsnął dłonią Roberta. Gość był nieprzyzwoicie atrakcyjny, sprawiał też wrażenie wysportowanego, przez co Karcz od razu pomyślał, że będzie miał problem z polubieniem go. Nie żeby dzwonnik z Notre-Dame bardziej się nadawał dla jego siostry, ale koleś był najwyraźniej typem playboya, a to nie wróżyło nic dobrego, poza okładkami w drogich miesięcznikach. – Nazywam się Michał Karmelita. Bardzo mi miło.

– Karmelita? – zdziwił się Karcz i zerknął na siostrę, która właśnie kończyła obchodzić go ze wszystkich stron i dostrzegła szwy na jego głowie.

Karcz ostrożnie położył swoją torbę na podłodze, a Michał się uśmiechnął, rozbawiony całą sytuacją.

Karmelita. Jak Karmel i Elita. Albo jak zakonnik.

– Boli cię coś? – zapytała Justyna z wyraźną troską. – Miałeś wypadek samochodowy?

Zerknął na nią, ale zanim zdążył znaleźć odpowiednią do sytuacji wymówkę, został siarczyście spoliczkowany. Zaskoczony złapał się za twarz. Spojrzenie jego siostry mówiło wszystko.

– Pyśka!

– Nie pyśkuj mi! – warknęła. – W co się znowu wpakowałeś?

Zamiast odpowiedzieć, spojrział na jeszcze bardziej zaskoczonego chłopaka siostry, który prawdopodobnie pierwszy raz zobaczył prawdziwe oblicze swojej dziewczyny.

W ten sposób Karcz poznał Michała Karmelitę.

\*\*\*

– Mieliście przyjechać w piątek – zauważył Robert i zaniósł swoją torbę do sypialni, po czym zamknął do niej drzwi. – Wybaczcie, ale dopiero się wprowadziłem.

Justyna miała już o wiele lepszy humor albo po prostu próbowała trzymać fason. Karcz czuł, że przeprowadzi z nim długą rozmowę, ale już na osobności, ponieważ wtedy będzie mogła się na nim wyżyć. Jego siostra, podobnie jak on, nie była typem osoby, która przesadnie się uzewnętrznia, a to, co było widoczne, stanowiło formę kreacji – oto silna i piękna Justyna z telewizji. Na szczęście, bo inaczej pewnie niejednej osobie dawno wybiłaby zęby.

– I dziękuję za serdeczne powitanie – dodał.

– Przytulnie tu – stwierdził Michał, cały czas w świetnym humorze. Bez pytania zaglądał kolejno do wszystkich pomieszczeń, włączając w to dwie sypialnie i salon. Karcz poczuł silną irytację. – Stylowa kanapa, Robert. Bardzo fajna.

Justyna szła za nim, a z każdym krokiem jej kucyk kołysał się wesoło. Kiedy zobaczyła puste ściany i białe strzępy walające się po całej podłodze, kucyk znieruchomiał.

– Michał – zwróciła się do swojego chłopaka. Nie wyglądała na specjalnie zaskoczoną. Najwyraźniej bardziej przejęła się kpiną Michała. – To jest właśnie mój brat. Cieszę się, że to widzisz, bo słowa by tego nie oddały.

– Tak – mruknął Karmelita z udawanym uznaniem. – Ma gust...

– Słyszysz, Robert? – zapytała Justyna. – Masz gust! – zawołała z kpiną.

Karcz stał przy wejściu do kuchni, nie bardzo wiedząc, co robić. Ostatecznie zdecydował się powiedzieć pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

– Jedźmy do waszego hotelu – zaproponował. – Po drodze skoczmy do jakiejś restauracji...

...a później ululam was do snu i pobiegnę sprawdzić szpital, dokończył w myślach.

– Nie mamy hotelu. – Karmelita pokręcił głową. – Justyna mówiła, że masz większe mieszkanie i zatrzymamy się u ciebie.

– Taki był plan – uściśliła lodowatym głosem, zaglądając do kuchni. Posłała bratu jadowite spojrzenie, a potem zniknęła w salonie. Jej miejsce w progu zajął



Karmelita.

– Robert, dużo o tobie słyszałem – powiedział.

– To miło.

Ja o tobie wcale, pomyślał Karcz. Oczywiście pomijając puste stwierdzenie „fajny facet”, którym równie dobrze można określić kogokolwiek.

– Robert, naprawdę przeszedłeś sam siebie – stwierdziła Justyna, dołączając do nich. Pocierała oczy, jakby próbowała zetrzeć z nich obraz tego, co przed momentem zobaczyła. – Michał, musisz wiedzieć, że mój brat ma specyficzne podejście do określeń typu „dom”, „własność prywatna”, „miejsce do spania”... „łóżko”! – wymieniła głośno, a po chwili dorzuciła: – „obiad”, „posiłek”, „święta”, „siostra”!

– Pyśka, proszę cię. – Karcz był wyraźnie zmieszany.

Niespodziewanie Justyna pocałowała go w policzek, a następnie pogładziła miejsce, gdzie wcześniej wylądowała jej dłoń.

– Nie mogłaś tak od początku?

– Ty się nie zmienisz, prawda? – zapytała łagodnie.

Karcz milczał. Zerknął tylko na surfera, który z jeszcze większym rozbawieniem niż wcześniej przyglądał się ich relacji.

– Michał, tak? – odezwał się w końcu Robert. – Nie byłem przygotowany na wasz przyjazd. Justyna powiedziała mi... – spojrzał na siostrę morderczym wzrokiem – że będziecie w piątek. Myślę, że...

– Czy to ten twój pies tak wszystko załatwił? – weszła mu w słowo.

– Co?

– Ten pies, z którym jadłeś pizzę w garażu – sprecyzowała, a Karmelita parsknął śmiechem i oparł się o framugę. Wyraźnie coraz lepiej się bawił. – To on wszystko zniszczył?

– Pies?

– Czy może sam to pogryzłeś?

– Jesteś przezabawna – stwierdził kwaśno Karcz. – Tak, to pies. Chciałem to wszystko posprzątać przed waszym przyjazdem...

– I kupić meble? – W jej głosie czaił się atak.

Karcz nie odpowiedział. Potarł dłonie, szukając w myślach wyjścia z tej niezręcznej sytuacji.

– Przykro mi, że nie mogę was ugościć. Czuję się zakłopotany...

– Widzę. – Karmelita posłał mu śnieżnobiały uśmiech. – To zabawne, kiedy zakłopotani ludzie mówią, że są zakłopotani.

– Dlaczego?

– Bo to powoduje, że ci, którzy to mówią, zaczynają sprawiać wrażenie, jakby wcale nie byli zakłopotani.

Pan Spozrzegawczy, pomyślał Karcz. I jeszcze filozof. Cudownie.

– Otóż to! – powiedziała Justyna i uwiesiła się na ramieniu brata. – To właśnie jest mój braciszek. Z tą swoją wieczną ściemą...

– To znaczy? – zapytał Karmelita.

– Jak byliśmy dziećmi, pojechaliśmy z rodzicami na wieś – zaczęła, a Karcz przewrócił oczami, wiedząc, co będzie dalej. To była jej ulubiona historyjka. – I pewnego dnia wyszedł z domu i zniknął na trzy dni. Rodzice omal nie zwariowali, przyjechała policja, pół wsi ruszyło na poszukiwania, a on po prostu wrócił cały utyłany błotem, z kijem w ręce, i powiedział: „Nie wiedziałem, że się zdenerwujecie”. Rozumiesz? I też był zakłopotany.

– Miałem mapę – próbował się bronić Karcz.

– Narysowałeś mapę, a nie miałeś mapę – warknęła.

– Byliśmy dziećmi. – Robert popatrzył na Karmelitę, szukając w nim odrobiny zrozumienia.

– Mieliśmy po kilka lat – kontynuowała Justyna. – Próbuję ci właśnie powiedzieć, że mój brat jest wiecznie zakłopotany, o ile mu to pasuje. Więc nie zdziwiłabym się, gdyby wywalił z mieszkania meble, żebyśmy nie mogli tu przenocować.

Karcz posłał jej pytające spojrzenie, zastanawiając się, co ona wygaduje i na jakim etapie ich relacji zasłużył sobie na takie złośliwe koloryzowanie.

– Nie ma problemu. – Surfer nagle klasnął w dłonie. – Możemy tu zostać. Mnie się podoba.

Karcz chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo ubiegła go siostra.

– Michał, widzę, że masz jakiś pomysł. Powiesz mi?

Oślupiały Karcz przyglądał się parze, czując, że z każdą kolejną sekundą sytuacja coraz bardziej wymyka mu się spod kontroli. Nie mógł na to pozwolić.

– Słuchajcie, pojedźmy do miasta – wtrącił się stanowczo. Chciał, żeby jego słowa zabrzmiały jak jedyne rozsądne rozwiązanie. – Napijemy się czegoś, znajdziemy wam hotel... Kiedy wracacie?

– Nie wracamy – poinformowała go Justyna z jakąś dziką satysfakcją. – Zostajemy do czasu, kiedy zaczniesz ferie i wtedy pojedziemy gdzieś razem. Może na narty?

Karcz otworzył szerzej oczy.

– Ale...

– Nie denerwuj mnie! – fuknęła i pogroziła mu palcem.

– Pyśka...

– Nie mów tak do mnie – upomniała go. – Przyjechaliśmy wcześniej, bo znowu wywinąłbyś jakiś numer. Spędzimy trochę czasu jak normalna rodzina. Jesteś mi to winien, Robert!

– Bardzo chcę spędzić z tobą czas... i cieszę się, że przyjechałaś...

– Przyjechaliśmy – poprawiła go, a on poczuł żal, że stawia go w takiej sytuacji. To była kara. Pokazówka dla jej chłopaka.

– Tak, że przyjechaliście – poprawił się.

Ciekawe, jak zareaguje, kiedy powiem jej, że rzucam pracę w szkole? – zastanowił się, ale szybko odegnał tę myśl.

– Co robimy, Michał? – Justyna spojrzała na Karmelitę, który najwyraźniej doświadczał czegoś całkowicie nowego i próbował nacieszyć się każdą chwilą.

– Zostajemy tutaj – powiedział dobitnie, jakby brak mebli i bałagan były dla niego czymś zupełnie normalnym. Klóciło się to trochę z widokiem porsche stojącego na zewnątrz.

Karcz potarł nerwowo skroń.

– Ale jak? Gdzie? – zapytał.

Nie chciał okazywać zniecierpliwienia. Jasne, na widok siostry zrobiło mu się cieplej na sercu, ale zdecydowanie nie lubił tego typu niespodzianek, tym bardziej takich, które krzyżowały jego własne plany.

– Normalnie – odparł Karmelita. Podszedł do Karczka i udał, że zadaje mu cios w brzuch. – Pojedziemy na zakupy. Ha!

– Michał, proszę cię. – Justyna zaśmiała się nerwowo, jakby rzeczywiście spodziewała się, że jej facet zaraz wyciągnie diamentową kartę kredytową i zapełni mieszkanie meblami.

Karmelita się roześmiał.

– No co? – zapytał. – Będzie super!

– Co będzie super? – zaniepokoił się Karcz.

Tamten, zamiast odpowiedzieć, mrugnął do Roberta porozumiewawczo.

Najpierw cios mima, a teraz puszczenie oczek, pomyślał Karcz. Coraz lepiej, Dorotko.

– Czyli co? – zapytała Justyna.

– Czyli jedziemy – zdecydował Karmelita.

– Dokąd? – w głosie Roberta nie było ani krzty entuzjazmu.

– Do sklepu. – Michał rozejrzał się nagle, jak gdyby się zorientował, że czegoś mu brakuje. – Masz psa w domu?

– Ja... – próbował wytłumaczyć Karcz, ale znowu weszła mu w słowo Justyna.

– Robert, gdzie jest ten twój pies?

Już miał odpowiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Cała trójka spojrzała w ich kierunku.

– Goście? – odezwała się Justyna.

– Impreza? – zażartował Karmelita.

Karcz, nie wiedzieć czemu, oczami wyobraźni zobaczył, jak wali chłopaka siostry w zęby.

– Nie wiem – odparł i udał się do przedpokoju. Zerknął przez wizjer, a ujrawszy, kto jest po drugiej stronie, z rezygnacją oparł się czołem o drzwi.

– Kto to? – dopytywała Justyna.

Karcz przeklął pod nosem, a potem otworzył drzwi.

– Cześć, Zuza. Co tu robisz?

Blondynka z szerokim uśmiechem na twarzy wręczyła mu trzy pudełka do przechowywania żywności.

– Siema, Karcz! – przywitała go. – Przyjechałam się pożegnać. Po ostatniej wizycie w szpitalu byłam na ciebie wkurzona, ale już mi przeszło.

– Jakiej wizycie w szpitalu? – Justyna wyłoniła się zza brata. – Cześć, Zuziu.

– Ojej... cześć. Myślałam, że Karcz będzie sam.

– Przyjechaliśmy w odwiedziny – pospieszył z wyjaśnieniem Karmelita, a Robert zazgrzytał zębami. – Jestem Michał. – Pomachał do Zuzy znad ramienia Karcza, który zauważył, że dziewczynę zatkało na ich widok, a nawet lekko się zaczerwieniła. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Czyżby chodziło o tego cholernego surfera?

– Zuza – szepnęła, sprowadzając ją na ziemię. – O co chodzi z tymi pudełkami?

– Hummus i trochę prawdziwego jedzenia – odpowiedziała. – Widziałam, co masz w lodówce, Karcz. Żal. Jak już przestałam być wkurzona, postanowiłam interweniować, więc jestem.

– Widziała, co masz w lodówce? – zapytała Justyna, rozbawiona. Wzięła od Zuzy pudełka i ucałowała ją w policzek. – Cześć, skarbie. Świetnie wyglądasz. Opiekowałaś się moim bratem?

– Uwielbiam hummus – ucieszył się Karmelita.

– Nie będę wam przeszkadzać... – bąknęła Zuza.

– Ależ nie przeszkadzasz – zaprotestowała Justyna. – Jesteśmy u Roberta na interwencji...

– Srencji – przedrzeźnił ją Karcz i nagle poczuł, jakby znowu byli dziećmi. To było dobre uczucie, nawet jeżeli wydawało mu się tak bardzo obce. – Zuza, nie słuchaj jej. To moja siostra. Od pracy w telewizji... – nie dokończył, tylko wykonał gest ręką w okolicach skroni.

– Zarąbiaszco! – zawołała Zuza.

\*\*\*

We czworo wybrali się na zakupy. Karcz z Zuzą wcisnęli się na tylne siedzenie nowego, czterodrzwiowego porsche panamera. Karmelita nie popisywał się za

kierownicą, był bardzo opanowany.

Odwiedzili kilka domów towarowych. Kupili jedzenie na kolację i trochę wina. Michał zakupił jeszcze dwa potężne dmuchane materace, pościel i środki do sprzątania.

– Ciężko nie odnieść wrażenia, że go to bawi – szepnął Karcz do siostry, kiedy pakowali zakupy do bagażnika. – Jakbyśmy jechali na piknik...

Justyna szturchnęła go mocno łokciem, dając mu znać, żeby się zamknął.

Kiedy wrócili do mieszkania, zaczynało się ściemniać. Karmelita zakasała rękawy i razem z Zuzą wzięli się za odkurzanie i mycie podłóg. Karcz, lekko zaskoczony obrotom wydarzeń, nie protestował i też wziął się do roboty – on i Justyna zajęli się kuchnią: najpierw ją wysprzątali, a potem zabrali się za przyrządzanie kolacji. Szykując produkty, słyszeli, jak Zuza opowiada Michałowi o harcerstwie i dmuchaniu materaców w warunkach polowych, a on co chwila wybucha śmiechem.

– Jak się czujesz? – zapytała Justyna, krojąc czerwoną paprykę na cienkie paski.

Karcz objął ją delikatnie i pocałował w ucho.

– Och, rany... a cóż to za przyпіływ czułości? – zażartowała. – Nie poznaję cię.

– Dobrze cię widzieć...

– Fajna ta Zuza – zniżyła głos do szeptu. – Wulkan energii. Zakręcona jak sprężyna.

– Mówiłem ci.

Przygotowane warzywa wrzucili na patelnię, na której skwierczało roztopione masło.

Karcz otworzył szafkę, która po raz pierwszy, od kiedy się wprowadził, była zaopatrzona.

– Makaron czy ryż? – zapytał.

– Ryż.

– A więc ryż...

– Jak w pracy? Wyjaśniłeś sobie wszystko z tą... Cichą?

Karcz gwizdnął.

– Cóż... Poinformowałem dyrektora, żeby szukał kogoś na moje miejsce. Mam dość.

Spodziewał się ostrej reakcji i się nie zawiódł.

– To ty byłeś na czyjeś miejsce! – warknęła, trzymając nóż. Był wycelowany prosto w niego. – Co z tobą? Co będziesz teraz robił? Z czego będziesz żył? Co?

– Pyśka...

– Pytam poważnie. Powiedz mi, z czego będziesz żył. Załatwiłam ci tę pracę, bo nie miałeś się gdzie podziać. Chciałam, żebyś odpoczął, i chciałam, żebyś był

blisko...

– Legnica nie jest blisko.

Milczeli przez chwilę.

– Ale jest w Polsce. I ty też jesteś w Polsce – powiedziała grobowym głosem. – Czy wyobrażasz sobie, jak ja się czuję, kiedy nie mam od ciebie wieści przez całe tygodnie?

Karcz się zmieszał. Nalał wody do garnka, posolił ją i postawił na palniku kuchenki.

– Przepraszam – wydukał.

– Twoje przeprosiny nie cofną czasu – ściszyła głos. – Wiesz, jak to jest spędzać święta Bożego Narodzenia, nie mając obok nikogo bliskiego?

– Byłaś z Michałem...

– Ale to ty jesteś moją rodziną, Robert. Jedyńą – szepnęła. – Nie stawiaj mnie więcej w takiej sytuacji.

– Dobrze.

– Po śmierci ojca zniknąłeś na ponad dwa lata – wytknęła. – Myślałam, że umarłeś... Nie chcę więcej tego przeżywać, rozumiesz? – Jej głos zaczął wpadać w nerwowe tony. – Chciałam, żebyś...

– Justyna... – Wykonał gest sugerujący, żeby zniżyła głos.

– Chciałam, żebyś był w Polsce, a nie włóczył się po świecie, robiąc nie wiadomo co, z nie wiadomo kim... Ile razy chcesz jeszcze trafić do aresztu albo mieć lufę przy skroni? – wyszeptła, a w jej oczach dostrzegł łzy.

Ale to nie był żal. To była wściekłość.

– Nie wiem, co powiedzieć – spuścił wzrok.

– Nic nie mów – odparła, już spokojnie, mieszając warzywa na patelni. – Po prostu to przemyśl. Proszę. I nie krzywdź mnie więcej. – Upiła z kieliszka porządny łyk wina. – Mam już tego dość. Nie będę się z tobą bawić w ciuciubabkę. Myślałam, że po tym, jak cudem deportowano cię z Egiptu, wszystko się uspokoi i będę miała cię pod ręką, ale ty chyba jesteś po prostu nienormalny...

Znowu objął ją ramieniem.

Naprawdę nie wiedział, co powiedzieć.

Zerknął na zegarek na kuchence gazowej i pomyślał o szpitalu w lesie i o panu Devraux.

Cichy głosik w jego głowie mówił, żeby odpuścić. Żeby dał sobie spokój, bo i tak nie wiadomo, czy cokolwiek tam znajdzie. Żeby na siłę nie szukał sobie zajęcia i zastrzyku adrenaliny.

Nie. To nieprawda! Wiedział, że coś tam jest. Czuł to. Instykt nigdy go nie oszukał.

– Wiem, że się nie zmienisz – usłyszał znowu cichy głos siostry. – Ale obiecaj mi, że nigdy więcej nie znikniesz. Nie tak jak wcześniej. Chcesz mnie chronić, a krzywdzisz mnie jeszcze bardziej. Nie chciałam ci tego dzisiaj mówić, ale kiedy cię zobaczyłam... Robert?

– Tak? – Ocknął się z zamyślenia. Jeszcze kilka sekund temu przemierzał stare opuszczone korytarze i czuł zapach śmierci.

– Obiecuj, że nigdy więcej nie znikniesz – powtórzyła. – Nie chcę cię kontrolować. Cholera, nawet nie chcę wiedzieć, co masz w tej torbie. – Wskazała w kierunku wyjścia.

– Jakiej torbie? – zagrał głupa.

– Tej czarnej, którą ukradkiem zaniósłeś do sypialni – odparła. – Nawet mi nie mów. Domyślam się, ale nie chcę wiedzieć i nie chcę słuchać kłamstw...

W milczeniu patrzyli na skwierczące na patelni warzywa.

– W porządku – odparł w końcu.

– Nie zniknij – powtórzyła dobitniej. – Wystarczy jedno twoje słowo, jeden telefon... Boję się, że zacznę czuć obojętność, a tego bym nie chciała.

– Dobrze.

– Ty też tego nie chcesz – ostrzegła go. – Bo będzie po nas.

Przez chwilę wsłuchiwali się w ożywioną rozmowę prowadzoną przez Zużę i Michała.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał Karcz i otworzył drugą butelkę wina.

– Tak – odpowiedziała po namyśle. – Zawodowo i prywatnie wszystko zmierza w dobrym kierunku. Cieszę się, że nie gram już w tym cholernym serialu.

– To dobrze. – Uśmiechnął się lekko.

– Przepraszam, że cię spoliczkowałam. – Też się uśmiechnęła. – To było silniejsze ode mnie.

– Siema! – rzuciła Zuza, wchodząc do kuchni. Tuż za nią pojawił się Karmelita. Objął Justynę w talii i pocałował ją w kark.

– My już skończyliśmy – oznajmił.

Karcz podał Zuzie kieliszek z winem, a następnie nalał kolejny Michałowi i dolał siostrze.

– O czym rozmawialiście? – zagadnął Karmelita.

– Robert właśnie obiecał mi, że sytuacja ze świętami już nigdy się nie powtórzy.

– A co zrobił w święta? – zdziwiła się Zuza.

– Zapytaj Roberta.

– Karcz! Co zrobiłeś w święta? – Dziewczyna zmarszczyła groźnie brwi, ale ten, zamiast odpowiedzieć, wychylił swój kieliszek do dna.

– Dajcie mu spokój – stanął w obronie Roberta Karmelita. – Pijmy, bawmy się i wrzucmy na luz.

Karcz wznosił pusty kieliszek na wysokość oczu na znak, że zgadza się z jego słowami.

– Karcz... – zaczęła Zuza po chwili. – Miałam cię wcześniej spytać... Gdzie jest twój pies?

– Co?

– Pies. Hassan.

– To nie był mój pies. – Robert wzruszył ramionami, dolewając sobie wina. – Ma już nowego właściciela.

– Nie oddałeś go do schroniska, prawda? Nie odezwałabym się do ciebie już słowem. – Dziewczyna mu pogroziła.

– Nie, wszystko z nim w porządku – wydukał Karcz.

– Robert jest jutro ostatni dzień w pracy. Odbieramy go po szkole i jedziemy na wycieczkę – oznajmiła Justyna. – Zuza, powinnaś jechać z nami. Koniecznie.

– Pewnie! – podchwycił Karmelita. – To świetny pomysł.

Karcz znowu pomyślał o starym szpitalu.

– Mogę? – zapytała go Zuza niepewnie.

– Oczywiście!

– Za cudowny wieczór razem – wzniosła toast Justyna. – Upijemy się jak bobry, a jutro stąd wyjedziemy. Żadnych niespodzianek, tylko nasza czwórka.

– Za najlepszą podwójną randkę na świecie – rzucił Karmelita, a Karcz słysząc to, zakrztusił się winem.

\*\*\*

Po północy Karcz wsadził Zuzę w taksówkę.

To był bardzo udany wieczór. Pełen żartów i uśmiechów. Robert starał się pić mniej niż reszta, ale było to trudne.

Po skończonej imprezie Justyna i Michał wnieśli jeden z materacy do pustej sypialni. Karcz zostawił swój w salonie, obok zniszczonej kanapy.

– Świetna ta dziewczyna – stwierdziła Justyna, podpierając kuchenną szafkę. Nie wiedzieć czemu, każde ich spotkanie prawie zawsze kończyło się w kuchni. – Lubię ją.

– Ja też – przyznał Karmelita, na co Justyna szturchnęła go w ramię. – Auu!

– Nie przesadzaj z tą sympatią...

Michał wybuchnął śmiechem i pocałował ją namiętnie. Karcz próbował na nich nie patrzeć.



Kiedy skończyli rozmawiać, rozeszli się do swoich pokoi. Robert zapadł w mocny, ale bardzo krótki sen.

Kiedy zegarek na kuchence pokazał czwartą trzydzieści, był już gotowy do wyjścia. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem, czarne spodnie i buty do biegania. W dłoni trzymał torbę. Zapalił światło w kuchni, wypił dwie szklanki wody z kranu, kaszlnął i otarł usta.

Szybka wizyta w starym szpitalu: wchodzę do środka, sprawdzam teren i wychodzę, ułożył w myślach plan.

Devraux, kamery na obiekcie, Szczur, a także dziwne zachowanie Kubka nie dawały mu spokoju. Nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego.

Idę i wracam, postanowił. A później będę bratem, przyjacielem, a nawet szwagrem.

Wyciągnął z torby czarną kominiarękę, a po krótkim zawahaniu także białą pałkę teleskopową. Mogła się przydać.

– Co robisz? – usłyszał nagle za sobą i poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Odwrócił się i zobaczył Michała Karmelitę.

Miał na sobie tylko spodnie dresowe. Żadnej koszulki, przysłaniającej jego doskonale wyrzeźbione ciało.

Żeby tak wyglądać, musiał poświęcać bardzo dużo czasu na siłownię i spożywać suplementy. A może po prostu taki się urodził?

– Co robisz? – powtórzył pytanie, przyglądając się Karczowi uważnie. – Jest po czwartej...

– Michał...

– Wychodzisz gdzieś?

– Tak – odpowiedział po bardzo długiej chwili. – Wychodzę.

\*\*\*

Kilka godzin po tym, jak jego mama poszła spać, Rudy Rajmund wybrał się na nocną wyprawę. Był zdeterminowany; dotarł do starego szpitala w Lasku Złotoryjskim po dwóch godzinach marszu.

Las wokół niego wydawał się mroczny i gęsty, ale chłopiec nie odczuwał strachu. Oświetlał sobie drogę małą latarką, bardzo podobną do tej, którą kiedyś podarował panu Robertowi. Gdy dotarł do betonowego muru otaczającego obiekt, wdrapał się na niego. Wspinaczka była zdecydowanie najtrudniejszą rzeczą, jakiej do tej pory dokonał.

Pan Piotr z biblioteki opowiadał mu o dziwnych ludziach, którzy kręcili się w okolicy, więc wiedział, że musi być ostrożny.

Rozejrzał się po terenie. Było kompletnie pusto. Ani śladu człowieka. O dziwo, nawet nie myślał o powrocie do domu.

Wszedł do największego budynku przez jedno z wybitych okien, uważając przy tym, żeby się nie skaleczyć. Zobaczył długie i puste korytarze, a w nozdrza uderzył go dziwny zapach, jakby wilgoci. Tu też było pusto. Na podłodze walały się sterty starych dokumentów i śmieci, a na niektórych ścianach znajdowały się rosyjskie napisy albo – i to go naprawdę zaskoczyło – całkiem świeże graffiti.

POKAŻ DUPE.

Zatrzymał się przez chwilę przy napisie wysprejowanym nad wejściem do kolejnej odnogi korytarza, przeczytał go kilka razy, nie rozumiejąc, co znaczy. Po co ktoś miałby coś takiego pisać na ścianie? To bez sensu.

Prychnął.

Całe to miejsce wydało się Rajmundowi mało interesujące. Jakby umarło dawno temu, a wszystko, co było w nim ciekawe, razem z nim.

Ruszył przed siebie korytarzem po prawej i w jednym z pomieszczeń natknął się na dziurę w podłodze. Wydała mu się podejrzana. Budynek był stary, ale na pewno jeszcze się nie zapadał.

Poczuł znużenie. Potarł nos. Nagle usłyszał jakiś odgłos. Kroki.

– Mały gnojek!

– Złap go z drugiej strony!

Głosy odbijały się echem wzdłuż korytarzy do tego stopnia, że Rajmund szybko stracił orientację. Pierwszy raz, od kiedy wymknął się z domu, pomyślał, że być może nie był to najlepszy pomysł.

Wyłączył latarkę i zaczął biec w bliżej nieokreślonym kierunku, próbując oddalić się od dźwięków. Co rusz spoglądał przez ramię, nic jednak nie widział w mroku, który zdawał się szeptać wokół niego.

Nagle poczuł bolesne ukłucie w boku. Wbiegł do pomieszczenia, w którym było dużo światła. Zmrużył oczy, czując, że wpada w panikę

Słyszał głosy. Kilka głosów. Widział niewyraźnie jakichś mężczyzn. W tym samym momencie poczuł na ramieniu silny uścisk.

– Co to ma być, do diabła!?

Rajmund wrzasnął i z całej siły zaparł się nogami, usiłując wyrwać się z uścisku.

– Nie! – krzyknął ktoś. – Przestań!

Kiedy chłopiec w końcu zdołał się uwolnić, nie zrobił nawet jednego kroku. Zachwiał się, stracił grunt pod nogami i runął w dół.

W chwili, w której nastąpiło uderzenie, już nic nie czuł. Zapadł mrok.

– Co się stało, do jasnej...

– Wpadł do dziury. Próbowaliśmy go złapać i...

- Już po nim. Na pewno skręcił kark.
- Oszaleliście? Budźcie pozostałych. Jeżeli mamy skończyć, natychmiast bierzcie się do roboty!
- Ale ten dzieciak...
- Złazić na dół i natychmiast wyciągnąć resztę! Chyba że chcecie iść do pudła. Idę po szefa. Wpadnie w szal.
- Jak ten dzieciak tu wszedł? Jezu...
- Był na kamerach. Chcieliśmy go dorwać cichaczem, nastraszyć, ale zgubiliśmy go w budynku...
- Cały dzień zapieprzamy w podziemiach! Spałem! To nie moja wina!
- On chyba nie żyje... Co on tu robił?
- Szukał wrażeń.
- Po co nam te kamery, jeżeli każdy może tutaj wejść? Tutaj!
- Widzieliśmy go. Szliśmy za nim. Chcieliśmy go nastraszyć... Schrzaniliśmy!
- Nie powinniście się z nim cackać!
- Mały rudy szczył. Cholera! Cholera jasna!
- Co my teraz zrobimy? Jezu, co my teraz zrobimy...?
- To co zawsze. Nic.
- Nic?
- Nic. Po prostu wracajmy do roboty.

## ROZDZIAŁ 7

# W KTÓRYM KAR CZ PRZYZNAJE SIĘ DO BŁĘDU

Miał wrażenie, jakby utknął pomiędzy słowami. Jakby ktoś wcisnął go w połowę zdania, potraktował jak przecinek i po prostu o nim zapomniał. Chciał się odezwać, ale nie mógł. Siedział skulony na tylnym fotelu porsche, wsłuchiwał się w ożywioną dyskusję swojej siostry i Michała i szukał miejsca, żeby włączyć się w rozmowę, która przecież go dotyczyła.

– Ja nie wiem, skąd wzięliście siły na poranny jogging. – Justyna odwróciła się do brata przez fotel pasażera. – Zaimponowałeś mi tym bieganiem o piątej, słowo daję.

– Twój brat to twardy zawodnik – stwierdził Karmelita. – Wchodzę do kuchni, a on w sportowych butach był już gotowy do wyjścia... Która była, Robert?

Karcz zignorował pytanie. W wyobraźni zobaczył jak we dwóch biegali alejkami wzdłuż ulicy Grabskiego. Karcz chciał go zmęczyć, a później, kiedy zostałyby już sam, wymknąć się do lasu, ale surfer był w zbyt dobrej kondycji. Robert miał wręcz wrażenie, że chłopak siostry się z niego naigrywa.

– Wskoczyłem szybko w dresy – kontynuował opowieść Karmelita – i biegaliśmy chyba... Nie wiem, zrobiliśmy ze dwadzieścia kilometrów. Twój braciszek narzucił takie tempo, że myślałem, że wypluję płuca.

Kłamał. Po godzinie joggingu Karcz stracił jakąkolwiek nadzieję, że uda mu się go spławić. Michał był jak chiński cyborg zaprojektowany do biegania i wygrywania maratonów. Robert – klnąc w myślach, na czym świat stoi – w końcu skapitulował i ruszył w kierunku mieszkania.

Karmelita był rześki, a Karcz sapał jak kowalski miech.

Nie zwiedził szpitala.

Nie posunął sprawy dalej i nie dowiedział się niczego więcej na temat pana Devraux.

Jedno jednak było pewne – musiał popracować nad kondycją.

– Powinniśmy dostać legitymacje członkowskie – oznajmił Michał i zerknął we wsteczne lustro, próbując odnaleźć wzrok Karcza.

– Jakie legitymacje? – zdziwiła się Justyna.

– Członkowskie – wyjaśnił. – Chodzi o Klub Piątej Rano. Nie wiedziałem, że Robert jest tak zdyscyplinowany.

Kiedy panamera zatrzymała się na szkolnym parkingu, Karcz zobaczył dzieciaki wiszące w oknach szkolnych korytarzy i wyglądające przez drzwi przeciwpożarowe od strony boiska.

Świetnie, pomyślał z goryczą.

– Dzisiaj mam tylko cztery lekcje – poinformował. – Kończę około wpół do pierwszej.

– To dobrze. – Justyna kiwnęła głową. – Pogadam z dyrektorem i wyjaśnię z nim te absurdalne oskarżenia o łapówki.

– Co? – jęknął. „Co” było jedynym słowem, które potrafił z siebie wykrztusić. Mówiąc siostrze o sytuacji w pracy, chciał ją przygotować na to, że rezygnuje z posady, a nie zachęcać do przyjeżdżania do szkoły na białym koniu i walki o sprawiedliwość. To była ostatnia rzecz, której chciał.

– Poprowadzisz lekcje, ja pogadam z dyrektorem, dowiem się, o co chodzi tej starej kretynce, a po lekcjach się zawijamy. Zadzwońię po Zuzę. Skoczmy do jakiejś dobrej restauracji. Może odwiedzimy Wrocław, co ty na to?

– Hej, Robert. – Surfer mrugnął do niego. – Przyznaj się... wzięłeś w łapę czy nie?

– Nie bądź śmieszny – syknęła Justyna, jakby zbulwersowało ją to pytanie.

– Ej... to musiało być z dwieście złotych. Konkretna kasa. Chciałbym się dowiedzieć, czy Robert odpali nam działkę. Podzielisz się?

Karcz się skrzywił i bez słowa wysiadł z samochodu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś tak działał mu na nerwy. Miał nadzieję, że rano nie przeforsował nóg. Mogły mu się jeszcze dzisiaj przydać.

Co się odwlecze, to nie uciecze, pomyślał, czując, że ostatni dzień w pracy może się dłużyć bardziej, niżby sobie tego życzył.

Rozejrzał się po boisku, spojrzął na otaczające szkołę budynki mieszkalne. Po zimie nie było ani śladu. Skończyła się tak szybko, jak się zaczęła.

\*\*\*

Karmelita niestety nie tracił humoru. Przechadzał się szkolnymi korytarzami z rękami w kieszeniach, a Justyna co chwila odpowiadała na pytania uczniów i za każdym razem dawała im tę samą odpowiedź:

– Tak, zrobię sobie z wami zdjęcie. Z przyjemnością.

Karcz obserwował to wszystko z bezpiecznej odległości i kiedy chciał już iść do pokoju nauczycielskiego po klucze i dziennik, dopadł go dyrektor Jak-mutam, który najwyraźniej wyczuł obecność Justyny Karcz w budynku na podobnej zasadzie, jak rekin wyczuwał w wodzie krew.

– Witam, witam, witam, panie Robercie! – zawołał, jakby przypadkiem natknął się na najlepszego przyjaciela. – Widzę, że pani Justyna jest z nami. Jak cudownie! Cześć, Justynko! Kopę lat!

Karcz próbował sobie przypomnieć, czy Justyna kiedykolwiek wspomniała mu o okolicznościach, w których poznała dyrektora legnickiego gimnazjum. Tak, coś mówiła. I pokazywała dużo zdjęć. Drużyna sportowa. Justyna prowadząca jakąś galę. Innymi słowy, cholera wie, a on nie miał zamiaru dopytywać.

– Moja mama mówi, że telewizja, w której pani pracuje, jest niemiecka – powiedział jeden z uczniów.

Justyna zbyła to uśmiechem i wyraźnie zmieszana dała dzieciakowi autograf, zrobiła sobie z nim zdjęcie, a kiedy rozległ się dzwonek, z wyraźną ulgą podeszła do brata i dyrektora.

Nie widziała tego, ale Karcz dostrzegł, jak Michał chwyta wymądrzającego się dzieciaka za plecak i szepcze mu coś do ucha, a następnie, wyraźnie zszokowanego, puszcza dalej.

Coś ty mu zrobił? – zapytał Karmelitę w myślach.

– Wiesz, co mi ten dzieciak powiedział? – szepnęła mu do ucha Justyna.

– Słyszałem – mruknął Karcz.

Dyrektor Jak-mu-tam klasnął w ręce.

– To co, Justyna? Kawka?

– Bawcie się dobrze, ja na lekcje. – Karcz zaczął się powoli wycofywać, ale Justyna ścisnęła jego ramię, powstrzymując go przed ewakuacją. – Jest dzwonek...

– Panie Robercie, spokojnie! – zaprotestował dyrektor. – Wszystkie oceny wystawione, możemy sobie pozwolić na odrobinę luzu. Ponad połowy uczniów i tak nie ma w szkole, bo zrobili sobie... „przedferie”. – Wykonał gest palcami naśladujący cudzysłów.

– Właśnie! – przytaknęła triumfalnie Justyna. – Kawka, Robert?

Karcz zmierzył ją wzrokiem.

Karmelita krążył gdzieś w oddali, oglądając gazetki ściennie.

– Właśnie mówiłem panu Robertowi o czymś niesamowitym – zwrócił się Jak-mu-tam do Justyny. – Nasza nauczycielka języka polskiego wzięła zwolnienie lekarskie...

– Zaraz, zaraz... Pani Cicha? – dopytała. – O tym też chciałam porozmawiać. Robert opowiedział mi o całej sytuacji...

Dyrektor się zmieszał, potarł dłonią o dłoń, a potem postąpił dwa kroki i z życzliwością złapał Karcza za ramię, jakby chciał pokazać, że są w świetnych relacjach.

Karcz, z jednej strony trzymany przez siostrę, a z drugiej przez dyrektora, uświadomił sobie, że wpadł w pułapkę. Tak musiało się czuć dzikie zwierzę, którego łapa utknęła w sidłach.

– Tej całej pani Cichej nie ma w pracy? – Justyna wyraźnie nie dowierzała. – Choroba akurat teraz to dość wygodny dla niej zbieg okoliczności...

– Tak, tak – potwierdził dyrektor. – Swoją drogą to niesamowita historia.

– Co jest niesamowite? – wtrącił się Karmelita, podchodząc do nich. – Bardzo mi miło... Michał Karmelita. Nie miałem okazji.

Dyrektor puścił Karcza, przedstawił się i z entuzjazmem uścisnął prawicę Michała.

– Jak macie chwilę, to wam opowiem. W życiu o czymś takim nie słyszałem – zaczął relacjonować. – Nasza polonistka wróciła wczoraj po lekcjach do domu i proszę sobie wyobrazić, szanowni państwo, że całe jej mieszkanie było zdemolowane...

– To straszne. – Justyna się wzdrygnęła, jej empatia wzięła górę. – Co się stało?

– To niesamowite – powtórzył dyrektor. – Proszę sobie wyobrazić, że ktoś się do niej włamał...

– Tak?

– Tak. Ale nic nie zostało skradzione. Ktoś się włamał i podrzucił jej do mieszkania dzikiego psa. Miał na obroży kartkę z napisem: „Kocham cię”.

– Pies zdemolował jej mieszkanie? – zdziwił się Karmelita.

– Tak, tak, tak. Zdarł obicia ze wszystkich mebli, poszarpał poduszki, ściągnął firanki z karniszy... No mówię państwu, niesamowita historia...

Z każdym kolejnym słowem dyrektora Justyna obracała się coraz bardziej w stronę brata. Jak w zwolnionym tempie. Kiedy w końcu wymusiła na Karczu, żeby spojrzął jej w oczy, na jej twarzy malowało się kompletne niedowierzanie.

– Mój Boże, Robert...

Karcz nawet nie drgnął.

– Tak, tak, to naprawdę niesamowite! – powtórzył dyrektor, widząc jej reakcję. – Sprawę bada policja...

– Co się stało z tym psem? – zapytał Karmelita.

– Nie wiem. Chyba trafił do schroniska. – Dyrektor wzruszył ramionami. – Pani Cicha podobno była w takim szoku, że policjanci zadzwonili po sanitariuszy tylko po to, żeby dali jej środki uspokajające... Poszła na zwolnienie.

– Rozumiem, że nie wiedzą, kto podrzucił jej psa? – chciała wiedzieć Justyna.

Dyrektor tylko machnął ręką.

– Moim zdaniem to równie dobrze mógł być jej pies... Pan Robert poświadczy, że pani Cicha jest dość specyficzna.

Karcz uwolnił się z uścisku siostry, klepnął Jak-mu-tam w ramię i ruszył na pierwsze piętro do pokoju nauczycielskiego.

– Idę do pracy – wyjaśnił i podniósł kciuk.

Justyna wykonała w jego kierunku gest podcinania gardła, ale udał, że tego nie widzi.

\*\*\*

Na drugiej przerwie cała szkoła mówiła już o Teresie Cichej i jej zwolnieniu.

– Robbie, słyszałeś? – zaczepił go nauczyciel od geografii. – Co za szalona historia! – „Szalona” w jego ustach brzmiało tak, jakby mówił o najcudowniejszej opowieści na świecie.

– Robbie, jak to usłyszałem, zsiąkałem się w spodnie ze śmiechu – kontynuował. – Wyobrażasz sobie? Musiałem pochlapać sobie krocze wodą z kranu, żeby to zakamuflować.

Karcz nawet nie chciał sprawdzać, czy tamten mówi prawdę.

– Mój ostatni dzień – powiedział tylko.

– Ja mam jeszcze dwóch geniuszy do poprawki. – Geograf westchnął ciężko. – Jak myślisz, kto wywinął Cichej taki numer? W sensie, myślisz, że ktoś naprawdę podrzucił jej psa? Czy to któryś z uczniów? Słyszałem plotkę, że to jej siostra, ale z drugiej strony...

– Z drugiej strony...?

– Bo wiesz, niektórzy uczniowie twierdzą, że Cicha jest tak stara, że zapomniała o tym, że ma psa... No wiesz, mówią, że to był jej własny pies w tym mieszkaniu i że to wszystko dlatego, że odstawiła psychotropy... Straszne, nie? Te plotki... Chyba uczniowie naprawdę jej nie lubią.

– Wiem – przyznał Karcz z poważną miną. – Smutne.

– Robbie, słuchaj.

– Tak?

– Myślisz, że mógłbym zrobić sobie zdjęcie przy tym porsche twojej siostry? To byłoby niestosowne? Twój mustang jest super, ale to jest jakaś wyższa liga. Szwagier mi nie uwierzy.

Karcz się skrzywił.

– Jak dla mnie, to możesz go sobie nawet zabrać...

\*\*\*

Karcz nerwowo zerkał na zegarek.

Niedługo rozpoczął ostatnią lekcję, która miała być jednocześnie jego ostatnią godziną lekcyjną w karierze nauczyciela.



Tak jak podejrzewał, dyrektor osaczył jego siostrę, więc Robert miał ją z głowy. Pozostawała kwestia Karmelity, który nakręcił się na pomysł zwiedzenia całej szkoły i chodził po niej w taki sposób, jakby ze strzelbą wybrał się na dzikie safari.

– Jeszcze raz dzięki za poranny jogging – powiedział, kiedy znowu wpadli na siebie w holu budynku.

– Było super – skwitował Karcz.

– Już skończyłeś?

– Mam ostatni dyżur, a za chwilę...

– Ostatnią lekcję – dokończył za niego Karmelita.

– Muszę po pracy coś załatwić, więc...

– Chcesz, żebyśmy pogadał z Justyną, żeby trochę wyluzowała? – zapytał Michał i oparł się plecami o ścianę. Ręce wsadził do kieszeni płaszcza, a kilka pasm ułożonych niedbale jasnych włosów opadło mu na twarz.

Karcz od razu dostrzegł, jak wiele uwagi przykuwa Karmelita. Uczennice zerkały na niego ukradkiem, jakby wyszedł z ekranu ich telefonu, jakby był uosobieniem gościa z rajskiej plaży, którego ogląda się na Instagramie. Michał zdawał się nawet tego nie zauważać.

Co moja siostra w tobie widzi? – zastanowił się Karcz.

– No to jak? – powtórzył pytanie Karmelita.

– Wskoczę w pewne miejsce na dwie, trzy godziny – rzucił niby od niechcienia Karcz, w myślach planując sforsowanie betonowego muru otaczającego stary szpital. – A później się spotkamy i...

Właśnie, i co?

Karmelita zachichotał.

– Wiem, że Justyna jest wobec ciebie trochę zaborcza, ale to dlatego, że dawno się z tobą nie widziała. Nie chcę się wtrącać w wasze sprawy i być może nie jestem specjalistą, ale chyba chce wykorzystać każdą chwilę. Dla mnie sprawa jest jasna: zrób, co masz zrobić, a ja zabiorę Justynę na obiad. I Zuzę też. Podobno ma tu zaraz być...

– Co?

– Justyna po nią zadzwoniła. Jest uparta jak diabli. To chyba u was rodzinne.

Karcz tylko się uśmiechnął.

– O co chodzi z tym fordem mustangiem? – Michał zmienił temat. – Podobno to samochód waszego starego? Justyna trochę mi opowiadała o ojcu...

Karcz dotknął skroni, jakby dostał migreny.

– To miło.

– Słuchaj, może moglibyśmy skoczyć później do tego garażu? Bardzo chciałbym go zobaczyć. Justyna ma w portfelu zdjęcie tego samochodu... Z tobą

i z ojcem...

– Nie wiedziałem – przyznał Karcz zgodnie z prawdą.

– Stary, miałeś może czternaście lat... byłeś jak te łebki tutaj. Wasz ojciec musiał być fajnym gościem.

– Tak. – Karcz szybko obliczył: jeżeli na zdjęciu miał czternaście lat, to znaczy, że mama już wtedy musiała być chora.

– Słuchaj, Robert...

– Tak?

– Ja naprawdę lubię twoją siostrę...

– To widać.

– Zaangażowałem się.

– To widać.

– Zależy mi na niej. I zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa. Wszystko, rozumiesz?

– To się okaże – odpowiedział Karcz z pełną powagą i spojrzał Michałowi w oczy.

Karmelita się zaśmiała.

– Jesteś niezły. Justyna mówiła, że jesteś niezły. Miała rację.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– No wiesz. – Wykonał gest dookoła głowy. – Masz swój świat... Justyna powiedziała, że umiesz też niezłe dowalić, ale szczerze mówiąc, jakoś tego nie widzę. Chociaż rano, jak zaczęliśmy biec...

– Co to znaczy „dowalić”?

Karmelita uśmiechnął się czarująco.

– Chciałbym kiedyś stanąć z tobą na ringu. Myślę, że moglibyśmy się dzięki temu bliżej poznać. Skrócić dystans...

Karcz nieświadomie zaczął się lekko kołysać w przód i w tył. Ponownie sprawdził godzinę.

– Dobra, Michał... Po tej lekcji pójde załatwić to, co mam załatwić...

W biały dzień, pomyślał z żalem.

– ...a później zajmiemy się dziewczynami i będziemy się świetnie bawić – znowu dokończył za niego Karmelita.

Rozległ się dzwonek.

Karcz swoim zwyczajem uniósł kciuk i klepnął Karmelitę w umięśnione ramię.

– Zaopiekuj się moją siostrą. Idę na lekcję, a my widzimy się za jakiś czas.

– Hej, poczekaj...

– Tak?

– Wzięłeś tę łapówkę? Bądź szczerzy.

Karcz zignorował pytanie Michała i po prostu zaczął iść.

– Żartuję... to głupi żart. – Karmelita parsknął śmiechem, próbując go dogonić. – Wybacz, nie mogłem się powstrzymać.

– Umarłem ze śmiechu – odrzekł Robert bez cienia wesołości. Chciał powiedzieć coś jeszcze, rzucić jakąś kąśliwą ripostę, ale wtedy zobaczył idącą szybkim krokiem atrakcyjną kobietę w eleganckim płaszczu. Miała jasną, kremową skórę, a na ramiona spływała jej fala pięknych, marchewkowych włosów.

Wygląda znajomo, pomyślał i w tej samej chwili kobieta zatrzymała się tuż przed nim.

Stała tak blisko, że czuł zapach jej perfum. A może był to zapach jej skóry? Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz.

– Robert Karcz? – zapytała, sprowadzając go na ziemię. W jej oczach dostrzegł furję.

– Tak

– Gdzie, do diabła, jest mój syn? – syknęła i strzeliła go otwartą dłonią w twarz.

Zamrugał w osłupieniu, głowę przeszył mu kłujący ból, jakby kolejne uderzenie było tym jednym za dużo.

– Często ci się to zdarza – zwrócił się do Roberta Karmelita, a następnie uśmiechnął się do kobiety. – Bardzo mi miło, Michał Karmelita.

– Mam to gdzieś! – warknęła, posyłając mu pogardliwe spojrzenie.

Aż się odsunął.

– Chryste – sapnął Karcz i dotknął skroni. W ustach czuł metaliczny smak krwi.

– Gdzie jest mój syn?

Karcz, mrużąc oczy, próbował złapać ostrość widzenia.

– Co?

– Pytałam, sukinsynu, gdzie mój syn? Gdzie jest Rajmund!?

\*\*\*

Usiedli przy stołach obok szkolnego sklepiku. Karcz zamówił dla wszystkich herbatę w papierowych kubkach. Starał się trzymać nerwy na wodzy. Głowa pulsowała mu bezlitośnie, miał wrażenie, że ktoś wewnątrz niej nieustannie zapala i gasi światło. Mama Rajmunda przywodziła na myśl usychającą roślinę. Gdy patrzył na jej bezsilność, łapał go bezdech, jakby ktoś w jednej chwili wyssał z pomieszczenia całe powietrze.

Robert próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział chłopca. Wspomnienie tego, jak dzieciak spazmatycznie płakał w jego ramionach,

sprawiło, że mroczne, lodowate macki oplotły go i złapały u nasady kręgosłupa. Nawet gdyby chciał, nie mógłby się poruszyć.

Czy to możliwe, że chłopiec zniknął z jego winy?

Przypomniał sobie, że miał zadzwonić do mamy Rajmunda, by o nim porozmawiać. Nie zrobił tego.

Justyna, która najlepiej radziła sobie w rozmowie ze zdenerwowaną matką, trzymała ją za rękę. Zachowywała zimny profesjonalizm, jak gdyby prowadziła program interwencyjny albo grała trudną rolę w jednym ze swoich seriali.

– Agnieszka, posłuchaj mnie, opowiedz nam to jeszcze raz – zwróciła się do niej spokojnym, ciepłym głosem. Ten głos potrafiłby zażegnać najgorszy sztorm, przepędzić burzę i rozświetlić mrok.

Karcz wiedział to najlepiej.

– Obudziłam się rano – wydukała Agnieszka i otarła wierzchem dłoni łzy spływające po twarzy. – Ale mojego syna nie było w domu. Rajmund musiał wyjść w nocy. Uciekł...

– Dlaczego pomyślałaś, że Robert może mieć z tym coś wspólnego?

– Bo... bo Rajmund cały czas o nim opowiadał. Mówił, że się przyjaźnią. Pan Karcz to, pan Karcz tamto... Odwoził go po lekcjach... Ostatnio czułam, że tracę nad tym kontrolę – wyrzuciła z siebie i spojrzała na Karcza. – Sprawdzałam wszędzie, od rana byłam w szkole już dwa razy, zadzwoniłam nawet na policję, zostałeś mi tylko ty.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni? – zapytała Justyna.

Michał Karmelita obserwował całą sytuację ze swojego miejsca przy kwadratowym stole. Jako jedyny popijał herbatę i świdrował Karcza wzrokiem. Z pewnością dostrzegł, że ten dosłownie chwieje się w posadach.

– W mieszkaniu, jak szedł spać. Zjedliśmy kolację. Rano myślałam, że może wstał wcześniej i poszedł do szkoły, ale plecak i cała reszta leżały w pokoju. Dzwoniłam do jego nauczycieli, powiedzieli, że go dzisiaj nie widzieli.

Karcz już chciał powiedzieć, że też jest nauczycielem, ale ostatecznie się nie odezwał.

– Robert spędził z nami cały wieczór i całą noc – wyjaśniła Justyna łagodnie. – Byliśmy z nim cały czas. A rano przywieźliśmy go do pracy. Jestem jego siostrą, a to...

– ...jej chłopak – dokończył za nią Karmelita, wyraźnie z siebie zadowolony.

– To gdzie jest Rajmund? – zapytała Agnieszka. – Gdzie on jest?! Gdzie jest mój syn?! – powtórzyła dobitnie.

– Miał jakieś ulubione miejsce, w które mógł pójść? – zapytał Karcz, włączając się w rozmowę.

– Niech pan mi powie! – naskoczyła na niego matka chłopca. – To pan spędzał z nim czas! Pan! A później powiedział mu pan, że go nie lubi... Że nie chce go pan w swoim życiu! To pana wina!

– Że co? – Aż go zamurowało. – Co powiedziałem?

– No tak!

– Syn pani tak powiedział? – zapytała Justyna. – Użył tych słów? Kiedy dokładnie pani to od niego usłyszała?

Agnieszka ukryła twarz w dłoniach.

– Jezu... Rajmund jest inny niż reszta dzieci – wydusiła. – Jest... On wszystko bierze do siebie. I nie ma zbyt wielu przyjaciół...

– A Ola? – Karcz przypomniał sobie, że kilka miesięcy wcześniej Rajmund przedstawił mu swoją starszą koleżankę. – Ta, co maluje obrazy?

– Przeprowadziła się do Anglii. – Agnieszka pokręciła głową. – Jak mogłeś go tak skrzywdzić? Wiesz, co mu zrobiłeś? Złamałeś mu serce...

Robert zazgrzytał zębami.

– Nic takiego nie miało miejsca! – wybuchł. – Nigdy czegoś takiego nie mówiłem. Nie rozmawiałem z nim na ten temat. Ani razu!

W sklepiku szkolnym zapadła martwa cisza.

Po trwających wieczność kilku sekundach Agnieszka znowu naskoczyła na Karcza:

– To o czym z nim rozmawiałeś? Ostatnia rozmowa, jaką z nim odbyłam, była o tobie! O tobie, rozumiesz? Powiedz, o czym rozmawiałeś z moim synem!

– Chcesz wiedzieć? – warknął. – Zanosił się płaczem i mówił, że chce, żeby było jak dawniej, że nie pozwalasz mu utrzymywać ze mną kontaktu.

– I nie uznałeś, że dobrym pomysłem byłoby poinformować o tym jego matkę? – zdziwiła się. – Co z ciebie za nauczyciel...

– Nie jestem jego ojcem – przerwał jej ostro. – Ani dziadkiem, ani cholerną rodziną.

– Jak śmiesz!

– Z twoim synem jest wszystko w porządku, ale jeżeli nie dostrzegasz, jak bardzo jest samotny, to musisz być ślepa.

Agnieszka wpatrywała się w niego w taki sposób, jakby tym razem to ona dostała w twarz.

Justyna spiorunowała Karcza wzrokiem.

– Mój brat to porządny facet, chociaż nie wygląda... i nie zachowuje się jak przystało na porządnego faceta. – Zastukała palcami w blat stołu. – Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. Musisz się zastanowić, do kogo mógł pójść...

– On nie ma kolegów – wyznała z bólem Agnieszka. – Mówiłam wam, że jest inny...

Karcz potarł skronie. To musiała być migrena.

Czy to możliwe, że Rajmund uciekł z domu przez niego? Czy sprawa była aż tak poważna, a on tego nie zauważył?

– Nigdy w życiu nie powiedziałem pani synowi, że go nie lubię – powtórzył łagodniej. – Nigdy nie miałem z nim takiej rozmowy... On... Ktoś mu powiedział, że...

– Że co?

– ...że odchodzę z pracy. Że zostawiam go, jak wszyscy inni.

Agnieszka zalała się łzami.

Karmelita spojrzał na Roberta, jakby chciał mu zakomunikować, że idzie mu coraz lepiej.

– Podał mi pani numer kilka dni temu... Zależało mu na tym, żeby... było jak na początku i żeby pani mu pozwoliła... żeby pani mu nie zabraniała...

– Czego? – warknęła. – Szlajać się z panem po szkole? Nawet nie wiem, kim jesteś. Dorosły człowiek zwróciłby się do mnie. Zadzwoiłby, przedstawił się... Mój ojciec ma co do pana rację.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Karmelita. – O czym my tu teraz rozmawiamy? Bo mam wrażenie... Co to ma wspólnego z zaginięciem chłopaka?

Agnieszka, chwiejąc się, wstała z miejsca.

– Muszę iść. Może wrócił... Może jest w domu...

Justyna powstrzymała ją gestem.

– Skoro wyszedł w nocy, to nie ma go w domu już od kilku godzin. Na pewno nie zna pani żadnego miejsca, do którego mógł pójść?

Karcz zmarszczył czoło. Wygrzebał z kieszeni ukruszoną aspirynę i wrzucił ją do ust.

Przegryzł. Brakujący element układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Szczur – powiedział nagle i zerwał się z miejsca.

– Co takiego? – zdziwiła się Justyna.

Karcz rzucił przez ramię, że zaraz wróci, i ruszył pędem do szkolnej biblioteki. Kiedy tam dotarł, zobaczył na drzwiach kartkę z informacją, że w tym dniu biblioteka jest zamknięta.

Wrócił do szkolnego sklepiku. Wszyscy obecni, włączając w to kobietę za ladą, popatrzyli na niego pytająco.

– Michał – powiedział, czując na sobie palące spojrzenia. – Mogę cię prosić na chwilę?

Karmelita się podniósł, posłał porozumiewawcze spojrzenie w kierunku Justyny i wyszedł z Karczem na korytarz.

– Co się dzieje? Wpadłeś na coś?

– Chyba tak...

- O co chodzi z tym dzieciakiem?
  - Pożycz mi swój samochód.
- Karmelita parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.
- Ty mówisz serio?
  - Tak.
  - Zaraz... Ty naprawdę chcesz moje porsche?

\*\*\*

Kobieta pracująca w szkolnym sklepiku kończyła właśnie inwentaryzację i w ciszy pakowała ostatnie produkty z krótkim terminem ważności, przygotowując się tym samym do ferii. Kiedy Michał Karmelita wrócił, wypaliła bez pardonu:

- No i? I co panu powiedział?

Karmelita się zmieszał, a pozostali spojrzeli na nią zaskoczeni, jakby chcieli się dowiedzieć, kim ona w ogóle jest i od kiedy bierze udział w rozmowie.

- No... – zaczął, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pani ruda niech się nie martwi – oznajmiła sklepikarka na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. – Pan Robert to konkretny facet, my go tutaj znamy. Znajdzie chłopca.

Karmelita chrząknął.

- Przepraszam, jeżeli mogę...
- Michał, gdzie jest Robert? – zapytała Justyna.
- Chciał pożyczyć ode mnie samochód.

Justyna zbladła.

- Co?

– Spokojnie, powiedziałem mu, żeby nie świrował. Że zawiadomiona jest policja i musimy zachować spokój. Więc powiedziałem mu, że nie ma szans. Nie był zadowolony, ale wiesz...

- Gdzie on teraz jest?

Karmelita wzruszył ramionami.

- Chyba poszedł do toalety.

Justyna wstała z miejsca, podeszła do niego i zaczęła sprawdzać mu kieszenie płaszcza.

Michał się zaśmiał i złapał ją za nadgarstki.

- Ej, skarbie, co ty robisz...
- Gdzie masz kluczyki? – szepnęła.

Jego twarz się wydłużyła. Nerwowo zaczął sprawdzać kieszenie płaszcza i spodni.

– Ej, zaraz... – Zawahał się. – Gdzie jest mój telefon i kluczyki do auta? Justyna... ja...

Kieszenie były puste.

– Spokojnie! – powiedziała Justyna podniesionym głosem. Pozostali spojrzeli na nią uważnie, ale bardzo szybko zorientowali się, że mówi do siebie, a nie do nich. – Spokojnie, spokojnie! Wszystko będzie dobrze! Przerabiałam to już! Przerabiałam to już kilka razy! On zaraz wróci! Robert zaraz wróci!

– Co się, do diabła, dzieje? – wtrąciła się Agnieszka.

– Nie wiem – odparł Karmelita, nadal macając się po kieszeniach.

Po chwili odszedł od sklepiku szkolnego i spojrzął na pusty korytarz. Ani śladu Karcza, ani śladu telefonu i ani śladu kluczyków.

Przeklął siarczyście.

– Ktoś mi może to wyjaśnić? – Głos Agnieszki był szorstki jak papier ścierny.

– Znam mojego brata – odparła Justyna i przełknęła ślinę. Wyraźnie nie była pewna tego stwierdzenia. – Jeżeli wybiegł jak oparzony... to na pewno już na coś wpadł.

– Ha! A nie mówiłam?! – ucieszyła się sklepikarka. Prysnęła kilka razy jakimś płynem i zaczęła przecierać ladę żółtą ściereczką. – Zaraz się wszystko wyjaśni i będziemy się z tego śmiać. Zobaczycie!

\*\*\*

Silnik porsche mrucał jak dziki kot.

Przy każdym zakręcie fotel przechylał się razem z kierowcą, co przypominało jazdę na kolejce górskiej. Prowadzenie tego wozu w trybie sport przypominało lot. Wystarczyło tylko unikać dziur...

Szałeństwo, pomyślał, z utęsknieniem myśląc o topornej skrzyni biegów w machu 1.

...i pieszych.

Nagle w pojeździe rozległ się dźwięk dzwonka, a na ekranie obok kierownicy wyświetliło się zdjęcie jego siostry podpisane JUSTYNA.

– Odbierz – powiedział, samochód posłuchał komendy.

Usłyszał rozwścieczony głos siostry:

– Czyś ty, kur...

– Musiałem mu też zabrać telefon, bo mógłby zdalnie wyłączyć samochód – przerwał jej. – Przepróś go w moim imieniu.

– Co ty odwalasz, Robert!?! – krzyknęła. – Okradłeś Michała!

– Pożyczyłem auto, nic więcej – zaprotestował, wykręcając sto dwadzieścia kilometrów w terenie zabudowanym. Miał gdzieś przepisy.



– Daj mi godzinę. Zaopiekuj się mamą Rajmunda.  
– Szukasz chłopaka?  
– Słucham?  
– Pytam, czy szukasz tego chłopaka? – W jej głosie słyhać było zmianę, złagodniała.  
– Tak.  
– Gdzie jest?  
– Nie potrafię ci tego teraz wytłumaczyć. Zaufaj mi. Poczekajcie na mnie. Znajdę go, wrócę i pojedziemy, gdzie tylko będziesz chciała, okej?  
– Robert!  
– ...  
– Uważaj na samochód Michała, błagam cię!  
– Dobrze. Muszę kończyć.  
Kocham cię, pomyślał i ruchem ręki przed ekranem przerwał połączenie.  
Zatrzymał samochód na ulicy Traugutta, wysiadł, podszedł do obskurnej klatki schodowej i nacisnął przycisk domofonu.  
– Piotr Szczurzyński – powiedział. – Szukam Piotra.  
– Pomyłka. Szczurzyński mieszka pod piątką – odpowiedział zaspany głos.  
– Dzięki.  
Nacisnął przycisk oznaczony piątką.  
– Ja do Piotra Szczurzyńskiego. Nazywam się Robert Karcz, jestem jego kolegą z pracy...  
– Piotra nie ma – usłyszał starszy kobiecy głos. – Wyszedł z kolegami.  
– Dokąd? – Karcz zaczął się niecierpliwić.  
– Ojej, nie pamiętam.  
– A kiedy wróci?  
– Zaraz, już wiem! – zawołała kobieta. – Już panu mówię...  
Po dwóch minutach Karcz był już daleko.

\*\*\*

Przy alei Rzeczpospolitej mieściła się stara jednostka wojskowa. Piotr i dwójka jego znajomych pokręcili się po okolicy, a kiedy upewnili się, że nikogo nie ma w pobliżu, wślizgnęli się na obiekt. Zrobili serię zdjęć na stronę internetową, pospacerowali trochę pomiędzy pustymi zabudowaniami, zatrzymali się na chwilę przy fundamentach już wyburzonych budynków i tyle.

Jacek i Alicja byli niezadowoleni, ale Piotr miał większe doświadczenie w urbexie, a co za tym idzie brał poprawkę na to, że nie zawsze udaje się znaleźć miejsca na tyle wyraziste, by dzielić się nimi w sieci.

– Zjeżdżamy stąd. – Jacek zaczął chować aparat do plecaka. Był trochę przy kości, a jego twarz porastał rzadki zarost.

– Okej – zgodził się Piotr i splunął na ziemię.

Od czasu, kiedy późnym wieczorem odwiedzili stary opuszczony szpital w Lasku Złotoryjskim, prawie w ogóle o nim nie rozmawiali. Piotr bardzo chciał nawiązać do tego tematu, powiedzieć im, że gadał z nauczycielem, którego wtedy znokautował, ale nie znalazł dotąd odpowiedniego momentu.

Ktokolwiek urzędował teraz w opuszczonym poradzieckim szpitalu, napędził im stracha. Ani Jacek, ani Alicja nie mieli ochoty o tym rozmawiać, a tym bardziej snuć teorii spiskowych. Po kilku dniach zaczęli nawet wypierać fakt, że widzieli jakąkolwiek broń. Alicja uważała, że w tak wyeksploatowanym miejscu jak szpital nie ma już nic, czemu warto byłoby zrobić zdjęcie, a co dopiero zabrać ze sobą do domu.

– Bardziej prawdopodobne jest to, że odcięli teren, bo ktoś to po prostu odnawia – stwierdziła kilka dni po tym, jak zakrwawiony Karcz wylądował twarzą na zlodowaciałej ziemi pod drzewem.

Wypad do koszar i jednostki numer 3182 był ich pierwszym wspólnym wyjściem od tamtej pory. Byli przyjaciółmi od lat, ale ta sytuacja przemodelowała odrobinę relację między nimi.

– Nagrywamy jakiś filmik? – zagadnęła jeszcze Alicja. – Śniegu nie ma, jest ładnie i słonecznie... Co, chłopaki? Jacek, wyciągasz drona?

Jacek tylko na nią spojrzał i to wystarczyło jej za odpowiedź.

– Zjeżdżamy stąd – powtórzył.

Piotr westchnął. Odebrał dzień wolnego w szkole, licząc, że podczas spotkania z przyjaciółmi będzie mógł z nimi poważnie porozmawiać o tym, co się wydarzyło wcześniej, ale dotąd nawet nie próbował.

Kiedy znaleźli się przed obiektem, najpierw usłyszeli dźwięk silnika, a potem zobaczyli nadjeżdżający z zawrotną prędkością samochód.

– Co to, kurde, jest? – zdziwiła się Alicja. – Heeej!... – Urwała, przerażona, bo samochód zatrzymał się dokładnie przed nimi, drzwi od strony kierowcy się otworzyły i wyskoczył z nich mężczyzna w ciemnym T-shircie i skórzanej ramonesce.

– Szczur! – Facet wskazał palcem Piotra. – Musimy pogadać.

– Ja... ja... Robert!

– Przepraszam was na chwilę, muszę porozmawiać z Piotrem – zwrócił się mężczyzna do Jacka i Alicji, nie poświęcając im nawet sekundy więcej uwagi.

– To jest... mój kolega z pracy – próbował wytłumaczyć zakłopotany Szczurzyński. – Jest nauczycielem historii...

– To ile wy zarabiacie w tej szkole? – zapytała dziewczyna, podchodząc do lśniącej maski samochodu.

– Nie jest mój – uciał przybyły.

– Ten twój też jest niczego sobie – stwierdził Piotr, zerkając to na kierowcę, to na samochód.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Jacek, przyglądając się plastrowi na brwi nieznajomego. – Czy ty jesteś Robert Karcz? Czy to ten Karcz? – Spojrzał na Szczurzyńskiego.

Zmieszany Piotr odwrócił się do niego.

– Tak. Powiedziałem mu, że to ja go uderzyłem...

– Świetnie! – krzyknął Jacek. – Brawo, kretynie! Trafisz przed sąd za napaść i pociągniesz nas za sobą! Ala, słyszałaś to?

– Genialny samochód. – Alicja w ogóle ich nie słuchała. – Kiedyś sobie taki kupię...

– Uspokójcie się! Wszyscy! – przywołał ich do porządku Karcz. – Piotrek, muszę z tobą pogadać! Kiedy ostatni raz miałeś kontakt z Rajmundem?

\*\*\*

Gdy odeszli kilkanaście metrów, Szczur wysłuchał historii Karcza z pełną uwagą.

– Ja... ja nie wiem, Robert... – wymamrotał w końcu ze zbolałym wyrazem na twarzy. – Naprawdę.

Karcz zaklął.

– Naprawdę nie wiesz, gdzie może być?

Szczur spojrzał na znajomych, którzy zostali przy samochodzie, jakby oczekiwał od nich pomocy.

– Jakiś czas temu z nim gadałem – powiedział powoli. – Po rozmowie z tobą...

– O czym?

– O szpitalu. I o tobie...

– Tak?

– O tym, że nie jesteś zainteresowany... I powiedziałem mu, że tam są jacyś ludzie i że generalnie to odpuszczamy temat, bo szkoda zdrowia.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że olewamy szpital. Ty nie jesteś zainteresowany, ja wolę się tam sam nie pokazywać. Przysięgam, że ktokolwiek tam jest, ma broń. Widziałem, że są uzbrojeni. Powiedziałem Rajmundowi, że tam może być niebezpiecznie i że to koniec. Koniec zabawy. Przysięgam.

– Piotr... – Karcz usiłował ostrożnie dobierać słowa. – Czy powiedziałeś mu coś o... konwoju?

– Pan chyba nie myśli... to znaczy, Robert, ty chyba nie myślisz... – zająknął się Szczur.

– Kiedy z nim rozmawiałeś?

– Słuchaj...

– Kiedy?

– Wczoraj do mnie napisał na Facebooku, a ja mu nie odpisałem. Pytał o numer na ścianie. Zainteresował się tą historią, a ja po prostu nie miałem głowy do tego, żeby z nim o tym dyskutować.

– Tego dzieciaka interesują tylko pojazdy mechaniczne – warknął Karcz. – Nie zauważyłeś?

– Nieprawda – wydukał Piotr. – Był totalnie zainteresowany... On...

Cholerny szpital, pomyślał Karcz z niedowierzaniem. Naraz przypomniał sobie słowa Devraux o zbiegach okoliczności.

Wyciągnął z kieszeni kluczyki do porsche i rzucił je Szczurowi. Ten złapał je niezdarne i spojrzał na Karcza pytająco.

– Zawieź samochód do szkoły, postaw go na parkingu...

– C... co?

– Na fotelu pasażera leży telefon. Weź go i razem z kluczykami zostaw w sklepiku szkolnym.

– Ale... ale jak to? Mam jechać tym samochodem?

– Właśnie tak. Weź znajomych, jeśli musisz, tylko odstaw to pieprzone auto.

– Ale ja nie mam prawa jazdy.

– Mam to w dupie.

– Ale... – Szczur wyraźnie nie mógł uwierzyć własnym uszom i oczom.

– Muszę iść. Niedaleko jest mój garaż – odrzekł.

Szczur przyglądał się, jak Karcz przebiega na drugą stronę ulicy i znika pomiędzy budynkami. Spojrzał na kluczyki, a potem na znajomych, którzy wciąż stali przy samochodzie.

– Alicja, nie uwierzysz! – krzyknął i pomachał do niej kluczykami.

\*\*\*

Otworzył drzwi garażu.

Mach 1 zdawał się na niego czekać.

– Justyna, uspokój się – sapnął do słuchawki, przyciskając telefon do ramienia i wsiadając do samochodu. – Sprawdzę jeszcze jedno miejsce i wrócę...

– Robert! – Głos siostry nie znosił sprzeciwu. – Zuza już tu jest! Czekamy na ciebie.

– Pyśka, przepraszam – powiedział tylko, przerwał połączenie i rzucił telefon na fotel pasażera.

Zapiął pas i wyciągnął z kieszeni kluczyki.

Tobie wcale nie chodzi o chłopca – usłyszał cichy głos wewnątrz swojej głowy i momentalnie zamarł. Chciał wsadzić kluczyk do stacyjki, ale dłoń była kurczowo zaciśnięta. Nie mógł jej otworzyć. – Szukałeś tylko pretekstu, żeby zobaczyć to miejsce – kontynuował głos. – Od chwili, w której poznałeś pana Devraux, wiedziałeś, że chcesz wetknąć tam swój nos. Tu nie chodzi o Rajmunda. Dajesz upust swojej naturze. Nic więcej. Nie masz nawet pewności, czy chłopiec tam jest i czy cokolwiek tam znajdziesz, ale nie daje ci to spokoju.

Zżera cię to od środka.

Sytuacja z Rajmundem jest ci na rękę.

To wszystko jest ci na rękę.

Karcz przyglądał się swojej zaciśniętej dłoni.

Przypomniał sobie, że prawie dwa tygodnie wcześniej przytrafiło mu się coś bardzo podobnego. Szukał w tym ukrytej symboliki, ale nic nie znalazł. A może nie chciał? Sygnały albo docierały do niego z opóźnieniem, albo w ogóle nie przebijały się przez mur, który wokół siebie zbudował.

Ty nie planujesz posunięć. Działasz instynktownie. Za każdym razem licząc, że ci się uda. Że skończy się na uśmiechach i klepaniu po plecach, a przy okazji zaspokoisz swoją potrzebę ciągłego pakowania się w kłopoty.

Masz więcej szczęścia niż rozumu, ale twój fart kiedyś się skończy.

Znowu poczuł silny ból głowy, a potem metaliczny, miedziany smak.

Dotknął ręką ust. Były lepkie i wilgotne.

Spojrzał w tylne lusterko i zobaczył, że ma obfity krwotok z nosa.

Tymczasem syczący głos nadal rozbrzmiewał w jego głowie.

Jakim trzeba być dupkiem, żeby uważać, że wszystko obraca się wokół ciebie?

„Pewne samochody mają duszę – rzekł kiedyś ojciec. – Jak trafisz na odpowiedni model, wsłuchaj się w niego...”

– Znajdę Rajmunda i wracam – powiedział do siebie, odpinając pas. Pochylił się w stronę schowka na dokumenty. Odnalazł chusteczkę i zapasową czarną kominiarkę. Wytarł nos i usta, po czym znowu zapiął pas.

Jesteś zakochanym w brawurze idiotą – gadało coś pod jego czaszką. – Wróć do siostry i przyjaciół i zacznij żyć jak człowiek. Zajmij się czymś normalnym. Przestań szukać kłopotów. Chłopca na pewno tam nie ma.

Karcz potrząsnął głową, ale głos nadal tam był. I naciskał.

Szukasz pretekstu.

Chcesz, żeby chłopiec tam był. Chcesz upiec kilka pieczeni na jednym ogniu.

W imię czego?

Fortuny i chwały?

Chcesz znowu poczuć dreszczyk emocji, nic więcej. Uzależniłeś się od bycia hieną i po prostu nie potrafisz żyć inaczej.

Jeżeli twoje podejrzenia się potwierdzą i Devraux okaże się taką samą hieną jak ty, będziesz chciał go po prostu uprzedzić. Nic więcej.

Kolejny złodziej w mieście złodziei, a jak wszyscy wiedzą... złodzieje nie mają honoru.

– Popełniłem błąd – powiedział nagle, myśląc o chłopcu.

Wiele błędów, dodał w myślach. I właśnie naprawiam jeden z nich. Jeżeli Rajmund tam jest, po prostu przywiozę go z powrotem. Chodzi mi tylko o chłopca.

A jak tam wejdiesz? – szepnął głos.

– Zrobię to tak, jak planowałem od początku – odparł, a mrok czający się gdzieś z tyłu macha 1 rozpląnął się i zniknął.

Otworzył zaciśnięte palce. Na dłoni leżały kluczyki od forda mustanga. Wsadził je do stacyjki i odpalił silnik.

Diabeł Obama uśmiechnął się i pokiwał głową.

\*\*\*

Justyna przyglądała się, jak matka Rajmunda rozmawia z dwoma policjantami. Obiecali zawieźć ją do domu, odnaleźć jej syna oraz... Roberta Karcza.

Brawo, Robert, pomyślała z goryczą.

Karmelita początkowo chciał dotrzymać partnerce towarzystwa, ale wyczuł jej wzburzony nastrój i nie zbliżał się na odległość mniejszą niż kilka kroków.

– Czyli powiedział, że zaraz wróci, tak? – rzuciła pytanie w próżnię Zuza.

Włosy miała spięte na górze głowy, w niedbały kok. Pojawiła się w budynku szkoły kilkanaście minut wcześniej i ostatnią rzeczą, której się spodziewała, było zaginięcie dziecka. Dreptała nerwowo w miejscu, a kiedy znowu chciała o coś zapytać, do sklepiku szkolnego wszedł młody, drobny mężczyzna.

– Przepraszam... – zaczął i lekko się zmieszał, widząc policjantów, trzy kobiety i jakiegoś blond przystojniaka w drogim płaszczu. – Nazywam się Piotr Szczurzyński. Pracuję tu. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale... miałem tu zostawić telefon komórkowy i kluczyki do samochodu...

– Jakiego samochodu? – zapytał Karmelita, a widząc wyraz twarzy przybyłego, domyślił się odpowiedzi. Wszystko w jednej chwili złożyło się w całość.

– No... – Szczurzyński otworzył dłoń. Leżały na niej kluczyki. – No do porsche.

\*\*\*

Mężczyzna siedzący przed rozstawionymi na skrzyniach ekranami pił herbatę z termosu. Z jednej strony cieszył się, że po kilku tygodniach przeczesywania różnych obiektów w końcu znaleźli to, czego szukali – istną skarbonkę, najprawdziwszy „złoty konwój”. Z drugiej strony jednak sytuacja z chłopcem napsuła im wszystkim krwi. A wiadomo, że kiedy sprawy wymykają się spod kontroli, wszystko może się wydarzyć.

Nie chciał tego. Nie chciał kłopotów.

Nocna zmiana dała ciała. Cackała się, zamiast od razu zadziałać, więc wszystko skończyło się tak, jak się skończyło.

Jak ten dzieciak w ogóle się tu znalazł?

Obserwował na ekranach, jak do jednego z trzech vanów ładują kolejną część fantów. Za pół godziny miał zastąpić jednego z chłopaków w podziemiach.

Jeszcze nie pozwalał sobie na radość. Wiedział, że dopóki stąd nie wyjadą i nie dotrą tam, gdzie mają dotrzeć, kwestia tego, czy się udało, czy nie, pozostanie otwarta.

Upił kolejny łyk herbaty. Dokładnie w momencie, w którym odstawiał kubek, jeden z ekranów, ten z obdrapaną naklejką z numerem cztery, zgasł.

Mężczyzna zmrużył oczy, znowu wziął łyk herbaty i sięgnął po walkie-talkie.

– Kamera numer cztery padła, odbiór – powiedział do urządzenia. – Sprawdźcie to.

– Ekran szumi? – Usłyszał pytanie po drugiej stronie. – Sprawdź kabel.

Mężczyzna westchnął i postawił kubek na brudnej podłodze.

– Obraz jest cyfrowy, nie może szumieć, baranie. Po prostu się wyłączyła. Sprawdź to. Nie chcę powtórki z tym rudym. Odbiór.

Przyłożył walkie-talkie do ucha, a wtedy zgasł ekran numer pięć.

– Co, do diabła? – mruknął i poruszył się niespokojnie. – Padła też piątka! – poinformował, wyraźnie podenerwowany. – Sprawdźcie to natychmiast!

Ktoś będzie miał kłopoty, pomyślał. Pochylił się w kierunku ekranów i sprawdził okablowanie. Kiedy wyłączył się ekran z numerem osiem, połączony sygnałem z kamerą umieszczoną przy głównym budynku, zerwał się na równe nogi.

– Coś jest nie tak! – niemal krzyknął do radia i nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pomieszczenia.

Umiesz liczyć? Licz na siebie, pomyślał z rozgoryczeniem. Zbiegł piętro niżej i zaczął rozglądać się po nieskończonej plątaniu długich korytarzy.

– Hej! – zawołał, a jego głos rozniósł się echem. – Potrzebuję pomocy!

Wielki mężczyzna z mentolowym papierosem w ustach wyłonił się z mroku w korytarzu nieopodal.

– Coś się stało? – zapytał.

– Trzy kamery, szefie – odpowiedział zaskoczony. – Padły. Dałem znać chłopakom... Chcę to sam sprawdzić. Mógłby mnie pan zastąpić?

Mężczyzna z papierosem przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym zerknął na zegarek.

– Idź – odparł zimno.

Minęli się. Mężczyzna z papierosem ruszył schodami na piętro, gdzie ulokowali centralkę. Poświęcił kilka sekund, żeby spojrzeć na ekrany, a następnie otworzył jedną ze skrzyń i wyciągnął z niej krótką strzelbę z pompką.

Wziął do ręki walkie-talkie i małym pokrętkiem zmienił kanał.

– Za dwie godziny wyjeżdżamy – wydał polecenie.

– Nie zdążymy spakować wszystkiego, odbiór.

– Pakujcie, ile się da – odparł beznamiętnie.

Odłożył walkie-talkie na jedną ze skrzyń i przeładował broń.



## ROZDZIAŁ 8

### W KTÓRYM PADA STRZAŁ

Rudy Rajmund nie wiedział, ile czasu leżał nieprzytomny. Upadek okazał się bardzo bolesny, ale chłopcu nic specjalnego się nie stało. W pewnym sensie można to nazwać cudem. Gdyby bowiem upadł kilka centymetrów dalej w lewo albo w prawo, nie trafiłby w dziurę, ale rąbnął głową o podłogę – która teraz, z jego perspektywy, była sufitem – i skrzyłby sobie kark.

Leżał, gapiąc się na wielki otwór przywodzący na myśl świetlisty punkt pośród czerni albo księżyc.

To stamtąd spadłem, pomyślał z niedowierzaniem.

Stoczył się z usypanej sterty. Miał ziemię w oczach, nosie i ustach, a kiedy złapał haust lodowatego powietrza, krzyknął.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał przed upadkiem, była ogromna otwarta brama oraz bardzo długi oświetlony tunel. Gdzieś w oddali majaczył cień. Był przerażający i się zbliżał. Całość sprawiała wrażenie przesyconego strachem koszmarnego snu, w którym Rajmund ucieka, a później spada i uderza się w głowę.

Kiedy się ocknął, był już w zupełnie innym miejscu i czuł duszący zapach wilgoci wymieszany z mocnym zapachem tytoniu. Leżał, a właściwie prawie siedział na rozkładanym łóżku polowym z mocną aluminiową ramą i wysokim podparciem. Pomieszczenie było wyłożone niebieskimi drobnymi kafelkami, a pośrodku stała wanna. Podłogę porastały trawa i mech.

Dziwne. Bardzo dziwne.

– Jak się czujesz, synu? – Usłyszał mocny, męski głos.

Spojrzał na mężczyznę, który palił papierosa. Był wielki i stary jak dąb, ale jednocześnie sprawiał wrażenie silniejszego niż niejedna młoda osoba. Tak jakby zestarzały się tylko jego lodowato zimne oczy, a reszta ciała nie.

– Boli mnie – wydusił w końcu Rajmund i dotknął głowy porośniętej szczecina rudyh włosów, a następnie klatki piersiowej. – I tutaj też...

– Boli cię, jak oddychasz? – zapytał mężczyzna.

Tak naprawdę bolało go całe ciało, miał wrażenie, że ktoś poprzestawiał mu w środku wszystkie organy, ale zarazem był świadom, że główne źródła szumu, który słyszał, i bólu, który odczuwał, znajdowały się w głowie.

– Spójrz na mnie – polecił mężczyzna, wkładając resztkę papierosa w kącik ust. Pochylił się nad chłopcem, złapał go delikatnie za twarz i poświecił mu w oczy małą latarką. Najpierw w lewe oko, a potem w prawe, znowu w lewe, jeszcze raz w prawe. – Napędziłeś nam stracha.

– Boli mnie – powtórzył Rajmund.

Mężczyzna uszczypnął go w policzek, poklepał go po nim, a potem odsunął się i zaczął rozpinąć guziki swojego płaszcza. Zsunął go z ogromnych ramion i okrył chłopca.

Rajmund dostrzegł na jego rękach tatuaże. Wyglądały jak węże. Wszystkie splecione ze sobą. Było ich mnóstwo, a im dłużej się w nie wpatrywał, tym większe odnosił wrażenie, że się ruszają.

W pierwszej chwili się wystraszył, ponieważ mama zawsze powtarzała mu, że tatuaże są złe. Nie potrafił jednak ukryć zaciekawienia. Może właśnie dlatego, że mama ich nie lubiła, wydawały mu się fascynujące?

Mężczyzna dokładnie otulił go płaszczem, a chłopiec wykorzystał ten moment, żeby przyjrzeć się kolejnemu tatuazowi na przedramieniu. Ten nie miał nic wspólnego z węzami i był trochę wyblakły. Wyglądał jak pieczętka z rysunkiem czaszki ubranej w płaską czapkę, na której było napisane UNI 16. Poniżej znajdował się napis: LÉGION ÉTRANGÈRE. Rajmund nie miał bladego pojęcia, co to może oznaczać.

Mężczyzna najwyraźniej zauważył jego zainteresowanie.

– Nie wszystkie wybory, które podejmujemy, są dobre, synu. – Uśmiechnął się, rzucił niedopałek na ziemię, zdeptał go grubą podeszwą wojskowego buta i odsunął się od łóżka.

Rajmund wdychał zapach płaszcza. Był przyjemny, ale gdzieś głęboko dało się wyczuć zapach palonego tytoniu i czegoś jeszcze, czegoś, co budziło w nim lęk i odrazę.

– Co tu robisz, synu? – zagadnął mężczyzna stanowczym, ale uprzejmym tonem. – To nie jest bezpieczne miejsce dla dzieci.

Rajmund milczał. Patrzył na mężczyznę. Ten, nie doczekawszy się reakcji chłopca, przecesał krótkie szpakowate włosy palcami obydwu rąk, a następnie wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Palenie to bardzo zły nałóg – stwierdził, zapalając kolejnego. – Ile masz lat? Dziesięć? Dwanaście? Paliłeś kiedyś papierosy?

Rajmund kiwnął głową.

– To ile masz lat? Trzynaście?

Ponownie kiwnął głową. Mężczyzna mu się nie podobał. Było w nim coś niepokojącego. I nie chodziło o tatuaże czy wzrost. Był zbyt miły. Zbyt opanowany.

– Wyglądasz na młodszego. Na dziesięciolatka. Jesteś mały i pucołowaty... Nie lubisz sportu?

Rajmund pokręcił przecząco głową.

– To widać, synu. To widać... – odparł mężczyzna i zaciągnął się głęboko.

Przysiadł na krawędzi wanny, splótł ręce na piersi i zaczął się przyglądać chłopcu w taki sposób, w jaki rzeźnik mógłby oceniać sztukę mięsa.

– Gdzie ja jestem? – zapytał w końcu Rajmund. – Chcę do domu...

– Wrócisz do domu. Za kilka godzin. – Mężczyzna ponownie głęboko się zaciągnął. – Jest coś dziwnego w tym mieście... w tej waszej Legnicy. Jest tu bardzo dużo wścibskich osób. Czy ty jesteś wścibski, synu?

Rajmund milczał. Poruszył się tylko i syknął z bólu. Widząc to, mężczyzna wstał, wyszedł z pomieszczenia i zaraz wrócił z dwiema butelkami niegazowanej wody i szarą torebką z logo lokalu serwującego hamburgery. Położył to wszystko na łóżku i znowu zajął miejsce na krawędzi wanny. W ustach cały czas trzymał zapalonego papierosa i przemieszczając się, zostawiał za sobą chmurę gęstego dymu. Jak lokomotywa, pomyślał chłopiec.

– Zjedz i napij się – powiedział mężczyzna. – Jak będziesz miał problem, odkręcę ci butelkę.

Po bardzo długiej chwili Rajmund zajrzał do szarej torebki i szybko odsunął ją od siebie, krzywiąc się.

– Mama nie pozwala mi jeść hamburgerów.

Mężczyzna zrobił zaskoczoną minę.

– Czyżby? – zapytał z ukrywanym rozbawieniem. – A pozwala ci się szwendać nocami po starych budynkach?

Rajmund skamieniał.

– To bardzo ciekawe, że kilkunastoletni rudy grubasek...

– Nie jestem gruby – zaprotestował chłopiec lodowato.

– Nie jesteś też chudy – stwierdził mężczyzna i wybuchnął śmiechem. – To bardzo ciekawe, że kilkunastoletni rudy, nie gruby i nie chudy dzieciak w środku nocy włamuje się na prywatny teren i zaczyna myszkować... Czego szukałeś, synu? Duchów?

– Duchy nie istnieją – odparł Rajmund tym samym zimnym tonem.

Tak naprawdę nie chciał się odzywać. Nie chciał rozmawiać, ale miał wrażenie, że mężczyzna go do tego zmusza. Rzeczy, o których mówił, i sposób, w jaki wypowiadał słowa, sprawiały, że chłopak nie mógł pozostać na nie obojętny.

Mężczyzna obliznął usta i obnażył przy tym jeden kieł, jakby był z siebie bardzo zadowolony. Jakby potrafił czytać w myślach i wiedział, co Rajmundowi chodzi po głowie.

– Zjedz kanapkę. Musisz podnieść sobie poziom cukru. Lepiej się poczujesz.

Rajmund wsadził rękę do torby i wyciągnął z niej hamburgera zawiniętego w biały papier. Nie przepadał za nimi, bo nigdy nie wyglądały tak jak w reklamach telewizyjnych. Były płaskie i smakowały tylko keczupem.

– Powiedz, co robiłeś tu w środku nocy? – zapytał mężczyzna po raz kolejny. – Wiesz, że to niebezpieczne wychodzić samemu z domu, prawda? Czego szukałeś?

– Niczego – odpowiedział z pełnymi ustami chłopak. Dopóki nie ugryzł hamburgera, nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był głodny.

– Uciekłeś z domu? Twój ojciec albo matka piją?

– Nie mam taty.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Wydaje mi się, że czegoś szukałeś. Usłyszałeś coś od kogoś, coś cię zainteresowało... Dlatego tu przyszedłeś. Mam rację, prawda?

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę i mężczyzna już wiedział, że trafił we właściwy punkt.

– Moja mama wie, że tu jestem. – Rajmund po raz pierwszy od miesiący świadomie skłamał. Chciał brzmieć przekonująco, ale mężczyzna tylko się roześmiał.

– Posłuchaj mnie. Bardzo... uważnie. – Zaciągnął się ostatni raz i wrzucił niedopałek do pustej, przezartej korozją wanny. – Nikt nie wie o tym, że tu jesteś, więc mnie nie okłamuj. Powiedz po prostu, dlaczego tu przyszedłeś.

– Skąd pan wie?

– Co?

– Skąd pan wie, że kłamię?

– Ponieważ przyszedłeś tu w nocy, sam jak palec. Mam rację? Gdybyś nie utrzymywał tego w tajemnicy, przyszedłbyś w dzień albo wieczorem. Nie w środku nocy. Nie nad ranem. Nikt tak nie robi, chyba że... ma jakieś tajemnice. Masz tajemnicę, synu?

Rajmund przełknął ostatni kęs hamburgera. Nie chciał patrzeć tamtemu w oczy. Mężczyzna sprawiał, że czuł się nieswojo.

– Chciałem tylko sprawdzić – wydukał wreszcie.

– Co?

– Co tu robicie.

– My? Kogo masz na myśli?

Rajmund wzruszył ramionami i po raz pierwszy od kiedy opracował swój plan i zaczął go realizować, zaczął żałować, że w ogóle wyszedł z domu. O wiele za późno.

– Nie wiem... Chciałem wiedzieć, co się tu dzieje, i powiedzieć innym...

– To wiele wyjaśnia – skwitował mężczyzna. Wziął butelkę z wodą, odkręcił ją i podał chłopcu. – Musisz pić dużo wody.

– Nie lubię wody. Wolę colę.

Mężczyzna się skrzywił i zabrał mu butelkę.

– Wiesz, że miałeś dużo szczęścia? Mogła ci się stać krzywda. Mogłeś umrzeć.

– Chcę do domu.

Mężczyzna nie skomentował. Popijając wodę małymi łykami, obszedł wannę kilka razy, a kiedy skończył pić, wrzucił do niej pustą butelkę w ślad za niedopałkiem.

– Jeżeli chcesz do domu – powiedział w końcu – trzeba było zostać w domu, zamiast zgrywać bohatera.

– Ale ja chcę do domu... teraz! – oznajmił podniesionym głosem.

– Wiesz, jaki jest największy problem dzisiejszej młodzieży? Jesteście niewychowani. Rozpuszczeni. Gdybyś był moim wnukiem albo synem, miałbyś teraz poważne kłopoty.

– Chcę do domu! – wrzasnął Rajmund.

– Chcę do domu – przedrzeźnił go mężczyzna. – Chcę, chcę, chcę... nie lubię, nie lubię, nie lubię... chcę, chcę, chcę... Włamałeś się na prywatny teren, synu. W środku nocy. Powinienem zadzwonić na policję. Chcesz, żebyśmy zadzwonił na policję? Chcesz, żeby cię aresztowali? Chcesz, żeby twoja matka miała kłopoty?

Rajmund milczał. Próbował schować twarz w dłoniach. Osłonić się przed złymi słowami i złymi myślami, ale to nie pomagało.

– Proszę – jęknął w końcu. – Wszystko mnie boli... Chcę do mamy.

Mężczyzna przyjął jego słowa ze spokojem, po czym, jakby od niechcienia, wsadził do ust kolejnego papierosa.

– Za kilka godzin będziesz w domu – zapewnił go. – Teraz odpocznij. Zjedz coś jeszcze, napij się wody... Na razie zostań tutaj. Gdybyś czegoś potrzebował, to cóż... krzycz.

– Ucieknę! – zawołał chłopiec, natychmiast tego żałując.

– Spróbuj. Śmiało, synu. Wstań i idź. – Mężczyzna roześmiał się i zapalił papierosa. – Tu chodzi o twoje zdrowie. Musisz jeszcze trochę odpocząć.

Rajmund się zawahał. Po kilku sekundach zrzucił z siebie płaszcz i spróbował wstać, ale gdy tylko wykonał pierwszy ruch, runął na porośniętą trawą i mchem podłogę. Ciało miał nienaturalnie wykręcone. Nogi nadal leżały na łóżku. Dopiero wtedy się zorientował, że były przykute kajdankami do rurki.

Zawył z bólu.

Nie przestając się śmiać, mężczyzna podszedł do niego, złapał go pod ramię i bez trudu usadził z powrotem na łóżku.

- Potraktuj to jako nauzkę. – Ponownie przykrył go płaszczem. – Docień tę chwilę. Naciesz się nią.
- Niech mnie pan przestanie więzić.
- Synu... ty sam się tu uwieziłeś.

\*\*\*

Rajmund spędził sam kilka godzin. Wiedział, że ma kłopoty.

Bał się mężczyzny, ale zdawał sobie sprawę, że jedyną osobą, której powinien bać się naprawdę, jest mama.

Chciał wrócić do domu przed świtem, a później pójść do szkoły. Tymczasem wszystko poszło źle. Nie wrócił do domu, nie poszedł do szkoły, a w dodatku został przykuty do łóżka przez ogromnego mężczyznę, który mówił dziwne rzeczy.

Wypił całą butelkę wody i zjadł kolejne dwa małe hamburgery.

Pokrzyczał trochę, licząc, że w końcu ktoś go usłyszy, ale szybko stracił zapał, kiedy się zorientował, że jedyne, co mu odpowiada, to echo.

Nie chcę już więcej przygód, pomyślał. Nie chcę rozwiązywać żadnych zagadek. Nie chcę szukać skarbów. Nigdy więcej. Przenigdy!

– Chcę do domu – szepnął i bardzo cicho, jakby zawstydzony własną reakcją, zaczął płakać.

Kiedy się uspokoił, do pomieszczenia zajrzał mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Cześć, młody. Szef powiedział, że mam cię zabrać na górę...

\*\*\*

Rajmund, zawinięty w obszerny płaszcz, wyglądał całkiem zabawnie, ale bynajmniej nie było mu do śmiechu. Od kajdanek bolały go kostki, a musiał iść szybko. O wiele za szybko. Płaszcz ciągnął się za nim i plątał mu się pod nogami, zbierając cały brud i pył z podłogi. Chłopiec czuł się podobnie jak wtedy, kiedy był z mamą na wczasach i próbował chodzić w śpiworze. Tylko że to nie były wczasy.

Kiedy weszli na pierwsze piętro, zobaczył potężnego mężczyznę w tatuażach. W potężnej dłoni ścisnął strzelbę, która wisiała wzdłuż jego nogi. Jak w filmach. Co ciekawe, nawet na nich nie spojrzał. Wpatrywał się tylko w ekrany, wyglądające jak małe kwadratowe pudełka. Były ustawione jeden na drugim i niektóre z nich pokazywały czarno-białe obrazy.

– Szefie, mam dzieciaka. – Drugi mężczyzna wciąż trzymał Rajmunda za ramię.

Chłopiec przesunął się do przodu, nieopatrznie nadeptując na płaszcz, ale zanim upadł, mężczyzna ze strzelbą złapał go jedną ręką i postawił na nogi. Był niewyobrażalnie szybki.

– Uważaj, jak chodzisz, synu – mruknął, a po chwili zwrócił się do swojego współpracownika. – Nie musiałeś go prowadzić ubranego w mój płaszcz. Zobacz, w jakim jest stanie. Wytarł nim całą podłogę... Czy ty w ogóle myślisz?

– Szefie, ja... myślałem... – zaczął tamten, ale jeden rzut oka na strzelbę sprawił, że słowa uwięzły mu w gardle.

– Czy samochody są już gotowe? – przerwał mu szef.

– Jeden. Jeszcze nie wszystko wyciągnęliśmy z podziemi...

– Wsiadaj do vana i znikaj.

– Teraz?

– Tak, teraz. Pierwszy samochód ma być za pięć minut w trasie, a reszta niech się pośpieszy. – Wysoki mężczyzna znowu spojrzął na ekrany. Trzy z nich nie działały. Przyglądał się im ze zmrużonymi oczami, jakby chciał coś przez nie zobaczyć. Jakby czegoś albo kogoś szukał.

– Szefie, czy oprócz nas jest jeszcze ktoś na obiekcie?

– Poza tym dzieciakiem, którego wpuściliście tu w środku nocy? – warknął mężczyzna ze strzelbą. Jego oczy zapłonęły od gniewu, a mięśnie ramion się napięły, co sprawiło, że gniazdo węży na skórze poruszyło się niespokojnie. – Czy pytasz jeszcze o kogoś innego?

– Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli... Chodziło mi o to, czy znowu ktoś nie wlaźł na teren...

– Pięć minut – powtórzył szef już spokojnym głosem i wsadził do ust papierosa. – Macie być w trasie. A później kolejni. Dopilnuj tego.

Rajmund przysłuchiwał się mężczyznom, wstrzymując oddech. Otulił się dokładniej płaszczem.

Kiedy został sam na sam z wysokim mężczyzną, ten odwrócił się do niego, jakby dopiero teraz się zorientował, że chłopiec jest obok. Spojrzął na swój ogromny płaszcz, który dzieciak miał na sobie, a potem na jego marchewkową głowę.

– Lepiej się już czujesz?

Rajmund nie odpowiedział.

– Dobrze wyglądasz w tym płaszczu, synu. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Lepiej niż ja. Możesz go sobie zatrzymać.

Chłopiec, nadal milcząc, skupił całą swoją uwagę na strzelbie. Widział takie w filmach, a ich obecność nigdy nie wróżyła nic dobrego.

– Nie bój się – powiedział mężczyzna. – To tylko broń. Wiesz, do czego służy broń? Do bronięcia się... do obrony. Jeżeli ktokolwiek mówi ci inaczej, nie

powinien jej używać. Strzelałeś kiedyś?

– Nie. – Rajmund pokręcił głową.

– To dobrze. – Mężczyzna wypuścił dym nosem. – Usiądź na łóżku. Nie martw się. To prawie koniec.

Rajmund posłusznie usiadł na skrzypiącym łóżku polowym, które na polecenie wielkiego szefa przyniósł jeden z mężczyzn. Wcale nie miał ochoty na nim siadać, ale ponieważ nadal wszystko go bolało, zdecydował, że stanie nie jest najlepszą opcją.

– Czy pan mnie wypuści? – zapytał nagle cichym głosem. – Tak naprawdę?

Mężczyzna zerknął na niego przez ramię.

– A chciałbyś tu zostać?

– Nie.

– W takim razie wrócisz do domu. – Mężczyzna spojrzął na zegarek, a potem znowu na ekrany. – Nie martw się. To już prawie koniec.

\*\*\*

Każdy z mężczyzn miał pseudonim.

Ten, który jako pierwszy zauważył problem z kamerami, a później wybrał się na obchód, od samego początku uważał to za idiotyczne. Od dobrych kilku lat nazywali go Tom. W zespole był również Jerry, ale to wszystko, jeżeli chodzi o postaci z kreskówek. Nie wszyscy byli Polakami. Tak naprawdę Polaków było tylko czterech, w tym on i szef – ten nieprzyjemny, wielki, stary drań wypalający papierosa za papierosem. Oprócz tego Bułgar, Brytyjczyk i dwóch Francuzów, których Devraux znał najdłużej, podobno jeszcze z zamierzchłych czasów. Był jeszcze ktoś, kto wskazywał cele, ale nikt poza Devraux osobiście go nie poznał. Szef w zasadzie cały czas wisiał z nim na telefonie. Czasami ciężko było wyczuć, który z nich rządzi, ale kiedy sytuacja stawała się krytyczna, kiedy coś szło nie po myśli – jednego albo drugiego – wszyscy dostawali po głowie.

Najważniejsze jednak, że pieniądze się zgadzały, a poza tym Tom wychodził z założenia, że – biorąc pod uwagę charakter ich pracy – im mniej wie, tym bezpieczniej może się czuć.

Całą resztę należało wpisać w ryzyko zawodowe.

Kiedy wyszedł tylnymi drzwiami i znalazł się na dworze, odetchnął głęboko. Zapach starych murów po dłuższym czasie stawał się nieznośny. Można było odnieść wrażenie, że właśnie tak pachnie śmierć. Jak stare, zapomniane budynki.

Podejrzewał, że szef dlatego wypala tyle papierosów, by nic nie czuć, ale nigdy nie zapytał go o to wprost. Bał się. Stary był porywczy i silny jak byk, a co gorsza, nie znosił, kiedy coś nie wychodziło, a ostatnie kilka dni to była – jak



nazywał to w myślach – seria spektakularnych fuck-upów. Reszta chłopaków była świadoma, że nie wszystko zawsze musi się udać, ale Devraux miał do tego bardziej wojskowe podejście.

To prawda. Jerry schrzanił nocną zmianę, a oni powinni od razu przechwycić rudego dzieciaka, ale kto mógłby pomyśleć, że zgubią go w tym cholernym molochu?

I jeszcze ta dziura. O mały włos dzieciak nie zginął.

Dlatego kiedy padła druga i trzecia kamera, Tom wołał już dmuchać na zimne i postanowił sprawdzić to osobiście. Chciał wyjść z inicjatywą, a ponadto poczuł ulgę, wychodząc z budynku. Nie znosił zmian przy monitoringu. Wolał pracować przy odkrywce, załadunku albo transporcie.

Znowu wziął głęboki wdech i ścisnął kilka razy nos kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał pozbyć się smrodu.

Podszedł do betonowego muru w miejscu, w którym zamontowali jedną z kamer, a kiedy się podciągnął, zorientował się, że zniknęła. Zacisnął zęby i naprężając wszystkie mięśnie, przechylił się nad murem, żeby sprawdzić czy nie spadła, strącona... no właśnie, czym? To było niemożliwe.

Zeskoczył na trawę, rozejrzał się uważnie, chcąc ocenić, czy aby na pewno jest w dobrym miejscu, a potem nacisnął przycisk walkie-talkie.

– Kamera numer cztery zniknęła – zameldował.

– Jak to zniknęła? – usłyszał trzeszczący głos w odpowiedzi.

Tom się zawahał.

– Po prostu... zniknęła.

– A pozostałe?

Tom ruszył na dalszy obchód. Kolejna kamera powinna znajdować się na drzewie nieopodal. Rozmieszczono je bowiem tak, aby rejestrowały cały teren i wszystkie wejścia do budynku.

– Tej na drzewie też nie ma – odparł zaniepokojony.

– Gdzie są?

Chciał powiedzieć, że ktoś je ukradł, ale ugryzł się w język.

Rozejrzał się i dopiero po chwili do niego dotarło.

– Szefie, to nie jest przypadek. Ktoś zrobił martwą strefę za budynkiem. Od muru do wejścia.

– Jak to możliwe?

Tom się zastanowił, a potem przystawił walkie-talkie do ust.

– Kamery streamują sygnał, pokazując na ekranach co dziesiątą klatkę. Ktoś musiał o tym wiedzieć.

– Gdzie są kamery?

Tom, zamiast odpowiedzieć, nagle spojrzął na ogromny trzypiętrowy budynek przed sobą.

– Ktoś wszedł do środka – powiedział i zaczął biec. – To prawie na pewno nie jest cywil. Powtarzam, to nie jest cywil. Uważajcie!

\*\*\*

Mężczyzna z papierosem wpatrywał się w ekrany, starając się nie mrugać. Nie chciał przegapić żadnego ruchu na zewnątrz i w budynku. Dwie dodatkowe kamery zawsze montowane były w punkcie, w którym natrafiali na potencjalne wejście. Nazywali to zabezpieczeniem ULA. Procedura za każdym razem wyglądała identycznie.

Aktualnie obraz z kamer pokazywał korytarz przylegający do pomieszczenia, w którym znaleźli ukrytą piwnicę z tunelem, oraz samą dziurę z drabiną i rozstawioną tuż nad nią dwumetrową konstrukcją przypominającą nogi pająka. Wciągarka była połączona z akumulatorami i na stabilnym gruncie mogła unieść do dwóch i pół tony. Nie mieli czasu przebić się do tunelu i stworzyć wyjazdu na powierzchnię, tak jak wskazywał na to pierwotny plan. Wszystko wydobywali przy pomocy wciągarki, podzieleni na dwie podgrupy. Tych na dole i tych na górze. Tych wyciągających i tych pakujących do skrzyń. Akcja rozpisana na dwa dni zamieniła się w dwunastogodzinny maraton bez chwili wytchnienia.

Załadunek i ewakuacja.

Przestali uważać. Zaczęli być lekkomyślni. Wszyscy zmęczeni, na granicy wyczerpania.

To dlatego przydarzyła się im wpadka z tym dziwnym, rudym chłopakiem.

To dlatego omal nie mieli na sumieniu małego rudego trupka.

Mysłąc o tym, zacisnął mocniej dłoń na rękojeści strzelby.

Dzieciak to przypadek, ale osoba, która sprzątnęła kamery, to zupełnie inna para kaloszy. Ktoś wiedział, co robi, a Tom tylko to potwierdził.

To nie jest cywil.

Skoro nie był cywilem, był zagrożeniem.

A w takich sytuacjach należało się bronić.

\*\*\*

Karcz, w czarnej masce na twarzy i czarnej, sportowej bluzie z kapturem, lekko pochylony, przemykał korytarzami wielkiego opuszczonego budynku. Omijał wszystkie przeszkody, próbując zachowywać się jak najciszej, ale nastęrczało to trudności. Wnętrze było pełne śmieci, jakby ktoś dwadzieścia lat wcześniej po prostu uciekł, zostawiając wszystkie mniej wartościowe rzeczy i przedmioty,

w tym dokumentację medyczną, strzykawki, leki, część mebli zżartych przez wilgoć i wiele innych.

Dopiero po kilku minutach, kiedy poczuł, że może sobie pozwolić na chwilę przerwy, przylgnął do ściany oddzielającej starą salę zabiegową od korytarza. Odchodziła od niej płatami jasna farba. Czuł pod palcami jej chropowatość.

Te wszystkie szczegóły pozwoliły mu się bardziej skupić.

Wziął kilka głębokich oddechów, próbując uspokoić tętno i pozbierać myśli.

Najważniejsze, aby nie pozostawać zbyt długo na otwartych przestrzeniach i cały czas zmieniać swoje położenie.

W budynku czuł się względnie niewykrywalny, dlatego poruszał się po nim dość swobodnie. Na jego korzyść działał również fakt, że był obeznany ze wszystkimi kondygnacjami – zdążył je poznać dokładnie jeszcze w zeszłym roku, płacąc ówczesnemu stróżowi.

Z tego, co zauważył, największe zamieszanie miało obecnie miejsce niedaleko bocznego wejścia, gdzie stały zaparkowane samochody. Trzy furgonetki oraz samochód osobowy. Był tam też namiot, o którym wspominał Szczur, ale z pewnością nie służył tym ludziom za miejsce do spania. Co dokładnie tu robili? I dlaczego tak bardzo dbali o swoją prywatność?

To, jak miała potoczyć się cała sytuacja, zależało również od osoby znajdującej się po drugiej stronie kamer. Nie były to atrapy, ale tanie modele kamer przemysłowych, rozbudowane o urządzenie przesyłowe. Zdemontowanie tego sprzętu trwało kilka sekund, jeżeli się wiedziało, co robić.

Zdewastowaną klatką schodową ruszył na drugie piętro, gdzie planował zrobić sobie pierwszy punkt obserwacyjny. Jeden z kilku. Jeżeli są nierozważni, uda mu się usłyszeć kilka rozmów i zebrać potrzebne do działania informacje. Dowiedzieć się z nich czegoś o Rajmundzie, tego, czy chłopiec w ogóle odwiedził to miejsce, a także o nich samych. Jakie mają funkcje w tym całym zamieszaniu. Który jest alfa, a który beta. Który jest potencjalnie niebezpieczny, a który może się do czegoś przydać.

Karcz musiał podejść bliżej.

W teorii wydawało się to proste, ale rzeczywistość wcale nie malowała się w różowych barwach. Po pierwsze, był środek dnia, co prawie zawsze przy tego typu przedsięwzięciach zwiększało szanse na wykrycie. Po drugie, nie miał ze sobą żadnego sprzętu ani niczego, co mogłoby posłużyć do odwrócenia uwagi lub jako straszak. Po trzecie, nauczony doświadczeniem wiedział, że o wiele łatwiej jest gdzieś wejść niż wyjść.

Do tego wszystkiego dochodził fakt, że przemykał przez budynek zupełnie jak dzieciak, który postanowił ukraść z sadu kilka jabłek, licząc, że nikt go nie zauważy. Tylko że to nie był sad i z pewnością nie chodziło o jabłka.

Nadal pochylony, przebiegł do kolejnego pomieszczenia, które w czasach swojej świetności służyło za główną salę szpitalną. Było prawie całkowicie puste, okna wychodziły na alejki.

Nie ta lokalizacja. Nie ta część. Za daleko.

Nasłuchiwał przez chwilę, a następnie ruszył wzdłuż okien, aż dotarł do drugiego skrzydła budynku.

Wyjrzał przez rozbity szybę.

Zobaczył sześciu mężczyzn w roboczych, brudnych ubraniach i kaskach ochronnych na głowach. W pocie czoła ładowali do furgonetek czarne skrzynie. Każda była skrupulatnie oznaczona. Sprawiały wrażenie ciężkich, bo przy załadunku cała szóstka łapała za nie ze wszystkich stron. Jedna osoba wchodziła na tył pojazdu, a reszta wpychała skrzynie do środka. Cokolwiek znaleźli, musiało być trudne w transporcie.

Karcz widział kiedyś takie skrzynie. Służyły do przewozu broni i zabytków. Było to wojskowe wyposażenie, ale ludzie, których obserwował z wysokości drugiego piętra, nie mieli z wojskiem nic wspólnego. Tak samo jak nie mieli nic wspólnego z firmą ochroniarską czy jakąkolwiek inną.

Kiedy załadowali pierwszego vana, jeden z mężczyzn otrzymał przez walkietalkie jakieś polecenie. Następnie wdał się w głośną dyskusję z kolegami, rzucił kaskiem i poszedł w stronę drzew.

Ani śladu pana Devraux ani Rajmunda.

– Dobra, dobra, dobra. Co teraz? – szepnął do siebie.

Kiedy ruszył w kierunku klatki schodowej, usłyszał odgłos silnika. Wrócił do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Pierwszy van właśnie wyruszał w drogę. Cokolwiek było w środku, zaraz miało opuścić teren obiektu i zniknąć.

Wynoszą coś z parteru. Dwa piętra pode mną.

Muszę się tam dostać.

\*\*\*

Mężczyzna wpadł na piętro, ściskając w dłoni kamerę. Biegł bardzo szybko, dyszał, jakby zaraz miał wypluć płuca.

– Znalazłem je! – zawołał. – Były przy tylnym wejściu. Ktoś je ściągnął i wypiął urządzenie przesyłowe. Są bezużyteczne...

Wyraźnie spodziewał się jakiegokolwiek reakcji, ale zamiast tego szef uciszył go, mierząc weń wskazującym palcem. Nawet nie spojrzął na przybyłego, podszedł tylko bliżej ekranów.

– To ten sukinsyn – warknął. – Widzę go...

– Kto?

– Robert Karcz.

Drugi z mężczyzn próbował dojrzeć coś na ekranach, ale w tej samej chwili kamera z numerem 16 zgasła.

– Ten koleś od kostki Rubika sabotuje nasze kamery? Ten z mustangiem i psem? – upewnił się.

Szef zasłonił oczy wolną dłonią w geście absolutnego zażenowania.

– Nasi ludzie pakują dwa pozostałe samochody pięć metrów od niego – szepnął. – Za cholerną ścianą... Jak mogli go nie zauważyć? Przecież on jest obok nich!

– Szefie... ja...

Rajmund, słysząc nazwisko nauczyciela, wstrzymał oddech. Nie mógł niczego zobaczyć na ekranach, bo siedział za daleko, ale sam dźwięk nazwiska zadziałał na niego jak sole trzeźwiące.

Zachowaj spokój, upomniał się w myślach.

Wypuścił powietrze z płuc i... najwidoczniej w tym momencie coś musiało pojawić się na jego twarzy. Musiała nastąpić jakaś zmiana, ponieważ nagle popatrzył na niego mężczyzna z kamerą. Zapoczątkowało to całą reakcję łańcuchową. Mężczyzna z kamerą przekrzywił lekko głowę, jakby w jego mózgu pojawiła się myśl, która poszybowała w kierunku szefa, bo ten bardzo powoli, niemal w zwolnionym tempie, zaczął odwracać się do chłopca. Najpierw twarz, potem oczy, a dopiero na końcu reszta ciała.

– Wszystko w porządku, synu?

Rajmund uciekł wzrokiem i bardziej otulił się płaszczem.

– Wydałeś dziwny dźwięk – dodał po chwili mężczyzna ze strzelbą. – Wszystko w porządku?

Chłopiec milczał.

– Słyszałeś kiedyś nazwisko „Karcz”? – zapytał nagle.

Rajmund poczuł się tak, jak gdyby ktoś uderzył go w brzuch. Wierzył, że nauczyciel postanowił go uratować, ale żeby to się udało, musiał zachować spokój.

Wielki, wytatuowany mężczyzna odłożył strzelbę i podszedł do niego. Delikatnie złapał chłopca za twarz i skierował ją w swoją stronę.

– Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie, bo inaczej będę musiał cię skrzywdzić – oznajmił spokojnym, rzeczowym tonem. – Znasz tego człowieka, o którym mówimy? Jeżeli skłamiesz, już nigdy nie wrócisz do domu.

W jego spojrzeniu czaił się mrok.

Rajmund nie odpowiedział. Nie musiał. Mężczyzna się skrzywił i spojrzał na tego z kamerą.

– Oni się znają...

Zaczął się śmiać i znowu na chwilę zasłonił oczy.

– Szefie, co robimy?

– To proste...

– Tak?

– Chłopiec zaraz zacznie krzyczeć. Bardzo głośno.

– Słucham...

– Niestety, nie ma innego wyjścia. Cóż...

Wytatuowany mężczyzna doskoczył do Rajmunda, a jego silne dłonie złapały chłopca za ramiona i ścisnęły. Rajmund nie zdążył zareagować, przez moment widział tylko wytatuowaną czaszkę w czapce i napis UNI 16.

– Krzycz, synu! – rozkazał mężczyzna, a jego oddech cuchnął papierosami. – Krzycz, ile sił w płucach.

\*\*\*

Wiedział, że ma zaledwie kilka sekund. Postanowił je dobrze wykorzystać.

Z niedowierzaniem i fascynacją przyglądał się dziurze w podłodze i zbudowanej nad nią konstrukcji.

Kimkolwiek byli jego nowi „przyjaciele”, wiedzieli, co robią.

Rozejrzał się po raz ostatni, a potem pochylił się nad dziurą, przytrzymując się długiej aluminiowej drabiny, i zajrzał do środka. Wysoka na cztery metry przestrzeń była doskonale oświetlona i kiedy pochylił się jeszcze bardziej, zobaczył otwartą bramę prowadzącą prosto do podziemi.

Wzmocniony, żelazny strop. Ceglane mury. Kable.

Jego serce zabiło szybciej.

Odkryli podziemny bunkier!

W ukrytej piwnicy znajdowało się wejście do bunkra, a to, co w nim znaleźli, pakowane było właśnie do dwóch ostatnich furgonetek.

Chciał zejść i zobaczyć to na własne oczy, ale wiedział, że nie może. Sam wpakowałby się w pułapkę.

Odsunął się od dziury i błyskawicznie prześlizgnął korytarzem do przylegającego pomieszczenia. W oddali słyszał kroki.

Miał obawy, że co najmniej jedna z kamer wewnątrz zarejestrowała jego ruch, ale liczył, że wszyscy będą zajęci załadunkiem, a nie sprawdzaniem monitoringu.

Co znaleźli w bunkrze? Dokąd prowadził? Rozmiar bramy i wysokość pomieszczenia sugerowały, że doskonale nadawał się do przechowywania pojazdów. Ponadto wszystko wskazywało na to, że z bunkra wyjeżdżało się na powierzchnię przed budynkiem. Ten wjazd zamurowano i zasypano kilkadziesiąt lat temu.

Wierzyli, że wrócą, zadumał się. Byli pewni. Jak wszyscy przed nimi i po nich. Sądzi, że są wieczni.

– Myśl – upomniał się na głos. – Myśl.

Wciąż nie trafił na ślad Rajmunda, ale wiedział jedno: musi powstrzymać albo opóźnić wyjazd tych vanów!

Tymczasem odgłos kroków narastał. Ktoś kręcił się przy wejściu do podziemi.

Karcz znowu ruszył z miejsca. Przez jakiś czas podążał długim korytarzem, a następnie wszedł w pierwsze drzwi po lewej.

Musiał w jakiś sposób ściągnąć na siebie uwagę nieznajomego. Rozejrzył się i podniósł z ziemi szklaną, pustą buteleczkę, oklejoną wyblakłą banderolą. Chciał ją rzucić i zacziąć się na nieznajomego, ale nie zdążył, ponieważ usłyszał przeraźliwy krzyk, który odbił się echem po korytarzach i dosłownie zmroził mu krew w żyłach.

– Pomocy! Pomocy!

Po chwili krzyk przeszedł we wrzask i w ułamku sekundy się urwał.

Rajmund! W co ty się najlepszego wpakowałeś!?

\*\*\*

Zlokalizowanie chłopca nie było trudne.

Krzyk dobiegał z pierwszego piętra. Karcz znalazł się tam dzięki kolejnej klatce schodowej i kiedy stanął przed wejściem do pomieszczenia, od razu zobaczył Rajmunda. Miał zaklejone usta, zasmarkany nos i zawinięty był w coś, co wyglądało jak monstrualnie wielki płaszcz. Siedział na dużej czarnej skrzyni.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Robert przyłożył palec do ust, dając mu do zrozumienia, żeby był cicho. Rozejrzył się po korytarzu, a potem znowu zerknął na chłopca i przylgnął do ściany przy wejściu.

Ktoś Rajmunda wyeksponował. Zostawił na widoku.

To mogła być pułapka.

Zerknął do pomieszczenia i zauważył, że pod ścianą obok chłopaka znajdują się monitory w specjalnych ochronnych obudowach.

Ci faceci byli profesjonalnymi hienami.

Rozejrzył się po raz ostatni, zastanawiając się, czy do pomieszczenia może prowadzić inne wejście, a potem oderwał się od ściany i wsunął do środka.

W pomieszczeniu oprócz chłopca znajdowali się dwaj umundurowani mężczyźni. W pierwszej chwili go nie dostrzegli. A kiedy to nastąpiło, było już za późno. Karcz jednym gestem rozłożył pałkę teleskopową i przyłożył wyższemu w udo. Tyle wystarczyło. Mężczyzna zawył z bólu i przyklęknął, a Robert zdzielił go kolaniem w nasadę nosa.

Nokaut.

– *Bordel de merde!* – krzyknął niższy.

Próbował złapać za broń, którą miał przy pasku, ale dostał pałką w ramię. Drugi cios został wymierzony prosto w splot słoneczny, paraliżując go i zwalając z nóg. Mężczyzna wylądował na brudnych, popękanych kafelkach i spazmatycznie próbował łapać oddech.

Cała interwencja trwała trzy sekundy. Tyle samo, ile trwałaby dobrze rozegrana uliczna bójka.

– Witam, panie Kochanek – usłyszał głos i wiedział, że trzy sekundy to było za długo.

Pan Devraux stał za chłopcem i mierzył w małego ze strzelby.

– A może powinienem powiedzieć: panie Karcz?

Robert wypuścił powietrze z płuc. Adrenalina buzowała mu w żyłach.

– Przyszedłem po chłopca – wydusił, zrywając z twarzy maskę i rzucając na ziemię pałkę teleskopową. Następnie uniósł brudne, podrapane dłonie.

– No właśnie widzę.

– Proszę...

– Tego chłopca? Wystarczyło poprosić.

Robert spojrział na Devraux, próbując ocenić, czy ma jakiegokolwiek szanse na walkę albo negocjacje.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteście. Przyszedłem po chłopca – powtórzył. – Chcę go zabrać do domu. Tylko dlatego tu jestem.

Wielki mężczyzna spojrział na dwóch swoich ludzi leżących na ziemi. Większy, ze złamanym nosem, próbował przewrócić się na bok i podnieść, ale Francuz walczył o każdy oddech. Devraux się uśmiechnął, odsłaniając kły, i nieznacznie opuścił lufę strzelby. Bez płaszcza wyglądał na jeszcze potężniejszego. Karcz dostrzegł tatuaże na jego ramionach, ale nie miał szansy przyjrzeć im się bliżej.

– Kim pan, u licha, jest? – zapytał Devraux. – Dlaczego musi pan cały czas wpychać nos w nie swoje sprawy?

– Niech pan opuści broń. Chcę tylko zabrać chłopca...

Dopiero teraz się zorientował, że za jego plecami stanął kolejny mężczyzna.

– Tom, zobacz, co zrobił z chłopakami – wydyszał Devraux.

Mężczyzna stojący za Karczem tylko mruknął.

– Czy pan wysłał tu tego chłopca na przespługi? – kontynuował przesłuchanie Devraux.

Karcz spojrział na Rajmunda, prosto w jego zmęczone oczy, i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Nie powinno go tu być. Chcę...

– Chcę, chcę, chcę – przedrzeźnił go spokojnym głosem Devraux.



Podszedł do Karcza i przyłożył mu lufę do klatki piersiowej.

– A byłem dla pana taki miły – dodał.

– Nie mam złych zamiarów – wyjaśnił Robert, ostrożnie dobierając słowa.

– Pan nie ma... ale może ja mam?

– Dogadajmy się.

– Jak pan się pozbył naszych kamer? Kim pan jest? Tak naprawdę. Kto pana przysłał?

Karcz przełknął ślinę.

– Jestem nauczycielem historii, a to mój uczeń. Często rozmawialiśmy o tym miejscu. Chłopca to zainteresowało... Przyszedłem po niego, bo domyśliłem się, gdzie mógł pójść...

Devraux, rozbawiony, spojrzał pytająco na Rajmunda, jakby chciał się upewnić, że Karcz mówi prawdę.

– Część na pewno się zgadza, ale niech mi pan powie, dlaczego nadal panu nie ufam? – zapytał retorycznie. – Tom, pomóż wstać chłopakom, niech zabierają się do roboty.

– Tak, szefie.

Mężczyzna nazwany Tomem wyminął Karcza i wyszedł.

– Gdzie pan ma psa, samochód i cięty dowcip? – kontynuował Devraux. – Nie ma pan ochoty na jakiś żarcik?

– Nie bardzo.

– Śmiało. Coś o kostce Rubika albo...

– Przyszedłem po chłopca. Niech pan przestanie do mnie mierzyć.

Devraux wolną ręką sięgnął do kieszeni po papierosa.

– Bardzo napsuł mi pan krwi. – Szturchnął go lufą strzelby w klatkę piersiową.

Karcz spojrzał uspokajająco na chłopca.

– Rajmund, spokojnie... Wszystko będzie dobrze...

– Ma pan ogień? – przerwał mu Devraux i ponownie szturchnął go lufą.

Karcz oderwał wzrok od Rajmunda i popatrzył potężnemu mężczyźnie w oczy. Pokręcił głową.

– Nie palę – odparł zgodnie z prawdą.

– Szkoda.

– Załatwmy to jak mężczyźni – zaproponował szybko Karcz. – Bez broni...

Devraux poruszył ustami z niezapalonym papierosem.

– Pan chce się bić? Walczyć? Na pięści?

– Tak.

– Pan naprawdę uważa, że mam ochotę się z panem bawić?

– Tak myślę.

– Cóż, w takim razie jest pan w błędzie...

Devraux przeładował strzelbę, wymierzył i pociągnął za spust. Karcz zwalił się na podłogę. Huk wystrzału sprawił, że wszystkim zaczęło pisać w uszach.

– Cholera, szefie! – krzyknął Tom. – Nie trzeba było tego robić!

Rajmund patrzył na bezwładne ciało Karcza. Mimo taśmy zaklejającej mu usta zaczął krzyczeć.

Nie mógł przestać nawet wtedy, kiedy Tom zasłonił mu oczy i wyprowadził go z pomieszczenia.

Devraux spojrział na Karcza i zapalił papierosa od swojej Zippo.

– Ostrzegałem – mruknął i zaciągnął się głęboko. – Trzeba było tu nie wracać.

## POCZTÓWKA Z PRZESZŁOŚCI

Wyciągnęli go z betonowej celi skoro świt. Spodziewał się, że ten moment w końcu nadejdzie. Rozmowa, którą odbył z naczelnikiem więzienia kilka miesięcy wcześniej, po kolejnej bójce z dwoma agresywnymi więźniami, nie pozostawiała żadnych złudzeń. Spocony Arab powiedział mu to wprost.

Nie był więźniem. Nie miał numeru. Nie miał teczki. Po prostu siedział w pierdlu i gdyby chcieli, mogliby go w każdym momencie wywieźć na środek pustyni i zastrzelić jak psa.

Powiedział wtedy, żeby to zrobili, ale Arab tylko się roześmiał. W rezultacie przez kolejne trzy tygodnie nie dawali mu jedzenia. Kiedy w końcu dostał pierwszy posiłek, zwymiotował i już więcej nie wdawał się w bójki.

Teraz powłóczył nogami, próbując wydłużyć chwilę pokonywania długich korytarzy. Obawiał się najgorszego.

Czy miał jakieś ostatnie myśli?

Czy czegoś żałował?

Czy coś by zmienił?

Długie, pozlepiane włosy zasłaniały mu twarz, a rzadka długa broda pełna była kołtunów. Wiedział, że śmierdzi, ale nie czuł już nawet własnego smrodu.

Przeszło mu przez myśl, że może na końcu tego korytarza poczuje ulgę.

Po kilku minutach wyszli na dziedziniec. Powitało ich gwieździste niebo i przeszywający chłód. Kazali mu się rozebrać do naga. Dygocząc, zrzucił z siebie nieprane od miesięcy łachmany.

Jako jedyny Europejczyk w całym więzieniu był traktowany gorzej niż śmieć i nie miało żadnego znaczenia, że znał trochę arabski i odnosił się do wszystkich z szacunkiem. Nic nie miało znaczenia.

– Zróbcie to w końcu – poprosił po polsku. – No, dalej.

– Nic panu nie zrobią – usłyszał odpowiedź w rodzimym języku.

Biały mężczyzna w lnianych spodniach i sportowej kurtce zaszedł go od tyłu i rzucił mu pod nogi skórzaną torbę. Nieznajomemu towarzyszyło dwóch Arabów.

Robert spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Chryste, wygląda pan jak gówno, panie Karcz – powiedział mężczyzna. – Niech się pan jak najszybciej ubiera i spieszajmy stąd.

– Co się dzieje? Kim pan jest?

– Nazywam się Tomasz Kubek, jestem pana nowym najlepszym przyjacielem i właśnie zabieram pana do domu – odparł przybysz. – A teraz błagam, niech się pan ubiera, zanim te sukinsyny zmienią zdanie.

Karcz pochylił się nad torbą, odsunął zamek błyskawiczny. W środku znalazł parę jeansów, a pod spodem złożoną skórzaną kurtkę z klamerkami i zamkami.

– To prezent od pana siostry. Powiedziała, że się pan ucieszy, bo jest pan cholernie sentymentalny.

Karcz zaczął płakać.

\*\*\*

– Nienawidzę pieprzonego Egiptu – powiedział Kubek i nalał wódkę do dwóch wysokich szklanek. Jedną wychylił haustem, a drugą zaniósł do łazienki, którą zajmował Robert.

Kiedy dotarli do hotelu znajdującego się kilkanaście kilometrów od lotniska, Karcz nie mógł przestać przyglądać się swojemu odbiciu. Rok. Tyle czasu spędził w więzieniu gdzieś na krańcu świata. A teraz nie mógł poznać człowieka, którego widzi. Wykąpał się, nacieszywszy się każdą chwilą spędzoną w ciepłej wodzie, przewiązał ręcznikiem i zaczął się golić, korzystając z hotelowego zestawu kosmetycznego.

– Na zdrowie – powiedział Kubek, wręczając Robertowi szkło, a potem usiadł na zamkniętej toalecie i zaczął mu się przyglądać z żywym zainteresowaniem.

Karcz upił łyk, zostawiając na krawędzi piankę do golenia, i się skrzywił. Wódka rozlała się ciepłem po jego przełyku; dosłownie czuł, jak spływa do żołądka. Odstawił szklankę i skończył się golić. Opłukał twarz, długie włosy odgarnął dłonią do tyłu.

– Twardy z pana gość – stwierdził Tomasz.

– Myślałem, że to koniec – odparł Karcz, a obcy w lustrzanym odbiciu poruszył ustami w rytm jego słów.

– No łatwo nie było – skwitował Kubek, oparł się o ścianę i przez przypadek włączył spłuczkę. – Przepraszam, cholera...

– Moja siostra...

– Justyna będzie czekać na nas na lotnisku w Warszawie. Ma niezły charakter. Myślę, że to u was rodzinne.

Karcz starł palcem piankę do golenia z krawędzi szklanki i dopił resztę.

– Czuję się...

– Tak?

– Czuję się, jakby ktoś ukradł mi rok życia.

Kubek wstał z toalety, podszedł do Roberta, wziął szklanekę i wrócił do pokoju, gdzie rozlał następną kolejkę.

– Z dobrych informacji: nigdy nie był pan oficjalnie więźniem, więc ma pan czystą kartotekę – oświadczył z pokoju. – Ze złych: to właśnie z tego powodu nie mogliśmy pana wyciągnąć szybciej. Wszyscy myśleli, że pan nie żyje.

Karcz wyszedł z łazienki, podszedł do łóżka, na którym leżały świeże ubrania, i ostrożnie nasunął na siebie koszulkę. Każdy ruch wykonywał w zwolnionym tempie, jakby był unurzany w smole. Jego stara, skórzana kurtka wisiała na oparciu krzesła, a na stoliku nad minibarem leżał nowy paszport i teczka z jakimiś dokumentami.

– Kim pan jest? – zapytał w końcu.

– Ja? – zdziwił się Kubek, podchodząc do Roberta z kolejnym drinkiem. – Nudnym urzędnikiem. Pracuję dla ministerstwa.

– Czyżby? Którego?

– Któregoś... Powiedzmy, że zajmuję się ochroną zabytków.

Karcz wziął szklanekę i usiadł na krawędzi łóżka. Parsknął śmiechem.

Tomasz spoczął obok niego i upił łyk.

– Harpun z Sakkary – wyjaśnił. – Odpieprzył pan tam niezły numer...

– Taaa...

– Poważnie. W branży jest pan dość znany, chodź na żadne wykopaliska archeologiczne nikt już pana nie weźmie. Włamał się pan do grobowca, ukradł harpun z pomocą tego pana śmiesznego kolegi... Jak się nazywa ten Arab? Hassan?

– Hassan Abdul Samir Saad.

– Swoją drogą, gdyby to pana interesowało, to Hassan żyje i ma się dobrze. Pana mentor, Jan Michalkiewicz, również, chodź przez wiele miesięcy dochodził do siebie po napadzie na obóz i postrzale.

Karcz zacisnął palce na szklance, a następnie wychylił ją do dna.

– W jakiej branży? – zapytał w końcu.

– Słucham?

– Powiedział pan, że w branży jestem dość znany.

Kubek wznosił szklanekę jak do toastu.

– Naszej – odparł. – Powie mi pan, gdzie jest?

Karcz poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz.

– Czyli to o to chodzi? – zapytał jadowitym tonem.

– O co?

– Przez dwa pierwsze miesiące torturowano mnie i ciągle pytano o to samo. Myśli pan, że gdybym wiedział... to nie powiedziałbym im?

Tomasz kiwnął kilka razy głową, jakby rozważał różne opcje.

– Myślę, że nie, bo gdyby pan powiedział, już dawno gryzłby pan piach. Wie pan o tym.

Milczeli przez chwilę.

– A teraz mam powiedzieć panu? – Karcz uważnie przyjrzał się rozmówcy.

Kubek wstał i sięgnął po butelkę alkoholu. Dolał Karczowi bez pytania.

– Mówiłem już to panu dzisiaj. Jestem pana nowym, najlepszym przyjacielem...

– Może to podstęp?

Kubek uśmiechnął się z politowaniem.

– Ujmę to inaczej – zaczął ostrożnie. – Mam w dupie ten harpun.

– Nie wiem, czyby się zmieścił – zakpił Karcz. – Bardzo zabawne.

– Prawda?

– Ujmę to inaczej. Nie interesuje mnie, gdzie go pan ukrył. Interesują mnie jednak fakty.

– Fakty?

– Tak. Krąży opinia, bardzo niepochlebna, że atak na polską ekspedycję archeologiczną był przez pana...

– Bo był – wszedł mu w słowo Karcz.

– Tak, ale chodzi mi o to, że krąży opinia, że wszystkich pan oszukał – dodał Tomasz.

Karcz westchnął ciężko.

– Wszystkich, nawet swoich bliskich – kontynuował Kubek. – Nie interesują mnie pana intencje związane z plądrowaniem grobowców, wiem, że nie był to pana pierwszy raz... Ale mężczyźni, którzy zaatakowali obóz... Słyszałem, że to byli pańscy współpracownicy, którzy przez pana lawirowanie stracili do pana cierpliwość. To prawda?

Karcz spojrzał mu głęboko w oczy.

– Nie. Nie znałem ich. Nigdy nie naraziłbym ekspedycji w ten sposób. Nie pracuję z gangsterami i pieprzonymi terrorystami. Moim jedynym kontaktem był Hassan i paser z Egiptu. Któryś z nich musiał na mnie donieść i wystawić mnie. Myślę, że ten drugi. Hassan to...

– Tak?

– Dobry dureń.

Kubek się uśmiechnął.

– Czyli jednak...

– Co?

– Istnieje coś takiego jak honor złodzieja – stwierdził Tomasz i upił łyk.

Karcz wypił wódkę jednym haustem. Zaczęło przyjemnie szumieć mu w głowie i choć myślał, że to niemożliwe, czuł, że się odpręża.

– Cieszy mnie to – dodał Kubek po chwili. – Naprawdę.

– Że nie jestem śmieciem?

– Tak.

– Czuję się jak śmieć.

– A, to z pewnością... Ale poprawi się panu. Czy muszę mówić wprost, że właśnie pana rekrutuję, czy już się pan tego domyślił?

Karcz wpatrywał się w dno szklanki.

– Rząd?

– Będzie pan moim niezrzeszonym konsultantem.

– Będę?

– Nie ma pan wyjścia, chyba że chce pan trafić do pierdła w Polsce. A to z pewnością odbiłoby się również na pana relacjach z siostrą i jej wizerunku. Portale plotkarskie miałyby używanie.

Karcz się skrzywił.

– Prawdziwy wybór Zofii.

– Nie widziałem tego filmu.

– Najpierw była książka.

Kubek się zaśmiał i złapał za butelkę.

– Przeświliłem pana dość dobrze, panie Karcz – zmienił temat. – Choroba matki, przyszywany wujek i partner ojca z Międzygórza, pańska narzeczona, którą porzucił pan bez słowa wyjaśnienia, tułaczka po świecie... Czy siostra wie, w jakich okolicznościach umarł wasz ojciec?

Karcz milczał.

– Czyli nie wie. Spokojnie. Wiem, że to tajemnica, więc ode mnie się nie dowie. Chcę panu tylko dać do zrozumienia, że wiem o panu bardzo dużo. Więcej niż ktokolwiek inny. Wiem o pana mieszkaniach w Londynie i włoskiej Scalii. Zakładam, że siostra nie ma pojęcia o pana dziuplach, prawda?

Na twarzy Karcza pojawił się cień.

– No dobrze, powiem panu, jak będzie – kontynuował Tomasz. – Z mojej wiedzy wynika, że pańska siostra chce pana na jakiś czas ulokować w Legnicy. Ma to sens, Dolny Śląsk, niedaleko Międzygórza, waszego wujka... plus z tego, co wiem, ma przez najbliższe miesiące zdjęcia do jakiegoś serialu we Wrocławiu.

– W Legnicy? – zdziwił się Karcz.

– Wspominała mi o tym, że załatwiła panu pracę nauczyciela historii.

– Kogo?

– Spokojnie. Mam to gdzieś. Może pan wziąć tę robotę. Siostra pana kocha, chce, żeby pan nabrał sił i zajął się czymś normalnym.

– Dzięki. Wolę więzienie.

Kubek wybuchnął śmiechem.

- Niby tak, ale to nawet dobrze panu zrobi. Kontakt z ludźmi i tak dalej.
- Nie sądzę...

Milczeli przez chwilę.

- Na czym mają polegać te moje konsultacje?
- I tak za dużo powiedziałem. Niech sobie pan tym nie zaprzęta głowy.
- Za późno...

Kubek spojrział Robertowi w oczy.

– Prywatni kolekcjonerzy, zaginione dzieła sztuki, czarny rynek – powiedział ze śmiertelną powagą. – Rozpieprzymy czarny rynek. Stopniowo, krok po kroku. Kogo się da, wsadzę do więzienia, a jeżeli ktoś będzie za mocny, zbyt ustawiony, zbyt ważny, wtedy... co się da, wyrwiemy im z gardeł. Nie ma legalnej drogi, żeby walczyć z tymi skurwielami, dlatego właśnie wprowadzam plan alternatywny i pan mi w tym pomoże.

- Czyli mam kraść?

– Ma pan robić to, co jest właściwe. A na rozgrzewkę zaczniemy od Dolnego Śląska.



## ROZDZIAŁ 9

# W KTÓRYM COŚ SIĘ KOŃCZY, A COŚ SIĘ ZACZYNA

Pierwszą rzeczą, którą usłyszał, był głos.

Ktoś w oddali mówił, że drugi van wyrusza w drogę.

Kiedy otworzył oczy, zorientował się, że ręce i nogi ma przywiązane taśmą izolacyjną do ramy starego aluminiowego krzesła. Nawet gdyby chciał, nie dałby rady wstać.

Jęknął, próbując się wyprostować, ale silny ból w klatce piersiowej całkowicie go unieruchomił. Przez kilka sekund nie mógł złapać oddechu. Cały przód kurtki był w postrzępionych dziurach.

– Niech to szlag... – stęknął.

– Pociski ogłuszające. – Devraux poklepał go kilka razy po twarzy, żeby go otrzeźwić. – Idealnie nadają się do kontroli nad tłumem. Albo jako sposób na nieproszonych gości.

– Świetnie – sapnął Karcz. Podniósł wzrok i spojrzał na wielkiego mężczyznę z papierosem.

– Prawdopodobnie ma pan połamane żebra – stwierdził Devraux. – Boli?

– Czuję się... pysznie – jęknął Robert. – Bardzo dziękuję za troskę.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Dostał pan kiedyś pociskiem ogłuszającym? – zapytał po chwili. Okrążył krzesło, na którym siedział Karcz, jakby podziwiał dzieło sztuki. – Ma pan coś takiego w twarzy, co sprawia, że... człowiek miałby ochotę w nią strzelić. Przysięgam.

– Moja siostra też tak uważa.

– Tak – przytaknął z rozbawieniem. – Poznała się na panu.

– Co tu robicie?

– Nie miałem ochoty się z panem bawić wcześniej i nadal nie mam.

– Co znaleźliście? Złoto?

Devraux przez moment zastanawiał się nad czymś, po czym pstryknął palcami.

– Niemcy nie rozliczyli się z tysięcy dzieł sztuki skradzionych w trakcie drugiej wojny światowej. Słyszał pan o tym? Pomiędzy rokiem 1933 a 1945 hitlerowcy przywłaszczyli sobie ponad pół miliona dzieł. Część z nich do tej pory

nie trafiła do właścicieli. Przepadła. Czasami bezcenne prace można znaleźć na strychach albo... – urwał i rozłożył umięśnione ręce – w takich miejscach jak to.

– W opuszczonych budynkach?

Devraux cmoknął.

– Nazywamy je skarbonkami. Naziści byli bardzo bystrzy. Zbyt pewni siebie, ale bystrzy. Zabezpieczali się na czarną godzinę. Budowali bunkry i tworzyli skarbonki. Słyszał pan?

– Taaa... obilo mi się o uszy.

– Jeździmy z miasta do miasta, z miejsca na miejsce i szukamy takich skarbonek. Czasami nie znajdujemy nic, a czasami... Ale pan to wie, prawda? Swoją drogą, nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo tak nachalnego jak pan czy pana rudy kolega. Następnym razem będę miał takich ciekawskich jak wy bardziej na uwadze. Jest pan archeologiem, prawda? Jaką zrobił pan specjalizację?

– Nie taką. Nie jestem historykiem.

– Tak, wiem, wiem... Rozumiem, woli pan skorupy, stare zbroje i grobowce. – Devraux swoim zwyczajem zapalił papierosa. Zaciągnął się nim, wyraźnie delektując się dymem, a następnie dmuchnął w stronę Karcza. – Sporo o panu ostatnio słyszałem...

– Od Tomasza Kubka?

Devraux spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie wiem, czy mówimy o tej samej osobie... Wygląda jak pajac i nosi drogie garnitury?

– Tak, właśnie tak. To on.

– Być może. – Devraux się zamyślił. – Zawsze irytowały mnie te jego pseudonimy i ta jego ciągła chęć pokazywania się. Biurokracja. Ale trzeba przyznać, że to, co robi, robi dobrze.

Karcz się poruszył i znowu poczuł przeszywający ból w klatce piersiowej.

– Co robi dobrze? Wiąże krawaty? – zadrwił.

– Sprzedaje. To urodzony handlarz. – Devraux znowu okrążył krzesło, tym razem zostawiając za sobą chmurę dymu.

– Opowie mi pan coś jeszcze? – zagadnął Karcz tonem towarzyskiej pogawędki.

– Spokojnie, ja tylko zabijam czas. Za chwilę już nas tu nie będzie, a panu zostanie tylko dziura w ziemi i opowieść o „złych ludziach”, których spotkał pan w opuszczonym szpitalu. Historyjka o skarbonkach i mentolowych papierosach...

Karcz splunął. Przeszywający ból w klatce piersiowej i głowie sprawiał, że wszystko, co się wokół niego działo i znajdowało, zdawało się nie mieć sensu.

– A może wykorzystam to wszystko przeciwko wam?

– A w jaki sposób, jeżeli mogę wiedzieć? – zdziwił się Devraux. – Zadzwoń pan na policję?

– Nie mam tatuaży i nie odbyłem służby wojskowej, jak pan. – Karcz uśmiechnął się zuchwale. – Ale mam inne...

– ...irytujące cechy – dokończył za niego Devraux. – Zauważyłem. Dostaje pan po łbie, a potem pan wraca po więcej. A później jeszcze raz i jeszcze... To idiotyczne. Robić cały czas to samo i oczekiwać innych rezultatów. Jest pan jakimś poszukiwaczem przygód czy po prostu lubi pan poczuć kopa adrenaliny? Są bezpieczniejsze sposoby, żeby sobie ulżyć.

Karcz nie odpowiedział. Przyglądał się tatuażom Devraux. Próbował zapamiętać jak najwięcej. Chciał też zachować w pamięci sposób, w jaki tamten chodził i trzymał papierosa.

– Wie pan, co zrobiliby z panem w legii cudzoziemskiej? Nauczyłby się pan pokory. Może niekoniecznie by pan zmądrzał, ale z pewnością zrobiliby z pana prawdziwego mężczyznę albo... – przyłożył do skroni wskazujący palec wolnej ręki – ...albo wsadziliby panu kulkę o, tutaj. Jak nieposłusznemu psu.

– Wolałbym nie.

– Pewnie. Pewnie, że tak. – Devraux zaciągnął się ostatni raz i rzucił niedopałek w kąt.

– Po co ta rozmowa?

Devraux pochylił się na tyle blisko, że Karcz widział jedynie jego wyblakłe, niebieskie oczy.

– Byłem ciekaw – szepnął. – Chciałem po prostu zweryfikować wszystkie informacje.

– Jest pan z siebie zadowolony? – Wszedł mu w słowo Robert.

– Zawiedziony – uściślił i błyskawicznie stanął za nim.

Zanim Karcz zdążył zareagować, poczuł silne szarpnięcie. Devraux złapał za oparcie krzesła i zaczął go ciągnąć za sobą przez długi korytarz.

Krzesło szurało głośno po nierównej powierzchni.

Karcz zacisnął zęby. Odchylony do tyłu razem z siedziskiem odruchowo spiął wszystkie mięśnie i znowu poczuł ból, który aż zapierał mu dech.

– Chłopcy! – krzyknął Devraux. – Drobną zmianą planów!

Kiedy się zatrzymali, Karcz od razu poznał pomieszczenie. To tutaj przebili się przez podłogę. To tutaj znaleźli bunkier.

– Spakowaliśmy cały monitoring. Wszystko jest w osobówce – zameldował Tom. – Jeszcze wciągarka... Szefie, co pan robi?!

Devraux przesunął krzesło z Karczem na samą krawędź głębokiej dziury, podszedł do metalowej rozkładanej konstrukcji, złapał za koniec liny z hakiem

i zaczepił go o krzesło.

– Szefie! Rozkręcamy to. Nie jest już stabilne. Ostatnia furgonetka i samochód były prawie gotowe do drogi. To koniec.

Mężczyzna z tatuażami popatrzył na swoich ludzi i się uśmiechnął.

– Wytrzyma – powiedział, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie, po czym stanął przed Robertem i z impetem kopnął krzesło.

Karcz wrzasnął i w ułamku sekundy zawisł nad wielką czarną dziurą. Taśma izolacyjna wbiła mu się boleśnie w przedramiona, a cała konstrukcja niebezpiecznie zaskrzypiała.

– Szefie, on ma dość. Dostał ogłuszaczem...

– Nasz kolega jest archeologiem i lubi grobowce – oświadczył Devraux profesorskim tonem. – Więc dostanie to, czego szukał.

– Zjeżdżamy stąd – powiedział Tom łamaną polszczyzną, klepiąc się w nadgarstek. – Czas dobry. Gość ma dość. Ołać to! Jedźmy!

Devraux podszedł do Toma i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Tak będzie zabawniej – odparł. – Nasz kolega szukał mocnych wrażeń i je dostanie. Podbijamy stawkę.

Tom westchnął i z dezaprobatą pokręcił głową, po czym podszedł do panelu sterującego wciągarką i nacisnął zielony przycisk. Maszyna zaczęła głośno pracować.

Karcz poczuł kolejne szarpnięcie, kiedy linka pociągnęła go w górę, a następnie zaczęła opuszczać prosto w czarną czeluść.

– Do zobaczenia, psi synu – rzucił mu na pożegnanie Devraux.

Robert jęczał, ale nie potrafił wyartykułować ani jednego konkretnego słowa. Ból całkowicie go rozregulował, a od powolnego obracania się wokół własnej osi zaczęło kręcić mu się w głowie

– Chłopiec ma być następny – oświadczył Devraux, znowu zwracając się do Toma.

– Bez żartów. – Mężczyzna popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Wypuśćmy chłopaka... Reszta ma rację. Mamy wszystko. Zjeżdżamy stąd.

Devraux się skrzywił.

– Dzieciak jest cały i zdrowy, a poza tym nikomu jeszcze nie zaszkodziła mała szkoła życia. Ktoś ich znajdzie.

– A jeżeli nie? – Tom nerwowo potarł czoło.

Jego szef tylko na niego popatrzył.

– Idę po niego – powiedział Tom niechętnie. – Niech to szaleństwo się skończy.

\*\*\*

– Mamy przechlapane – powiedział Rudy Rajmund, zadzierając głowę i spoglądając w górę. Dziura, która była jedynym wyjściem, zdecydowanie znajdowała się poza ich zasięgiem. – Już dzisiaj raz tu byłem.

Częściowo rozmontowany dźwig nadal stał na swoim miejscu. Nie miało to jednak większego znaczenia. Dwie stalowe linki, za sprawą których się tutaj znaleźli, zostały bowiem ucięte i wrzucone do dołu w ślad za nimi.

Karcz nie wyglądał zbyt dobrze. Był zmęczony i obolały. Siedział na ziemi oparty o ścianę i pocierał pokaleczone nadgarstki. Przecięcie taśmy ostrym kamieniem zajęło Rajmundowi ponad piętnaście minut.

Krzeseł, do którego do niedawna przywiązany był Robert, leżało pomiędzy nimi.

– Chyba już pojechali – dodał chłopiec po chwili. – Myśli pan, że jesteśmy bezpieczni?

Karcz pokiwał głową, jakby rozważał różne możliwości, ale nie odpowiedział. Czuł się jak wrak.

Ludzie Devraux zrzucili im dwie zgrzewki półlitrowych butelek z wodą i dwie latarki.

– Dlaczego zostawili nam wodę? – zapytał Rajmund, spoglądając nieufnie w kierunku zafoliowanych butelek.

Bo możemy zostać tu bardzo długo, odpowiedział mu w myślach Karcz, a na głos powiedział tylko:

– Przepraszam cię.

Rajmund spojrzał na niego pytająco. Cały czas miał na sobie ogromny płaszcz, który się za nim ciągnął. Wyglądał w nim jak w kokonie. Gdy stał, długie rękawy prawie dotykały ziemi.

– Nie zadzwoniłem do twojej mamy – ciągnął Karcz. – To wszystko moja wina. To, że tu przyszedłeś...

Chłopiec westchnął. Myśl o matce zakłęła go gdzieś głęboko w sercu. Nigdy wcześniej się tak nie czuł. Z jednej strony pragnął wrócić do domu najbardziej na świecie, a z drugiej bardzo bał się spotkania z mamą.

– Nie chcę już żadnych przygód. To nie dla mnie.

– Niech to... – Karcz się zaśmiał i momentalnie złapał za zebra. Rozpiął kurtkę. Na T-shircie, który miał pod spodem, widniały ciemne ślady krwi.

– Czy my stąd wyjdziemy? – zmienił temat Rajmund, najwyraźniej uznając, że nauczyciel jest supermanem, który bez problemu zdołał znieść postrzał z broni.

– Ktoś nas znajdzie – uspokoił go Karcz. Próbował brzmieć przekonująco, ale wiedział doskonale, że równie dobrze mogą spędzić w podziemiach nawet kilka dni. O ile sami nie znajdą sposobu, żeby się wydostać.

– Myśli pan, że oni wrócą?

– Kto?

– Ci ludzie?

– Przed chwilą wyjechali. – Robert się uśmiechnął. – Są już daleko. Zabrali wszystkie cenne rzeczy i uciekli.

– Skarb?

– Taaa...

– Znajdzie ich pan?

– Dlaczego miałbym ich szukać?

Chłopiec najwyraźniej był zaskoczony pytaniem.

– Bo... coś zabrali? – zapytał niepewnie. – Bo tak nie wolno?

Zrobiłbym dokładnie to samo co oni, pomyślał Karcz. Gdybym tylko lepiej to rozegrał.

– Wiesz, oni mogą być gdziekolwiek. To może być trudne... Zresztą mamy teraz inne zmartwienia. – Zaparł się nogami i nadal opierając się plecami o ścianę, zaczął się podnosić. Szło mu to jak po grudzie.

Pociski ogłuszające, przypomniał sobie z rozgoryczeniem. Nienawidzę pocisków ogłuszających.

Wszystko poszło nie tak, jak powinno, ale mógł mieć o to pretensje tylko do samego siebie. Improwizował. Grał na czas.

– Ktoś nas znajdzie – sapnął Karcz. – Na pewno. Nie przejmuj się.

Rajmund zerknął w kierunku otwartej bramy prowadzącej do mrocznego tunelu.

– Jak pan się pojawił w tej masce, nie bałem się. Wiedziałem, że to pan.

– To dobrze.

– Spuścił im pan nieziemski wpier...

– Nie kończ – wszedł mu w słowo.

– Czytam w internecie różne artykuły i recenzje – powiedział nagle bez wyraźnego powodu chłopiec.

– Co?

Procesy myślowe Rajmunda nadal były dla Karcza zagadką. Każde jego wynurzenie traktował ze spokojem i z pewnego rodzaju przyjemnością, ponieważ chłopak potrafił się rozgadać w najmniej oczekiwanym momencie. W takich chwilach zachowywał się jak normalny, zadający miliony pytań dzieciak, wyróżniał go jednak kamienny wręcz spokój stale malujący się na piegowatej twarzy. Karcz słyszał jego krzyk. Widział emocje drgające na jego twarzy, ale teraz Rajmund znowu jawił mu się jako marmurowy posąg. Chłopiec wiedział, że mają poważne kłopoty, ale nic nie było po nim widać.

To w gruncie rzeczy dobrze. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to histeria.

– Jesteśmy jak drużyna, prawda? – kontynuował Rajmund. – I wpadliśmy w tarapaty. Jak w książkach albo w filmach.

– O czym ty mówisz?

– Chodzi mi o to, że jesteśmy jak Power Rangers, Żółwie Ninja albo Czarodziejki z Księżycy – wyjaśnił z powagą. – Wpadliśmy w tarapaty i musimy się stąd wydostać. Jak w tych bajkach. Ale...

– Ale co?

– Ale zaraz pan coś wymyśli i wszystko będzie dobrze!

– Nie wiem, co czytasz w internecie, ale stanowczo powinieneś przestać.

Karcz doceniał jego entuzjazm, ale w ciągu ostatniej godziny strzelono do niego, przywiązano do krzesła i podwieszono na linie. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że po tym wszystkim mogliby w brawurowy sposób wydostać się z tego miejsca.

– Mam latarkę – oznajmił chłopiec. – Ten mężczyzna na górze dał mi też czekoladę. Mam ją w kieszeni...

– Jaki mężczyzna? – zdziwił się Robert. Devraux nie wyglądał na gościa skorego do dawania prezentów, a tym bardziej do dawania forów.

– Ten, który po mnie przyszedł. – Rajmund wzruszył ramionami. – Ten miły.

Karcz zobaczył w rękach chłopca długą latarkę. Potem jego wzrok powędrował w stronę otwartej bramy i mroku czającego się tuż za niskim progiem. Cztery metry nad nimi, tuż pod sufitem wisiała tablica, na której widniało słowo ACHTUNG.

Tak, mam zamiar uważać, pomyślał.

– No dobra – powiedział w końcu. Krzywiąc się z bólu, podszedł do chłopca, wziął od niego latarkę i uśmiechnął się blado. – Patrz, ten tunel jest ogromny. Mogły się w nim zmieścić samochody... – Odwrócił się i stanął tyłem do bramy. Tuż nad głową miał jasny punkt, dziurę, przez którą tu wpadli. – Spójrz na tę ścianę na końcu. Tu wcześniej był wyjazd na powierzchnię. – Klepnął ją kilka razy i dokładnie oświetlił latarką jej szczeliny. – Cegły są zupełnie inne... Widzisz to? Ściana jest wybrzuszona, tak jakby coś na nią napierało z drugiej strony. Minęło kilkadziesiąt lat... Nie ma tu w zasadzie dodatkowych wzmocnień. Czyli wyjazd prowadził na powierzchnię tuż przed szpital. Zamurowano tunel, zasypano go ziemią... Rajmund? Hej, co robisz?

Chłopiec stał przy otwartej bramie i świecił drugą latarką w głąb tunelu.

– Co pan mówił?

– Mówiłem, że... Co robisz?

– Myśli pan, że tam jest wyjście?

– Myślę, że nie. To było coś w rodzaju garażu. Wjazd tylko w jedną stronę.

– Sprawdźmy to?

– Pewnie, że tak. Podaj mi tylko butelkę wody, dobrze?

Rajmund, zadowolony z siebie, spełnił prośbę Karcza, ostatni raz spojrzął w górę, w kierunku dziury, a potem znowu odwrócił się twarzą do bramy.

Robert uśmiechnął się pod nosem i napił wody.

„Sprawdzimy to?”

W pewnym sensie czekał na tę chwilę, tylko że inaczej ją sobie wyobrażał. Na pewno w mniej zagrażających życiu okolicznościach.

– Rajmund?

– Tak?

– Kim, do diabła, są Czarodziejki z Księżyca?

\*\*\*

Podziemny tunel nie był bunkrem, nie miał odpowiednich wzmocnień. Jego przestrzeń natomiast zdecydowanie pozwalała na swobodne poruszanie się pojazdów mechanicznych. Na murowanych ścianach i pod półokrągłym sklepieniem znajdowały się niemieckie hasła ostrzegawcze i liczby określające maksymalną dopuszczalną wysokość pojazdów.

Karcz wiedział, że okres pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową był dla Europy czasem budowania fortyfikacji i tworzenia umocnień, ale znalezisko nie przestawało go dziwić. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego.

Podziemny nazistowski garaż, pomyślał, kuśtykając przed siebie i rozświetlając gęsty mrok.

Tunel, który przeszli, miał około sześćdziesięciu metrów długości, wszędzie na ziemi wały się deski i pozostałości po skrzyniach używanych do transportu. Wszystkie ściany nośne były wilgotne i nieprzyjemne w dotyku, a w odległości mniej więcej dwudziestu metrów majaczyły drzwi zamykane na wajchę. Napis nad nimi głosił: WAFFENLAGER.

Karcz chciał je sprawdzić, ale wtedy usłyszał głos Rajmunda:

– Ciężarówka!

Chłopiec oświetlał fragment wielkiej zniszczonej opony i kawałek materiału, którym była obciążona tylna część pojazdu. Trzymał się bardzo blisko Karcza i tylko fakt, że w tunelu panowała cisza, powstrzymywał go przed złapaniem Roberta za rękę. Wystarczyłby najmniejszy odgłos, a z pewnością by to zrobił.

Karcz skierował światło latarki w to samo miejsce. Bez problemu rozpoznał samochód: długi na ponad sześć metrów, stojący na sflaczałych, popękanych oponach ciężarowy opel blitz wyglądał jak rzeźba wrośnięta w podłoże. Pokryty niezidentyfikowanym nalotem, w niczym nie przypominał wielkiego i wytrzymałego auta z czasów swojej świetności. W czasie drugiej wojny



światowej był jednym z najczęściej wykorzystywanych pojazdów, w zasadzie niezawodnym, potrafiącym pokonać każdą przeszkodę. Teraz, po sześćdziesięciu latach spędzonych pod ziemią, był już tylko wspomnieniem...

Karcz, trzymając się za żebra, obszedł ciężarówkę dookoła. Na pace nie było nic ciekawego, tylko puste i całkowicie zniszczone przez wilgoć skrzynie.

Poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

A więc to prawda. Część konwoju ukryta pod jednym z największych szpitali w Europie. W Legnicy.

– Wszystko zabrali – szepnął do siebie.

Nagle Rajmund poświecił mu latarką w twarz. Karcz, zaskoczony, skrzywił się i osłonił ręką.

– Co ty robisz?

– Chciałem zobaczyć, czy wszystko w porządku.

– Ta... tak...

Chłopak oświetlił teren dookoła.

– Tu obok jest jeszcze jedna – oznajmił głośno.

– I kolejna – zauważył Robert. – Trzy ciężarówki.

Nawet nie musiał sprawdzać: wiedział, że te wraki są puste.

– Mój Boże, to, co stąd wywieźli, mogło ważyć łącznie nawet cztery tony – szepnął. – Rajmund! – zawołał nagle zdecydowanym tonem. – Musimy się stąd wydostać!

– No przecież wiem.

– Mam na myśli teraz. Musimy się stąd wydostać natychmiast!

– Dlaczego? – zaniepokoił się chłopiec.

Bo muszę powstrzymać tych ludzi, pomyślał Karcz.

Wciąż trzymając się za żebra i przyświecając sobie latarką, zaczął szukać czegokolwiek, co pomogłoby im wyjść na powierzchnię.

\*\*\*

Przy końcu tunelu znajdowały się stoły. Dużo stołów. Oprócz tego w specjalnych skrzynkach leżały narzędzia, a na pręty wystające ze ścian wsunięto samochodowe koła. Były tam też urządzenia, których nie rozpoznali.

– Co to jest? – Rajmund wskazał coś palcem.

Cały czas przydeptywał płaszcz; miał przez to problemy z poruszaniem się, bo na każdy krok Karcz musiał wykonywać kilka mniejszych i szybszych. Kiedy dotarli do składowiska przy końcu tunelu, był już nieźle zziębnięty.

– To jest – Karcz z wysiłkiem podniósł długie i ciężkie narzędzie – klucz do odkręcania kół...

- Strasznie tu śmierdzi – stwierdził Rajmund, zasłaniając twarz rękawem. Powietrze faktycznie było zatechłe. Robert, ciągnąc klucz po ziemi, ruszył w kierunku, z którego przyszli.
- Wracamy do dziury? – zapytał chłopiec.
- Sprawdzimy jeszcze drzwi. Z tej strony nie ma żadnego wyjścia... Rajmund poświecił latarką dookoła. Rzeczywiście. Ślepy zaułek.

\*\*\*

Karcz z trudem otworzył metalowe drzwi pod tablicą z napisem WAFFENLAGER. Kiedy zajrzeli do środka, już wiedzieli, że nie mają co liczyć na sekretne tylne wyjście. Pomieszczenie okazało się klitką z bronią. Prawie całe uzbrojenie zawieszono na ścianach i umieszczone w skrzyniach przypominało skamieliny i z pewnością nie nadawało się do użytku. Wszędzie były tablice informacyjne w języku niemieckim. Nie rozumieli z nich ani słowa.

Karczowi to jednak nie przeszkadzało. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Przyciskając latarkę policzkiem do ramienia, pochylił się nad kolejną ze skrzyń. Brennzünder 39, przeczytał bezgłośnie widniejący na niej napis.

- Cholera! – zaklął i cofnął się o krok.
- Co to takiego? – zaciekawiał się chłopiec. Cały czas, wyraźnie zainteresowany, dotykał broni znajdującej się dookoła.
- Coś bardzo niebezpiecznego – odpowiedział Karcz. – Nie dotykaj tego! Nie zbliżaj się!
- Rajmund był jednak uparty.
- Nigdy czegoś takiego nie widziałem! – zawołał.
- Idziemy stąd – zdecydował Robert i wypchnął chłopca za drzwi. – Nie potknij się.
- Co teraz?
- Karcz podniósł długi klucz do kół, który zostawił przed wejściem.
- Wracamy.
- Mam pewien pomysł, dodał w myślach.

\*\*\*

Pierwsze uderzenie klucza o ścianę nie przyniosło żadnego wymiernego skutku. Na powrót znajdowali się przed bramą, a światło wpadające przez dziurę nad nimi dodawało im otuchy.

Chłopiec przyglądał się Robertowi, który przygotowywał się do kolejnego uderzenia. Trzymając końcówkę klucza, zagryzał zęby, jakby samo podniesienie go sprawiało mu trudność.

– W szkole nikt mi nie uwierzy – stwierdził Rajmund.

Karcz, wydając z siebie świszczący dźwięk, znowu zamachnął się kluczem i uderzył w ścianę tak mocno, aż odprysnął kawałek cegły.

– W co? – wydyszał. – Odsuń się jeszcze trochę...

– No... – zaczął chłopiec. Nie był pewien, jakich powinien użyć słów, aby precyzyjnie wyrazić to, co ma na myśli. – Że pana zastrzelili, a pan żyje...

– Przestań! – Robert się zaśmiał. – Nie mogę... nie mogę się śmiać...

– Boli?

Karcz, zamiast odpowiedzieć, po raz kolejny przywalił w ścianę, celując dokładnie w to samo miejsce, i krzyknął. To, co miał w głowie, ciężko było nazwać choćby zarysem planu. Miał pomysł, którego się trzymał. Uderzał w ścianę wybrzuszoną od napierającej z drugiej strony ziemi. Cegły wydawały się miękkie. Zupełnie inne niż te, z których powstała cała misterna konstrukcja kompleksu, włączając w to podziemia.

– To nie były prawdziwe naboje. One nie zabijają – wyjaśnił, znowu się zamachnął i uderzył.

Robią ci krzywdę i cię unieruchamiają, ale nie zabijają, doprecyzował w myślach.

– Chce się pan przebić przez ścianę?

Karcz otarł pot spływający po czole i oparł się o klucz. Jego ciało było rozpalone, a im bardziej był rozgrzany, tym mniejszy ból odczuwał. Wiedział, że to zgubne wrażenie, ale nie mógł przestać. To była ich jedyna szansa.

– Nie. Chcę poluzować tylko kilka cegieł.

– I co się wtedy stanie?

– Wtedy jeszcze nic. – Robert uderzył po raz ostatni, a następnie podszedł do ściany i wsadził palce w powstałą szczelinę.

Jedna z cegieł się poruszyła. Dmuchnął, żeby oczyścić ją z pyłu, ale nie potrafił jej wysunąć. Zaklął, cofnął się o krok, podniósł klucz i znowu uderzył.

Po kilku minutach zrobił w ścianie na tyle dużą dziurę, że mógł wsadzić w nią rękę. Wyraźnie zadowolony, zaczął wygrzebywać z niej ziemię. Pracował tak aż do momentu, w którym nie mógł już dalej sięgnąć. Otwór miał głębokość równą długości jego ramienia.

Rajmund siedział niedaleko Karcza i oświetlając go latarką, rejestrował każdy jego ruch.

– Co pan robi? – zapytał w końcu.

– Coś głupiego. Będziesz musiał mi pomóc.

– Tak?

– Tak. Potrzebuję twojego płaszcza.

Rajmund westchnął przeciągle, wstał i ściągnął płaszcz. Karcz wziął go i przerzucił sobie przez ramię.

- Chodź ze mną.
- Z powrotem do tunelu?
- Weź latarkę i butelkę wody. Musisz się schować.

\*\*\*

Rajmund nie wdawał się w dyskusję, kiedy Karcz kazał mu się ukryć pomiędzy dwiema starymi ciężarówkami.

- Zaraz wrócę – powiedział Robert. – Zostań tutaj, dopóki cię nie zawołam...  
...albo dopóki nie wylecę w powietrze, dodał w myślach.
- Nie bój się. Wszystko będzie dobrze – dodał i pokuśtykał w kierunku małej zbrojowni.

Pęknięte żebra bolały go jak diabli, a wymachiwanie starym kluczem wcale nie sprawiło, że czuł się lepiej.

Wszedł do pomieszczenia i oparł rękę o skrzynię z napisem „Brennzünder 39”. Rozejrzał się dokładnie, świecąc dookoła latarką, jakby chciał odwlec to, co postanowił zrobić.

Następnie ostrożnie otworzył skrzynię i wciśnięte w małe uchwyty granaty. Każdy miał wykonaną z drewna rączkę i przypominał trochę grzechotkę do śrub albo zabawkę dla dzieci. Karcz widział już takie granaty. Drewniany uchwyt ułatwiał rzut, ale on nie miał zamiaru nimi rzucać. Delikatnie wyciągnął ze skrzyni dwie sztuki i prawie nie oddychając, wrócił do wydrapanej przez siebie dziury w ścianie.

Mogło się nie udać. Po kilkudziesięciu latach mogły się okazać zwyczajnymi niewypałami, ale musiał spróbować. Ostrożnie odłożył granaty na ziemię, po czym ściągnął z ramienia płaszcz i wepchnął go do dziury. Podniósł jeden granat i odkręcił drewnianą rękojeść. Górną część wraz z zapalnikiem wcisnął pomiędzy poły płaszcz. Po chwili to samo zrobił z drugim granatem.

Z każdym kolejnym ruchem oddychało mu się coraz ciężiej, a ból w piersi stawał się bardziej uciążliwy. Oparł się o ścianę i dotknął czołem wilgotnych cegieł. Światło z góry oświetlało go, nadając wszystkiemu teatralną otoczkę.

– Rajmund! – krzyknął, a echo w tunelu spotęgowało jego głos. – Wszystko w porządku?

- Tak! – usłyszał w odpowiedzi. – Coś znalazłem! Musi pan to zobaczyć...
- Zaraz! Nie ruszaj się stamtąd!

Wrócił do pomieszczenia z bronią, wyjął ze skrzyni kolejne dwa granaty i przyjrzał im się uważnie.

Jeżeli się uda, to będzie cud, pomyślał.

Wiedział, że każdy z granatów zawierał 180 gramów materiału wybuchowego. Dopisek „39” oznaczał model z zapalnikiem odpornym na wilgoć, ale nie dawało to gwarancji, że się uda...

Kiedy znowu znalazł się obok dziury w ścianie, odkręcił uchwyt od kolejnego granatu i wsunął ładunek pomiędzy fałdy płaszcza.

Kojarzył gramaturę i podstawową konstrukcję, ale nie potrafił przypomnieć sobie czasu potrzebnego do odpalenia ładunków.

Trzy sekundy? Cztery?

Włożył czwarty granat do dziury. Oczami wyobraźni zobaczył, jak jeden z nich wybucha i urywa mu rękę, a on sam po chwili ginie, przygnieciony przez zwały ziemi i gruzu.

Z ulgą wyjął rękę i odsunął się od ściany. Drżącymi palcami otarł szczypiący pot spływający do oczu.

Jeszcze dwa granaty i będzie po wszystkim.

Do ostatniego wsunie detonator, odbezpieczy go i zacznie się modlić.

– Rajmund! Wszystko w porządku?! – krzyknął w mrok tunelu i oświetlił go latarką. – Rajmund?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Zaniepokojony skierował się w stronę bramy.

– Rajmund?

Chciał krzyknąć coś jeszcze, ale nagle za plecami usłyszał syk. Przypominał odgłos ulatniającego się gazu albo zapalanej zapałki.

Odgłos, którego nie powinien usłyszeć.

Czy aby we wszystkich granatach nie było detonatorów?

To niemożliwe, pomyślał. To niemożliwe!

I wtedy nastąpił wybuch.

\*\*\*

Pluł ziemią. Dosłownie się nią krztusił.

Nie było żadnych latających cegieł ani spektakularnej eksplozji. Ściana drgnęła, a następnie w jednej chwili runęła. Karcz stracił równowagę, po czym chmura ziemi i pyłu pchnęła go na kolana.

Kaszląc i osłaniając twarz, brnął na klęczkach. Kiedy znalazł się wystarczająco daleko od źródła wybuchu, podniósł się i spojrzął w kierunku osuwiska.

Chmura opadła i w początkowej części tunelu zrobiło się jasno. Wtedy ujrzał, że większa część ziemi zwała się do środka, a reszta, wystrzelona przed budynek, utworzyła wyjście na powierzchnię.

– Ra... Rajmund! – wrzasnął, próbując się pozbyć nieznośnego piszczenia w uszach, a po chwili zaczął się śmiać.

Chłopiec wyłonił się z mroku, trzymając coś kurczowo i nieumiejętnie oświetlając sobie drogę.

– Wyjście! – stwierdził, mrużąc oczy. Ucieszył się, ale Karcz w głębi duszy liczył na trochę żywszą reakcję. – Jak pan to zrobił?

– Nie wiem... – przyznał Karcz, tylko częściowo mijając się z prawdą. – Pomóż mi wstać.

– Znalazłem coś – pochwalił się Rajmund. Karcz zauważył w jego dłoni wielką sztabkę. Miała matowzłoty kolor, a napis na niej głosił: „Deutsche Reichbank 999.9”.

Robert wstrzymał oddech. Dopiero słowa chłopca sprawiły, że zaczerpnął powietrza.

– Więcej nie ma...

\*\*\*

Kiedy wyszli na powierzchnię, wyglądali jak siedem nieszczęść. Karcz przytrzymał się ramienia chłopca, który trzymał w ramionach złotą sztabkę, tak jakby to był uratowany przed utonięciem szczeniak.

– Znajdzie ich pan? – zagadnął Rajmund, kiedy zbliżyli się do otwartej bramy prowadzącej na leśną drogę. Była otwarta, a po Devraux i jego ludziach nie został nawet ślad, pomijając częściowo rozkręconą konstrukcję, za pomocą której zostali zrzućeni do tunelu.

Myśli przelatywały przez głowę Karcza z prędkością rozpędzonego pociągu.

Po chwili westchnął.

– To nie jest takie proste... – powiedział.

I rzeczywiście nie było. Nigdy nie było proste.

– Najważniejsze, że jesteś cały i zdrowy – dodał. – Niedaleko mam zaparkowany samochód...

– Przyjechał pan machem?

– Tak. Stoi na poboczu głównej drogi.

Myśl o samochodzie zadziałała kojąco. Wyobraził sobie, jak wsiadają do niego, a potem po prostu jadą do szkoły albo na policję... albo od razu do szpitala. Jedno z trzech.

Miał jeszcze jedno do zrobienia: zadzwonić do Justyny.

– Co teraz? – zapytał chłopiec po kilku minutach powolnego marszu.

– Ferie. Nic więcej.

– Ale pytam tak naprawdę.

Robert przyjrzał mu się i szybkim ruchem wytrzepał z jego marchewkowych włosów grudki ziemi.

– Jeszcze nie wiem...

– Pan Piotr miał rację – zauważył Rajmund.

Karcz nie odpowiedział. W pewnym sensie Szczur miał dobre przecucia. Tylko co z tego wynikało? Jedna sztabka?

Stanowczo za mało, by wynagrodzić to, co im się przytrafiło.

Po kilku minutach wyszli z lasu na główną drogę. Najpierw zobaczyli dwa radiowozy, a potem wóz straży pożarnej. Jeden pas był wyłączony z ruchu. W pobliżu stało porsche Michała Karmelity. W tej samej sekundzie serce Karcza zabiło szybciej, niemal rozsadzając mu klatkę piersiową. Puścił ramię chłopca i wyrwał się do przodu.

– Nie ma przejścia – powiedział jeden z policjantów, zastępując mu drogę. Dopiero po chwili zauważył, w jakim stanie jest Karcz. – Dobrze się pan czuje? Co wam się stało?

Karcz dojrzał gdzieś za nim twarz Justyny. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, zobaczył w jej oczach ból.

– Robert! – wrzasnęła i rzuciła się biegiem w jego kierunku.

Gdzieś obok niej zamajaczyła mu postać Karmelity. Trzymał ręce głęboko w kieszeniach i spoglądał na dogasający wrak samochodu stojącego na poboczu. Była tam też Zuza Nir. Byli tam wszyscy.

Zdezorientowany policjant ustąpił z drogi rodzeństwu i spojrzał na Rudego Rajmunda.

– Chłopcze, co wam się stało? – zapytał. – Kim jesteście? Wiesz, do kogo należy ten samochód?

Justyna przytuliła się do Karcza ostrożnie i zaczęła mówić, ale on już jej nie słyszał. Trzymał ją tylko w ramionach i patrzył na mustanga, a raczej na to, co z niego zostało.

– Ktoś go zdewastował i podpalił... Robert, tak mi przykro... Robert?

Robert.

Robert.

**SZUKALIŚMY WAS!**

Tak się cieszę, że nic ci nie jest. Gdzie byliście?

Robert.

Robert.

Słyszysz mnie?

ROZDZIAŁ OSTATNI  
W KTÓRYM KAR CZ MÓWI, ŻE ZACZEKA NA  
ZEWNĄTRZ

Robert Karcz spędził w areszcie dwadzieścia cztery godziny. Kiedy wyciągnięto go z celi, powłóczył nogami i wyglądał jak cień człowieka.

Jeden z mundurowych, trzymając Karcza pod ramię, wprowadził go do biura na zapleczu, gdzie czekał już na niego mężczyzna w garniturze. Ten garnitur, a w zasadzie jego właściciel, stawał się powoli dla Karcza symbolem wolności. Za każdą podjętą decyzją i za każdym człowiekiem w mundurze zawsze był jakiś człowiek w garniturze, a za nim kolejni, tylko w jeszcze droższych garniturach.

Piramida zależności, w której Karcz był na samym dole. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Tomasz Kubek odprawił policjanta jednym spojrzeniem, a następnie przyjrzał się Karczowi.

– Z czego robią takich facetów jak pan? – zapytał, rozsiadając się przy stole.

Karcz jedynie skrzywił pokaleczoną twarz w imitacji czegoś, co mogło być uśmiechem. Z kolei jego klatka piersiowa była jednym wielkim krwiakiem. Przez połamane żebra nie mógł się wyprostować ani usiąść, ból był zbyt dotkliwy, więc stanął przygarbiony po drugiej stronie stołu.

– Powinien pan być w szpitalu – zauważył Tomasz. – Musiał pan nieźle zdenerwować stróżów prawa... Nie chce pan usiąść?

– Nie.

– Nie będzie panu bardziej komfortowo?

– Będzie, ale wstawanie nie jest tego warte.

Kubek parsknął śmiechem.

– Przykro mi z powodu samochodu – powiedział niespodziewanie. – Wiem, że był dla pana ważny.

Karcz milczał.

– Panie Robercie, zabieram pana stąd. – Kubek splótł palce obydwu dłoni. – Załatwiłem panu prywatną klinikę, w której poskładają pana do kupy.

– Jak było w Berlinie? – W pytaniu Karcza nie było cienia wesołości. – Musi pan wybaczyć, że niewiele mówię, ale czuję się lekko... nadwyrężony.

– Mniej ciekawie niż u pana... Jak do tego w ogóle doszło?



– Do czego?

– Ciężarówka, złoto, broń... – zaczął wyliczać. – Dlaczego mi pan nie powiedział?

– A jak pan sądzi?

– Coś pan sugeruje?

Karcz kaszlnął, syknął z bólu i oparł się o blat.

– Gdybym pojechał z panem do Berlina, wywieźliby wszystko i nie byłoby po nich śladu. Nikt by o niczym nie wiedział.

Tomasz zastanowił się nad jego słowami, a potem poprawił krawat.

– W takim razie dobrze, że pan nie pojechał, prawda?

– Te zbiegi okoliczności są wygodne. Ale nie zawsze dla mnie – zauważył Karcz.

– Czy pan uważa – Kubek ściszył głos – że mam z tym coś wspólnego?

Karcz znowu przemilczał odpowiedź.

Tomasz postukał palcami w blat stołu, a na jego twarzy pojawił się wyraz zażenowania i zakłopotania. Jak na niego była to wybuchowa mieszanka.

– Panie Robercie – zaczął powoli. – Przez przypadek prawie rozbił pan szajkę złodziei. I został pan bohaterem...

– Ciężko ukraść coś, co do nikogo nie należy, prawda? – przerwał mu Karcz, ostrożnie dotykając wolną ręką połamanych żeber.

– Należy do Skarbu Państwa.

– Jakiego państwa? Naszego?

– To byli profesjonalni złodzieje, którzy plądrowali tego typu miejsca od lat – wyjaśnił, ignorując pytanie. – Byli świetnie zorganizowani i nie mam bladego pojęcia, skąd brali informacje do namierzania kolejnych celów. Nie mam pojęcia, ale się dowiem...

– Czyli pan Devraux nie jest pańskim kolegą?

– Co?

– Kolegą z telefonu – uściślił ironicznie Karcz. – Przyjacielem od... biznesu.

Tomasz po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Bądźmy poważni. Za kogo mnie pan uważa? Ci ludzie wywieźliby wszystko za granicę i sprzedali... nawet nie potrafię powiedzieć komu i za ile. Złoto jest łatwo wycenić, ale całą resztę, cokolwiek tam jeszcze było? Czekają nas miesiące pracy. Proszę pamiętać, że my tropimy takich ludzi.

Karcz się zamyślił.

– A co robicie z takimi jak ja? – zapytał w końcu. – O tym nie mieliśmy okazji pogadać, a szkoda.

Kubek uśmiechnął się po raz drugi.

– Gdybym znał więcej osób podobnych do pana, to powiedziałbym, że raz za razem wyciągamy ich z szamba, w które wpadają.

– Jak pan się naprawdę nazywa? – Karcz skrzywił twarz w cierpkim uśmiechu. – Należy mi się chwila prawdy.

Mężczyzna w garniturze westchnął i sięgnął do kieszeni po portfel. Z jednej z przegródek wyciągnął prawo jazdy i dowód osobisty i rzucił je Robertowi.

– Też chcę prawdy – powiedział poważnie. – To wynajmowane przez pana mieszkanie na Grabskiego jest bardzo blisko szpitala... W zasadzie obok Lasku Złotoryjskiego. Czy pan się domyślał już wcześniej, czy...

– Przypadek. Całkowity przypadek – mruknął Karcz i sycząc z bólu, jednak usiadł na krześle. Rzucił okiem na dokumenty.

– Niewiarygodne – oznajmił Kubek.

– Mnie pan to mówi? – jęknął Robert i rozsiadł się wygodniej na niewygodnym krześle.

Kubek znowu zastukał kilka razy w blat.

– Powiem panu, co zrobimy. Ministerstwo pokryje wszystkie koszty związane ze szkodami. Spróbuję też zrobić wszystko, żeby załagodzić zamieszanie wokół pana osoby.

Karcz mimowolnie pomyślał o machu 1 i zamknął oczy, chcąc odegnać straszne myśli.

– Mam pana samochód – dodał Kubek, jakby czytając mu w głowie. – A raczej to, co z niego zostało... Proszę się nie martwić. Jak już mówiłem, oficjalnie i nieoficjalnie jest pan lokalnym bohaterem. W mediach pojawi się informacja o zawadiackim nauczycielu historii, który w brawurowy sposób uratował swojego ucznia i próbował udaremnić kradzież zabytków... we współpracy z policją, oczywiście. Dla ministerstwa... Cóż, powiedzmy, że dla nich też powstała pewna wersja wydarzeń, mówiąca o tym, że od początku podejrzewaliśmy, że na terenie Legnicy może dziać się coś niepokojącego. My podejrzewaliśmy, to znaczy ja i pan. Rozumiemy się? Dzięki temu wszystko uda się wliczyć w koszty.

Karcz parsknął i tylko uniósł kciuk.

– To, co zrobili z pana samochodem tam na poboczu... Zrobili to specjalnie. Wedle zeznań świadków z lasu wyjechała furgonetka i samochód osobowy. Zatrzymali się przy pana samochodzie i go... cóż, oblali benzyną i spalili...

– Wiem, co z nim zrobili.

– Tak... – westchnął Kubek, widząc, że Robert właściwie nie okazuje zainteresowania tym, co przed chwilą powiedział. – Pozostaje jeszcze kwestia szpitala. Trochę tam powęszymy, a potem pewnie osuszą podziemny bunkier

i tunele, wysypią je żwirkiem i zrobią z tego atrakcję turystyczną. W takim układzie nikt nie traci.

– Brzmi... brzmi... – Karcz kaszlnął i skrzywił się z bólu.

– Dobrze, prawda?

– Gdyby nie to, jak wyglądam... i jak się czuję... zobaczyłby pan zachwyty na mojej twarzy – odparł z ironią.

– Z pewnością – przytaknął Tomasz.

– Nie chcę być w mediach.

– Musi pan być... częściowo. Nauczyciel, archeolog, pasjonat... Nie ma innego wyjścia. Powiążą to z pana siostrą i zostanie pan bywalcem programów śniadaniowych.

– Po moim trupie. Możemy już stąd... iść? – zapytał Karcz, rozglądając się po pomieszczeniu.

Kubek klasnął lekko w dłoń. Pomysł Roberta bardzo mu się spodobał.

– Pewnie. Jedźmy. Pana siostra czeka już we Wrocławiu. Obiecałem jej, że wszystkim się zajmę... Jak zwykle. Lekarze, których panu załatwiliśmy, wiedzą, co robią. – Podniósł się, schował dokumenty do wewnętrznej kieszeni marynarki, podszedł do Roberta i pomógł mu wstać. – Jest pan ciężki.

– Ukrywam w tyłku kilka sztabek złota – zażartował Karcz bez entuzjazmu. – Musiałem coś sobie uszczknąć.

Kubek wybuchnął śmiechem.

– Mam dla pana jedną sztabkę. Prawdziwą – odparł i trzymając Roberta pod ramię, zaczął prowadzić go do drzwi. – Tylko niech się pan nie chwali. Znaleźliśmy kilka sztuk w podziemiach.

– Szybcy jesteście – zakpił Karcz.

– Koszty operacyjne... Poza tym mam dla pana niespodziankę. Był pan kiedyś w Wałbrzychu? Znaleźliśmy tam pewien pociąg... Być może... być może jest powiązany ze szpitalem w Legnicy, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

– Nie ma takiej możliwości! – zaprotestował Robert i w tym momencie uderzył bokiem we framugę drzwi. Krzyknął z bólu.

– Przepraszam – sapnął Kubek. – Źle wyliczyłem szerokość. To przez ten brak zaufania do mojej osoby... Widzę, że się panu myśli kotłują w głowie i nie podoba mi się to. Niech pan idzie pierwszy. O! Proszę! Tym razem się udało.

– Świetnie. Mogę oficjalnie uznać to za zamach na moje życie?

– Wracając do tematu pociągu. – Kubek zignorował jego żart. – To może być fałszywy trop, ale... jest ukryty w bardzo dziwnym miejscu. Niedostępnym. Mógłby pan wykorzystać swoje talenty do...

– Niech pan sobie nie robi jaj z tym pociągiem – przerwał mu Karcz bez odrobiny zainteresowania. – Jedziemy do szpitala we Wrocławiu?

- Łamie mi pan serce. Myślałem, że mój tekst o złotym pociągu pana rozbawi.
- Nie bardzo.
- Tak jak mówiłem, posklejają pana, a później się spotkamy i zrobimy podsumowanie – zmienił temat Kubek.
- Musimy po drodze zatrzymać się w jeszcze jednym miejscu – zapowiedział Robert.
- Szybko?
- Uwiniemy się... w pięć minut – stęknął z bólu. Jego każdy kolejny krok był jak przygoda.

\*\*\*

Pracownik schroniska dla zwierząt przyglądał się dwóm mężczyznom z lekkim zdziwieniem. Jeden wyglądał tak, jakby ożył w prosektorium i z niego uciekł, a drugi – jakby startował w wyborach na senatora.

– Szukają panowie... – spojrzał z zakłopotaniem na mężczyznę z pokaleczoną twarzą – jakiegoś konkretnego pieska?

– Tak. Bardzo konkretnego – odparł uciekinier z prosektorium.

Pracownik schroniska wskazał mężczyznom korytarz prowadzący na dziedziniec. Na dziedzińcu momentalnie uderzył ich zapach zwierząt zamkniętych w klatkach. Na ich widok psy zaczęły szczekać. Większość z nich wpatrywała się w nich z rosnącą ekscytacją.

– Macie może jakieś środki przeciwbólowe? – zapytał nagle uciekinier. – Coś, co mógłbym połknąć? Może być zastrzyk...

– Proszę pana, to schronisko dla zwierząt...

– Wiem, wiem... Ale musiałem spróbować.

Kiedy go znaleźli, w pierwszym momencie nawet do nich nie podszedł, ale po kilku minutach oswoił się z ich obecnością.

– To ten. Hassan, psie, zabieramy cię ze sobą.

Pracownik schroniska chrząknął.

– Ten pies należy do panów? Musieliśmy go odizolować od innych zwierząt... Rozszarpał na strzępy swoje koce... Jest bardzo bojaźliwy i w ten sposób odreagowuje stres. Ciężki przypadek. Nie może się dostosować. Trzeba z nim dużo pracować.

– Uroczy pies – stwierdził mężczyzna w garniturze, a potem zwrócił się do swojego towarzysza: – Podobny do ciebie. Hassan... Brzmi jak imię tego Araba z Egiptu, który... Dobrze kojarzę?

– Tomek, zaopiekujesz się nim, jak będę w szpitalu? – zapytał uciekinier z prosektorium

Rozbrajająca szczerłość pytania wybiła mężczyznę w garniturze z rytmu.

– Ja?

– Tak, ty. Mam nadzieję, że zje ci cały dom. Wszystko, co ma dla ciebie wartość.

– Ten pies należy do panów? – Pracownik schroniska powtórzył pytanie bardziej dobitnie.

– Teraz już najwyraźniej tak – odpowiedział mężczyzna w garniturze, cały czas trzymając swojego towarzysza pod ramię.

\*\*\*

Tydzień po wyjściu ze szpitala Karcz wrócił do Legnicy.

Miał dużo do nadrobienia. Drugi semestr zaczął się w Gimnazjum numer 30 bez niego, a plotki, które rozrosły się do monstrualnych rozmiarów, sprawiły, że jak tylko pojawił się w szkole, zrobiło się tam głośniejsze niż w ulu.

Szedł korytarzem, lekko utykając, z plastrami na twarzy, ogromnym opatrunkiem pod koszulą, którego na szczęście nikt nie widział, i zawiniątkiem pod pachą. I nie odpowiadał na żadne pytania.

– Wróci pan do szkoły?

– Będzie pan nas znowu uczył?

Żadnych odpowiedzi. Tylko uśmiech.

Na rozmowę z dyrektorem i nauczycielami miał jeszcze nadejść właściwy czas. Natomiast kiedy zadzwonił dzwonek, Karcz od razu poszedł do szkolnej biblioteki.

Piotr Szczurzyński zrobił na jego widok ogromne oczy. Robert bez słowa wręczył mu zawiniątko. Było ciężkie.

– Co to jest? – zdziwił się bibliotekarz.

– Sprawdź.

Szczur nie mógł uwierzyć własnym oczom: oto trzymał w ręce sztabkę nazistowskiego złota. Były na niej wyryte swastyka i numer.

– Robert... – zaczął, czując ucisk w gardle.

– Miałeś rację – powiedział Karcz. – Masz instynkt. Nigdy nie przestawaj robić tego, co robisz. Rób to mądrzej niż ja, ale rób. – Rozłożył ręce, chcąc dać bibliotekarzowi do zrozumienia, że nie jest w najlepszej kondycji. – Powinienem być z tobą pogadać przy pierwszej okazji. Wysłuchać cię...

– To prawdziwe złoto... z konwoju?

Karcz się zawahał.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Może to była część konwoju, a może nie... Może zabezpieczenie, może nie miało nic wspólnego

z konwojem... Nikt jeszcze nic nie wie.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Szczur pokręcił głową.

– Sztabka jest dla ciebie. Zasłużyłeś. To w pewnym sensie twój skarb.

Wywęszyłeś go...

...jak szczur, pomyślał i się uśmiechnął.

– Tylko nie chwal się nią za bardzo – dodał.

– Czy pan wraca do szkoły? Ma pan teraz czas... Nie wiem, co powiedzieć...

– Nic nie mów. Ucz się, czytaj, szukaj dalej.

Szczur odłożył sztabkę na biurko.

– Czy to prawda, co mówią?

– A co mówią?

– Że pan... no nie wiem, powstrzymał jakichś ludzi...

– Wpakowałem się w kłopoty, ale zrobiłem to, co uważałem za słuszne.

– Tak po prostu? – zdziwił się Szczur, ale nie doczekał się rozwinięcia myśli. –

Wraca pan do pracy? Szczerze mówiąc, każdy twierdzi coś innego...

Karcz delikatnie podrapał się po głowie.

– Nie mam pojęcia. Wszyscy mnie o to pytają... Jestem na zwolnieniu. Dzisiaj jadę do Warszawy. Chcę spędzić trochę czasu z siostrą. Potrzebuję tego. Nie wiem, na jak długo, ale wyjeżdżam.

– Niech pan wróci – poprosił Szczur.

– Nie sędzę, żeby wszyscy byli tak pozytywnie do tego nastawieni, ale obiecuję, że to przemyślę.

– Słowo?

– Tak. Słowo. A i jeszcze jedno... – Karcz zawiesił głos.

– Tak?

– Przestań, do diabła, mówić do mnie pan.

\*\*\*

Kiedy Karcz wychodził ze szkoły, podbiegła do niego Superwoźna Kryśka z papierową torbą w dłoni i pełnym troski głosem powiedziała:

– Pan jest niemożliwy, panie Robercie. Naprawdę. Wariat.

– Dziękuję, pani Kryśko... Co to takiego? – Wskazał na torbę.

– Zestaw herbatek i ziółek, który postawi pana błyskawicznie na nogi. Zapakowałam też tam yerbę, o której panu opowiadałam, i instrukcję, jak ją zaparzyć.

Zakłopotany Karcz przyjął od niej pakunek. Było mu bardzo miło i czuł się o wiele mniej skrępowany niż piętnaście minut wcześniej, kiedy nauczyciel

geografii, żegnając go, powiedział: „Kocham cię, Robbie. Chcę cię przytulić”. A później przytulił.

– Dziękuję, pani Krysiu – powtórzył Karcz. – Jest pani... naprawdę super.

– Pan jest naprawdę dobrym człowiekiem – stwierdziła woźna. – Gdyby się pan tak nie urządził, to z chęcią bym złapała pana za policzek i wytarłosiła!

– Do zobaczenia. – Karcz się uśmiechnął.

– Do zobaczenia, panie Robercie.

Przed szkołą czekała Zuza Nir. Wyglądała, jakby roznosiła ją energia, czyli tak jak zwykle.

– Raaaaaaanyyyy, Karcz! W końcu wróciłeś! – wrzasnęła. – Powiedziałeś, że idziesz tam na chwilę, a czekałam na ciebie milion godzin!

– Wybacz, Zuza. Myślałem, że zejdziesz szybciej...

Dziewczyna pokręciła głową.

– Mam do ciebie kilka zastrzeżeń, Karcz – oświadczyła, kiedy zostawili budynek szkoły daleko za sobą.

– To znaczy?

– Mam wrażenie, że od kiedy przyjechałeś do Legnicy, po raz drugi wydarzyło się coś ważnego. Kumasz? A mnie za każdym razem omijają najlepsze fragmenty. Jaki żal!

Karcz od razu pomyślał o dziadku Rajmunda. O obrazach, które ukradł, i policji, która wyprowadziła go z własnego domu w kajdankach. Tego ostatniego nie widział na własne oczy.

– Żal? – zdziwił się.

– Żal i czarna rozpacz! Żal na sto procent! Jak to możliwe? Wytłumaczysz mi to?

– Nie wiem, Zuza. Naprawdę.

– No dobra. Druga sprawa to ta sztabka złota dla gościa z biblioteki. Gdzie jest sztabka dla mnie?

– Przecież dostałaś! – zaprotestował.

Zuza parsknęła.

– Ale to nie pierwsza krzywa akcja z twoim udziałem. Wcześniej był ten pomnik na placu Słowiańskim i mleczarnia...

– Ale wtedy nie znaleźliśmy żadnego złota!

– No właśnie! Ale myślałeś, że ono tam będzie, więc w pewnym sensie się liczy.

Karcz wybuchnął śmiechem.

– Czy ty mnie szantażujesz? – zapytał z rozbawieniem.

Zuza puściła do niego oko.

– Eee, podpuszczam cię. Chciałam sprawdzić, jak bardzo jesteś hojny. Ale tobie się bardziej przyda kasa.

– Czemu tak sądzisz?

– Spójrz na siebie. Prywatne leczenie kosztuje. Pamiętasz minę tego lekarza, który chciał cię zapisać na rezonans za trzy miesiące, a ty powiedziałaś mu, że chcesz zrobić go teraz, i wyciągnęłaś kasę *just like that*?

– Nie pamiętam jego miny...

– Ale ja pamiętam – oświadczyła poważanie.

Szli przez chwilę w milczeniu. Dzień był piękny, słoneczny. Po zimie nie zostało ani śladu. Świąteczne iluminacje zniknęły z ulic. Całe miasto zmieniło się w okamgnieniu.

– Kiedy jedziesz do Poznania? – zapytał. – Do tej twojej szkoły... znaczy akademii tańca?

Zuza się zamyśliła.

– Wiesz co? Nie wiem, jak to powiedzieć, ale trochę mi się pozmieniało... – odparła w końcu.

– To znaczy?

– Robię sobie krótką przerwę i jadę się uczyć do Warszawy.

Karcz zamrugał z niedowierzaniem.

– Do Warszawy?

– Tak. Twoja siostra załatwiła mi dojeżdżenie do tamtejszej akademii i chcę spróbować swoich sił. Później może pojedę za granicę... Wiesz, nie zrezygnowałam z Poznania, tylko wcisnęłam pauzę, rozumiesz? Uwielbiam twoją siostrę... To znaczy ten cały temat telewizji w ogóle mnie nie kręci, ale ona jest po prostu... normalna i szczerze mówiąc, z waszej dwójki o wiele fajniejsza od ciebie. I ma przepzystojnego Michała...

– Czyli widzimy się w stolicy – podsumował.

– Pewnie! – Klepnęła go po ramieniu, aż syknął z bólu.

– Przestań, proszę!

– Ale ty jesteś głupi, Karcz. Niby taki twardy, a jednak miękki...

– Przepraszam cię bardzo.

– Jest jeszcze jedna rzecz... – zaczęła po chwili.

– Słucham cię uważnie.

Zakłopotana Zuza potrząsnęła głową, jakby chciała sprawić, żeby wszystkie myśli trafiły w odpowiednie miejsca. Złote pasemka włosów opadły jej na twarz.

– Miałam przez krótki czas nowego chłopaka – powiedziała w końcu. – Jeezzzuuu, Karcz! Był naprawdę świetny! I powiedział, że pojedzie za mną na koniec świata...

– O!



– Taaaaa... Ale okazało się, że nie pojedzie za mną nawet za granicę miasta. Już myślałam, że to jest to, a tu klops. KLOPS!

Już to ostatnio słyszałem, opowieści o chłopakach, pomyślał, ale nie odezwał się słowem.

– Jesteś w dobrym wieku, żeby cieszyć się życiem – stwierdził. – Nie wykopałaś mu zębów, jak poprzedniemu?

Zuza ukryła twarz w dłoniach.

– Nie przypominaj mi! – krzyknęła. – Sam mógłbyś sobie wreszcie kogoś znaleźć. Ja i twoja siostra mamy dość niańczenia cię cały czas.

\*\*\*

Spotkanie z Rajmundem i jego mamą przebiegło bardzo spokojnie. Chłopiec był zadowolony, a kobieta, choć powściągliwa, sprawiała wrażenie, jakby darzyła Karcza sympatią. Usiedli u nich w mieszkaniu, w salonie, gdzie Karcz dosłownie zapadł się w kanapę. Piękne, bogate wnętrza i obrazy na ścianach nie pasowały do wizerunku chłopca, który miał utrwalony w głowie. Rajmund najwyraźniej nic sobie nie robił z tego, że pochodzi z bogatej rodziny, bo niezmiennie chodził ubrany na czarno, ze starym podniszczonym tornistrem na plecach. Był sobą. Zawsze.

– Jeszcze raz dziękuję za uratowanie syna – powiedziała mama chłopaka, przynosząc Karczowi drugą kawę. – On jest...

Karcz wziął od niej filiżankę. Już wcześniej zwrócił uwagę na to, jak atrakcyjną jest kobietą. Każde jej spojrzenie sprawiało, że się lekko peszył.

– To świetny dzieciak – odparł.

– Lubi pana bardziej, niż myślałam. – Uśmiechnęła się i odrzuciła z ramienia gęste marchewkowe włosy. – Otworzył się przy panu. Nie poznał swojego ojca, a przy panu zachowuje się jak każdy inny chłopak... Rozumie pan, on gada jak nakręcony...

Zmieszał się, ale niemal w tym samym momencie w salonie pojawiła się Zuza Nir w towarzystwie Rajmunda.

– Karcz, musisz zobaczyć jego pokój – powiedziała bez ogródek. – Jest tam masa samochodów.

Rajmund podszedł do kanapy.

– Co będzie z mustangiem? – zapytał. – Będzie działał?

Karcz z bólem pomyślał o spalonym samochodzie.

– Zajmie to trochę czasu, ale na pewno będzie działał. Myślę, że może być jeszcze lepszy niż przedtem... Co ty na to?

Rudzielec spojrzał na Karcza i zamyślił się na chwilę.

– W takim razie muszę zrobić panu nową figurkę – zdecydował.

Jego matka otworzyła usta w niemym wyrazie zaskoczenia.

– Nie wiedziałam, że robisz jakieś figurki...

Robert ostrożnie sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął kluczyki od samochodu i podał chłopcu.

– To od macha 1? – zapytał Rajmund nieufnie.

– Tak. Popilnuj ich przez jakiś czas, dobrze? Nie będę ich na razie potrzebował, a wiem, że u ciebie będą bezpieczne.

Rudzielec złapał kluczyki i błyskawicznie schował je do kieszeni. Zrobił to naturalnie, w niewymuszony sposób, jakby sam miał samochód od lat.

– Obiecuję – powiedział i wszyscy w pomieszczeniu wiedzieli, że mówi poważnie.

Będzie mi ciebie brakować, pomyślał Karcz. Napił się kawy. Następnie zerknął na Zużę, na Rajmunda, a w końcu na jego mamę i jej piękne rude włosy. Przez chwilę byli jak jedna wielka rodzina.

Kto by pomyślał? Kto by podejrzewał, że tak się to skończy? – przeszło mu przez myśl.

Chyba nikt. A na pewno nie on.

\*\*\*

Tomasz Kubek zaprosił Karcza na obiad, a ten nie odmówił.

Nadszedł czas na to, co mężczyzna w garniturze nazwał „drugim podsumowaniem” i Robert był gotów wysłuchać wszystkiego, co tamten ma do powiedzenia. Do tego czasu przeprowadzili kilka rozmów telefonicznych. Raz nawet Kubek odwiedził go w klinice i pożalił się na psa, że ten niszczy i demoluje meble, ale dało się wyczuć, że darzy zwierzaka dużą sympatią. Karcza to specjalnie nie zaskoczyło.

– Przykro mi, że pomyślał pan, że mogę mieć z tym coś wspólnego, panie Robercie. – Kubek odkrawał kolejne kęsy krwistej polędwicy, które następnie trafiały do jego ust. – Ale rozumiem to. Sytuacja rzeczywiście jest dość dziwna...

– Dalej nie mam pewności – przyznał Karcz. – To tylko pana słowa.

– Szanuję to. Dlatego biorąc pod uwagę, że w pana głowie nieprzerwanie kotłują się wątpliwości... – Wytarł usta chustką i rzucił w kierunku Karcza zawiązaną na sznurek teczkę. Zaskoczony Robert złapał ją w locie, o mały włos nie przewracając szklanki z wodą. – Aż tak ciężko uwierzyć, że to zwyczajny zbieg okoliczności?

– Jestem dobry w zbiegach okoliczności, tylko ta sprawa śmierdzi... Rozumiem, że to prezent?

– Jak się czuje pana siostra? – zmienił temat Kubek.  
– Jest w Sopocie ze swoim chłopakiem.  
– Pogoda im dopisuje?  
– Mógłby pan sobie sprawić jakiś tablet. – Karcz zignorował pytanie i upił łyk czerwonego wina, które zamówił sobie do buraczanego risotto. – Te teczki wyglądają jak z lat osiemdziesiątych.  
– Mają tak wyglądać – potwierdził Tomasz i się uśmiechnął. – Devraux...  
Mówił pan o Devraux, ale nie znalazłem nikogo takiego.  
– Pseudonim?  
Kubek pokręcił głową.  
– Nie sędzę. Z opisu i naszych wewnętrznych rozmów wynika, że grupą dowodził mężczyzna o imieniu Armand. Znamy tylko imię. To ten wielki facet, który spuścił panu łomot...  
– Nie, że spuścił łomot, tylko strzelił do mnie.  
– Tak, oczywiście. Nie mam nazwiska. Tylko imię: Armand. Był raz aresztowany, ale zniknął. Po prostu rozpułnął się w powietrzu. Musi mieć wysoko postawionych przyjaciół... Rozpytywaliśmy ludzi z czarnorynkowego towarzystwa, ale nie udało nam się z nich wydusić żadnych informacji. Pierwszy raz w życiu słyszałem, żeby każdy używał dokładnie tej samej śpiewki. „Nic nie wiem i nic nie powiem”. Nie zmienia to faktu, że lista osób zajmujących się tym, czym oni, nie jest zanadto długa.  
– Kradzieżami i plądrowaniem zapomnianych przez Boga miejsc – wtrącił się Karcz.  
– Och, nie wiedziałem, że jest pan religijny, ale tak... to miałem na myśli.  
– Gdzie on jest? – Karcz na samą myśl o mężczyźnie zwanym Devraux mimowolnie zacisnął pięści.  
– Mówiłem już, to profesjonaści – przypomniał Kubek. – Podejrzewamy, że Armand przez pewien czas był członkiem legii cudzoziemskiej. Ma przeszkolenie wojskowe. Tam wymazano mu całą kartotekę i narodził się na nowo. Ma jakieś powiązania, o których bardzo mało wiem. Ale jak przejrysz teczkę, będziesz wiedział, że to naprawdę niebezpieczny człowiek...  
– Ja już to wiem – mruknął Karcz.  
– Domyślam się też, że bardzo chciałby pan się z nim spotkać.  
– Po prostu powiedz mi, gdzie jest? – powtórzył Robert.  
– Obecnie... w Pradze. Czeskiej Pradze. Ma pan wszystko w teczce. To prezent, który, mam nadzieję, rozwieje pana wątpliwości co do mojej osoby.  
Karcz wznosił toast lampką wina i upił potężny łyk.  
– Może pan kogoś skojarzy – dodał Kubek. – To zdjęcia potencjalnych współpracowników Armanda. On sam zresztą sprawia wrażenie kogoś w rodzaju

prawej ręki. To wszystko jest dość niepokojące.

Karcz znowu pomyślał o Armandzie znanym mu jako Devraux i przypomniał sobie, jak stał ze strzelbą i celował w Rajmunda.

– Czyli nie jest pan jego przyjacielem? – zapytał retorycznie, otwierając teczkę i rzucając okiem na zdjęcia. Każde zrobione z ukrycia, niby przypadkiem. Na ulicach. W hotelach. W restauracjach. – Tych trzech kojarzę – powiedział Robert po chwili. – Byli w Legnicy.

– Francuz, Serb i Brytyjczyk... A pozostali?

– To jest Devraux... to znaczy Armand.

– Dobrze. – Kubek skinął głową.

– A to? Kto to jest?

Tomasz popatrzył na fotografię.

– Nie mamy bladego pojęcia...

Fotografia przedstawiała Armanda w towarzystwie... no właśnie, kogo?

Karcz przyjrzał się fotografii z bardzo bliska.

– Zna go pan? – zapytał Kubek.

Niepotrzebnie. Odpowiedź była bowiem wypisana na twarzy rozmówcy wielkimi literami, równie dobrze mógłby to wykrzyzczyć.

– Nie, nie znam – skłamał Robert.

– Z pewnością – zakpił Kubek i wzniósł toast. – Niech pan robi to, co uważa pan za słuszne, ale proszę na siebie uważać, dobrze?

Karcz zamknął teczkę i uderzył nią kilka razy w otwartą dłoń.

– Będę pod telefonem – oznajmił i energicznie wstał z miejsca. – Muszę jechać. Natychmiast.

– Pan bardzo rzadko odbiera – zauważył Kubek i się uśmiechnął.

– Dlatego to ja zadzwonię do pana.

\*\*\*

Praga pachniała wiosną. Było pięknie i słonecznie.

Kiedy potężny mężczyzna ubrany w krótki, lekki płaszcz zajął miejsce przy najbardziej ustronnym stoliku w kawiarni, kelner najpierw się zawahał, jakby ze strachu, a po chwili, przywołując na twarz profesjonalny, neutralny uśmiech, podszedł do niego, żeby przyjąć zamówienie.

Wbrew pierwszemu wrażeniu mężczyzna okazał się całkiem sympatyczny. Nie znał czeskiego, ale kelner od razu rozpoznał w nim Polaka. Gość zamówił czarną kawę i poprosił o popielniczkę. Kelner postawił przed nim żądany przedmiot, a potem wślizgnął się za półokrągły bar i uruchomił ekspres ciśnieniowy.

Mężczyzna przysunął do siebie popielniczkę i wyjął z kieszeni wymiętoszoną paczkę mentolowych papierosów. Wsadził jednego do ust, zapalił i zaciągnął się głęboko.

Ostatnie wydarzenia w Legnicy kosztowały go sporo nerwów. Najpierw głupie, wścibskie dzieciaki, później Robert Karcz, a na końcu jeszcze ten rudy. Ryzykował, zostawiając ich przy życiu, ale chodziło o zasady. Jedna z nich jasno mówiła, żeby nie zabijać bez powodu.

Cieszył się, że jest już po wszystkim. Teraz należało czekać od kilku tygodni do kilku miesięcy na spieniężenie łupu. W tym czasie nie pozostawało mu nic innego, jak korzystać z zasłużonego odpoczynku.

Praga była tylko jednym z punktów na mapie.

Miał czas. Miał pieniądze. Świat stał otworem.

Miał wystarczająco dużo środków, żeby otworzyć własny lokal albo nawet stworzyć całą sieć. To był dobry plan na emeryturę. Tylko po co?

Tak czy inaczej zdecydowanie zasłużył na urlop.

Kolejna robota dopiero pod koniec roku. Nigdzie się nie śpieszył.

Znowu głęboko się zaciągnął i uśmiechnął pod nosem. Wydmuchnął dym na blat stolika, przy którym siedział, a następnie wyciągnął z kieszeni telefon. Zajrzał do książki telefonicznej dokładnie w chwili, w której kelner postawił przed nim filiżankę i cukier.

– Dziękuję – powiedział miłym, ciepłym głosem i zamarł.

W filiżance nie było kawy, za to wystawał z niej niebieski pocisk do strzelby. Znał te naboje. Zaprojektowane do ogłuszania, ale czasami śmiertelne. Podniósł filiżankę i odwrócił ją do góry dnem. Pocisk uderzył o stół i leniwie zaczął się toczyć w kierunku krawędzi.

Kiedy dotarło do niego, na co patrzy, mężczyzna odwrócił się gwałtownie w poszukiwaniu kelnera, ale osoba, którą zauważył, nie była tą, której szukał, ani tym bardziej tą, której się spodziewał.

– Jarek Kochanek – stwierdził z rozbawieniem. – Powiedzieć, że jestem zaskoczony, to zdecydowanie za mało.

Karcz, ubrany w ciemne dresowe spodnie i czarną bluzę z kapturem, wyglądał, jakby wybrał się na jogging. Bez pytania usiadł po drugiej stronie stolika i posłał wystraszonemu kelnerowi znaczące spojrzenie, dając mu przyzwolenie na powrót do normalnych zajęć.

– Jest mi pan winien samochód – zwrócił się do mężczyzny.

Wielki mężczyzna zgasił papierosa i uważnie rozejrzał się po wnętrzu kawiarni.

– Jak mnie pan u licha znalazł!? Ostatni raz, kiedy pana widziałem... jakieś dwa miesiące temu... był pan przyklejony do krzesła i zjeżdżał na spotkanie z...

by tak rzec... przygodą.

Karcz wzruszył ramionami.

– Było bardzo przyjemnie. Dziękuję.

– Czyżby?

– Tak – Robert wziął do ręki niebieski pocisk i postawił go przed swoim rozmówcą. – Gdyby nie dwie złe decyzje, powstrzymałbym was.

– Możliwe – powiedział potężny mężczyzna takim tonem, jakby rzeczywiście uważał taką opcję za prawdopodobną. – Ale po co?

– Słucham?

– Dlaczego chciał nas pan powstrzymać? W imię czego?

– Fortuna i chwała – rzucił Karcz kwaśno.

Mężczyzna zastukał palcami w blat stołu.

– Może następnym razem... – powiedział.

– Nie będzie następnego razu, panie Armand.

– O! Widzę, że zasięgnął pan języka... Armand, Devraux... W sumie bez różnicy, jak się pan do mnie zwraca.

– Ford mustang mach 1. Siedemdziesiąty pierwszy rok. Kojarzy pan mój samochód?

– Podpaliłem go – oznajmił mężczyzna po dłuższej chwili, szukając w twarzy Karcza chociaż jednego pęknięcia. Chociaż jednej emocji. – Powinien być mi pan wdzięczny. Dałem panu szansę. Ba! W pewnym sensie uratowałem panu skórę. Jak się pan dłużej zastanowi, jeden stary mustang nie jest zbyt dużą ceną. To znacznie mniej, niż płacą inni. Samochód... Kiedy zobaczyłem go zaparkowanego przy głównej drodze... Gdybym go nie podpalił, mogliby pana nigdy nie znaleźć. Dostaliście ode mnie wodę i szansę. Wie pan, w perspektywie całego życia na pewno puści pan to w niepamięć i bardziej skupi się na małych przyjemnościach. Doradzam to panu. Rzeczy fundamentalne, choć niepozorne. Proste życie, bez problemów. Na tym powinniśmy zbudować naszą znajomość, a nie na samochodzie.

– Czyżby?

– Ależ oczywiście. Filiżanka dobrej kawy, spacer... Niech pan się rozejrzy po Pradze. To miasto bogate jest w tego typu atrakcje. Trzeba mieć jedynie szeroko otwarte oczy i wiedzieć, gdzie ich szukać. Tak samo jest ze skarbami. One istnieją, ale pan oczywiście o tym wie. Pytanie tylko, czy pan wie, jak one smakują...

Karcz uśmiechnął się tak szeroko, jakby słowa mężczyzny okazały się jedną z najzabawniejszych rzeczy, jakie usłyszał w całym swoim życiu. Milczał.

– Mam dwa pytania – powiedział Armand po chwili przerwy, próbując odnaleźć wzrokiem kelnera. – Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję.

– Moja kawa! – rzucił Armand w stronę kelnera i znowu odwrócił się do Karcza. Założył nogę na nogę i rozpiął guzik koszuli pod szyją. – Nie doceniłem pana. Poważnie. Jest pan jak wrzód na dupie. Mało szkodliwy, ale boli.

– To nie jest pytanie.

Armand mlasnął, wziął w palce niebieski pocisk i uniósł go na wysokość oczu.

– Wie pan, że tym można zabić?

– Wiem.

– W jaki sposób pozbył się pan kamer, tam, w Legnicy? Nie daje mi to spokoju... To moje pierwsze pytanie.

Karcz rozłożył ręce w teatralnym geście.

– Tak myślałem. – Prychnął Armand z pogardą. – Czasami szczęście uśmiecha się nawet do takich ludzi jak pan...

Chwilę później kelner drżącymi dłońmi postawił na stoliku czarną kawę.

Armand odprowadził go wzrokiem.

– Takich jak ja? – powtórzył ironicznie Karcz.

– Tak. Widzę, że ma pan problemy z tożsamością... Nauczyciel w gimnazjum? – zapytał kpiąco, a potem cmoknął kilka razy. – To zakrawa na żart.

– Nie mój wybór. Obiecałem siostrze.

– Czyli prowadzi pan podwójne życie? Nieładnie.

– Już nie. Praca w szkole nie była dla mnie. Przeszedłem na wcześniejszą emeryturę.

– Dobrze. W takim razie mam drugie pytanie.

– Tak?

– Jak mnie pan znalazł? Czy pan... Nie wiem, próbuję sobie poskładać te elementy do kupy... Ma pan jakiś...

– Nie zajmuję się tym samym co pan – uprzedził jego pytanie Karcz. – Nie jestem do pana podobny. A nawet jeżeli robię coś podobnego, to nie w ten sam sposób.

Armand napił się kawy.

– Pan, panie Karcz, nie ma bladego pojęcia, co się tu dzieje, prawda?

– Domyślam się.

– Więc wie pan, jakie mam powiązania? Czy ich też się pan domyśla?

– Zajmę się wszystkim w odpowiedniej kolejności. I proszę mi wierzyć, tym razem nie będzie żadnego chłopca, o którego będę musiał się martwić...

– Ojoj... Jak tam nasz mały wścibski rudzielec?

– Wie pan, skąd mam ten nabój? – Karcz zignorował pytanie.

Armand posłał mu czujne spojrzenie, ale poza tym jego twarz pozostała obojętna.

– Z pańskiego mieszkania – wyjaśnił Robert, nie czekając na odpowiedź.

Wielki mężczyzna zamarł na chwilę, jakby oceniał, czy to, co mówi jego niespodziewany rozmówca, jest wiarygodne.

– Mało prawdopodobne... – mruknął.

– Wiem, że nie ma pan stałego miejsca pobytu, ale zrobiłem rekonesans tu na miejscu i w Polsce – kontynuował Karcz z niezachwianą pewnością siebie.

Armand znowu upił łyk kawy. Wytatuowane na jego przedramionach węże poruszyły się.

– Blefuje pan.

Karcz bez słowa wyciągnął z kieszeni bluzy złożoną kartkę i położył ją przed rozmówcą.

Mężczyzna popatrzył na kartkę i odstawił filiżankę.

– Co to jest?

Robert stuknął w kartkę palcem i się uśmiechnął.

– Jest mi pan winien samochód – powtórzył oschle.

– Nie sędzę.

– Ale ja sędzę. Czekam na pana na zewnątrz. Załatwmy to jak mężczyźni.

– Chce się pan bić? – zadrwił Armand. – Tutaj? Teraz? Za kogo się pan uważa?

– Edmund Dantès nauczył mnie wszystkiego, co wiem na temat dyplomacji.

– Ładne.

– Proszę sprawdzić kartkę. Będzie pan wiedział, za kogo się uważam – dodał, wstając, i powtórzył: – Czekam na zewnątrz. Dostanie pan łomot swojego życia.

Kiwnął głową w kierunku kelnera i wyszedł przed kawiarnię, zostawiając Armanda sam na sam z jego myślami.

Potężny starszy mężczyzna z pogardą odprowadził Karcza wzrokiem, a gdy ten znalazł się na ulicy, wyciągnął z paczki papierosa i zagryzł filtr zębami. Przysunął bliżej kartkę. Po dłuższej chwili wziął ją w ręce i rozwinął.

To, co było na niej napisane, sprawiło, że serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Otworzył usta. Papieros upadł na podłogę tuż przy jego butach. Armand zamrugał kilka razy i podsunął sobie kartkę przed oczy.

Widniał na niej adres.

Adres miejsca w Małopolsce, w którym obecnie przechowywali prawie jedną trzecią niemieckiego złota i dzieł sztuki wywiezionych z Legnicy. Adres cholery dzupli, w której zawsze trzymali część fantów.

Jak to możliwe?

Armand zmiął kartkę, wcisnął ją do kieszeni płaszcza i zerwał się z miejsca.



Z perspektywy kelnera wyglądał jak rozjuszony dzik. Zaciśnięte pięści były gotowe do walki. Z mordem w oczach, potrącając po drodze stolik i krzesło stojące mu na drodze, wypadł na ulicę.

– Karcz! – zawołał rozwścieczony.

Jego głos dotarł do kelnera, który poczuł, jak na rękach pojawia mu się gęsia skórka.

Prosta historia. Tak miał opowiadać potem policji. Tylko że nie znał imion i nazwisk. Dla niego byli po prostu Polakami. Zwyczajnymi turystami. Gdyby wiedział, jak się nazywają, mógłby opowiadać później, że Armand Devraux wyszedł przed kawiarnię, gdzie Robert Karcz na niego czekał.

Czekał i był gotów.

Bardzo prosta historia.

## EPILOG

Michał Karmelita, ubrany w dobrze skrojony garnitur, przeszedł się po wynajętym apartamencie z widokiem na molo. W drodze na taras zatrzymał się przy barku i nalał sobie mocnego drinka.

Justyna pojechała otwierać wystawę znanej podróżniczki, a on miał kilka chwil dla siebie. Po wydarzeniach ostatnich kilku dni potrzebował się napić. Nie mógł z nikim porozmawiać, więc musiała mu wystarczyć zawartość szklanki.

Wkładając z powrotem korek do karafki, zerknął na gazetę i nagłówek: „W Małopolsce znaleziono magazyn z zaginionym nazistowskim złotem”. Mimowolnie zazgrzytał zębami i odgarnął blond włosy opadające na twarz. W treści artykułu zawartych było sporo informacji o wartości znaleziska i kilka teorii na temat, skąd się ono wzięło w magazynie.

Karmelita napił się alkoholu, a następnie otworzył drzwi na taras. Wyszedł na zewnątrz, oparł się o balustradę i wziął głęboki wdech.

W zapachu morza było coś niepowtarzalnego i krzepiącego. Lubił Sopot, mimo nawału turystów. Często chodził boso po piasku i rozmyślał, gdzie był kiedyś i gdzie znajduje się obecnie. Spojrzał na morze, aż po daleki horyzont. Kiedy usłyszał hałas za plecami, nawet się nie poruszył. Spokojnie upił kolejny łyk.

– Musimy porozmawiać – usłyszał i drgnął lekko. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w czarnej kominiarce.

– Miło, że wpadłeś – rzucił Karmelita, nie tracąc swojego pogodnego tonu. – W końcu pokazałeś mi swoją prawdziwą twarz. Podejrzewam, że Justyna byłaby zaskoczona, wiedząc, ile za uszami ma jej rodzony brat... – Podniósł w jego stronę szklankę, wziął kolejny łyk, a potem, jakby nigdy nic, oparł się o balustradę i znowu zapatrzył na morze.

Karcz zsunął z twarzy maskę, wszedł na taras i stanął obok Michała. Maskę miał na wypadek, gdyby tamten nie był w pokoju sam.

– Zastanawiałem się, kiedy się zorientujesz – kontynuował Karmelita, a z jego twarzy nie zniknął szelmowski uśmiech. – Przyznam ci się szczerze, że kiedy usłyszałem, że spotkałeś się z Armandem w Pradze, to nie mogłem uwierzyć. Cholera... – Zaśmiał się. – Nawet się trochę wystraszyłem. Pomyślałem: to

niemożliwe! A później jeszcze to złoto. Wisisz mi dużo kasy, Robert – dodał lodowatym tonem. – Bardzo dużo kasy.

Karcz również oparł się o balustradę i popatrzył na morze.

– Nic ci nie jestem winien – odparł. – To złoto nie było twoje.

– A czyje?! – wrzasnął Karmelita, tracąc na chwilę kontrolę. – Nie mogłeś dać mi czterdziestu ośmiu godzin? Nie mogłeś pojechać ze mną i z siostrą na wycieczkę i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy?

– Zbiegi okoliczności...

– Tak, wiem. Słyszałem o tobie od Justyny, ale myślałem, że jesteś zwyczajnym oszołomem. Później cię poznałem i nawet polubiłem. Za diabła nie mogłem zrozumieć, co cię tak ciągnie do tego szpitala. I kiedy zniknął ten dzieciak i ukradłeś mi kluczyki... Zbiegi okoliczności, czyżby?

– Owszem. Przestałem się dziwić, że w tamtym dziwnym mieście wszystko może się przydarzyć – przyznał Karcz.

– Tak. Też to zauważyłem... Wiesz, chyba naprawdę straciłem głowę dla twojej siostry. Jest przepiękna, mądra, wredna. Ale jak patrzę na nasz związek, ma on jedną poważną wadę...

– Czyżby?

– Ciebie. – Karmelita wychylił szklaneczkę do dna. – Próbowałem cię chronić. Chroniłem cię cały czas... Wiesz, w jakim byłem szoku, kiedy pieprzony Armand Devraux wymówił przez telefon twoje nazwisko? Nagle wszystko trafiło na swoje miejsce. Wszystkie rozmowy z Justyną nabrały sensu. Uparty, głupi brat szukający guza, archeologia i ten cholerny samochód... Namówiłem ją, żebyśmy przyjechali do Legnicy wcześniej. Nawet nie musiałem się specjalnie wysilać, uznała, że to jej pomysł! Karcz, Karcz, Karcz... Żałuję, że żyjesz...

– Przykro mi.

– I jeszcze włamujesz się do hoteli i włączysz do cudzych pokoi ubrany w kominiarkę... Ile tak naprawdę twoja siostra o tobie wie?

– Wystarczająco. Nie chcę jej w to mieszać. Zresztą każdy z nas ma swoją maskę, prawda? Twoją są drogie ubrania i uśmiech. Z tego, co wiem, zakopałeś jarmułkę i spędziłeś w Legii Cudzoziemskiej kilka piekielnych lat. Gdyby nie Armand, nie uszedłbyś stamtąd z życiem. Zakładam, że znaleźliście razem jakiś skarb, zabiliście po drodze kilka osób i założyliście spółkę. Zarobione pieniądze pozwoliły ci rozwinąć skrzydła. Nawiązać kontakty... On zajmuje się działaniem, ty tworzysz cele i spieniężasz akcje...

Karmelita zaśmiał się ponuro.

– Brawo. Odwaliłeś kawał detektywistycznej roboty. Wiesz, ile bólu kosztowało mnie usunięcie tych cholernych tatuaży? A ten stary sukinsyn nosi je z dumą... Ja musiałem się przepoczwarzyć, stać kimś innym...

– Drogie ciuchy i samochód pomagają?

– O tak, zdecydowanie.

Karmelita poszedł po kolejnego drinka. Był opanowany, a do twarzy miał przyklejony sarkastyczny uśmiezek. Karcz obserwował go ze swojego miejsca na tarasie.

– Wiesz, co myślę? – kontynuował Michał po powrocie. – Że Justyna się domyśla, że jesteś... wrzodem. Naprawdę. Nigdy nie opowiada o tobie ze szczegółami, wspomina tylko o szczenięcych latach, jakby nadal chciała myśleć o tobie w kategoriach małego chłopca. Dzięki temu łatwiej jest jej wszystko ci wybaczać...

– Skończ – przerwał mu Karcz. – Nie mieszaj jej w to.

– Ależ ona jest najważniejsza. – Karmelita znowu oparł się o balustradę. – Chciałeś pogadać o mnie i Justynie, chciałeś mi pogrozić, zrobić na mnie wrażenie... Ale masz problem, bo ja ją lubię i nigdzie się nie wybieram.

Karcz spojrział na niego, ale się nie odezwał.

– Powiem więcej – ciągnął Michał. – Sądzę, że ty powinieneś zniknąć. Raz na zawsze. Wszystkim żyłoby się lepiej. Wiesz, jak Justyna płakała przez ciebie w święta? Wielki, cudowny Robert Karcz, który myśli tylko o sobie. – Prychnął. – I to ja przy niej byłem, nie ty. Powinieneś zniknąć. Jesteś tylko kulą u nogi.

– Nie wiesz, kim jestem – zauważył Karcz.

Karmelita potarł usta zewnętrzną stroną dłoni, w której trzymał szklanekę, a na jego twarzy znowu pojawiła się beztroska wesołkowatość.

– W szkole, w której pracowałeś, jeden z uczniów powiedział do Justyny, że jego matka twierdzi, że ona pracuje w kłamliwej telewizji. Było jej bardzo przykro. Wiesz, co zrobiłem?

Karcz milczał.

– Coś, czego ty nigdy nie zrobisz, bo nie masz jaj. Złapałem dzieciaka, kiedy wychodził, i powiedziałem, że jeżeli jeszcze raz się tak do niej odezwie, to...

– Bardzo bohaterskie – przerwał mu Robert.

– Nie, nie chodzi o tego niewychowanego chłopaka – zaprotestował Karmelita – tylko o to, że ja jestem. Staram się. A ty idziesz przez życie i wprowadzasz chaos. I jeszcze wydaje ci się, że coś niecoś wiesz na mój temat i nadal czujesz się lepszy. – Upił drinka, spoglądając na Karcza znad szklanki. W jego oczach tańczyły ogniki, zupełnie jakby był dzieckiem, które planuje coś zbroić. – Znikniesz z życia Justyny i nigdy więcej się do niej nie odezwiesz. Wyjędź za granicę, zakop się gdzieś, poszukaj szczęścia...

Karcz uśmiechnął się półgębkiem.

– Wiesz, dlaczego tu przyszedłem? – zaczął. – Chciałem ci powiedzieć osobiście, że znajdę resztę złota. Nieważne, czy to będzie Małopolska, czy jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. Znajdę wszystkie twoje dziuple i będę szybszy. Utrudnię życie twoim ludziom do tego stopnia, że nie będzie ci się opłacało robić tego, co robisz. Wierz mi, mam teraz mnóstwo czasu.

– Nie, Robert. Nie słuchasz mnie. Znikniesz, tak jak mówię. Bo inaczej skrzywdzę twoich bliskich bardziej niż ty. Ten rudy dzieciak... A Zuza? Ta infantylna blondyneczka? Widziałeś, jak na mnie patrzy? – Michał pstryknął palcami. – Mogę ją złamać jak zapałkę albo zrobić jej o wiele gorsze rzeczy, za które... kto wie? Może mi jeszcze podziękuje. Odebraliśmy ci twój ukochany, tatusiowy samochodek, ale to może być dopiero początek wszystkich innych przykrych rzeczy, które cię spotkają. Mam wystarczająco dużo środków i wystarczająco dużo woli, żeby cię zabić... Ale mimo wszystko jestem wyrozumiały...

Karcz zacisnął pięści.

– Podsumowując, mój drogi – mówił dalej Karmelita – jeżeli mnie nie posłuchasz, to, niestety, skrzywdzę kogoś z twoich bliskich...

Nie dokończył, bo Robert doskoczył do niego i z całej siły uderzył go głową w twarz. Karmelita usłyszał chrupnięcie gdzieś wewnątrz głowy, a potem odgłos tłuczonego szkła. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, runął na ziemię, krztusząc się krwią ze złamanego nosa.

Karcz pochylił się nad nim, spojrzał mu głęboko w oczy i rzucił mu czarną kominiarkę.

– Wytrzymaj się i do zobaczenia. Szybciej, niż myślisz...

Karmelita z walącym sercem spojrzał w niebo, a kiedy Karcz zniknął, drżącą ręką wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Devraux – wydusił, wycierając twarz. – Zmieniłem zdanie. Karcz ma zniknąć.

\*\*\*

– Abonent czasowo niedostępny.

Justyna Karcz syknęła przez zęby i schowała telefon do torebki. W przerwie od pracy wyskoczyła do kawiarni, zamówiła wielką caffè latte i usiadła przy małym stoliku.

Robert obiecał, że spotka się z nią i Michałem w Sopocie, ale najwyraźniej w ostatniej chwili znowu zmienił plany.

Od momentu, kiedy mustang został zniszczony, Justyna była kłębkim nerwów, a wyłączony telefon brata wcale nie poprawiał jej humoru.

Dobrze, że przynajmniej mam Michała, pomyślała z rozżaleniem.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? – szepnęła sama do siebie.

Przez moment zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Zuzy, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu.

Postanowiła poczekać.

Nie napraszać się.

To jego wybór.

Zawsze jego wybór.

Udowodnij, że ci zależy, braciszku, pomyślała i upiła łyk kawy.

Piękny słoneczny dzień w Sopocie. Czas zacząć się nim cieszyć.

– Cześć, Pyśka – usłyszała za plecami.

– Robert? – zdziwiła się i momentalnie poczuła zalewającą ją radość. – Ty głąbie! Gdzieś ty był?! Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Karcz podszedł do niej, a kiedy się podniosła, objął ją ramieniem i bardzo mocno przytulił.

– Kocham cię, Pyśka – powiedział.

– Coś się stało?

– Wynagrodzę ci wszystko... – Popatrzył jej w oczy. – Będę przy tobie i znowu będziesz mogła na mnie liczyć.

– Chyba zacząłeś czytać w moich myślach. – Justyna się zaśmiała i nagle poczuła, że chce jej się płakać. – Robert...

– Wiem. Pojedźmy gdzieś razem. Na przykład na urlop, może do Tunezji, co ty na to? – zaproponował.

Wybuchnęła śmiechem i dała mu kuksańca w brzuch.

– Co zrobiłeś z moim bratem?

– Po prostu wszystko przemyślałem.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś – wyznała. – Zadzwonię do Michała. Zjemy jakąś kolację. Na pewno się ucieszy, że dojechałeś do Sopotu i że mnie znalazłeś...

Karcz się uśmiechnął.

– Tak – przytaknął. – Na pewno będzie zachwycony...

Spojrzał na swoją siostrę, najpiękniejszą istotę, jaką znał. Wiedział, że zrobi wszystko, żeby była bezpieczna. Dosłownie wszystko.

## Honor złodzieja (Robert Karcz #1)

Copyright © by Przemek Corso 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Paulina Stoparek

Korekta – Aneta Wieczorek

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Midjourney

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I tej edycji, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788383300443

ISBN epub: 9788383300450



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## POZNAJ KRYMINALNĄ SERIĘ *GLATZ*

Mistrzowsko skonstruowane kryminały Tomasza Duszyńskiego trzymają w napięciu do ostatniej strony. Ich szczególnym bohaterem jest Glatz – dolnośląskie miasteczko, w którym wciąż pobrzmiwają echa niedawno minionej wojny. W cieniu kłodzkiej twierdzy skrywa się wiele ponurych tajemnic.



**PRZESZŁOŚĆ WYDAJE SIĘ RÓWNIE ZAGADKOWA  
JAK POPEŁNIONE ZBRODNI**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

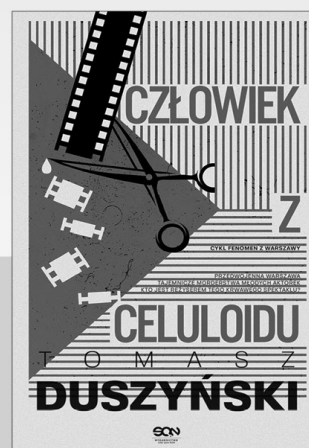
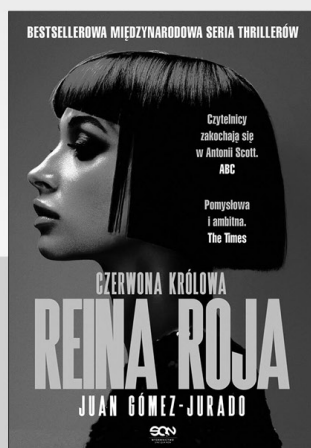
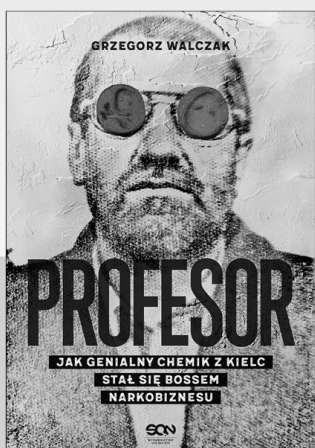
[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)



## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.  
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL

la**botiga**.pl